



Tam gdzie kończy się przyjaźń
a zaczyna emocjonalne uzależnienie.

—♦—
JOYCE MAYNARD
—♦—

W sieci
złudzeń

JOYCE MAYNARD

W sieci
złudzeń

przełożyła
Monika Wiśniewska



MUZA
WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE

*Davidowi Schiffowi,
przyjacielowi na całe życie,
którego prawość stała się inspiracją
dla cichego bohatera tej historii*

Listopad dobiegał powoli końca, a deszcz już drugi tydzień nie dawał za wygraną. Razem z synem przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania jakiś czas temu, zanim jeszcze zaczął się rok szkolny, ale dopiero teraz zdecydowałam się zabrać z wynajętej przechowalni resztę naszych rzeczy. Dwa dni przed końcem miesiąca uznałam, że nie ma co czekać na lepszą pogodę. Kilka mokrych kartonów to nie najgorsze, co może się przytrafić. Kto jak kto, ale ja coś na ten temat wiedziałam.

Dobrze, że w końcu opuściliśmy to miasteczko. Niedawno udało mi się spłacić dług u prawnika, który kilkanaście lat temu reprezentował mnie w sprawie o opiekę nad dzieckiem. Teraz Oliver i ja wynajmowaliśmy większe mieszkanie bliżej mojej nowej pracy w Oakland – lokal, w którym mój syn nareszcie miał nieco przestrzeni, a ja miejsce na niewielkie studio. Po długim, trudnym okresie przyszłość rysowała się obiecująco.

Ollie spędzał akurat weekend u ojca, a że – jak zwykle – nie narzekałam na nadmiar gotówki, sama postanowiłam zawieźć do Goodwill[1] rzeczy, których już nie potrzebowaliśmy. Wszystko, łącznie ze mną, było mokre od deszczu. Na skrzyżowaniu zatrzymałam się na światłach. Jedyne, czego pragnęłam w tamtej chwili, to opuścić to miasteczko; wiedziałam, że kiedy to zrobię, nigdy więcej do niego nie wrócę.

Prawie dziesięć lat minęło, odkąd po raz ostatni widziałam Avę Havilland. I nagle zobaczyłam ją tego właśnie dnia.

Już kiedyś zwróciłam uwagę na pewne zjawisko: w szerokim planie, na który składa się tak wiele pozornie nieistotnych informacji wizualnych, twój wzrok przyciąga jedna mała rzecz pośród tysięcy innych – rzecz, która cię przywołuje, i nagle, nie zważając na wszystko inne, skupiasz się na tym jednym miejscu, które jest albo dziwne, albo sygnalizuje niebezpieczeństwo, albo po prostu coś ci przypomina. I nie jesteś już w stanie odwrócić wzroku.

To ta rzecz, której się nie spodziewasz. Ten fragment krajobrazu, który nie pasuje do reszty. Dla innej pary oczu może nie znaczyć zupełnie nic.

Pamiętam dzień, w którym zabrałam Olivera na mecz baseballowy. Była to jedna z tych niekończących się prób spędzenia z synem szczęśliwych, normalnych chwil podczas nienaturalnie ograniczonych, zbyt rzadkich, sześciogodzinnych wizyt. Na trybunach, mniej więcej w połowie rzędów krzeseł, w zupełnie innym sektorze pośród tysięcy innych fanów baseballu dostrzegłam mężczyznę, który tak jak ja brał udział we wtorkowych mityngach AA. W rękę trzymał piwo i śmiał się w sposób sugerujący, że to nie pierwsze tego dnia. Zalała mnie fala smutku – właściwie przerażenia – ponieważ zaledwie tydzień wcześniej świętowaliśmy trzy lata jego trzeźwości. A skoro on mógł pójść taką drogą, to czemu nie ja?

Wtedy odwróciłam wzrok. Skierowałam go na mojego syna, rzuciłam jakąś uwagę na temat miotacza – uwagę, jaką osoba z pewną wiedzą na temat tego sportu mogła wygłosić do swojego syna w chwili takiej jak ta, kiedy matka pragnie cieszyć się razem z dzieckiem meczem, zapominając o wszystkim innym. Matka, której syn nigdy nie musi oglądać, jak chowa butelki po winie na dnie kosza pod opakowaniami po płatkach, ani jak zakuta w kajdanki jest prowadzona do radiowozu – taka matka, która widuje swoje dziecko każdego wieczoru, a nie tylko przez sześć godzin w dwie soboty w miesiącu. Przez kilka lat jedyne, czego pragnęłam, to być taką właśnie matką.

Tak było dawno temu. Wtedy jeszcze nie znałam Havillandów. Nie znałam Elliota (który, kiedy już go poznałam, zrobiłby wszystko, żeby zabrać mojego syna i mnie na mecz baseballu i być częścią naszej małej, borykającej się z problemami rodziny). Wiele rzeczy miało się dopiero wydarzyć.

A teraz za kierownicą wiekowej hondy civic czekałam na skrzyżowaniu w mało reprezentacyjnej części San Mateo, gdzie startujące lub lądujące na pobliskim lotnisku samoloty latały tak nisko, że czasami odnosiło się wrażenie, iż zerwą ci zaraz dach z samochodu.

Obok mnie zatrzymało się czarne auto – nie radiowóz i nie limuzyna, ale wyglądało jakoś tak oficjalnie. To nie kierowca zwrócił moją uwagę, lecz siedząca z tyłu pasażerka. Patrzyła przez mokrą od deszczu szybę i na chwilę nasze spojrzenia się spotkały.

W ciągu kilku sekund, które minęły, nim czarny samochód zjechał ze skrzyżowania, rozpoznałam ją i moim pierwszym odruchem było, żeby krzyknąć, jak na widok dawno niewidzianego przyjaciela. Na jedną chwilę zalała mnie fala czystego, nieskomplikowanego szczęścia. To była Ava.

A potem sobie przypomniałam. Ava nie jest już moją przyjaciółką. Choć minęło tyle czasu, dziwnie było ją zobaczyć i nawet się do niej nie odezwać. Nie unieść nawet ręki w geście powitania.

Zwalczyłam w sobie ten pierwszy odruch. Zachowałam kamienną twarz. Jeśli mnie rozpoznała (a coś w jej oczach patrzących na mnie przez chwilę wskazywało, że owszem), nie dała tego po sobie poznać.

Bardzo się zmieniła od naszego ostatniego spotkania. Nie tylko dlatego, że była starsza. (Pamiętałam, że Ava skończy niedługo sześćdziesiąt dwa lata). Zawsze była szczupła, ale teraz jej twarz w szybie samochodu wydawała się koszmarnie wychudzona – skóra naciągnięta na kości. Można ją było wziąć za nieboszczyka, którego jeszcze nie pochowano. Albo ducha – właśnie nim teraz dla mnie była.

Dawniej, kiedy rozmawialiśmy ze sobą każdego dnia – zwykle częściej niż raz dziennie – Ava zawsze miała mi milion rzeczy do powiedzenia. Ale chyba najbardziej uwielbiałam w niej to, że z niezmiennym zainteresowaniem słuchała

mnie i moich opowieści.

Zawsze realizowała akurat jakiś niesłychanie ekscytujący projekt. Nie znałam nikogo, kto miałby w sobie tyle zdecydowania i pewności siebie. Kiedy się pojawiała, wiadomo było, że coś się wydarzy. Coś wspaniałego.

Osoba, którą wypatrzyłam tamtego dnia na tylnej kanapie czarnego samochodu, wyglądała jak ktoś, komu już nigdy nie przytrafi się nic dobrego, jak ktoś, czyje życie się skończyło. Ktoś, do kogo to jeszcze nie dotarło.

Jej włosy posiwiały i większość kryła się pod dziwnym czerwonym beretem. Ava, którą znałam, nigdy by takiego nie włożyła. Tego rodzaju nakrycie głowy kupowało się na jarmarku z rękodziełem seniorów; beret wydziergany przez jakąś staruszkę z przędzy poliestrowej, ponieważ kosztowała mniej od wełny. „Poliester – rzekła do mnie kiedyś. – Już sama nazwa sugeruje, że to badziewie, prawda?”

Ale to niezaprzeczalnie była Ava. Z nikim nie dało się jej pomylić. Tyle że nie siedziała już za kierownicą srebrnego mercedesa sprintera. Ta Ava nie była już panią wielkiego domu na Folger Lane z wyłożonym czarnymi płytkami basenem, z egzotycznym ogrodem różanym i pielęgnującym go ogrodnikiem. Gwatemalska gosposia nie odbierała już z pralni jej ubrań i nie wieszała w wielkiej garderobie według kolorów, nie dbała o to, aby piękne buty znajdowały się w oryginalnych pudełkach, a apaszki i podarowana przez Swifta biżuteria leżały na aksamitnych tackach. Kobieta zajmująca tylne siedzenie czarnego samochodu nie obdarowywała już kaszmirowymi szalami i skarpetkami szczęśliwców, których zaliczała do grona przyjaciół, nie częstowała zapiekanką pasterską bezdomnych weteranów z Wietnamu, a kośćmi bezpieczeństwa psów. Wyobrazić sobie Avę bez jej psów? Niemożliwe. A jednak to była prawda.

Ale najbardziej niepojęte ze wszystkiego było to, że Avie nie towarzyszył Swift.

Pamiętałam czas, kiedy rozmawialiśmy ze sobą praktycznie codziennie. Niemal wszystko, co robiłam, inspirowane było tym, co usłyszałam od Avy. Wierzyłam jej bezkrytycznie. A potem nadszedł długi, mroczny okres po tym, jak wykreśliła mnie ze swojego życia, a zdrada ta stała się – obok utraty prawa do opieki nad synem – czymś, co zdefiniowało moje życie. Straciwszy przyjaźń Avy, nie potrafiłam uzmysłwić sobie, jaką osobą mogę być bez niej. Choć Ava zniknęła z mojego świata, skutki naszej znajomości okazały się długofalowe.

Ze zdziwieniem uświadomiłam więc sobie, ujrzawszy Avę przez szybę czekającego na skrzyżowaniu samochodu, że nie myślałam o niej już od kilku tygodni. I zawładnęło mną smutne poczucie straty. Nie chodziło o to, że pragnęłam powrócić do dawnych czasów w domu na Folger Lane. W tamtej chwili żałowałam, że w ogóle się w nim znalazłam.

Dom Havillandów. Zaczę od niego. Ktoś inny teraz w nim mieszka; zlikwidowano podjazd dla wózków inwalidzkich i wycięto kamelie Avy, aby zrobić miejsce na dodatkowe miejsce parkingowe. Zajmuje je obecnie srebrny hybrydowy SUV. Niedawno widziałam, jak wysiada z niego dwoje jasnowłosych dzieci i kobieta wyglądająca na nianię. I choć jest mi smutno podczas tych rzadkich okazji, kiedy tamtędy przejeżdżam, pamiętam także mój każdy raz, kiedy zatrzymywałam się na podjeździe: pewność, że wreszcie dotarłam do miejsca, w którym czuję się jak u siebie. Miejsca, w którym mogłam spokojnie oddychać i gdzie unosił się zapach jaśminu.

Nie mieszkałam w tamtym domu. Ale moje serce owszem. U Havillandów czułam się bezpiecznie, choć po wszystkim, co się wydarzyło, to stwierdzenie zakrawa na ironię. To poczucie bezpieczeństwa stanowi integralną część mojej historii, a powodem, dla którego miało dla mnie takie znaczenie, był fakt, że w ciągu trzydziestu ośmiu lat przed moją pierwszą wizytą na Folger Lane rzadko, o ile w ogóle, miałam szansę go doświadczyć.

Kiedy w tym domu mieszkali jeszcze Ava i Swift, to gdy ona zajeżdżała przed wejście, pierwsze z mercedesa wybiegały zawsze psy – trzy nieokreślonej rasy przygarnięte ze schroniska. („To psy ze schroniska” – informowała każdego, kto jeszcze o tym nie wiedział). Samochód był wyposażony w elektrycznie sterowaną rampę, opuszczającą na ziemię nowoczesny wózek Avy. Kiedy tam przyjeżdżałam, Ava na ogół jechała nim w moją stronę, a wolną rękę – tę, której nie używała do operowania wózkiem – unosiła w geście powitania.

– Mam dla ciebie fantastyczne getry – oświadczała. Albo kubek, albo śliczny, oprawiony w skórę notatnik, albo miód od pszczoł zbierających pyłek wyłącznie z pól lawendy. Zawsze miała dla mnie jakiś mały prezent: sweter w kolorze, w którym nigdy nie chodziłam, a który nagle okazywał się idealnie pasować do mojej karnacji; książkę, co do której uznała, że mi się spodoba, albo wazon, a w nim bukiet groszku pachnącego. Nie zorientowałam się, że zużyły się podeszwy w moich tenisówkach, ale Ava owszem i znając mój rozmiar i ulubioną markę (albo, co było bardziej prawdopodobne, lepszą), kupiła mi nowe. Kto inny kupiłby przyjaciółce buty? A do nich skarpetki w paski? Wiedziała, że mi się spodobają, i miała rację.

Sammy i Lillian (dwa mniejsze kundelki) lizaly mi wtedy kostki, a Rocco (ten problematyczny, który zawsze trzymał się na uboczu, z wyjątkiem sytuacji, kiedy postanawiał cię ugryźć) biegał w kółko, jak to miał w zwyczaju, gdy był podekscytowany, to znaczy zawsze, i machał szaleńczo ogonem. A Ava, kiedy już miała wolną rękę, ujmowała moją dłoń, i razem wparowywałyśmy do domu i ona wołała do Swifta: „Popatrz tylko, kogo przyprowadziłam”, choć on oczywiście to

wiedział.

Kiedy zjawiałam się na Folger Lane, Ava zawsze mnie karmiła, a ja delectowałam się wszystkim, czym mnie częstowała. Gdzieś tymczasem, na przestrzeni lat – nawet tego nie dostrzegając – przestałam czerpać przyjemność z jedzenia. Przestałam czerpać przyjemność z życia albo prawie przestałam. To właśnie odzyskałam dzięki Havillandom. Myślałam o tym za każdym razem, kiedy szłam wyłożoną płytkami ścieżką w stronę otwartych drzwi ich domu, kiedy docierały do mnie wszystkie apetyczne zapachy. Zupa na gazie. Kurczak w piekarniku. W każdym pokoju misa z pływającymi gardeniami. I dochodzący z dworu zapach dymu z palonego przez Swifta kubańskiego cygara.

Potem śmiech. Tubalny, serdeczny śmiech Swifta, głośny niczym godowe wołanie samca ary w dżungli. „Domyślam się, że Helen!” – odkrzykiwał.

Słyszając, jak mężczyzna pokroju Swifta wypowiada moje imię, czułam się ważna. Niewykluczone, że po raz pierwszy w życiu.

Swift już od lat nie jeździł do pracy. Wcześniej zrealizował w Dolinie Krzemowej kilka start-upów – ostatni to aplikacja umożliwiająca podróżującym służbowo zamożnym biznesmenom dokonywanie rezerwacji last minute w restauracjach. Dzięki nim zarobił tyle pieniędzy, że mógł zrezygnować z pracy. Kiedy ich poznałam, on i Ava zajęci byli tworzeniem organizacji o charakterze non profit; nazwali ją HAU, a jej celem statutowym było szukanie domów dla porzuconych psów oraz zdobywanie funduszy na sterylizację i kastrację. Obecnie Swift zarządzał ich fundacją z zadaszonej altany przy basenie, skąd także sprawował nadzór nad rodzinnymi inwestycjami. Dużo dzwonił, stojąc przy wysokim biurku i rozmawiając z potencjalnymi darczyńcami HAU tym swoim tubalnym głosem. Ale gdy tylko wracała Ava, rzucał wszystko i wpadał do domu. I nie mógł oderwać od niej rąk.

– Powiem ci, dlaczego Swift tak dobrze rozumie zwierzęta – rzekła mi Ava na samym początku. – Dlatego, że sam jest zwierzęciem. Ten człowiek żyje dla seksu. Po prostu. Nie potrafi utrzymać rąk z dala ode mnie.

W jej głosie pobrzmiwało wtedy raczej rozbawienie niż irytacja. Mówiąc o Swifcie, często przybierała ten ton, jakby jej mąż był pchłą, która na niej wylądowała, ale taką, którą można bez problemu strząsnąć. Niemniej jednak nie miałam wątpliwości, że go uwielbia.

On z kolei, choć Ava stanowiła centrum jego wszechświata, miał kilka innych obsesji: motocykl Vincent Black Lightning rocznik tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty (kupiony po długich poszukiwaniach dlatego, że Swift uwielbiał tę piosenkę Richarda Thompsona i po prostu musiał go mieć), sponsorowaną przez siebie szkołę dla dzieci ulicy w Nikaragui, prywatne zajęcia qigong[2], lekcje szermierki, naukę chińskiej medycyny i gry na bębnach afrykańskich. Znakiem tych różnorodnych zainteresowań był także niekończący się pochód młodych nauczycieli reiki, speców od energii i instruktorów jogi, którzy zjawiali się w domu Havillandów na sesje indywidualne. Choć mogłoby się wydawać, że to ciało Avy potrzebuje więcej terapii, to kiedy ktoś przychodził – prawie zawsze kobieta, na ogół bardzo ładna, taszcząca matę, stół do masażu albo jakiś trudny do zidentyfikowania sprzęt – okazywało się najczęściej, że ma się zająć Swiftem.

To w domu na Folger Lane wszystko się działo. Swift i Ava mieli jeszcze drugą posiadłość, nad jeziorem Tahoe, do której jeździli raz na jakiś czas, ale nie licząc tego i sporadycznych wyjazdów Swifta w celu promowania fundacji, Havillandowie nie podróżowali. Swift twierdził, że nie mają ochoty rozstawać się ze sobą. Ani z psami, dodawała Ava.

W skład rodziny wchodził jeszcze ukochany syn – jego, nie jej – ale Cooper

studiował w wyższej szkole biznesu na Wschodnim Wybrzeżu, a kiedy się zjawiał w rodzinnych stronach, na ogół zatrzymywał się u swojej matki. Każdy jednak, kto miał okazję bywać w domu na Folger Lane, widział po liczbie zdjęć wiszących na ścianach w bibliotece Swifta (przedstawiających Coopera i jego kolegów z bractwa studenckiego szusujących na nartach w górach Kolumbii Brytyjskiej albo jeżdżącego konno po plaży na Hawajach razem ze swoją dziewczyną Virginią, albo jego i ojca, dierżących ogromne kufle piwa podczas meczu drużyny 49ers), że Swift uwielbia swojego syna.

Dziećmi Avy były psy, tak mi powiedziała. Wydawało mi się wtedy, że być może fakt, iż nie ma własnych dzieci, stanowi powód jej szczodrości w stosunku do kochanych przez siebie ludzi i zwierząt. Oczywiście było, że główni adresaci jej uczuć to psy, ale moja przyjaciółka miała tę niesamowitą umiejętność rozpoznawania, kiedy ocalenia potrzebuje także człowiek.

Nie tylko ja, która zajmowałam u Avy wyjątkową pozycję, ale również osoby jej obce. Jadłyśmy na przykład lunch w jakiejś małej restauracji (to ona mnie, oczywiście, zaprosiła) i Ava wypatrzyła na parkingu mężczyznę grzebiącego w śmieciach. Chwilę później przywołała kelnerkę, wręczyła jej dwadzieścia dolarów i poprosiła, aby zaniosiła nieszczęśnikowi hamburgera z frytkami i piwo korzenne. Jeśli na poboczu stał bezdomny z tabliczką i towarzyszył mu pies, Ava zawsze się zatrzymała, aby dać mu garść organicznych psich przysmaków, które trzymała w dużym pudełku z tyłu samochodu.

Zakumpłowała się z facetem o imieniu Bud pracującym w kwaciarni, do której jeździłyśmy po mnóstwo róż i gardenii. Lubiała mieć je w misie obok łóżka. Potem przez pewien czas nie widywałyśmy Buda i Ava się dowiedziała, że wykryto u niego raka. Tego samego popołudnia wybrała się do szpitala razem z książkami, kwiatami i iPodem z wgranymi ścieżkami dźwiękowymi *Facetów i laleczek* i *Oklahomy!*, ponieważ wiedziała, jak bardzo Bud lubi musicale.

Odwiedziła Buda nie tylko ten jeden raz. Swego czasu mówiłam o Avie, że to najbardziej lojalna przyjaciółka, jaką można mieć. Jeśli ktoś stawał się dla niej potrzebującym pomocy, mógł liczyć na jej nieograniczone wsparcie.

– Nigdy się mnie nie pozbędiesz – oświadczyła mi kiedyś. Jakbym w ogóle tego chciała.

Havillandów poznałam późną jesienią na otwarciu galerii w San Francisco, prezentującej obrazy osób z niepełnosprawnością umysłową. Dorabiałam wtedy w firmie cateringowej. Dwa miesiące wcześniej skończyłam trzydzieści osiem lat, od pięciu byłam rozwódką i gdyby tamtego dnia ktoś mnie poprosił, abym wymieniła jedną dobrą rzecz w moim życiu, miałabym ogromny problem.

Była to impreza, z której dochód wspierał fundację zajmującą się zdrowiem psychicznym. Dziwna impreza. Większość jej uczestników stanowili artyści z różnymi zaburzeniami i ich rodziny, które także sprawiały wrażenie ciut zaburzonych. Był tam mężczyzna w pomarańczowym kombinezonie, który przez cały czas wzrok miał wbity w ziemię, i bardzo niska kobieta uczesana w warkoczyki i z grzywką podpiętą mnóstwem spinek, która bez przerwy mówiła do siebie i co jakiś czas gwizdała. Nic więc dziwnego, że Ava i Swift wyróżniali się w tłumie, choć tak po prawdzie Ava i Swift wyróżnialiby się wszędzie.

Wtedy nie znałam jeszcze ich imion, ale moja przyjaciółka Alice, która pracowała za barem, owszem. Jako pierwszego dostrzegłam Swifta, nie dlatego że był przystojny czy atrakcyjny. Jego fizjonomię można określić mianem pospolitej, ale w tej pospolitości zauważyłam coś fascynującego – coś pierwotnego i dzikiego. Był dość masywnie zbudowany i miał niesforne ciemnobrązowe włosy, które sterczały na wszystkie strony. Do tego ciemną karnację, duże dłonie i dżinsy – świetnie uszyte, porządnej marki, nie z Gapa czy lewisy. Jego dłoń spoczywała na karku Avy w geście, który wydawał się bardziej intymny, niż gdyby Swift dotykał jej piersi.

Nachylał się ku siedzącej żonie i mówił jej coś do ucha. Wcześniej jednak na chwilę znieruchomiał z twarzą zanurzoną w jej włosach, jakby wdychał ich zapach. Nawet gdyby zjawił się tutaj sam, od razu wiedziałabym, że to nie jest mężczyzna, który zwróciłby na mnie uwagę. A potem zaczął się śmiać, a śmiech miał naprawdę donośny; bardziej przypominał odgłos wydawany przez hienę niż przez człowieka. Słysząc go było w całym pomieszczeniu.

Początkowo nie zauważyłam wózka inwalidzkiego. Sądziłam, że Ava po prostu sobie siedzi, ale po chwili tłum się rozstał i zobaczyłam jej nieruchome nogi odziane w spodnie uszyte ze srebrnego jedwabiu i śliczne pantofle, które nie stykały się z podłogą. Nie była klasycznie piękna, ale miała tego rodzaju twarz, na którą zwraca się uwagę: duże oczy, duże usta, a kiedy mówiła, poruszała rękami niczym tancerka; ręce miała długie i szczupłe, a mięśnie wyraźnie zarysowane. Na palcach obu dłoni nosiła duże srebrne pierścionki, a nadgarstek oplatała gruba srebrna bransoleta, wyglądająca jak kajdanki. Gdyby stała, byłaby bardzo wysoka – prawdopodobnie wyższa od swojego męża. Choć siedziała, widać było, że to kobieta wpływowa. Wózek zdawał się pełnić funkcję tronu.

Choć zajęta byłam tego wieczoru roznoszeniem przekąsek, pozwoliłam sobie na chwilę zastanowienia, jak to jest doświadczać tego tłumy z jej pozycji – kiedy na wysokości wzroku znajdują się głównie klatki piersiowe. Nawet jeśli nie czuła się z tym komfortowo, nie dawała tego po sobie poznać. Siedziała wyprostowana niczym królowa.

Uznałam, że jest jakieś piętnaście lat ode mnie starsza i niedawno przekroczyła pięćdziesiątkę. Jej mąż, choć był w świetnej formie, miał gładką twarz i bujną fryzurę, według mnie zbliżał się raczej do sześćdziesiątki. Później okazało się, że miałam rację. Pamiętam, jak pomyślałam wówczas, że kiedy będę starsza, chciałabym wyglądać jak ta kobieta. Mogłam o tym jednak tylko pomarzyć.

Pracowałam wtedy jako fotograf specjalizujący się w portretach, co może i fajnie brzmiało, ale wiązało się z wielogodzinnym staniem za aparatem – w szkołach, centrach handlowych, podczas różnorodnych imprez – i zachęcaniem znudzonych biznesmenów i krnąbrnych dzieciaków, żeby się uśmiechali. Godziny pracy były długie, zarobki niskie. Dlatego dorabiałam jeszcze w firmie cateringowej. Dobra byłam w czytaniu z twarzy i wiedziałam, co można wyczytać z mojej. Nieduże oczy. Nos, który nie jest ani duży, ani mały, ale brak mu wyrazistości. Wagę miałam zawsze w normie, ale nic w moim wyglądzie – dłonie, stopy, włosy – nie było godne zapamiętania. Może dlatego zdarzało się, że niektórzy, choć widzieli mnie po raz kolejny, nie pamiętali, że mieli już okazję mnie poznać. Tym bardziej zaskakujący okazał się fakt, że ze wszystkich osób, z którymi Ava mogła porozmawiać tego wieczoru w galerii, wybrała właśnie mnie.

Krażyłam z tacą z sajonkami i szaszłykami z kurczakiem po tajsku, kiedy oderwała wzrok od eksponatów.

– Gdybyś miała kupić jedno z tych dzieł, wiedząc, że będziesz je widzieć na swojej ścianie codziennie do końca życia, które byś wybrała? – zapytała.

Stałam z tacą w ręce, a mężczyzna z twarzą pozbawioną wyrazu (pewnie cierpiący na autyzm) poczęstował się czwartym albo piątym szaszłykiem, umoczył go w sosie z orzeszków ziemnych, odgryzł spory kęs, po czym ponownie wsadził szaszłyk do sosu. Niektórych pewnie by to odstręczyło, ale nie Avę. Zanurzyła sajonkę w miseczce z sosem zaraz po nim i włożyła całą do ust.

– Trudny wybór – odparłam, rozglądając się po galerii. Wisiał tu portret Lee Harveya Oswalda, namalowany na kawałku drewna, z długim ciągiem słów na samym dole, mającym mniej więcej tyle sensu, co lista zakupów wymieszana ze zdaniem z licealnego podręcznika do chemii. Była rzeźba przedstawiająca różową błyszczącą świnię otoczoną wianuszkiem mniejszych ceramicznych świnek, także jaskrawo różowych; ustawione zostały tak, jakby ją ssaly. Wisiał także cykl autoportretów przysadzistej kobiety w okularach, z ogniście rudymi włosami. Choć namalowane zostały dość prymitywnie, to ich autorkę rozpoznałam od razu, kiedy

się tu zjawiała. Jednak najbardziej podobał mi się, co powiedziałam Avie, obraz przedstawiający chłopca ciągnącego wózek, w którym siedział chłopak z podobnym, ale mniejszym wózkiem i z psem.

– Masz dobre oko – oceniła. – Ten właśnie obraz kupuję.

Skrępowana spuściłam wzrok. Wystarczająco długo ją obserwowałam, aby wiedzieć, że ma niezwykłą fizjonomię: łabędzią szyję, gładką śniadą cerę. Poczułam się w tamtej chwili jak pochwalone przez nauczycielkę dziecko. Dziecko, które nieczęsto ma do czynienia z uznaniem.

– Naturalnie brak mi obiektywizmu – dodała. – Jestem miłośniczką psów.
– Wyciągnęła rękę. – Ava – rzekła, patrząc mi prosto w oczy, co było rzadkością.

Przedstawiłam się i choć rzadko już do tego się przyznawałam, wyjaśniłam, że jestem fotografem. A raczej byłam. Moja specjalność to portrety. Dodałam, że tak naprawdę lubię opowiadać swoimi zdjęciami jakieś historie. Uwielbiałam opowiadać historie, koniec, kropka.

– Kiedy byłam młoda, sądziłam, że czeka mnie przyszłość Imogen Cunningham. Ale teraz zajmuję się tym. – Zaśmiałam się z żalem, pokazując głową na pustą tacę.

– Ta negatywna energia jest zupełnie niepotrzebna – powiedziała Ava. W jej głosie słyhać było życzliwość. Ale i stanowczość. – Nie masz pojęcia, czym się będziesz zajmować za rok. Do tego czasu wszystko może ulec zmianie.

O tym akurat doskonale wiedziałam. I wiedziałam, że w moim przypadku nie zmieni się nic na lepsze. Był czas, kiedy mieszkałam z mężczyzną, którego, jak sądziłam, kocham z wzajemnością, i z czteroletnim chłopcem, dla którego moja codzienna obecność była czymś tak niezbędnym, że pewnego dnia próbował zmusić mnie do złożenia obietnicy, że nigdy nie umrę. („Na pewno szybko to nie nastąpi – powiedziałam. – A kiedy tak się stanie, w twoim życiu będzie już obecna jakaś naprawdę fantastyczna osoba, która będzie cię kochać równie mocno jak ja. I pewnie będziesz miał dzieci. I psa”. Od zawsze pragnął psa, ale Dwight się nie zgadzał).

Dwight wściekał się, kiedy Ollie przychodził do sypialni i włąził do naszego łóżka, mnie to jednak nie przeszkadzało. Teraz sypiałam sama i śnił mi się gorący oddech synka na szyi, obejmująca mnie mała wilgotna rączka, i jego ojciec, burczący po drugiej stronie: „No to dziś nici z seksu, co?”.

Dwight miał wybuchowe usposobienie i im dłużej trwał nasz związek, tym częściej jego złość nakierowana była na mnie. Kiedyś jednak mój mąż, wypatrzywszy mnie na jakiejś zatłoczonej imprezie albo na festynie w szkole naszego syna, uśmiechał się tak samo jak dzisiejszego wieczoru mąż Avy; uśmiechał się, następnie podchodził, dotykał moich pleców albo obejmował mnie i szeptał do ucha, że pora wracać do domu, do łóżka.

Tamte dni bezpowrotnie minęły. Nikt nie zwracał uwagi na kobietę z tacą.

Aż poznałam Avę.

Przyglądała się mojej twarzy z taką uwagą, że aż zrobiło mi się gorąco. Miałam ochotę odejść i zaproponować przekąski innemu gościowi, ale kiedy prowadzi się rozmowę z osobą na wózku, coś takiego wydaje się nie fair. Przez to, że ma się większe pole manewru niż ta osoba.

– Które ze zrobionych przez siebie zdjęć lubisz najbardziej? – zapytała.

– Serię ujęć przedstawiających mojego śpiącego syna, kiedy skończył trzy latka – odparłam bez wahania. – Przez rok co wieczór, gdy zasnął, stawałam nad jego łóżkiem i robiłam zdjęcie. Na każdym wyglądał inaczej.

– Już tego nie robisz?

Zazwyczaj tak się nie zachowuję – nie lubię opowiadać o swoich problemach – ale w Avie było coś takiego, co świadczyło, że rzeczywiście chce poznać odpowiedź, że jej zależy, więc zareagowałam bardzo nietypowo. Mało brakowało, a bym się rozplakała.

– On już ze mną nie mieszka – rzekłam, zasłaniając twarz. – Nie mogę teraz o tym mówić.

– Przykro mi – powiedziała cicho. – No i w dodatku odciągam cię od twojej pracy.

Poprosiła, abym się nachyliła. Nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości. Otarła mi oczy serwetką.

– No proszę – stwierdziła zadowolona. – Znowu piękna.

Wyprostowałam się, zdumiona tym, że ta urocza kobieta nazwała mnie piękną.

Chciała dowiedzieć się czegoś więcej na temat moich zdjęć. Wyjaśniłam, że od roku nie wyjęłam aparatu z pokrowca. Tego, czym zajmowałam się zarobkowo, w ogóle nie traktowałam jako fotografii.

Zapytała także, czy w moim życiu jest obecny jakiś mężczyzna, a kiedy odparłam, że nie, oświadczyła, że musimy temu zaradzić. Powiedziała „my”, jakbyśmy grały już w jednej drużynie.

Tematu Olliego nie zamierzałam poruszać.

– Nie twierdzę, że mężczyzna jest lekiem na całe zło – rzekła. – Ale problemy nie wydają się tak bardzo przytłaczające, jeśli co wieczór kładziesz się spać w ramionach kogoś, kto za tobą szaleje. – Z tonu jej głosu można było wywnioskować, że ona tak ma. – No i jest jeszcze kwestia seksu.

Nieco dalej stał jej mąż. Od Alice wiedziałam, że ma na imię Swift. Pograżony był w rozmowie z ekscentrycznie ubraną kobietą – bez wątplenia jedną z artystek – której szyję otaczało coś, co wyglądało jak folia aluminiowa. Kiwał głową w sposób sugerujący zaangażowanie. I w tej właśnie chwili napotkał spojrzenie Avey, i obdarzył ją szerokim uśmiechem. Idealne białe zęby.

– Za nic nie wolno ci obniżać standardów – oświadczyła. – Czekaj na

prawdziwe uczucie. Jeśli nie masz bzika na punkcie faceta, odpuść go sobie. A jeśli nadejdzie dzień, kiedy związek dobiegnie końca, odejść. Zakładając, że możesz chodzić – dodała ze śmiechem.

Jej słowa sugerowały, że zasługuję na coś niezwykłego i wspaniałego. Niezwykłą i wspaniałą karierę, niezwykłego i wspaniałego partnera i kochanka. Niezwykłe życie. Ale dlaczego?

– Musisz nas odwiedzić – usłyszałam od Avy. – Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Jadąc nazajutrz na Folger Lane – w Portola Valley, zaledwie dwa zjazdy z autostrady od mojego maleńkiego mieszkania w Redwood City – myślałam o słowach Avy. „Musisz mi wszystko opowiedzieć”. W opowiadaniu historii byłam dobra od zawsze, o ile tylko nie dotyczyły mojego życia. Tę akurat historię skrzętnie ukrywałam, a perspektywa wydobycia jej na światło dzienne przed kobietą, która obdarowała mnie tym zaskakującym zaproszeniem, sprawiła, że mało brakowało, a w ogóle bym tam nie pojechała. Zajechawszy starą hondą na miejsce, przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zawrócić i nie puścić wszystkiego w niepamięć.

Nigdy dotąd nie miałam okazji gościć w takim domu. Nie było w nim przepychu, tak jak w domach z kolorowych magazynów. Tutaj widziało się coś radośnie żywołowego: obite miękką białą skórą sofy zarzucone poduszkami w gwatemalskie hafty, kolekcję włoskiego szkła, japońskie sztychy o tematyce erotycznej, wazony pełne peonii i róż, ścianę z afrykańskimi nakryciami głowy, zaskakująco tradycyjny w stylu żyrandol rozsiewający tęczowe zajączki, misy z muszelkami i kamieniami, bęben kongo, kolekcję miniaturowych samochodów wyścigowych, kości do gry. Wszędzie psie zabawki. No i psy.

Te wnętrza tętniły życiem – życiem i ciepłem. A duszą domu z całą pewnością była Ava.

W holu przy wejściu stał niski kredens, a na nim coś precudownego: dwie maleńkie, kościane figurki, leżące na kunsztownie rzeźbionym, ślicznym łożku. Mężczyzna i kobieta, spleceni w uścisku. Choć figurki miały nie więcej niż pięć centymetrów, wykonano je z wielką dbałością o szczegóły. Palcem wskazującym przesunęłam po idealnym łuku pleców kobiety. Mimowolnie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, wydałam długie westchnienie. Ava to oczywiście zauważyła. Nic jej nigdy nie umknęło.

– I znowu się okazuje, że masz dobre oko, Helen – stwierdziła. – To chińskie figurki z dwunastego wieku. W starożytnych Chinach możnowładcy otrzymywali je w prezencie ślubnym jako talizman mający zapewnić szczęście.

Kiedy rozmawiałyśmy, w nogach wózka siedziały Lillian i Sammy. Lillian lizała kostki Avy. Głowa Sammy’ego spoczywała na jej kolanach. Ava poinstruowała wcześniej Estellę, pochodzącą z Gwatemali gospodynię, aby na pół godziny zamknęła Rocco w samochodzie.

– Staje się za bardzo pobudzony – wyjaśniła.

Miał się w tym czasie wyciszyć.

– Nazywam te figurki radosnymi cudzołożnikami, bo wyglądają razem na niezwykle szczęśliwych – rzekła Ava. – Powinnaś więc dotykać ich za każdym razem, kiedy się tu zjawisz.

Za każdym razem, tak powiedziała. Co znaczyło, że to nie jest moja jedyna wizyta w tym domu.

Tamtego pierwszego dnia Estella („moja pomocnica”, tak określiła ją Ava) podała lunch na oszklonej werandzie. Uraczyła nas serem pleśniowym, figami i ciepłym francuskim chlebem, a następnie sałatką z gruszką i cykorią oraz kremem z pieczonej papryki.

– Nie poradziłabym sobie bez Estelli – powiedziała Ava, kiedy gospodyni udała się do kuchni. – To członek rodziny. *Mi corazón*.

Siedząc na wózku naprzeciwko mnie i spoglądając na ogród – słyhać było szmer spływającej po kamieniach wody, odgłosy wydawane przez ptaki i szczęśliwe psy, a z oddali dobiegał śmiech rozmawiającego przez telefon Swifta – Ava nie zapytała, dlaczego osoba, która określa się mianem fotografa, roznosi tace z sajgonkami na otwarciu galerii. Ani co się stało z synem, którego śpiącą twarz fotografowałam swego czasu każdego wieczoru i na wspomnienie którego nie dalej jak wczoraj zebrało mi się na płacz. Kiedy zaproponowała mi kieliszek chardonnay, a ja odparłam, że nie piję, w ogóle tego nie skomentowała.

Przed przyjazdem do Avy bałam się potencjalnych pytań. Ale ona nie wypytywała o przeszłość. Chciała wiedzieć, co dzieje się teraz. Chciała wiedzieć, co musimy zrobić, żebym była szczęśliwa i spełniona. Jako że sama wyglądała na bezgranicznie szczęśliwą i spełnioną, tamtego dnia zdecydowałam, że będę postępować według jej instrukcji.

– Musimy załatwić ci prawdziwe życie – oświadczyła takim tonem, jakbyśmy rozmawiały o zakupie bluzki czy zaawansowanego sprzętu kuchennego ze sklepu Williams-Sonoma.

Niesamowicie spodobało mi się, że Avę bardziej zainteresowało to, kim jestem teraz, niż to, skąd się wywodzę i w jaki sposób się tu znalazłam. Dotyczyło to także jej samej. Raz wspomniała, że dawno temu mieszkała w Ohio, nigdy jednak nie mówiła o rodzicach. Jeśli miała rodzeństwo, nie stanowiło ono części jej obecnego życia. Gdyby nie pochłaniało mnie tak bardzo skrywanie własnej przeszłości, możliwe, że zwróciłabym na to większą uwagę. Avę uwielbiałam za to, że nie musiałam wracać do tego, co było. Mogłam się skupić na przyszłości.

Havillandowie kolekcjonowali mnóstwo rzeczy. Naturalnie sztukę. W swojej kolekcji mieli obrazy Sama Francisa, Diebenkorna, Susan Rothenberg i Erica Fischla (malarzy wcześniej zupełnie mi nieznanych), a także rysunek Matisse’a, który Swift podarował Avie na rocznicę ślubu, i trzy szkice o tematyce erotycznej, wykonane przez Picassa w ostatnich latach jego życia. („Możesz w to uwierzyć? – spytała mnie. – Ten człowiek miał dziewięćdziesiąt lat, kiedy to narysował. Swift mówi, że kiedy jemu stuknie dziewięćdziesiątka, chciałby być taki jak Picasso. Stary, napalony cap”).

Ale na ścianach domu Havillandów wisały nie tylko bezcenne dzieła. Ava

miała słabość do sztuki, nazwijmy ją, z marginesu, przede wszystkim autorstwa ludzi takich jak tamten mężczyzna w restauracji i bezdomni z psami – i oczywiście ja – po których widać, że sporo przeszli. Na honorowym miejscu, zaraz pod Diebenkornem, wisiał obraz namalowany przez tego faceta z autyzmem z galerii, w której się poznałyśmy: kuliste akwarium, a w nim kobieta.

Ava chciała mi pokazać kolekcję niedawno zakupionych fotografii: wykonaną w latach dwudziestych serię czarno-białych portretów paryskich prostytutek. Oświadczyła, że coś w twarzy jednej z nich przypomina jej mnie.

– Jest taka piękna – rzekła, przyglądając się uważnie fotografii. – Ale nie zdaje sobie z tego sprawy. Jest zablokowana.

Wpatrywałam się intensywnie w zdjęcie, próbując odnaleźć w kobiecie podobieństwo do siebie.

– Niektórzy potrzebują w życiu silnej osoby, która ich wesprze i odpowiednio nimi pokieruje – stwierdziła Ava. – Robienie wszystkiego w pojedynkę jest po prostu zbyt trudne.

Nie musiałam nic mówić. Na mojej twarzy malowała się wystarczająco jasna odpowiedź.

– I taka jest moja rola – dodała Ava.

Kiedy Ava poznała Swifta, miała trzydzieści osiem lat – tyle, co ja teraz, co według niej stanowiło dobry znak. Wcześniej nie była mężatką. Nie miała nawet pewności, czy w ogóle chce stawać przed ołtarzem.

– Wtedy na nim nie jeździłam – rzekła, klepiąc podłokietnik wózka. – Dzień przed poznaniem Swifta przebiegłam maraton.

Zapytałabym ją, co się stało, wiedziałam jednak, że gdy będzie gotowa, sama mi powie.

– Wiodłam wspaniałe życie – kontynuowała. – Podróżowałam po całym świecie. Miałam niesamowitych kochanków. Ale kiedy poznałam Swifta, wiedziałam, że to coś zupełnie innego. Otaczało go silne pole. Na tyle silne, że jeszcze nie zdążył wejść do domu, a już wiedziałam, że jest blisko.

Wziął kiedyś ślub z matką swojego syna. Krótco przed poznaniem Avy udało mu się wypłatać z tego nieudanego związku.

– Gdybym ci powiedziała, ile ta kobieta dostała pieniędzy, tobyś nie uwierzyła. Powiem jedynie, że sam dom oszacowano na dwanaście milionów dolarów. Do tego jeszcze alimenty na nią i na dziecko.

Najważniejsze jednak, że Swift odzyskał wolność. A on i Ava odnaleźli się nawzajem. Czy coś takiego dawało się wycenić?

– Dwa tygodnie po naszym poznaniu Swift sprzedał firmę i biuro w Redwood City – kontynuowała swoją opowieść. – Przez sześć kolejnych miesięcy prawie nie wychodziliśmy z łóżka. To było tak intensywne, że aż myślałam, że umrę.

Próbowałam sobie wyobrazić, jak to jest nie opuszczać łóżka przez sześć miesięcy czy choćby tylko przez jeden dzień. Co się robi przez cały ten czas? No a zakupy i pranie, i opłacanie rachunków? Myśląc o tym wszystkim, czułam się taka zwyczajna. Nudna. Zawsze sobie mówiłam, że kochałam Dwighta, i nawet potrafiłam przywołać wspomnienia z czasów, kiedy jedyne, co zdawało się mieć znaczenie, to nasz związek, jednak kobieta, którą tymczasem się stałam, żywiła przekonanie, że nigdy więcej nie odda się namiętności. Sama nie była już pewna, czy w ogóle wie, co to takiego.

– Tuż przed moimi czterdziestymi urodzinami zmierzyliśmy się z pierwszym poważnym testem naszej miłości – ciągnęła Ava, nalewając sobie drugi kieliszek wina, gdy tymczasem ja sięgnęłam po wodę. – Chodziło o dziecko.

Do tamtej chwili wiedziała, że chce zostać matką. Swift uważał, że dziecko nie jest im potrzebne do szczęścia.

– Nie chodziło o to, że sam jest już ojcem – wyjaśniła. – Nie chciał się mną po prostu dzielić. Nie chciał, aby cokolwiek mogło stanąć na drodze tego, co nas łączy. No i generalnie wiedziałam, że ma rację. A potem doszło do wypadku.

Samochodowego, tak mi się wydawało, choć nie miałam pewności, skąd to wiem. Usłyszałam jedynie słowa „uszkodzenie rdzenia kręgowego”, wypowiedziane tonem, który sprawił, że od razu wiedziałam wszystko co trzeba. – Dla Avy oznaczało to koniec poruszania się o własnych siłach i koniec myślenia o dzieciach.

– Od tamtej pory minęło wiele lat. Dwanaście. – Poprawiła srebrną bransoletę na szczupłym nadgarstku, jakby sygnalizowała koniec tematu.

– Nasze życie jest bajeczne. I nie mam na myśli tego domu, rezydencji nad jeziorem Tahoe czy łodzi ani pozostałych rzeczy. – Długą szczupłą ręką wykonała gest w kierunku ogrodu, domku dla gości i basenu. – To wszystko tak naprawdę nie ma znaczenia. – Po chwili dodała: – Zabawne, jak się wszystko układa. Nigdy bym się nie dowiedziała, co może łączyć dwoje ludzi. Jak silna może być ta więź.

Obecnie poświęcała się Swiftowi: kochaniu go i byciu kochaną przez niego. No i oczywiście mieli jeszcze psy.

Zapytała mnie o to, czy w moim życiu obecny jest pies. (Ava nigdy nie używała sformułowania „mieć psa”. Relacja między człowiekiem i psem polegała na wzajemności, nie było mowy o posiadaniu. Większość ludzi nigdy nie doświadczy – ani w przypadku kochanka, ani rodzica czy dziecka – tak bezwarunkowej akceptacji i oddania, jakimi pies obdarza człowieka. Większość, ale nie ona i Swift).

Był tylko jeden problem, jeśli chodzi o kochanie psa i oddanie swojego serca jemu, a nie dziecku.

Psy umierały.

Samo wypowiedzenie na głos tych słów przychodziło Avie z trudem.

„Obiecuj, że nie umrzesz”, błagał mnie kiedyś syn. Cóż, nie mogłam mu tego obiecać. Może i lubiłam opowiadać zmyślane historie, ale nie byłam kłamczuchą.

Tamtego dnia, kiedy siedziałyśmy na patio, a wózek Avy skierowany był w stronę słońca, tak jak lubiła, nie przeszkadzało jej, że to ona przez cały czas mówi.

– Weźmy na przykład Sammy’ego. – Miał jedenaście lat i był najstarszy z trójki. Dzięki trosce Avy o jego dietę i miłości, którą go darzyła (czynnik, o którym nigdy nie powinno się zapominać). – Długo jeszcze pożyje. – Ava zawahała się. – Cóż, kilka lat na pewno. Ale większości ludzi nie dokucza świadomość, że przeżyją swoje dzieci. Gdy tymczasem w przypadku psa... – Nie była w stanie dokończyć tego zdania.

– Oczywiście przyszło nam się już z tym zmierzyć – powiedziała. Przeniosłyśmy się wtedy do jadalni, gdzie pokazała namalowany na zamówienie Swifta portret dwóch psów – boksera i kundelka. Obraz zajmował większą część jednej ze ścian, tej naprzeciwko długiego orzechowego stołu.

– Alice i Atticus – wyjaśniła. – Dwa najlepsze psy na świecie.

Stałam i przyglądałam się obrazowi. Pokiwałam głową.

– Odwiedź mnie niedługo, dobrze? Chętnie obejrzę twoje fotografie. I może zrobiłabyś kilka zdjęć psom. Ja, ty i Swift możemy zjeść razem kolację.

Bardzo mi było miło, że interesowały ją moje zdjęcia. Ale jeszcze bardziej cieszyła mnie świadomość, że Ava ma ochotę znowu się ze mną spotkać... Odsunęłam od siebie pytanie, czemu ktoś tak niezwykle jak ona miałby się ze mną przyjaźnić. Twierdziła, że coś we mnie widzi – coś, co dostrzegła w twarzy tamtej paryskiej prostytutki, którą mi pokazała. Może chodziło po prostu o to, że aż się prosiłam o ratunek, a Ava miała w zwyczaju przygarniać zbłąkanych.

Kiedy byłam małą, a dzieciaki z klasy pewnego razu zapytały mnie o ojca, opowiedziałam im zmyśloną historyjkę. Wyjaśniłam, że jest szpiegiem. Prezydent wysłał go z misją specjalną do Ameryki Południowej. Następnie był członkiem niewielkiej grupy naukowców, którzy pięć kolejnych lat mieli spędzić w klimatyzowanej kapsule na pustyni i przeprowadzać eksperymenty dla dobra ludzkości.

Innym razem – inny rok, inna szkoła – mój ojciec zginął tragicznie: utonął, ratując jeńców wojennych uwięzionych na jednej z wysp Pacyfiku po wojnie w Wietnamie. Zapakował ich wszystkich na tratwę, którą ciągnął sam jeden, trzymając w zębach sznur i pokonując wpływ pełne rekinów wody w okolicach Borneo.

Później, w college'u, byłam po prostu sierotą, jedynym członkiem rodziny ocalałym w katastrofie lotniczej.

Powód, dla którego to wszystko wymyślałam, był prosty. Nawet jeśli zawierały w sobie element tragedii, moje historie okazywały się lepsze – donioślejsze, bardziej interesujące, nacechowane większą głębią i silnymi emocjami, spektakularnym oddaniem i obietnicą wspaniałej przyszłości – niż fakty dotyczące mojego prawdziwego pochodzenia. Wołałam katastrofy albo zniszczenie od prawdy, która była przeraźliwie nudna i jednocześnie smutna: rodzice nieszczególnie się mną interesowali. Od samego początku stało się jasne, że przeszkodziłam im w realizacji planów. O ile w ogóle jakieś mieli.

Gus i Kay (mówiłam do nich po imieniu, bo tak właśnie życzyła sobie moja matka) mieli po siedemnaście lat, kiedy się poznali, a cztery lata później byli już po rozwodzie. Ja skończyłam wtedy trzy lata. Z tamtego okresu nie pamiętam w zasadzie niczego oprócz przyczepy kempingowej z wentylatorem, który chodził przez cały dzień, a i tak było koszmarnie gorąco. I tego, jak Kay podrzucała mnie do żłobka na tyle godzin, że prowadząca go kobieta w jednej z klitek trzymała karton z zapasowymi ubrankami dla mnie. (Podobnie kilka lat później ja trzymałam w kieszeni szczoteczkę do zębów w nadziei, że któraś ze szkolnych koleżanek zaprosi mnie do siebie na noc. Każde miejsce było lepsze od tego, w którym przyszło mi mieszkać).

Pamiętam mnóstwo kanapek z mortadela i batoników musli. Na okrągło włączony telewizor i stację radiową z hitami z lat siedemdziesiątych. Walające się na blacie stare kupony lotto, z których żaden nie okazał się wygrany. Zapach marihuany i rozlanego wina. Sterty książek z biblioteki pod kołdrą na moim łóżku, czyli to, co mnie ratowało.

Gusa znałam na tyle słabo, że nie rozpoznałabym go podczas okazania na policji, gdzie kilka razy zdarzyło mu się wylądować. Odwiedził nas dwa razy: raz,

kiedy miałam trzynaście lat, a jego zwolniono warunkowo (fałszowanie czeków czy coś w tym rodzaju), a drugi raz dwanaście lat później; zadzwonił do mnie ni z tego, ni z owego i oświadczył, że chciałby mnie lepiej poznać. Dałam się na to nabrać, kiedy więc po trzech dniach nie zjawił się, jak obiecał, mocno to przeżyłam. Jeszcze dwa razy pozwoliłam sobie mieć nadzieję, aż w końcu stało się jasne, że w ogóle do mnie nie przyjedzie. (Inni mężczyźni owszem. Przyjeżdżali do Kay, nie do mnie. I żaden nie zostawał na długo).

Kiedy dorastałam, co do jednego miałam pewność: że nie będę taka jak para odpowiedzialna za moje przyjście na świat. Chciałam iść na studia. Chciałam mieć porządną pracę, robić coś, co kocham. Przede wszystkim jednak pragnęłam mieszkać w prawdziwym domu, z rodziną. Kiedy przyjdzie na świat moje dziecko – a wiedziałam, że tak się stanie – będę zupełnie inną matką od tej, która mnie wychowywała. Będę się nim interesować. Myślałam.

Gdy tylko nauczyłam się jeździć na rowerze, zapisałam się do biblioteki. Znajdowały się w niej boksy, w których ze słuchawkami na uszach oglądało się filmy, i tak właśnie spędzałam czas, kiedy nie czytałam. A jak dorobiłyśmy się własnego odtwarzacza, wypożyczałam z biblioteki mnóstwo kaset. Kiedy Kay wychodziła na popijawę albo z jakimś facetem – czyli często – oglądałam te same filmy po kilka razy, najpierw w naszym domu na kółkach, a później w mieszkaniu, które wynajmowałyśmy zaraz obok autostrady w San Leonardo. Teraz czymś oczywistym wydaje się, że moja miłość do filmów wzięła się stąd, że dzięki nim choć na chwilę mogłam się oderwać od niewesołej rzeczywistości. Czasami byłam Candice Bergen, innym razem Cher. Szczególnie uwielbiałam historie o samotniczkach, outsiderkach podpierających ściany, na które zwraca uwagę jakiś wspaniały, dobry, przystojny mężczyzna (oczywiście bogaty), dzięki czemu ich beznadziejne życie zmienia się o sto osiemdziesiąt stopni. Czasami – jeśli do późna oglądałam stare filmy – byłam Shirley MacLaine albo Audrey Hepburn. Nigdy sobą.

Po obejrzeniu *Sabriny* wymyśliłam sobie, że Audrey Hepburn to moja babcia. Wątpię, aby dzieciaki ze szkoły w ogóle wiedziały, kto to taki, ale ich mamy na pewno. Pewnego razu opowiedziałam jednej matce, która przychodziła do naszej klasy jako wolontariuszka, że wakacje spędzam w domu babci w Szwajcarii i że gdy byłam mała, to zabrała mnie raz do Afryki na jeden ze swoich wyjazdów z UNICEF-em. Szybko się nauczyłam, jak dobrze kłamać: należy uzupełniać swoją opowieść jak największą liczbą szczegółów, które słuchaczowi wydadzą się prawdziwe. Ludzie mogą nie wiedzieć, czy Audrey Hepburn ma wnuczkę, ale jeśli wiedzą, że pracuje na rzecz UNICEF-u, nie tak trudno jest im uwierzyć w tę zmyśloną historię.

Zważywszy na to, jak wiele czasu spędzałam w towarzystwie wymyślonej babci Audrey, nie dziwił fakt, że mówiłam z akcentem nieco podobnym do tego,

jaki miała w *Sabrinie* (częściowo francuski, częściowo brytyjski), i nosiłam wyłącznie balerinki. Pewnego razu na miejskim basenie wpadłam na koleżankę z klasy i jej matkę. (Zastanawiałam się, jak zawsze, jak by to było mieć mamę, która chodzi z tobą na basen, smaruje ci plecy kremem i zabiera ze sobą przekąski).

Wyraziła zdziwienie, że nie przebywam w Szwajcarii.

– Lecę tam za tydzień – odparłam. A potem trzymałam się z dala od basenu.

Lata później, kiedy już byłam na studiach (przyznano mi stypendium) i w wiadomościach podano informację, że Audrey Hepburn zmarła na raka, ta sama kobieta przysłała mi liścik z kondolencjami. Odpisałam, dziękując i wyjaśniając, że babcia zostawiła mi sznur pereł, które podarował jej jeden z wielu adoratorów, Gregory Peck. Dodałam, że zawsze będą mieć dla mnie ogromną wartość.

Gdybym miała przyjaciółki, trudniej by było zachowywać iluzję, że moje opowieści są prawdziwe. Ja ich jednak nie miałam i możliwe, że powodem było moje dbanie o to, aby te wszystkie sekrety nie wyszły na jaw. Studenci w kampusie okazali się naprawdę fajni i serdeczni, ale z nikim się nie zżyłam – no bo jak? Bardzo dużo się uczyłam, aby utrzymać wysoką średnią, dzięki której mogłam liczyć na stypendium. Studiowałam sztukę, a jako specjalizację wybrałam fotografię, ale zapisałam się także na warsztaty scenopisarstwa. Co miało sens, skoro przez całe życie wymyślałam różne historie.

Wykładowcą był scenarzysta i reżyser, któremu w latach siedemdziesiątych udało się wyprodukować jeden film, a obecnie w hotelowych salach konferencyjnych prowadził seminaria ze scenopisarstwa. Po zajęciach zaprosił mnie na kawę; twierdził, że zaimponowałam mu wiedzą na temat historii kina. Kawa zmieniła się w kolację, a ta z kolei w długi wypad nad ocean, podczas którego oświadczył mi, że ma dość studiów filmowych i tego, jak się traktuje jego pracę, ma dość płytkich ludzi, którym artysta musi schlebiać, jeśli chce, aby jego filmy trafiły do kin. Poinformował mnie, że jego ostatni projekt jest do dupy. Jego małżeństwo jest do dupy. Hollywood jest do dupy. Że to przyjemna odmiana poznać dziewczynę mojego pokroju, w której drzemie taka pasja do kina, jaką i on kiedyś miał.

Jake zaczął do mnie dzwonić z Los Angeles, wysyłać listy. A ja ani razu nie zadałam sobie pytania, czy lubię tego mężczyznę; zbyt mocno byłam zdumiona faktem, że się mną zainteresował. Oczywiście mi to schlebiało. Pewnego dnia oświadczył:

– Spotkajmy się w Palm Springs.

I kiedy przysłał mi bilet na samolot, poleciałam. Nie przyszło mi do głowy, że mogłabym sama decydować o swoim życiu. Czekałam, aby się przekonać, czego chcą otaczający mnie ludzie, a kiedy ktoś coś proponował, wyrażałam zgodę.

Twierdził, że odszedł od żony. Że moglibyśmy kręcić razem filmy; że będzie moim mentorem. Powiedział, że przyjedzie po mnie do kampusu. Że do dachu

samochodu przymocuje relingi, aby przewieźć wszystkie moje rzeczy (których znowu nie miałam wcale aż tak dużo). I że się zjawi jutro rano.

– Jestem teraz twoją rodziną – oświadczył. – Jediną rodziną, jaka ci będzie kiedykolwiek potrzebna.

Tydzień później zrezygnowałam ze stypendium i porzuciłam pokój w akademiku, aby zamieszkać z Jakiem. Po sześciu miesiącach wrócił do żony. Jako osoba, która opowiadała mnóstwo zmyślonych historii, powinnam była się zorientować, że ktoś inny też tak potrafi. Ale ja mu zaufałam na sto procent, i przez pewien czas po jego odejściu znajdowałam się w szoku. I wierzyłam, że najwyraźniej nie zasłużyłam na miłość tego wspaniałego mężczyzny. Całą winę wzięłam na siebie.

Kiedy byłam z Jakiem, kupił mi aparat marki Nikon i udzielił paru lekcji na temat światła i kompozycji, obiektywów i czasu naświetlania. Aby się jakoś utrzymać, podjęłam się fotografowania sprzętu kempingowego do katalogu. To była praca tymczasowa. Najbardziej zależało mi na tym, żeby nie wracać do mieszkania Kay. Nigdy.

Zważywszy na fakt, że nie miałam pieniędzy, wykształcenia, znajomości – nic poza facetem, który nie odbierał już ode mnie telefonów – perspektywa pracy w branży filmowej wydawała się nierealna. Kiedy tylko udało mi się odłożyć trochę pieniędzy, kupiłam dwa porządne obiektywy i uczyłam się, jak z nich korzystać. Uznałam, że jedno zdjęcie to jedna historia. Okazało się, że jestem w tym dobra i powoli zaczęły napływać zlecenia. Nic nadzwyczajnego, ale zarabiałam wystarczająco, żeby wynająć niewielkie mieszkanie.

W tamtym okresie godzinami szwendałam się po przypadkowo wybranych miejscach i pstrykałam zdjęcia. Podczas jednego z takich spacerów poznałam Dwighta. Pracował jako doradca kredytowy w lokalu obok sklepu z materacami w ciągu sklepów znajdujących się wzdłuż głównej ulicy. Zatrzymałam tam samochód, ponieważ moją uwagę zwróciła młoda kobieta przed tym sklepem. Jedna z takich osób, które zatrudnia się za stawkę minimalną i każe się przebierać w absurdalny strój, przechadzać z sztyldem i nakłaniać przechodniów, by weszli do środka.

Coś mnie poruszyło w tej dziewczynie, przypomniało mi samą siebie. (Pomyślałam, że to mogłabym być ja. Że mogłabym upaść tak nisko). Może chodziło o próbę zwrócenia na siebie uwagi. Której jednak nikt nie zwracał. Wyjęłam aparat.

Wtedy podszedł do mnie Dwight.

– Fajny aparat – zagaił.

Może i nie wykazał się szczególną elokwencją, ale był przystojny i bezpośredni, co przydawało mu się w pracy. Później zorientowałam się, że Dwight traktuje tak każdego, a przynajmniej do czasu, kiedy ten ktoś znajduje się

w zasięgu słuchu. Płacono mu za zjednywanie sobie ludzi i przedstawianie cyferek w najbardziej pozytywnym świetle; prezentował fakty w taki sposób, że później zastanawiałam się, czy to wszystko jest rzeczywiście prawdą. Był jak spiker w radiu. Zawsze przyjacielski, zawsze pełen optymizmu. Przynajmniej pozornie. Bóg raczy wiedzieć, co kryło się głębiej. Kiedy w końcu się tego dowiedziałam, okazało się, że nic dobrego.

Tego pierwszego wieczoru, kiedy Dwight zaprosił mnie na kolację, opowiedział mi o swojej rodzinie w Sacramento – o czterech braciach McCabe i jednej siostrze. Są ze sobą bardzo zżyci. A rodzice nie tylko się nie rozwiedli, ale prawdziwie się kochają. Podczas częstych rodzinnych spotkań grają w kalambury, w piłkę nożną, a w Wigilię obdarowują się prezentami. Mieszkają w tym samym domu, w którym wychowywał się Dwight, a na framudze kuchennych drzwi widnieją wykonane ołówkiem kreski dokumentujące wzrost wszystkich sześciorga dzieci. Byli rodziną z moich snów.

– Powiedziałem o tobie mojej matce – oświadczył mi Dwight kilka dni później, kiedy zadzwonił, żeby znowu się ze mną umówić. – O tym, jak trudne miałaś dzieciństwo. Bez taty i często także bez mamy. Wymogła na mnie obietnicę, że przywiozę cię w niedzielę na obiad.

Twierdził, że jego rodzice od razu mnie pokochają. Że umiem fantastycznie opowiadać. I że jestem taka fajna. No i ładna, dodał. Nikt nigdy tak o mnie nie mówił.

Podczas pierwszego weekendu w Sacramento czułam się taka szczęśliwa, że prawie nic nie mogłam przełknąć – choć pamiętam, że dla kurażu piłam więcej niż zazwyczaj. Matka Dwighta upiekła szynkę i ozdobiła ją plasterkami ananasa. Nie potrafiłam jej powiedzieć, że nie jem mięsa. Tamtego wieczoru zdecydowałam, że koniec z wegetarianizmem.

– Lubisz gotować? – zapytała mnie. Od tamtej pory odpowiedź była twierdząca.

W kolejny weekend Dwight zabrał mnie do należącego do jego rodziny domku w górach. Rozpalił ogień, upiekł nam pstrąga, a potem stało się jasne, że będziemy spać w jednym łóżku.

– Zawsze marzyłem o dziewczynie takiej jak ty – oświadczył.

To znaczy o jakiej? – chciałam zapytać. Bez względu na to, co miał na myśli, ja będę właśnie taką dziewczyną. I możliwe, że to moja chęć przystosowania się do każdej sytuacji, w której się znalazłam, sprawiała, że wydawałam mu się partnerką idealną. Ale to akurat zrozumiałam dopiero później.

Nie miałam przyjaciółki, ale właścicielce firmy, dla której robiłam zdjęcia urządzeń elektronicznych, powiedziałam, że poznałam mężczyznę, którego pragnę poślubić.

– A więc się zakochałaś? – zapytała.

Odparłam, że tak. Nawet teraz nie mam do końca pewności, czy tak rzeczywiście było. Już w dzieciństwie nauczyłam się nie oczekiwać zbyt wiele i pozwalać, aby moim życiem kierowała osoba, która akurat stanie na mojej drodze i będzie sprawiała wrażenie, że lepiej niż ja wie, co robi. Fakt, że życzliwy, przystojny, pozornie zrównoważony mężczyzna okazał mi przychylność, wystarczył, abym ją odwzajemniła. Nikt nigdy się mną jakoś szczególnie nie interesował – ani matka, ani ojciec, a Jake tylko przez krótki czas. Dla Dwighta okazałam się osobą godną jego uwagi i być może nawet wartą miłości. Byłam bezgranicznie wdzięczna nie tylko za uczucie, którym obdarza mnie ten szczęśliwy i wyjątkowo normalny mężczyzna, zwykły mawiać: „Wszystko jest w porządku”, lecz także za całą jego rodzinę, która od razu wzięła mnie pod swoje skrzydła.

Sześć miesięcy po tym, jak Dwight i ja zaczęliśmy się spotykać, okazało się, że jestem w ciąży. Bycie matką – posiadanie kogoś, kto zawsze będzie obecny w moim życiu, członka własnej rodziny, którego będę zabierać na fantastyczne obiady w gronie McCabe’ów w Sacramento, dziecka, którego wzrost będzie zaznaczany na drzwiach w kuchni obok pozostałych – to najlepsze, co mogłam sobie wymarzyć. Nie zastanowiłam się nad faktem, że podobnie jak w przypadku tylu innych ważnych wydarzeń w moim życiu, nie był to wybór, którego dokonałam sama, tylko coś, na co po prostu pozwoliłam.

Byłam w ósmym miesiącu ciąży, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam, jak mój mąż traci panowanie nad sobą. Jakiś czas wcześniej zrezygnowałam z pracy. Jechaliśmy autostradą do Los Angeles na ślub jego kuzyna, kiedy wjechał w nas inny samochód. Twarz Dwighta pociemniała i przez chwilę siedział w bezruchu, ale ja wiedziałam, że na coś się zanosí. Wysiadł z auta i zaczął wrzeszczeć na kierowcę, jak się okazało, kobietę. Wyzywał ją od idiotek i kopał w drzwi samochodu. Kim był człowiek, którego poślubiłam?

Nauczyłam się rozpoznawać symptomy. Kiedy Dwight był zmęczony albo zestresowany – czyli często – wyzywał się na osobie, którą miał akurat pod ręką. Na ogół tą osobą byłam ja. Wystarczyło, że stłukłam kufel drużyny 49ers albo zapomniałam kupić masła orzechowego. Kiedy Dwight wpadał w ten stan, zachowywał się jak pijany.

Ale mieliśmy dziecko. Uznałam, że to wystarczy. Kiedy urodził się Ollie, pięć miesięcy po kameralnym ślubie w Sacramento, w którym udział wzięli niemal wyłącznie krewni Dwighta, doszłam do wniosku, że nie oczekuję od życia więcej niż to, bym mogła być matką tego dziecka i częścią tej rodziny. Moja teściowa wpisała sobie do notesu datę moich urodzin („bo teraz jesteś McCabe”, tak mi powiedziała). Całą stronę poświęciła na informacje takie jak rozmiar ubrań czy ulubiony kolor – najpewniej po to, aby w przyszłości móc mnie obdarowywać trafionymi prezentami. Ja też zapisałam sobie datę jej urodzin i mówiłam na nią mamó, co wcale nie było trudne, gdyż do tej pory nikogo tak nie nazywałam, nawet

kobiety, która mnie urodziła.

Kiedy Ollie skończył pół roku, Dwight dostał w pracy awans, a ja ochoczo opiekowałam się dzieckiem, robiąc naszemu synowi niekończącą się ilość zdjęć w każdej sytuacji. (Spacer. Kąpiel. Zabawa na podłodze. Zmiana pieluszki. Kolejny spacer. Kolejna zmiana pieluszki. Kolejna zabawa). Zwyczajność życia dawała mi mnóstwo radości. Inni pewnie nie uznaliby tego za szczególnie frapujące, ale ja się przekonałam, że jestem w czymś naprawdę dobra. Tym czymś była rola matki mojego syna.

Zdażyłam się już nauczyć, w jaki sposób unikać wybuchów złości męża albo zagłuszać je kieliszkiem wina. Dziwne, ale kiedy Dwight nie był zagniewany, czułam większy niepokój niż wtedy, kiedy się na mnie wydierał, no bo kiedy się złościł, wyrażane przez niego uczucia były przynajmniej prawdziwe. Najbardziej samotna czułam się wtedy, kiedy mój mąż znajdował się w trybie wyluzowanego sprzedawcy. Słuchałam, jak rozmawia przez telefon z klientem albo z jednym z braci z Sacramento, i o dreszcze przyprawiała mnie świadomość, że ton jego głosu w ogóle nie ulega zmianie. Nawet kiedy przekazywał jakiejś parze informację, że ich wniosek o kredyt został odrzucony, z jego głosu nie znikał optymizm. („Znajdziemy państwu inną ofertę – mówił. – Wszystko świetnie”). Identycznie zachowywał się w stosunku do mnie. I rodziców. Nawet naszego syna.

Kiedy drukowałam zdjęcia, które zrobiłam podczas odwiedzin u jego rodziny, uderzyło mnie, że na każdym mój mąż ma identyczną minę. Po powrocie z pracy wszystko, co do mnie mówił, brzmiało jak tekst zasłyszany w telewizji. Moje małżeństwo zaczęło się psuć. W gruncie rzeczy nie znałam człowieka, którego poślubiłam. A on nie znał mnie. Wątpię, aby w ogóle miał ochotę mnie poznać.

Ale ja zakochałam się bez pamięci w naszym synu. Nie potrafiłam sobie wyobrazić tego, że nie jesteśmy razem.

Możliwe, że narodziny Olliego uświadomiły mi – po raz pierwszy w życiu – czym jest prawdziwa miłość. Zdałam sobie sprawę, że tak naprawdę zakochałam się nie w tym mężczyźnie, lecz w wizji życia, które miał mi zapewnić związek z nim, i że za rozpad naszego małżeństwa ponoszę taką samą odpowiedzialność jak Dwight. Jeśli zastanowić się dłużej nad tą kwestią, niewiele nas łączyło, o ile cokolwiek. Byłam po prostu dobra w robieniu zdjęć.

Miałam trzydzieści cztery lata – nasz syn dwa – kiedy pewnego dnia Dwight wrócił z pracy i oświadczył, że musi mi coś powiedzieć. Zakochał się w kobiecie poznanej w pracy. Twierdził, że źle się z tym czuje, ale że on i Cheri to bratnie dusze. Nawet kiedy to mówił, zachowywał się z pozbawioną emocji przewidywalnością: jak spiker w telewizji donoszący o trzęsieniu ziemi albo pogodynka prognozująca deszcze na nadchodzący wakacyjny weekend.

– Szkoda, że tak się to potoczyło – stwierdził – ale jest, jak jest. Zdarza się.

– Dwight zniknął z mojego życia równie szybko, jak się w nim pojawił. Swoje odejście, którego sygnałów ostrzegawczych nie dostrzegłam, musiał zaplanować wcześniej, ponieważ z wywiezieniem rzeczy uwiął się w jeden weekend.

Kiedy się wyprowadził, nie miałam już żadnych złudzeń co do naszego małżeństwa. Prawdopodobnie jednak większego szoku doznałam, gdy przekonałam się, jak zmiana obiektu uczuć Dwighta wpłynęła na moje relacje z jego rodziną. To znaczy także z moją, gdyż tak zaczęłam ich postrzegać. Okazało się jednak, że nie są żadną moją rodziną. Jakże łatwo dałam się podejść, jaka byłam beznadziejna w demaskowaniu oszustów.

Kiedy Dwight poinformował mnie, że odchodzi, zadzwoniłam do jego matki, sądząc, że może przekona syna, aby dał naszemu małżeństwu jeszcze jedną szansę. Choćby dla dobra Olliego. Liczyłam, że jakoś mnie pocieszy.

– Przykro mi, że ci to mówię, Helen – oświadczyła teściowa – ale od pewnego czasu widzieliśmy wszyscy, na co się zanosi. Nie można sprawiać, że mąż czuje się jak nieudacznik, a potem oczekiwać, że nie zwróci uwagi na osobę, która zaczyna go traktować, jakby był kimś wyjątkowym. Nic dziwnego, że łatwo wpadał w złość.

Skończyły się zaproszenia na rodzinne obiady. Ollie odwiedzał krewnych, ale tylko w towarzystwie ojca.

Moja matka, Kay, zdażyła ponownie wyjść za mąż i mieszkała na Florydzie razem z mężczyzną o imieniu Freddie, który pierwszego drinka robił sobie o jedenastej i nie przestawał pić przez cały dzień, dzięki czemu prawdopodobnie łatwiej sobie wybaczała własną słabość do ginu z tonikiem. Na początku, kiedy Ollie się urodził, Boże Narodzenie wolałam spędzać z rodziną męża, zamiast narażać nas na zakrapiane alkoholem wieczory i kaca. Jednak po odejściu Dwighta wybrałam się do Daytona Beach, aby spędzić u niej wakacje, w nadziei że może w końcu, po tylu latach, staniemy się sobie bliskie. Zabrałam nawet swoje zdjęcia, licząc na to, że zainteresują Kay. Przejrzała fotografie w moim portfolio tak, jakby siedziała akurat w salonie piękności i kartkowała „People”. Prawdopodobnie nawet z mniejszym zaciekawieniem. Mój syn, który zawsze marzył o psie, większość czasu spędzał na zabawach z należącym do mojej matki shih tzu.

Drugiego dnia wróciłam ze sklepu i przekonałam się, że Kay, już po trzecim albo i czwartym drinku, ogląda film Quentina Tarantino, a obok niej na sofie siedzi mój syn i tuli do siebie swój kocyk.

Kiedy jej powiedziałam, że nie chcę, aby Ollie oglądał tego rodzaju filmy, oświadczyła:

– Wiesz, gdzie są drzwi.

Możliwe, że w grę wchodziła rodzinna spuścizna. Jeśli rzeczywiście tak było, trudno ją określić mianem pozytywnej.

Dawno temu przekonałam się, że dzięki alkoholowi jestem w stanie się zrelaksować i choć przez chwilę czuć całkiem dobrze. Ale na poważnie zaczęłam pić dopiero podczas długiej chłodnej zimy po tym, gdy mój mąż powiedział mi o Cheri, a następnie się wyprowadził.

Zawsze czekałam, aż Ollie pójdzie spać, i na początku pozwalałam sobie tylko na jeden kieliszek. Nie upijałam się, ale podobał mi się sposób, w jaki wino odbierało mojemu dniu wyrazistość, to, jak ciut nieostre stawało się wszystko po wypiciu odrobiny cabernet. Czułam się bardziej wyluzowana, mniej niespokojna, a jeśli nawet alkoholowi nie udawało się wymazać smutku, stawał się on bardziej zamazany, a towarzyszący mi ból był raczej uporczywym pulsowaniem niż ostrym kluciem. Popychało mnie to ku drugiemu kieliszкови, a nalanie trzeciego okazywało się dziecinnie proste. Bywały wieczory, że wypijałam całą butelkę.

Często zasypiałam na kanapie z kieliszkiem na podłodze. Po przebudzeniu dokuczał mi ból głowy, choć nauczyłam się go minimalizować, łykając tylenol przed snem.

Nie piłam w ciągu dnia. Nigdy, kiedy Ollie nie spał. W przeciwieństwie do mojej matki zamierzałam dopilnować, aby mój syn nie miał wątpliwości, że to on jest najważniejszy w moim życiu, i przede wszystkim pragnęłam, aby przebywając ze mną, czuł się bezpieczny.

Mieszkaliśmy tylko we dwoje i posiłki jadalśmy przed telewizorem – oglądaliśmy nie tylko produkcje Disneya i kreskówki, ale także filmy z Charliem Chaplinem i Flipem i Flapem, których Ollie uwielbiał – albo na podłodze na kocu piknikowym. Stół w jadalni zawalony był artykułami papierniczymi i materiałami do robienia eksperymentów, stertami książek z biblioteki i kostiumami, które robiliśmy z ubrań wyszperanych w sklepach Goodwill. Czasami wybieraliśmy się na wyprawy połączone z sesjami fotograficznymi – nie w miejsca oczywiste, takie jak zoo czy plaża, ale na złomowisko, do skateparku, szkółki leśnej czy jego ulubionego sklepu zoologicznego, gdzie oglądaliśmy szczenięta i wybieraliśmy jednego, którego byśmy kupili, gdyby administracja w naszym bloku zezwalała na trzymanie zwierząt. Podczas weekendów razem gotowaliśmy – makaron albo tacos czy pizzę. A jeśli mieliśmy ochotę, robiliśmy wielką miskę popcornu z masłem i nazywaliśmy to obiadem. Leżeliśmy pod kocem na moim łóżku, a ja Olliemu czytałam – głównie fantastykę albo nasze ulubione wiersze Shela Silversteina – a jeśli zasnął, pozwalałam mu zostać u siebie.

Początkowo piłam jedynie podczas tych kiepskich wieczorów – jeśli Kay akurat zadzwoniła z Florydy albo zepsuł się samochód i naprawa wyczyściła mi

konto. Tego wieczoru, kiedy dowiedziałam się od naszego syna, że żona jego ojca, Cheri, jest w ciąży, butelka wina wręcz mnie do siebie przywoływała.

Dokończyłam czytać Olliemu, zgaśliam światło, następnie z górnej półki w kredensie zdjęłam butelkę. Ściągając folię i obracając korkociąg, wyczuwałam już ciepłą, dającą ukojenie mgłę, która otuli moje ciało po pierwszym kieliszku. Pod nieobecność mężczyzny moim kompanem zostało wino.

Kilka miesięcy przed piątymi urodzinami Olliego wydarzyła się katastrofa. To był jeden z tych wieczorów – coraz częstszych – kiedy opróżniłam całą butelkę. Kimałam na sofie, ale głosu syna nie mogłam nie usłyszeć. Wołał mnie.

Leżał w łóżku, trzymał się za prawy bok i jęczał. Wino czy nie wino, wiedziałam, jak to jest z zapaleniem wyrostka. Trzeba go wyciąć. Zaniósłam synka do samochodu i umieściłam razem z kocem na siedzeniu obok mnie. Przypięłam pasami.

Od szpitala dzieliło nas zaledwie kilka minut, kiedy zobaczyłam migające niebieskie światło. Moja pierwsza myśl: przekroczyłam dozwoloną prędkość. Kiedy policjant zobaczy Olliego i dowie się, dokąd jedziemy, okaże się wyrozumiały.

Ale policjant chciał, żebym wysiadła z samochodu.

– Chcę zobaczyć, jak idzie pani prosto – oświadczył.

– Muszę zawieźć syna do szpitala – odparłam. – Ma zapalenie wyrostka robaczkowego.

– Nigdzie go pani nie zawiezie. Jeśli chłopak jest chory, dzwonię po karetkę.

Kazał mi liczyć do tyłu od stu. Zbliżył palec do mojej twarzy i powiedział, żebym śledziła jego ruchy samymi oczami. Słyszałam, jak siedzący na przednim fotelu Ollie wołał mnie i jęczy.

Po kilku minutach przyjechała karetka. Ja w tym czasie już stałam zakuta w kajdanki. Choć czułam się z tym potwornie, gorsza była świadomość, że mój syn cierpi, a ja nie mogę mu towarzyszyć. Choć Ollie skręcał się z bólu, widział, jak policjant zaciska kajdanki na moich nadgarstkach.

Znał policjantów z filmów, w których na ogół było tak, że zatrzymywani przez nich ludzie zrobili coś okropnego.

– Moja mama nie jest zła – zawołał. Trzymał się za brzuch i płakał coraz głośniejszym głosem nie tylko z bólu.

Ostatnie, co zobaczyłam, kiedy wpychano mnie na tylne siedzenie radiowozu, to Ollie leżący na noszach: wniesiono je do karetki i zatrzaśnięto drzwi. W drodze na komendę policjant kazał mi podać numer telefonu do ojca mojego syna.

A więc to Dwight był w szpitalu podczas operacji i później, kiedy nasz syn wybudził się z narkozy. Jego matka, moja była teściowa, zadzwoniła do mnie po wszystkim.

– Dziękuję Bogu, że czuwał nad Oliverem, Helen – oświadczyła. – Dlatego że ty z pewnością tego nie robiłaś.

Cztery dni później – kiedy Ollie był już w domu, a ja czekałam, aż uprawomocni się wyrok zawieszający mi prawo jazdy – przyszło pismo od prawnika informujące, że mój były mąż zamierza ubiegać się o przyznanie prawa do wyłącznej opieki nad naszym synem. Dowodził, iż matka jest do tego niezdolna.

Do zbadania sprawy ustanowiono kuratora, co oznaczało, że Ollie był wielokrotnie przepytywany. Choć nie było mnie na to stać, wynajęłam prawnika, zadłużając się na ponad trzydzieści tysięcy dolarów. Specjalnie na rozprawę kupiłam garsonkę – najbardziej konserwatywny strój, jaki udało mi się znaleźć w komisie. Dwight zjawił się w asyście moich byłych teściów i połowy tuzina innych krewnych, z którymi swego czasu grywałam w kalambury, a także Cheri w zaawansowanej ciąży. Przywitawszy się ze mną przed salą rozpraw, mój prawnik orzekł, że jest pełen optymizmu. Jako że to moje pierwsze wykroczenie, sędzia powinien wyrazić zgodę na to, aby Ollie nadal mieszkał ze mną, a z ojcem spotykał się podczas weekendów.

Tamtego dnia na sali rozpraw było strasznie gorąco. Czułam, jak cała się pocę pod marynarką, a w brzuch wbija mi się gumka od rajstop. Nie kupowałam ich od tylu lat, że oczywiście wybrałam niewłaściwy rozmiar. Głos zabrał najpierw jeden prawnik, potem drugi. Niełatwo mi było się skupić. Próbowałam udawać, że jestem fotografem sądowym, wyobrażałam sobie, że znalazłam się tutaj, aby robić zdjęcia zgromadzonemu, jakbym przysłała tu służbowo, jakby całe moje życie jako matki nie balansowało właśnie na linie.

Potem głos zabrała kuratorka. W sporządzonym przez siebie raporcie stwierdziła, że choć mój były mąż wyraził chęć wychowywania Olliego, odnosiła wrażenie, że na prawie do opieki zależy tak naprawdę nie jemu, a jego rodzicom. Oliver twierdził, że ojciec często na niego krzyczy, a kiedy przebywa na polu golfowym, macocha pozwala chłopcu przez cały dzień grać w gry komputerowe. Kuratorka oświadczyła, że największa więź łączy Olivera ze mną. Następnie orzekła, że gdybym zobowiązała się regularnie uczestniczyć w spotkaniach AA i chodzić na terapię, ona sama nie ma wątpliwości, że potrafiłabym być odpowiedzialnym rodzicem. Wnioskowała o to, aby nasz syn mieszkał nadal ze mną, jako swym głównym opiekunem, a ojciec Olivera miał prawo do regularnych odwiedzin.

Potem głos zabrał sędzia i od chwili, kiedy zaczął mówić, wiedziałam, że mam przechlapane.

– Możliwe, że to prawda, iż matka chce dla swojego syna tego, co najlepsze – oświadczył. – Mogę mieć tylko taką nadzieję. Ale swoim dotychczasowym zachowaniem dostatecznie jasno dała do zrozumienia, że kontrolę nad nią sprawuje uzależnienie od alkoholu. Naraziła na niebezpieczeństwo życie syna. I nie jedynie

jego, ale i innych uczestników ruchu drogowego.

Następnie wygłosił mowę na temat pijanych kierowców, uzupełniając ją statystykami. Choć byłam zupełnie trzeźwa – od tamtego wieczoru, kiedy mnie aresztowano, nie wzięłam alkoholu do ust – miałam wrażenie, że sala wiruje.

– W tym przypadku wyjdę z tradycyjnej sędziowskiej roli – powiedział, patrząc prosto na mnie – i przytoczę historię z własnego życia. Cztery lata temu kobietę, która przez trzydzieści cztery lata była moją żoną, zabił pijany kierowca.

Spojrzałam na swojego prawnika. Czy to nie ten moment, kiedy powinien wstać i zgłosić sprzeciw? Najwyraźniej nie.

– Długo zastanawiałem się – kontynuował sędzia – czy to nie powód, by mnie wykluczyć z tej sprawy, ale ostatecznie uznałem, że wprost przeciwnie. Doświadczone przeze mnie konsekwencje zabójstwa drogowego oraz fakt, że ta oto matka, stojąca dzisiaj przed sądem, mogła odebrać życie jednej albo i wielu osobom tamtego wieczoru, kiedy siadła za kierownicą pod wpływem alkoholu, pomagają mi w wydaniu sprawiedliwego wyroku.

Mówił i mówił, ale miałam problem z przyswojeniem wszystkich jego słów. Zrozumiałam tylko to, co powiedział na końcu:

– Nie mogę pozwolić, aby matka, która naraża życie syna na niebezpieczeństwo, pozostała jego prawnym opiekunem, dlatego przyznaję prawo do wyłącznej opieki ojcu i jego nowej żonie, którzy w przeciwieństwie do matki są w stanie zapewnić synowi bezpieczny i stabilny dom.

Poczułam wtedy, jak ściany napierają na mnie ze wszystkich stron, a moje płuca walczą o oddech. Prawniki dotknęli mojego ramienia. Gdzieś na drugim końcu sali usłyszałam znajomy głos mówiący: „Chwała ci, Panie” i uświadomiłam sobie, że to moja była teściowa. Ani ona, ani żaden inny członek rodziny Dwighta nie odezwali się do mnie tamtego dnia, kiedy opuszczaliśmy salę sądową. Ani tamtego dnia, ani nigdy więcej.

Przyznano mi prawo do odwiedzin w weekendy, uzależnionych od zgody byłego męża. Bez wozenia samochodem. Bez zabierania na noc. Musiałam się zapisać na specjalne zajęcia dla rodziców. Terapię zalecono mi i mojemu synowi, który doświadczył traumy, jaką jest życie z rodzicem uzależnionym od alkoholu.

Kiedy sędzia skończył mówić i zarządził przerwę, położyłam głowę na stole. Nie miałam ochoty podnosić wzroku i widzieć uśmiešku Cheri, która siedziała niczym madonna obejmująca dłońmi brzuch, ani wyrazu żalu na twarzy prawnika, biorącego się nie tyle z troski o mnie, co ze świadomości, że trochę czasu może minąć, nim uda mi się spłacić jego honorarium.

Prawo jazdy zdążyłam już stracić; zawieszono je na osiemnaście miesięcy. To oznaczało, że straciłam także pracę. Aby dostać się do Walnut Creek na spotkanie z Olliem, musiałam jechać autobusem albo kolejką – ewentualnie

taksówką – albo znaleźć kogoś, kto mnie zawiezie.

Mityngi AA – w których brałam regularny udział dzięki życzliwości innych członków grupy, którzy po mnie przyjeżdżali – uświadomiły mi, jaką walkę toczy ze sobą większość ludzi, którym kiedyś alkohol pomagał przetrwać wieczory, albo i dni. Dla mnie decyzja o rzuceniu picia i wytrwanie w trzeźwości okazały się zaskakująco proste. Wyrzeczenie się wina było niczym w porównaniu z inną stratą, tą prawdziwą. Stratą syna.

Poza mityngami AA starałam się nie rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Ale tamtego popołudnia na werandzie Havillandów na Folger Lane, kiedy Ava siedziała na wózku naprzeciwko mnie, ze stojącej na stole misy z ciętego szkła wydobywał się zapach gardenii, a jeden z psów lizał mi stopę, coś we mnie pękło. Wcale tego nie planowałam. Zanim jednak sobie poszłam – słońce nisko nad horyzontem, Ava wciskająca mi słoik z domową zupą i sweter, w którym twierdziła, że nigdy nie chodzi, a którego kolor pasuje do mnie idealnie, i przypominająca, że w piątek spotykamy się na kolacji w pewnej włoskiej restauracji uwielbianej przez nią i Swifta – wszystko jej opowiedziałam. O swoim dzieciństwie. O małżeństwie. Utracie syna. Krótkich, krępujących wizytach w domu jego ojca i o tym, że ostatnio Ollie wydaje się coraz bardziej powściągliwy i chłodny.

– W tej chwili nawet nie myślę o innym związku – wyznałam Avie. – Zależy mi jedynie na odzyskaniu syna. Wiem, że muszę wynająć prawnika, ale nie spłaciłam jeszcze poprzedniego.

– Będzie lepiej, zobaczysz – odparła. – Kiedy biorę się za rozwiązywanie jakiegoś problemu, nic nie jest mnie w stanie powstrzymać.

Tamtego dnia pozbyłam się wszystkich barier. Ava okazała się wspaniałym słuchaczem.

Opowiedziałam jej o dniu, w którym mój syn wyprowadził się z naszego mieszkania. Podczas pakowania jego rzeczy nie chciałam, aby Ollie widział moje łzy, ale kiedy zjawił się po niego Dwight – witając się z naszym synem w typowym dla siebie stylu gospodarza teleturnieju – wiedziałam, że nie uda mi się ukryć przed nim, jak bardzo jestem zrozpaczona.

– Niedługo się zobaczymy – rzekłam do Olliego, kiedy stałam na chodniku obok samochodu eksmeża. Jakby niczym szczególnym był fakt, że w bagażniku znajdują się kartony z ubraniami mojego syna, klockami lego i jego kolekcją kamieni. Ollie siedział sztywno na tylnej kanapie, trzymając na kolanach klatkę z chomikiem (jedyne ustępstwo ze strony ojca: mógł zabrać Buddy’ego), z głową odwróconą w sposób, który mi mówił, że ssie kciuk.

Nakazem sądu mogłam widywać się z nim przez sześć godzin w co drugą sobotę, co zależało od zgody jego ojca i mojej trzeźwości. Jednak nawet gdybym miała prawo jazdy, nie było możliwe, abym przywiozła Olliego na tych kilka godzin do swojego mieszkania, a przed kolacją odwiozła do Walnut Creek, bo przecież nie mógł zostawać u mnie na noc. Ollie – chłopiec, który wcześniej sypiał wtulony we mnie przez całą noc, z pasmem moich włosów nawiniętym na palec – stał się osobą, którą widuję raz na jakiś czas, o ile jego ojciec nie ma nic przeciwko.

Na początku, kiedy odwiedzałam go u Dwighta w Walnut Creek, Ollie rzucał mi się w ramiona i błagał, abym zabrała go do domu, jednak ostatnio prawie w ogóle się do mnie nie odzywał.

Ledwo pamiętam tamten okres po stracie Olliego. Przeprowadziłam się do mniejszego mieszkania w Redwood City – bardzo ciemnego, w szemranej okolicy, ale tańszego i usytuowanego bliżej środków komunikacji miejskiej. Co wieczór brałam udział w mityngach AA, przyjeżdżał po mnie sponsor ze wspólnoty. Robiłam na drutach swetry dla syna, w których najpewniej nigdy nie chodził. Robiłam zdjęcia portretowe dzieciom innych ludzi. Do pracy jeździłam autobusem, czasem taksówką. Oglądałam w telewizji głupie programy: *Idola*, *Ekspedycję Robinson*, *Osbourne'ów*. Często chodziłam do kina.

Miałam jedną przyjaciółkę. Alice poznałam podczas prywatnej imprezy, gdzie zatrudniono mnie do pomocy – dorabiałam tak zaraz po rozwodzie, kiedy Ollie jeszcze ze mną mieszkał. Podczas weekendów, które spędzał z ojcem, pracowałam dla firmy cateringowej, żeby zarobić na nasze wspólne wakacje: chciałam zabrać Olliego do Montany na nizinę zamieszkaną swego czasu przez dinozaury, jej zdjęcia oglądaliśmy w „National Geographic”.

Alice była kilka lat ode mnie starsza, także rozwiedziona (od tak dawna, że – jak twierdziła – zdążyła zapomnieć, jak wyglądał jej mąż, i jej pochwę porastał zapewne mech. Taki właśnie styl bycia miała Alice).

Jej córka Becca studiowała i rzadko kiedy przyjeżdżała do domu. Obecność córki w życiu Alice przybierała głównie formę pojawiających się co miesiąc w skrzynce pocztowej słonych rachunków za kartę kredytową, którą płaciła za buty, wizyty u kosmetyczki i weekendowe wypady z przyjaciółkami, gdy tymczasem Alice wynajmowała w swoim domu pokój emerytowanemu nauczycielowi (zero perspektyw na romans) i oszczędzała, gotując w wolnowarze jedną potrawkę, która przy odpowiednio dużym dodatku ryżu wystarczała na większą część tygodnia.

Dawniej, zanim straciłam prawo do opieki nad synem, moja przyjaciółka przychodziła do nas na wieczory z pizzą i we troje graliśmy w Monopol albo gry pamięciowe, albo mościliśmy się wśród poduszek na sofie i oglądaliśmy stare filmy, albo próbowaliśmy naśladować ruchy Michaela Jacksona z teledysku do *Thrillera*. Kiedy Ollie nie mieszkał już ze mną, Alice i ja przynajmniej raz w tygodniu chodziłyśmy do kina w te dni, kiedy nie pracowałyśmy na jakiejś imprezie, a mnie udało się wziąć udział w mityngu AA w ciągu dnia. Kupowałyśmy dużą porcję popcornu – z masłem – i paczkę rodzynek w czekoladzie dla Alice. Jakiś czas temu postawiła kreskę na facetach i w ogóle już nie dbała o formę. Była grubokoścista i nie interesowały jej ćwiczenia ani piesze wycieczki, a w ciągu sześciu lat naszej znajomości ubrania w rozmiarze czterdzieści cztery zamieniła chyba na rozmiar pięćdziesiąt.

– Mam się głodzić po to tylko, aby jakiś idiota z fiutem miał mnie ochotę pomacać? – pytała. – To ja już wolę jeść sobie maselko.

Należała do tego rodzaju przyjaciółek, w towarzystwie których nie robi się niczego szczególnie ekscytującego. Miała w sobie jakąś hardość i surowość, ale była zabawna i wiedziałam, że ma dobre serce. Mogłam jej zaufać. Po filmie chodiliśmy do baru niedaleko kina – ona kupowała kieliszek wina, ja wodę sodową i tak sobie sączyliśmy przez dwie godziny. Pewnego razu do naszego stolika podeszło dwóch mężczyzn i zapytało, czy mogą się dosiąść. Żaden z nich nie był godny zapamiętania, ale nie wyglądali także na kompletnych nieudaczników, i gdyby to zależało ode mnie, zgodziłabym się. Alice jednak pokręciła głową.

– No więc, dziewczęta – rzekł jeden z nich, nie rejestrując odmowy. – Co wy na to, żebyśmy wam postawili po drinku?

Ja może i bym pozwoliła, ale nie Alice.

– A może kupiłbyś sobie za tę kasę płyn do płukania ust? – odparowała.

No i nasi zalotnicy dali sobie spokój. Prawdopodobnie nie spodziewali się, że dwie kobiety pokroju Alice i mnie – które trudno uznać za niezłe kąski – okażą się tak wybredne. Ale to właśnie uwielbiałam w Alice: że w przeciwieństwie do tylu singielek, które znałam, nigdy nie wystawiłaby przyjaciółki tylko dlatego, że zapowiadało się coś bardziej obiecującego niż wspólny wieczór w kinie. Co nie znaczy, aby przed którąkolwiek z nas rysowała się taka możliwość, ale wiedziałam, że tak by właśnie postąpiła.

Przed Avą Alice i ja prawie co rano dzwoniłyśmy do siebie, pijąc przy tym kawę. W większość wieczorów także. Ponieważ rozmawiałyśmy ze sobą codziennie, rzadko miałyśmy do przekazania jakąś ważną nowinę, ale dzięki tym telefonom czułyśmy się mniej samotne.

– Zastanawiam się nad wymianą żaluzji – mówiła na przykład. Czy według mnie poziome żaluzje są okropne?

W tamtym okresie bez końca analizowałam to całe bagno z prawem do opieki nad Olliem – po raz enty opisywałam Alice tamten dzień na sali rozpraw, żalując, że nie miałam lepszego prawnika, żalując, że nie dano mi szansy. W celu uzyskania porady prawnej wybrałam się do siedziby organizacji wspierającej kobiety w San Mateo, nie potrafiono mi jednak pomóc, a inny prawnik, z którym się skonsultowałam, od razu zażyczył sobie honorarium w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów.

Teraz, kiedy jeździłam do Olliego, najczęściej siedział w swoim pokoju przy komputerze. Dwighta na ogół nie było: grał w golfa albo brał udział w dniach otwartych firm deweloperskich i rozdawał wizytówki potencjalnym klientom. Wiedziałam, jak to się odbywa. Ollie mi mówił, że kiedy tata wraca do domu, marudzi, jeśli na podłodze leżą jakieś zabawki. Dwight lubi porządek. To także

wiedziałam. I znałam gniew, którym wybuchął, jeśli coś nie szło po jego myśli.

– Drań – mawiała o nim Alice. Nic nie wynikało z naszych rozmów na ten temat, ale dobrze mieć świadomość, że ktoś jest po twojej stronie.

Staralam się rozmawiać z przyjaciółką nie tylko o utracie syna, choć ten temat interesował mnie oczywiście najbardziej. Mówiłam o tym, że zapisałam się do dentysty, a ona mi opowiadała o planach córki na wyjazd do Meksyku podczas ferii wiosennych.

Były to tematy, które się porusza ze swoim partnerem, jeśli się go ma. Zwykle codzienne sprawy. (Choć później, kiedy poznałam Havillandów, nie potrafiłam wyobrazić sobie Avy rozmawiającej w taki sposób ze Swiftem albo Swifta z Avą, i fakt ten uświadomił mi, jak zwyczajne i bezbarwne jest moje życie). Ale choć nasze rozmowy były takie, a nie inne, Alice pozostawała w tamtym trudnym okresie czymś niezawodnym i stałym. I mogłam liczyć na jej lojalność – sama o sobie mówiła, że jest wierna jak pies. W czasach, kiedy myślałam o Olliem i o tym, że czasami mam wrażenie, że mój syn w ogóle mnie już nie zna, to właśnie Alice była osobą, do której dzwoniłam.

Po tym, jak Ollie się przeprowadził do Walnut Creek, schowałam wszystkie rzeczy, które przypominały mi o tym, co razem robiliśmy: taboret, na którym stawał, żeby pracować obok mnie przy blacie w kuchni, tablicę do pisania kredą, artykuły papiernicze, które wcześniej leżały na stole, pelerynę Spidermana. Bez niego nie istniał powód, dla którego miałabym posiadać akwarium, z literek z magnesami układać zabawne powiedzonka na lodówce czy puszczać uwielbianą przez niego muzykę retro, do której tańczyliśmy razem w kuchni. Kiedy zepsuł się odtwarzacz płyt CD, nie kupiłam nowego.

Miałam stary cyfrowy aparat fotograficzny, którego pozwalałam mu używać. Pewnego dnia popełniłam błąd i obejrzałam zdjęcia – zdjęcia, które Ollie zrobił chomikowi i swojemu dawnemu pokojowi. Sfotografował także tort, który razem upiekliśmy, a on udekorował go lukrem w każdym możliwym kolorze. Nigdy więcej nie wzięłam do ręki tamtego aparatu.

Znając stanowisko ojca na temat zwierząt w domu – że bałaganią, a weterynarz nie jest tani – Ollie dał sobie spokój z proszeniem o szczeniaka. Miał chomika, Buddy’ego, ale to nie to samo. Nie mówiąc o psie-robocie, który podarowała mu macocha ze słowami, że zabawka posiada wszystkie dobre cechy psa, a te złe są wyeliminowane. Jedyne, co trzeba zrobić, to raz na jakiś czas kupić nowe baterie.

Sprzęt elektroniczny odgrywał kluczową rolę w życiu mojego syna. Za każdym razem, kiedy dzwoniłam do domu Dwighta, aby porozmawiać z Olliem, ten pochłonięty był akurat jakąś grą komputerową. A co poza komputerem? Głównie wydarzenia związane ze szkołą. Martwiło mnie, że nie licząc tego oraz sporadycznych przyjęć urodzinowych, Ollie nie spotyka się z rówieśnikami.

– Cheri nie lubi, jak przychodzą do nas inne dzieci – powiedział mi kiedyś. – Mówi, że za bardzo hałasujemy i budzimy małego. – Czyli Jareda, przyrodniego brata Olliego, który przyszedł na świat krótko po tym, gdy Dwight uzyskał prawo do opieki nad naszym synem. Mimo młodego wieku Ollie od razu wyczuł, które dziecko znajduje się u jego macochy na pierwszym miejscu. – Mówi do mnie takim głosem jak ta dobra czarownica z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* – wyjaśnił. A potem wydał dźwięk przypominający śmiech. Ale tylko przypominający.

Dochodziła jeszcze kwestia krewnych z Sacramento – dziadków i tych wszystkich wujków, ciotek i kuzynów, wśród których ktoś zawsze miał urodziny albo uroczystość z okazji ukończenia szkoły, albo przyjęcie z okazji narodzin dziecka, wyprawiane niezmiennie w sobotę. Jak miałam powiedzieć mojemu synowi, że nie może wziąć w nich udziału? Co mogłam mu w zamian oferować?

Jeździłam do Walnut Creek, kiedy tylko dałam radę. Rankiem w co drugą sobotę, o ile Ollie był wolny, zawoziła mnie Alice. Zabierałam go do parku,

a potem na meksykańskie jedzenie albo pizzę. Alice czasem do nas dołączała, a czasem czekała w samochodzie i czytała książkę.

Tak po prawdzie to Ollie nieszczęśliwie długo miał ochotę przebywać w parku. Robił się już za duży na drabinki na placu zabaw. Czasami chodziliśmy na kręgle, ale na ogół trafiał bilą do rynny, co strasznie go frustrowało.

– Wolę grać w PlayStation – oświadczył. Akurat niedawno dostał tę nową grę NASCAR.

Najbardziej brakowało mi nielimitowanego czasu spędzanego z synem, posiłków spożywanych nie tylko w restauracjach, wspólnego nicnierobienia. Tęskniłam za zwyczajnym życiem: wylegiwaniem się na kanapie, siedzeniem na schodach i wspólnym czytaniem, wyprawą do supermarketu, naszymi sesjami fotograficznymi, kupowaniem tramppek, zerkaniem w lusterko wsteczne i dostrzeganiem jego twarzy. Stałam się kręgielnianą matką, kobietą, która zna na pamięć menu z TGI Friday[3]. To nie ja prałam rzeczy mojego syna i nie ja wycierałam go po kąpieli. Pewnego dnia, kiedy zabrałam go na basen (korzystając z wyciętego z gazety kuponu do Holiday Inn) i chciałam pozwolić mu się przebrać, dotarło do mnie, że już od ponad roku nie widziałam jego małego nagiego ciała. Ale Ollie mnie odepchnął.

– Chcę zostać sam – rzekł.

Wiedziałałam, że ojciec często na niego krzyczy, ale Ollie o tym nie mówił. Zresztą niewiele opowiadał o tym, co się dzieje w jego życiu. O braku przyjaciół. O niemowlęciu, które zdawało się absorbować całą uwagę macochy. Kiedy miał pięć lat – po rozwodzie, ale zanim go utraciłam – niedzielne poranki spędzaliśmy na wspólnym robieniu zdjęć, ale odkąd się przeprowadził do domu ojca, nie chciał już tego robić. Ani niczego innego. Wraz z mijającymi miesiącami – potem całym rokiem, a potem kolejnym – miałam coraz bardziej dojmujące wrażenie, że Ollie znajduje się w małej łódce, a ja stoję na brzegu i obserwuję, jak dryfuje w stronę otwartego morza. Coraz dalej ode mnie i dalej.

Pewnego dnia, krótko po tym, jak odzyskałam prawo jazdy, podjechałam pod dom i rozpoznałam własnego syna, dopiero kiedy podszedł do samochodu. Wydawał się niespokojny i przybity, jak obecnie niemal zawsze, a kiedy mnie dostrzegł, wyraz jego twarzy nie uległ zmianie. Ojciec i macocha kupili mu nowe ubrania, takie, których ja nigdy bym nie wybrała – koszulki z napisami w rodzaju MAŁY AWANTURNIK czy (ewidentnie od mojej byłej teściowej) MOJA BABCIA BYŁA W LAS VEGAS I JEDYNE, CO MI PRZYWIOZŁA, TO TEN GŁUPI T-SHIRT, i jeszcze jedną, która sugerowała, że zaczął uczęszczać do Wakacyjnej Szkołki Biblijnej. Obcięto mu włosy „od garnka”, a wokół uszu miał szeroki pas wygolonej skóry. Z jakiegoś powodu właśnie to mnie tak bardzo poruszyło – delikatna, różowa skóra, przez co uszy Olliego wyglądały na jeszcze większe niż zazwyczaj. Mój syn wydawał się taki mały i bezbronny. Obnażony.

– Podoba ci się? – zapytał.

W ogóle już mi się nie zwierzał, ale po tonie jego głosu wiedziałam, że źle się czuje z tym, jak wygląda. I wcale mu się nie dziwiłam.

– Odrośną – odparłam.

Choć odzyskałam już prawo jazdy, nigdy nie zabrałam Olliego do siebie – do nowego, ciemnego mieszkania w Redwood City. Czas przeznaczony na odwiedzinę był zbyt krótki, a nawet gdybyśmy się jakoś zorganizowali, mój syn nie miał po prostu ochoty. Wiedziałam, że jest na mnie wściekły za to, że doprowadziłam do całej tej beznadziejnej sytuacji, i za to, że nie jestem w stanie jej naprawić.

Był teraz zupełnie innym chłopcem. W jego oczach dostrzegałam nieufność, do tego od niedawna unikał mojego spojrzenia. Czasami, kiedy jedliśmy akurat w jednej z sieciówek, Ollie patrzył na mnie z ukosa spod tych swoich długich, dziewczęcych rzęs. I przypominało mi się, że identycznie zachowywał się podczas naszych beznadziejnych wyjazdów na Florydę. Byłam dla niego kimś obcym. Nawet gorzej: traktował mnie podejrzliwie.

W tamtym czasie pracowałam już jako fotograf dla firmy wykonującej szkolne portrety dzieci, rodzice kupowali je w pakietach dla krewnych (jedno duże, dwa mniejsze i tuzin zdjęć legitymacyjnych). Praca w tej branży nauczyła mnie, że rodzice kupują te pakiety kierowani dziwnym połączeniem wyrzutów sumienia i sceptycyzmu, ponieważ ich dziecko mogłoby się czuć niekochane, gdyby wszyscy inni rodzice wypełnili formularz zamówienia i wpłacili pieniądze, a oni nie, i ponieważ niewysłanie czeku wydawało się niemal przynosić pecha. Moja firma usuwała nieopłacone zdjęcia. A kto chciał mieć świadomość, że fotografia z uśmiechniętą buzią ich dziecka – niedawno obcięta grzywka, przyglądzone sterczące kosmyki, być może brakujące przednie zęby – ląduje w koszu laptopa?

Robienie zdjęć trzystu dzieciakom dziennie dla firmy Radosne Portrety – w czasach, kiedy dopisywało mi szczęście i w ogóle miałam pracę – nie było moim celem, kiedy zaczęłam interesować się fotografią. Ale wisiałam prawnikowi trzydzieści cztery tysiące dolarów, do tego kilka tysięcy długu na karcie kredytowej, nie wspominając o szalenie wysokiej składce za ubezpieczenie samochodu. Bardzo potrzebowałam pieniędzy, choć to nie był jedyny powód, dla którego tak dużo wtedy pracowałam. Dla mnie nie było niczego trudniejszego i bardziej smutnego niż przebywanie sam na sam z własnymi myślami, niż czas na zastanawianie się nad tym, jak poplątane stało się moje życie, jak wiele dzieli mnie od marzeń z młodości. Imiałam się każdej pracy, jaką tylko udało mi się znaleźć.

Za sąsiadów miałam z jednej strony młodą parę z trzylatkiem i kilkumiesięcznymi bliźniakami, z drugiej Gerry'ego, starszego pana, który przez cały dzień i większą część nocy oglądał telewizję. Gerry lubił kanał Fox News

i czasem przemawiał do ekranu. Bywało, że czytałam sobie albo próbowałam rozmawiać przez telefon z synem, i nagle słyszałam, jak woła: „Cholerni liberałowie! Wszystkich wystrzelać, takie jest moje zdanie”. Potem bywało, że odzywały się bliźnięta albo ich matka, Carol, zaczynała płakać, a chwilę później słyszałam trzaśnięcie drzwi, co znaczyło, że jej mąż, Victor, wyraźnie miał dość. Potem kolejne łzy Carol. I znowu Gerry: „Będą mieli nauczkę!”.

Zresztą prowadzenie telefonicznej rozmowy z Olliem i tak zawsze było trudne. Kiedy próbowałam nakłonić go, żeby mi opowiedział, jak mu minął dzień, co się działo w szkole, z kim się przyjaźni albo co przygotowuje w ramach projektu na przyrodę, jego głos brzmiał bezbarwnie. Kiedy zadawałam mu jakieś pytanie, odpowiadał monosylabami i wyczuwałam jego zniecierpliwienie. W tle słyszałam dziecko Dwighta i Cheri albo telewizję. Czasami wiedziałam, że podczas naszej rozmowy siedzi przy komputerze – zdradzały go odgłosy walki superbohaterów z potworami.

- W co grasz?
- W nic.
- Czego cię ostatnio nauczył pan Rettstand?
- Byle czego.
- Tak bardzo za tobą tęsknię, Ollie.

Cisza. Bez względu na to, co czuł, w jego słowniku nie było odpowiednich słów.

Wtedy znowu rozległ się płacz bliźniąt u sąsiadów albo słowotok Glenna Becka czy Rusha Limbaugha.

Dawniej, przed orzeczeniem sądu, Ollie uznałby pewnie tę całą wrzawę za zabawną. Leżelibyśmy na sofie i oglądalibyśmy Flipa i Flapa, a kiedy Gerry wrzasnąłby w odpowiedzi na coś, co zobaczył w telewizji, po prostu byśmy się śmiali. A potem Ollie udawałby, że jest Gerrym, wymachiwałby pięścią w stronę telewizora i wołał: – To ich nauczy, Rush!

Teraz, podczas wieczorów, które spędzałam w domu sama, kiedy mój mały i ciemny salon wypełniały głosy sąsiadów – płacz dzieci, krzyki zagniewanego staruszka, zapach zamówionego na wynos pieczonego kurczaka – po prostu siedziałam, chłonąc wszystko. Chodziłam na wiele mityngów, ale nigdy nie zostawałam na podwieczorek. Prawie co wieczór dzwoniłam do Alice, co nie znaczy, abym jej miała wiele do opowiedzenia. Zajmowałam się edycją zdjęć z danego dnia, a potem kładłam się wcześniej spać.

Zważywszy na to, jak w tamtym okresie fatalnie układało się w moim życiu, o znalezieniu sobie faceta myślałam bez większego entuzjazmu. Tak naprawdę zależało mi jedynie na tym, aby wytrwać w trzeźwości i odzyskać syna. Na moje życie towarzyskie składały się głównie mityngi AA. Kiedy więc zarejestrowałam się na portalu Match.com, chodziło mi raczej o rozrywkę niż cokolwiek innego.

Wymagało to oczywiście stworzenia własnego profilu. Przygotowałam dwie wersje swojej historii, w tym jedną efektowną i zmyśloną (zawsze byłam w tym dobra), ostatecznie jednak wybrałam prawdę – pomijając jazdę pod wpływem i kwestię prawa do opieki nad dzieckiem. W rubryce „hobby” wpisałam fotografię i jazdę na rowerze, choć od ponad roku robiłam zdjęcia wyłącznie dzieciom innych ludzi, a na rowerze zbierał się kurz. Podałam swój prawdziwy wiek i wspomniałam, że mam dziecko, choć jeśli nie podziałałoby to odstraszająco i jakiś mężczyzna zdecydował się doczytać resztę informacji, dowiedziałaby się, że syn ze mną nie mieszka. Jako zdjęcie profilowe nie wybrałam – jak wiele innych osób – fotki z czasów, kiedy miałam dwadzieścia parę lat, ani zdjęcia w eleganckiej sukience koktajlowej czy w obcisłych dżinsach i z zalotnym spojrzeniem. Zrobiłam je sobie sama, umieściłam aparat na statywie w aneksie kuchennym, we fluorescencyjnym świetle, i włączyłam samowyzwalacz.

Do kiepskiego autoportretu postanowiłam dołączyć kilka innych zdjęć, które zrobiłam dawno temu podczas spacerów w towarzystwie Olliego, przedstawiały moje ulubione miejsca: Russian River, Marin Headlands, Half Moon Bay. Wybrałam także zdjęcie zrobione kiedyś przez mojego byłego męża, na którym ja i Ollie siedzimy razem w taniej restauracji w Point Reyes po długim spacerze w rezerwacie łosi. Umieściłam je dlatego, że na zdjęciach zazwyczaj jestem poważna, a na tym akurat się śmiałam.

Mój profil (nick Migawka) wydawał się taki nudny, że trudno mi było sobie wyobrazić, aby kogokolwiek zainteresował. Zamieściłam go jednak i nieoczekiwanie dałam się temu wszystkiemu wciągnąć. I teraz wieczory, o ile nie byłam w kinie z Alice, na mityngu albo firma cateringowa nie miała dla mnie zlecenia, spędzałam on-line, przeglądając wiadomości na Match.com.

Rezultaty rzadko okazywały się obiecujące. Mimo to nie przestawałam klikać w profile i napływające codziennie odpowiedzi.

Boczek: „Na zdjęciu wyglądasz na fajną osobę. Szukam sympatycznej, życzliwej kobiety, która lubi łowić ryby i muzykę gospel. Moja postura jest, jak to się mówi, misiowata, ale przy wsparciu odpowiedniej dziewczyny planuję zapisać się do Strażników Wagi”.

Tantra4U: „Wyznaję taką filozofię, że ludzi nie powinno się ograniczać w zdobywaniu doświadczeń ani przywiązywać do jednej osoby. Szukam związku

otwartego, bez ograniczeń, które nakłada na nas społeczeństwo, nie dopuszczając do prezentowania pełnej tożsamości seksualnej. A Ty?”

Dziedzio_z_werwą: „Niech nie zniechęci Cię mój wiek”. (Autor tej wiadomości wyznał, że ma siedemdziesiąt cztery lata). „Mam w sobie jeszcze mnóstwo werwy, a do tego szufladę pełną farmaceutyków”.

Większość wiadomości pozostawiałam bez odpowiedzi, czasem jednak – ku coraz większemu niezadowoleniu Alice – odpisywałam jakiemuś facetowi, co skutkowało najczęściej rozmową przez telefon. Na ogół już po sześćdziesięciu sekundach wiedziałam, że mój rozmówca jest mężczyzną nie dla mnie, ale nie zawsze łatwo przychodziło mi zakończyć rozmowę. Czasami decydowałam się na szczerłość: „Nie pasujemy do siebie”. Raz, kiedy tak zrobiłam, otrzymałam odpowiedź długą na trzy strony. Jego wyzwiska nie powinny mnie być dotknąć, zważywszy na fakt, że nawet się nie poznaliśmy, ale mnie z równowagi potrafiły wyprowadzić nawet słowa nieznanego.

„Modliszkowata cipo – tak napisał (facet miał nick Poszukiwacz-Tęczy). – Znam takie jak ty. Nikt nigdy nie jest dla ciebie wystarczająco dobry. Wcześniej nie zamierzałem o tym wspominać, ale zgubienie kilku kilogramów dobrze by ci zrobiło, kotku. Nie mówiąc o tym, że nie należysz już do młódek. A tak w ogóle to o co chodzi z tym twoim dzieciakiem? Co za matka nie mieszka z własnym dzieckiem?”

Zdarzało się, że piszący do mnie mężczyźni pojawiali się w moich snach. Ale nie tylko oni – także były żony, o których tak dużo mówili, choć od rozvodu minęło wiele lat. I dochodziłam do wniosku, że zamiast nich wolę chyba żony. Wyobrażałam sobie, co mój eksmąż – mieszkający w Walnut Creek z drugą żoną i ich małym synkiem – powiedziałby o mnie, gdyby zarejestrował się na takim portalu. Albo co mówi o mnie Cheri. Czy nawet Olliemu.

„Ciągnie ją do kieliszka. To smutne, jak nałóg potrafi zniszczyć życie. No ale oczywiście pochodzi z dysfunkcyjnej rodziny. Gdybyście poznali jej matkę, zrozumielibyście, dlaczego jest taka, a nie inna”.

Miał rację. Oprócz Olliego nie miałam ani jednego krewnego, którego bym rzeczywiście kochała. Kiedy wyszłam za Dwighta, na krótko pozwoliłam sobie uwierzyć, że jestem częścią wielkiej szczęśliwej rodziny. Potem ta rodzina zniknęła, zabierając ze sobą moje dziecko. Nie licząc jednej przyjaciółki, byłam na tym świecie zupełnie sama.

Tak właśnie się czułam, kiedy poznałam Havillandów.

Dwa dni po tym, jak w galerii poznałam Avę, zadzwoniła Alice.

– Kim była ta kobieta, z którą rozmawiałeś, ta na wózku? – zapytała.

– Ava jest kolekcjonerką dzieł sztuki – odparłam. – Zaprosiła mnie do siebie, żeby mi pokazać swoją kolekcję.

– I pojedziesz do niej?

Nie przyznałam się, że już to zrobiłam.

– Ma oryginały tych słynnych zdjęć prostytutek – dodałam zamiast tego.

– Według niej przypominam jej jedną z nich.

– Super.

– Chciała się dowiedzieć więcej na temat moich zdjęć.

– Tych upośledzonych też zaprosiła? – spytała Alice. W jej głosie pobrzmiwało rozgoryczenie. Dawniej mnie to nie raziło, teraz owszem. Miałam wrażenie, że jest jakby zazdrosna.

– Opóźnionych w rozwoju, nie upośledzonych – poprawiłam ją. – Ale nie.

– Cóż, no to możesz się poczuć wyróżniona.

– Pewnie zrobiło jej się mnie po prostu żal – rzekłam. – Prawdopodobnie więcej się ze mną nie skontaktuje. – Wiedziałam jednak, że będzie inaczej. Od razu po powrocie do domu wpisałam sobie notkę w kalendarzu, co nie znaczy, że miałabym o tym zapomnieć. Kolacja w Vinny's ze Swiftem i Avą, w najbliższy piątek. No proszę, okłamywałam Alice.

– Wydawało mi się, że miałyśmy się wczoraj spotkać. – Nie powiedziała nic więcej, ale wtedy dotarło do mnie, że zapomniałam. Planowałyśmy wybrać się na nowy film braci Coenów.

– O nie – jęknęłam. – W pracy mam istne urwanie głowy. Jak tylko się trochę zluzuje, zadzwonię i umówimy się na inny dzień.

– Jasne – rzuciła Alice, ale ton jej głosu świadczył, że nie łyknęła tej wymówki. Moja praca była nudna, ale nigdy nie musiałam ślęczeć nad nią po godzinach. – To daj znać, kiedy znajdziesz czas.

Ale nie dałam. A następnym razem, kiedy Alice zapytała, czy pójdziemy do kina, odparłam, że jestem zajęta. Ava i Swift zdążyli mnie zaprosić na kolację do innej restauracji. Tym razem śródziemnomorskiej. Kiedy kolejny raz zaproponowała, żebyśmy wyskoczyły na film, odmówiłam. Co prawda Havillandowie nigdzie mnie nie zaprosili, ale miałam nadzieję, że zaproszą. A to wystarczyło.

– Widzę, że jesteś teraz rozrywana – rzuciła Alice.

– Przydałoby się zrobić coś z twoją garderobą – oświadczyła Ava.

Był sobotni poranek i przyjechałam na Folger Lane, żeby popracować nad projektem fotograficznym. Estella zdążyła mi już nalać smoothie i postawiła przede mną talerzyk z marchewkową muffinką, jeszcze ciepłą. Swift wybierał się na zajęcia qigong.

– Nie pozwól, żeby ciosała ci kołki na głowie – zawołał do mnie. – Mnie tam się podobają twoje spodnie.

Nawet kiedy nigdzie się nie wybierała, Ava zawsze ubrana była w coś interesującego. Tamtego dnia miała na sobie bluzkę z ręcznie malowanego jedwabiu i lniane spodnie, a do tego srebrny naszyjnik, którego wcześniej u niej nie widziałam, i kolczyki do kompletu.

– Włożyłam je dlatego, że są wygodne – wyjaśniłam. Mój strój stanowił wypłowiały T-shirt i powyciągane spodnie od dresu.

– Nieważne, czy jedyne, co robisz, to roznoszenie tac z przekąskami czy choćby mycie toalet – stwierdziła Ava. Nie znaczy to, by sama się czymś takim zajmowała. – Człowiek po prostu lepiej się czuje, kiedy jest ubrany w coś wspaniałego.

– W ogóle nie myślę już o ciuchach – odparłam. Nie było to do końca prawdą. Uwielbiałam ładne ubrania. Tyle że nie miałam takowych w swojej szafie.

– To kwestia cenienia samej siebie, Helen. I pozwalania, aby świat wiedział, że taka właśnie jesteś.

Choć bywałam w tym domu już wielokrotnie, do tej pory zawsze przebywałyśmy na parterze. Teraz Ava zabrała mnie swoją specjalną windą na górę.

– Pora, abyś odwiedziła moją garderobę – oznajmiła.

W tej garderobie zmieściłoby się całe moje mieszkanie. Na jednej ścianie na półkach stały buty. (Nieważne, że ich podeszwy nigdy się nie stykały z ziemią). Było tam chyba ze sto par, poustawianych – z całą pewnością przez Estellę – według kolorów. A na podłodze rząd wykonanych na zamówienie kowbojek. Kolejną ścianę zajmowały apaszki i nakrycia głowy oraz torebki. Na jednej z półek leżały tylko i wyłącznie swetry z kaszmiru w każdym możliwym odcieniu. Oprócz żółtego. Ava nie znosiła tego koloru. Następnie jedwabne bluzki, tuniki w stylu hinduskim i szerokie spodnie z jedwabiu – upodobała je sobie, ponieważ ukrywały chorobliwą chudość jej nóg – oraz długie suknie. W garderobie było także miejsce na bardziej klasyczne ubrania, oczywiście tylko najwyższej jakości. W tej właśnie części Ava planowała poszukać czegoś dla mnie.

– Musimy ci znaleźć porządne czarne spodnie – oświadczyła. – Czarne spodnie to podstawa. Od nich się wszystko zaczyna. To trochę jak pociąg

seksualny w związku. Jest absolutnie najważniejszy.

Ściągnęła z wieszaka wyprasowane spodnie z czarnego lnu i mi podała.

– Nosimy mniej więcej ten sam rozmiar – stwierdziła.

Następnie zdjęła z półki jeden z kaszmirowych sweterków – w odcieniu niebieskim, coś pomiędzy seledynem a błękitem – i przetykaną niebieską, połyskującą nitką apaszkę, na której dominowały zieleń i jasny fiolet. Całość nie przypominała niczego, w czym chodziłam, czy nad czym bym się choćby zastanowiła. Naszykowała wszystko, nawet pończochy. Do tego jeszcze spódnicę – z czarnej skóry – i parę kozaków, także czarnych.

– Nie mogę tego przyjąć – zaprotestowałam, dostrzegając metkę i dotykając delikatnej skóry.

– Oczywiście, że możesz – odparła niemal ze zniecierpliwieniem. – Te rzeczy po prostu tu leżą. Z przyjemnością będę je oglądać na tobie.

To nie wszystko. Wyszukała kopertową sukienkę („ciut zachowawcza, ale możliwe, że pewnego dnia umówisz się z jakimś bankowcem”) i jeszcze jedną, stanowiącą jej zupełne przeciwieństwo: krótką, z dużym dekoltem, podkreślającą figurę.

– Jedna uwaga, jeśli chodzi o tę sukienkę. Nie wolno ci nic pod nią włożyć. Odznaczałoby się.

Sądziłam, że pewnie mnie teraz zostawi, żebym mogła wszystko pomierzyć, ona jednak siedziała wyczekująco.

– No to zobaczmy – powiedziała.

Czułam się trochę dziwnie, ale ściągnęłam T-shirt.

– O mój Boże, twój stanik – odezwała się Ava. – Jesteś hojniej obdarzona przez naturę niż ja, więc w tej akurat kwestii nie mogę ci pomóc. Ale zdecydowanie musimy odwiedzić pannę Elaine. – Okazało się, że to konsultantka bieliźniana Avy. Porządna braffitterka to skarb, tak mi powiedziała.

Zdjęłam spodnie dresowe.

– Masz świetny tyłek – stwierdziła. – Ale to akurat już wiedziałam. To pierwsze, co powiedział o tobie Swift.

Włożyłam spodnie. Poza tym, że były o kilka centymetrów za długie, leżały idealnie. Tak samo kaszmirowy sweter. Poglaskałam rękawy, delectując się miękkością wełny.

– Nie ma nic przyjemniejszego niż dotyk kaszmiru na skórze – rzuciła Ava.
– No, prawie nic.

Stałam przed lustrem i poprawiłam apaszkę.

– Przymierz je. – Sięgnęła do szuflady z kolczykami i wyjęła parę srebrnych kólek i pasującą do nich bransoletę. – Niesamowite – rzekła, zapiąwszy mi ją na rękę. – Wyglądasz prawie jak ja. – Nie widziałam między nami najmniejszego nawet podobieństwa, ale wiedziałam, co ma na myśli. – Gdybym miała piętnaście

lat mniej i bajeczne cycki. – Zaśmiała się. A jej śmiech przypominał delikatny trel, jakby woda obmywała kamienie. – I czucie w nogach – dodała.

W czasie, kiedy poznałam Avę, spotykałam się – choć niezbyt często – z mężczyzną z Match.com (nick: EZDuzIt). Miał na imię Jeff i był kierownikiem banku. Nie rozwiódł się jeszcze, wiedziałam więc, że ta znajomość zmierza donikąd. Co ważniejsze, naszym spotkaniem towarzyszyło żałośnie mało entuzjazmu – zarówno z jego strony, jak i z mojej.

Wmawiałam sobie, że dobrze mieć towarzystwo. Mniej kusilo mnie wtedy, żeby na przykład pisać długie listy do byłego męża, których na szczęście – miałam tyle rozumu – nie wysyłałam. Albo wypłakiwać się przez telefon Alice, że tęsknię za synem i że nadal muszę brać dwa razy w tygodniu udział w zaleconych przez sąd zajęciach dla rodziców (otrzymywaliśmy na nich listy odpowiednich czynności, które można wykonywać razem z dzieckiem: *Rękodzieło. Głośno razem czytacie przed snem. Bierzcie udział w zajęciach w bibliotece*). Pewnego dnia rozdano nam przepisy na zabawne i zdrowe przekąski – jajka na twardo w formie klaunów, pokrojone w słupki marchewki i seler, ułożone na talerzu tak, aby tworzyły różne postacie, a do tego pomidorki koktajlowe jako głowy. („Ollie i ja zrobiliśmy kiedyś sami chrupki ziemniaczane! – miałam ochotę wykrzyknąć prowadzącej zajęcia dziewczynie, wyglądającej na dwadzieścia kilka lat. – W każde święta piekliśmy domek z piernika”). A zresztą mój syn nie spędzał ze mną wystarczająco dużo czasu, żebyśmy mieli robić przekąski.

– Zawsze byłaś świetną matką – mówiła mi Alice. – Miałaś jedynie depresję, co jest zrozumiałe. A pewnego wieczoru za dużo wypijałaś. Nic w tym niezwykłego.

– Nie chodziło tylko o to.

– Tamten gliniarz pewnie w ogóle by cię nie zatrzymał, gdyby nie popsuły ci się tylne światła. Nie przekroczyłaś nawet dozwolonej prędkości.

Szukanie usprawiedliwień to negatywny wzorzec, tak nam mówił terapeuta. Pierwszy krok ku trzeźwości to szczerłość.

Mam na imię Helen. Jestem alkoholiczką.

Jeff zjawiał się u mnie we wtorkowe wieczory. Podczas pierwszego spotkania nie uprawialiśmy seksu, ale później stało się to naszym wtorkowym zwyczajem. Tajskie jedzenie albo pizza. Potem mecz w telewizji, a potem łóżko.

We wtorek po tym, jak poznałam Avę, zadzwoniłam do Jeffa do pracy.

– Nie mogę się dzisiaj z tobą spotkać – poinformowałam go.

– Co się stało? Jesteś chora?

Odparłam, że nie mam ochoty. Ani dziś, ani nigdy więcej. Przyjął to z takim samym brakiem emocji czy ciekawości, jakie okazywał podczas naszego krótkiego związku. W ogóle nie był zainteresowany powodem mojej decyzji ani próbą jej zmiany. Nie minęła minuta, a ja się rozłączyłam, czując dziwne połączenie złości na samą siebie, że w ogóle zadawałam się z kimś takim, i ulgi, że nie będę już tego

robić. Nie zamierzałam tracić czasu na ludzi, którzy nic nie znaczą. Jeśli chciałam odzyskać syna, moje życie musiało zacząć wyglądać zupełnie inaczej.

Swoją decyzję przypisywałam Avie. Choć spotkałam się z nią zaledwie kilka razy, miałam wrażenie, że pokazała mi zupełnie inny sposób na życie. Nie do końca wierzyłam, że mnie także pisany jest partner, którego sama obecność wszystko zmienia, ktoś, kto odwzajemni moje uczucia. Uznałam, że to coś, do czego warto dążyć. W przeciwnym razie lepiej żyć w pojedynkę.

Zanim poznałam Avę, doszłam do wniosku, że moja sytuacja jest beznadziejna i że bez względu na to, co zrobię, nie ulegnie zmianie. Ava odmalowała przede mną inny obraz mojej przyszłości – przyszłości, w której skrywa się obietnica, a najbardziej przekonującym dowodem był fakt, że ona i Swift chcieli się stać jej częścią.

Avę poznałam na początku grudnia, gdy zbliżało się Boże Narodzenie. Byłam w szkole Olliego na świątecznym koncercie, podczas którego rząd drugoklasistów w czapkach Świętego Mikołaja śpiewał *Pada śnieg*. Potem jeden z chłopców z jego klasy organizował u siebie przyjęcie i nie chciałam odciągać Olliego od kolegów, więc zdążyłam go jedynie uściskać. Wołałam poczekać i świętować razem z synem w dniu, w którym będziemy mogli spędzić ze sobą trochę czasu.

Oczywiście wiedziałam, o jakim prezencie marzy: o szczeniaku. Ale nie było takiej opcji, żeby Dwight się zgodził. Jakiś czas temu widziałam na ulicy w San Francisco, jak pewien mężczyzna demonstruje różne sztuczki za pomocą specjalnego jo-jo, i wtedy w mojej głowie zrodził się pomysł podarowania mojemu synowi – chłopcu, który ma z pół tuzina gier komputerowych – czegoś, co nie będzie naszpikowane elektroniką. Kiedy jednak wróciłam do domu, nie potrafiłam powtórzyć żadnej ze sztuczek, które widziałam na ulicy. Choć nie dałam go jeszcze Olliemu, już wiedziałam, że jo-jo wylądzuje na podłodze pod jego łóżkiem, w ogóle nieużywane.

W sklepie internetowym szukałam prosty aparat cyfrowy, mniejszy i nowocześniejszy niż ten, którego dawniej pozwalałam mu używać. Wyobraziłam sobie, jak razem eksplorujemy niezwykle miejsca, jak kiedyś, i robimy zdjęcia. Później mogłabym go nauczyć bawić się światłem i Photoshopem. Ekscytowała mnie myśl o robieniu tego wszystkiego razem z synem.

Podczas następnej mojej wizyty na Folger Lane Ava powiedziała, że realizuje nowy projekt, przy którym potrzebowałyby mojej pomocy. Chodziło o sfotografowanie jej kolekcji sztuki, ale nie tylko obrazów wiszących na ścianach, lecz także pomieszczeń wypełnionych szkicami, obrazami i rzeźbami, zgromadzonymi przez Avę na przestrzeni wielu lat. Niektóre z nich, jak na przykład obraz, który kupiła w galerii tamtego pierwszego wieczoru, według konwencjonalnych standardów nie posiadały żadnej szczególnej wartości, inne

warte były dziesiątki tysięcy dolarów. Była tam drewniana rzeźba wykonana przez starego artystę, którego prace wypatrzyła kiedyś, przejeżdżając przez Mendocino, a obok niej fotografia autorstwa Lee Friedlandera razem z certyfikatem autentyczności, wyceniona na dwadzieścia tysięcy dolarów. Piękne przedmioty, poustawiane na podłodze, także kartony, które trafiły tu kilka miesięcy temu, a nie zostały jeszcze otwarte. Skatalogowania wymagały również dzieła sztuki będące na widoku. Szkice Picassa. Eva Hesse, Diebenkorn. Te tak bardzo przeze mnie lubiane kościane chińskie figurki – radośni cudzołóżnicy – które dla uzyskania lepszego efektu ustawiłam do zdjęć na kawałku czarnego aksamitu.

Oświadczyłam Avie, że chcę to zrobić w ramach przysługi. Podobała mi się myśl, że mogę podarować coś wartościowego kobiecie, którą stać na tak ogromną, niemal bezgraniczną hojność wobec innych. Nie stanowił problemu fakt, że praca ta będzie bardzo czasochłonna. Czasu miałam obecnie aż za dużo, a zdążyło już do mnie dotrzeć, że najbardziej lubię go spędzać właśnie na Folger Lane. Ava uparła się jednak, aby płacić mi czterdzieści dolarów za godzinę, znacznie więcej, niż zarabiałam podczas kelnerowania czy robienia zdjęć uczniom.

– Wyświadczasz mi ogromną przysługę – zapewniała. – Od wieków chciałam to wszystko porządnie udokumentować, ale Swift jest bardzo wybredny, jeśli chodzi o osoby, które zjawiają się w naszym domu, no i aż do teraz nie znalazłam nikogo, kogo by zaakceptował. Ciebie naprawdę lubi.

Oczywiście mi to schlebiało. Czymś zaskakującym wydawał się fakt, że mężczyzna pokroju Swifta w ogóle zwraca na mnie uwagę. Ale osobą, której przychylność i zainteresowanie miały największe znaczenie, była niezmiennie Ava.

Mijały kolejne tygodnie. Dwight i Cheri zabrali Olliego i ich synka Jareda do Disneylandu, później do Sacramento, a jeszcze później do rodziców Cheri gdzieś na południe Kalifornii, a kiedy poprosiłam o spotkanie z synem, Dwight mi przypomniał, że Ollie musi spędzać czas z dziadkami, którzy nie robią się coraz młodszy.

– Przykro mi mówić, Helen – dodał – ale Ollie obecnie nie czuje się w twoim towarzystwie zbyt komfortowo. Uważamy, że najlepsze jest dla niego bezpieczne, rodzinne środowisko.

Była to tego rodzaju sytuacja, po której dawniej od razu szukałabym w kredensie butelki wina. Obecnie brałam do ręki telefon i rozmawiałam z Avą. Albo po prostu jechałam na Folger Lane.

Rzadko zdarzał się taki dzień, w którym nie pojawiała się Ava. Raz spróbowałam spędzić go z Alice. Do kin weszła akurat nowa adaptacja powieści Jane Austen i zapewniałam ją, że z nikim tak bardzo nie chcę jej zobaczyć, jak właśnie z nią, co nie do końca było prawdą. Ava nie należała do miłośniczek Jane Austen.

Wieczór okazał się całkiem sympatyczny, choć po powrocie do domu dotarło do mnie, że jedyne, o czym mówiłam, to Havillandowie. Alice przestała dzwonić, ja także. Odkąd pracowałam dla Avy, nie brałam już zleceń z firmy cateringowej, więc i na tym polu przestałyśmy się kontaktować. Boże Narodzenie – podczas którego zawsze się spotykałyśmy i ubrane w tandetne świąteczne swetry obdarowywałyśmy się prezentami ze sklepu „Wszystko za dolara” – nadeszło i minęło.

Kiedy w tym czasie myślałam o Alice, czułam się jak ktoś, kto zdradza kochankę. Unikałam miejsc, gdzie mogłam na nią wpaść. Raz jej imię pojawiło się na wyświetlaczu mojego telefonu. Nie odebrałam.

Kiedy w końcu udało mi się spotkać z synem, była już połowa stycznia. W sobotę rano, gdy zjawiłam się w domu jego ojca, jak zawsze był włączony telewizor. Ollie siedział na podłodze z miską płatków, a wzrok miał przyklejony do ekranu.

– Piękny dziś dzień – zagaiłam. – Pomyślałam sobie, że wcześniej go zaczniemy.

Nie poruszył się ani nie podniósł na mnie wzroku. Oto istota, która swego czasu wtulała się we mnie, kiedy brałam ją na ręce, chłopiec, który każdy dzień rozpoczynał od lotu do mojej sypialni niczym superbohater, z poduszką na ramionach imitującą pelerynę, wołając: „Uwaga, ląduję!”.

Teraz, kiedy go objęłam, cały zeszywniał. Miał twarz pozbawioną wyrazu, a w oczach pojawiła się twardość. To ja byłam kiedyś osobą kochającą go najbardziej na świecie, ale to przeze mnie ją stracił.

– Dokąd jedziemy tym razem? – zapytał. W jego głosie pojawiła się nieufność. Co tym razem: kręgle, muzeum dla dzieci, centrum sportu, kino?

– Przywiozłam ci prezent – odparłam i nawet mnie samej mój głos wydał się nienaturalnie wesoły. – Pomyślałam, że moglibyśmy go wypróbować.

Położyłam obok niego pudełko z aparatem. Nie oderwał wzroku od telewizora.

– Jechałem kolejką Space Mountain – poinformował mnie. – Kiedyś byłem do niej za mały, ale już jestem wystarczająco duży.

– To aparat. – Wskazałam leżące przed nim pudełko, którego nawet jeszcze nie dotknął.

– Mam już jeden.

– Ale nie taki – rzekłam, wyjmując go z pokrowca. – Ten ma kilka naprawdę niezłych funkcji.

– Wujek Pete zabrał mnie na laserowy paintball. Dostałem pistolet na podczerwień. Wszędzie migały światła. Za każdym razem, kiedy się kogoś trafi, doładowuje ci się bateria.

– Możesz nawet nagrywać filmiki – nie dawałam za wygraną.

Ollie wziął do ręki pudełko, ale z takim entuzjazmem, jakby w środku znajdowały się lekarstwa czy skarpetki.

– Mogłabyś mnie zabrać do Lazer World – rzucił. Zabrzmiało to jak wyzwanie. Jeśli go kocham, zabiorę go do Lazer World.

– Mogłabym. Ale pomyślałam, że spędzimy trochę czasu tylko we dwoje.

– Czemu?

– Długo się nie widzieliśmy – odparłam. Nie chciałam, aby zabrzmiało to desperacko. – Po prostu tęsknię za tobą, a laserowy paintball jest tak głośny, że nie

słysząc tego, co się mówi.

Cisza. Odkąd się tu zjawiłam, Ollie ani na chwilę nie oderwał wzroku od telewizora.

– Moglibyśmy udawać, że jesteśmy fotografami z „National Geographic” i porobić zdjęcia na Mount Diablo.

Odwrócił wtedy głowę w moją stronę, a na jego twarzy pojawił się smutek i bezbronność. Przez chwilę było tak, jakby falochron zaczął pękać, a woda napierała na niego, grożąc wylaniem. To była chwila, kiedy mój syn mógł paść mi w ramiona i wyznać, że także za mną tęsknił. Mógł mi powiedzieć, że chce do domu. Gdzie „dom” oznacza mnie. Mógł po prostu choć raz pozwolić opaść głowie na moje ramię, zamiast napinać mięśnie szyi. Mógł mi pozwolić pogładzić się po włosach. Kiedy jednak wyciągnęłam ku niemu ramiona, on się odsunął i znowu przyjął ten hardy, gniewny wyraz twarzy.

– Robienie zdjęć jest nudne – oświadczył. – Nigdy mnie nie zabierasz w fajne miejsca.

Wtedy dałam mu jo-jo. I koszulkę z rysunkiem przedstawiającym wydry, no bo zawsze lubił wydry, i książeczkę z wierszami Shela Silversteina.

– Pamiętasz je? – zapytałam. Swego czasu co wieczór czytaliśmy jakiś wiersz z tej książki. Kilku nauczyliśmy się nawet na pamięć.

Pokręcił głową.

– Shel Silverstein. To jego lubiłeś najbardziej.

Nawet jeśli pamiętał, jak razem recytowaliśmy *The Land of Happy*, leżąc w hamaku podczas ciepłych letnich wieczorów, albo później, kiedy opatulałam go kołdrą, nie dał tego po sobie poznać. To musiał być inny chłopiec, inna matka, inna planeta, z której jego statek kosmiczny już dawno odleciał.

Gdzieś w ciele chłopca, który siedział tu teraz wpatrzony w ekran telewizora – plecy zgarbione, wzrok kamienny, usta zaciśnięte – skrywało się dziecko, które było moim synem. Miałam ochotę chwycić go za ramiona i zacisnąć na nich dłonie. *Wylaż, no wylaż.*

– Niech będzie paintball – powiedziałam.

Nastał marzec. Nawet jeśli Ava i Swift przebywali akurat w posiadłości nad jeziorem Tahoe albo brali udział w kolejnej z listy niekończących się imprez charytatywnych, bywałam w ich domu kilka razy w tygodniu – na tyle często, że nawet Rocco, choć mnie nie lubił, rzadko już szczekał, kiedy pojawiałam się w drzwiach; z jego gardła wydobywało się jedynie niskie, obronne warczenie. Od Avy dostałam własny klucz, przytwierdzony do ręcznie rzeźbionego breloka z wizerunkiem Fridy Kahlo. Niesamowitą dumą napawał mnie fakt, że Havillandowie okazali mi tyle zaufania.

Częściej jednak zastawałam ich w domu. Każde spotkanie wyglądało tak samo: wylewnie się witałyśmy, następnie Ava prezentowała mi coś interesującego, co zdobyła tego dnia, a co uważała za wręcz idealne dla mnie; na chwilę pojawiał się Swift, głośny i jowialny, a zaraz potem znikał z powrotem w altanie przy basenie albo udawał się na jedne z wielu zajęć poświęconych pielęgnacji ciała. Wszyscy mieliśmy świadomość tego, że to przede wszystkim z Avą łączy mnie przyjaźń.

Następnie sadowiliśmy się na werandzie albo, o ile pogoda dopisywała, w ogrodzie. Na tacy wjeżdżało przepyszne jedzenie. Estella doskonale już wiedziała, że do picia wystarcza mi woda pellegrino z odrobiną limonki.

Na tym etapie mojej pracy dla Havillandów doszło wiele innych zajęć: wydruk zaproszeń na przyjęcie wydawane przez organizację, w komitecie której zasiadali Ava lub Swift, pakowanie do kartonów mnóstwa nienoszonych przez Avę ubrań i przekazywanie ich do ośrodka dla maltretowanych kobiet, rozmawianie z ogrodnikiem o imieniu Rodrigo o posadzeniu stu pięćdziesięciu cebulek tulipanów, sprowadzonych na specjalne zamówienie z Holandii.

Czasami, kiedy przyjeżdżałam, na podjeździe brak było samochodu Avy i wiedziałam wtedy, że albo pojechała gdzieś z psami, albo na specjalne zajęcia pilates z trenerem personalnym, który zmodyfikował ćwiczenia tak, aby były odpowiednie dla osób z uszkodzonym rdzeniem kręgowym. Po zajęciach często zdarzało jej się podjechać do schroniska, aby zajrzeć do psów. No i była też rodzina z Hollister, którą zaadoptowała – samotna matka, o której przeczytała przed kilkoma miesiącami w gazecie, której mąż zginął podczas gaszenia pożaru w Kalifornii Południowej, osieracając czworo dzieci. Raz w tygodniu Ava wozila im zakupy.

Pewnego dnia wyjątkowo długo siedziałam w pokoju na tyłach domu, pracując nad katalogowaniem dzieł sztuki, prawie osiem godzin. Nagle podczas tego długiego popołudnia do moich uszu dobiegły jakieś dźwięki docierające z piętra, z innego skrzydła domu niż to, w którym przebywałam. Początkowo myślałam, że to któryś z psów, potem jednak dotarło do mnie, że to głos ludzki,

a nawet dwa. To byli Swift i Ava, na górze w sypialni, nieświadomi tego, że ich słyszę. A może w ogóle się tym nie przejmowali.

To mógł być krzyk albo płacz, albo jedno i drugie. Znając ich, bardziej skłaniałam się ku temu, że właśnie uprawiali seks.

Tej sfery ich życia nie znałam i wbrew sobie zaczynałam mieć obsesję na jej punkcie. Ich pożycie małżeńskie wydawało mi się takie tajemnicze i tak różne od tego, czego sama w życiu doświadczyłam albo co byłam sobie w stanie wyobrazić. Choć łączyły mnie z Avą całkiem bliskie relacje, nie znałam konkretów dotyczących obrażeń, przez które wylądowała na wózku – nie wiedziałam, który kręgosłup ma uszkodzony i czy w ogóle zostało jej jakieś czucie w dolnej części ciała. Nie pytałam, tak samo jak nie pytałam o to, jak do tego doszło ani czy był okres (a czy mogło go nie być?), kiedy w jej życiu dominowała rozpacz. Fakt, że Ava zmuszona była poruszać się na wózku inwalidzkim, w żaden sposób jej nie ograniczał. Właściwie sprawiała wrażenie jeszcze bardziej zmotywowanej, choć oczywiście nie znałam jej przed wypadkiem. W ciągu jednego dnia udawało jej się osiągnąć więcej niż większości znanych mi osób zdrowych.

Miała oczywiście ludzi do pomocy. Nie tylko ogrodnika, ale także pracownika, który zajmował się basenem, a raz na jakiś czas korzystała z usług firmy cateringowej. No i teraz ze mnie. Ale osobą, dzięki której wszystko chodziło jak w zegarku, była Estella.

Estella była mniej więcej w moim wieku, choć wyglądała na starszą. Nigdy się nie dowiedziałam, od jak dawna pracuje dla Swifta i Avy, ale opiekowała się jeszcze małym Cooperem, więc musiała pracować także dla pierwszej żony. Ava powiedziała mi kiedyś, że dotarła do Stanów z Gwatemali jako ciężarna nastolatka. Przejechała przez Meksyk na dachu pociągu, a przez pustynię Arizona przetransportował ją *coyote*, który policzył sobie za to sześć tysięcy dolarów. Sześć lat go spłacała, a wszystko po to, aby jej córka urodziła się w Ameryce. Carmen. Estella czuła do niej to samo co Swift do Coopera.

Estella przebywała w domu na Folger Lane przez siedem dni w tygodniu: obchodząc pomieszczenia ze ścierką do kurzu, robiąc pranie, prasując pościel, dbając o porządek w garderobie Avy, robiąc zakupy, wyprowadzając psy. Słabo mówiła po angielsku, więc nasza komunikacja ograniczała się do życzenia sobie *buenos dias*, choć podczas pierwszego spotkania pokazała mi zdjęcie Carmen zrobione podczas jej *quinceañery*.

– Ta dziewczyna to obywatelka Stanów – oświadczyła z dumą. – Nie tylko piękna. Ale i mądra.

Przyjrzałam się fotografii. Przedstawiała śliczną dziewczynę z ciemnobrązowymi włosami, czarnymi oczami i pełną życia inteligentną twarzą.

– Moja córka teraz w college’u. Ty masz dzieci?

Czasami łatwiej było zaprzeczyć, niż wyjaśniać, ale w przypadku Estelli

– Gwatemalki, nielegalnej imigrantki, która zapewne sporo wiedziała na temat matek mieszkających daleko od swoich dzieci – kiwnęłam głową.

– Mieszka z ojcem.

Angielski Estelli był ograniczony, ale słysząc to, pokręciła głową i przyłożyła rękę do piersi.

– Ciężko – rzekła. – Moja Carmen, ona jest moje serce.

Dawniej, kiedy była młodsza, Carmen przychodziła na Folger Lane, aby sprzątać razem z matką, choć Ava mi wyjaśniła, że trochę to było niezręczne, kiedy w domu przebywał Cooper. Byli dokładnie w tym samym wieku – przyszli na świat w odstępie miesiąca – i w dzieciństwie bawili się razem na basenie albo w pokoju zabaw. Kiedy Cooper osiągnął wiek nastoletni, krępował go widok Carmen prasującej mu rzeczy albo odkurzającej jego pokój, Ava zdecydowała więc, że lepiej, aby dziewczyna przestała tutaj przychodzić.

– Jeśli mam być szczerą, to wydaje mi się, że podkochiwała się trochę w Cooperze – powiedziała mi Ava. – Zawsze się do niego przymilała, ale co on mógł zrobić? Nie chciał ranić jej uczuć. A potem... cóż, powiedzmy, że zaczęliśmy mieć z nią problemy.

Obecnie Cooper, student jednej z uczelni na Wschodnim Wybrzeżu, rzadko bywał w domu, a dzięki rekomendacji Avy Carmen pracowała jako niania u jednej z okolicznych rodzin. Niedawno zapisała się do dwuletniego college'u przygotowującego do studiów wyższych i z tego, co mi wiadomo, całkiem dobrze sobie radziła. Za rok pójdzie na studia. Takie przynajmniej miała marzenie.

Pewnego dnia, kiedy jej pracodawcy wyjechali, zdezelowaną toyotą przywiozła matkę na Folger Lanę, a potem rozsiadła się w pralni razem z podręcznikami.

– *Mija* dobrze się wykształci – oświadczyła mi Estella. – Kiedyś będzie lekarka. Zobaczysz.

Popatrzyłam na Carmen – poznałam koszulę, którą miała na sobie, jedną z tych, które Ava przed tygodniem przeznaczyła do wydania, ciut przyciasną na piersiach. Córnica Estelli miała krągłości. Była śliczna.

Nigdy dotąd nie rozmawiałam z Carmen, choć widziałam ją parę razy, gdy przyjeżdżała po matkę. Teraz podniosła głowę znad grubego podręcznika do chemii organicznej.

– Moja mama uważa, że odkryję lekarstwo na raka czy coś w tym rodzaju – odezwała się. – Albo uzyskam stypendium co najmniej w Stanfordzie. Tak już jest z matkami, no nie? Wszystkie uważają swoje dzieci za najmądrzejsze i najpiękniejsze.

Myśląc o swojej, mogłam jej odpowiedzieć, że niekoniecznie. Jednak w przypadku Carmen pochwały z ust matki nie wydawały się przesadzone. Słyszałam, jak dużo się uczyła – według Estelli bywało, że i osiem godzin, po

powrocie z pracy. W weekendy uczęszczała na zajęcia.

Była uderzająco piękną młodą kobietą, ale nie była to kwestia jedynie długich, błyszczących, czarnych włosów i śniadej cery. Miała w oczach blask i skupienie, kiedy pochylała się nad podręcznikami, wyraz determinacji, którą nieczęsto widuje się u dzieci wychowanych na Folger Lane i traktujących studia jako coś najbardziej oczywistego na świecie.

– Pewnego dnia moja córka będzie mieć dom – powiedziała Estella. – Nie taki duży jak ten. Ale ładny.

– I znajdzie się w nim pokój dla ciebie, mamó – wtrąciła Carmen. – I nawet nie będziesz musiała prasować.

– Znajdziemy jej miły chłopak – dodała Estella. – Pracowity. Dobry mąż. Dobry człowiek.

– A jeśli wcale nie chcę dobrego człowieka? – zapytała ją córka. – A jeśli chcę złego? – Zaśmiała się. Estella nie.

Zadzwoiłam do byłego męża.

– Tak sobie pomyślałam, że kiedy przyjadę w ten weekend, to może zabiorę Olliego do siebie – powiedziałam takim tonem, jakbym nie zastanawiała się nad tym szczególnie długo, jakby to była zwykła refleksja. – Gdyby został u mnie na noc, w niedzielę mogłabym go odwiedzić.

Nie chciałam, aby zabrzmiało to zbyt rozpaczliwie. Minęły trzy lata, odkąd po raz ostatni dane mi było położyć syna spać albo być świadkiem jego przebudzenia. Jego nieobecność odczuwałam w każdej godzinie każdego dnia. Czasami było to ukłucie silnego bólu. Innym razem tępe pulsowanie. Nie wiedziałam, czym jest komfort psychiczny.

– Chyba że zamiast sobotniego poranka mogłabym przyjechać w piątek po południu – kontynuowałam. – W niedzielę bym go odwiozła.

Dwight milczał, jakby szukał odpowiedniego scenariusza. Podczas tych rzadkich okazji, kiedy rozmawialiśmy, jego słowa nigdy nie brzmiały naturalnie czy spontanicznie.

– Tobie i Cheri dobrze by to zrobiło – dodałam. – Moglibyście znaleźć opiekunkę dla Jareda i wyskoczyć gdzieś na cały wieczór.

– Nie sądzę, aby coś takiego się udało, Helen – odezwał się w końcu.

– Albo może jednak w sobotę. Zabrałabym go tym razem tylko na jedną noc. – Czy mój głos stał się o oktawę wyższy, czy tylko miałam takie wrażenie? O cały weekend zawalczę innym razem. Nie będę zachłanna. Na razie prosiłam tylko o jedną noc.

Słyszałam, jak Dwight wciąga powietrze, jak to miał w zwyczaju, kiedy byliśmy razem. Robił tak, gdy miał do przekazania coś nieprzyjemnego: że dziecku trzeba zmienić pieluchę, że w sobotę chce pograć w golfa, że zakochał się w koleżance z pracy.

– Cheri i ja nie uważamy tego za dobry pomysł – oświadczył teraz. – Za każdym razem, kiedy Ollie spotyka się z tobą, przez kilka kolejnych dni jest podenerwowany. Nie uważamy, aby czuł się przy tobie bezpieczny.

– Potrzebujemy po prostu więcej czasu razem – odparłam, starając się nie podnosić głosu ani nie pozwolić, aby wkradła się do niego nutka desperacji. Z kolei ton jego głosu stanowił kwintesencję tonu doradcy kredytowego. Najwyraźniej mój wniosek został odrzucony.

– Spójrzmy prawdzie w oczy – powiedział Dwight. – Kiedy ostatnim razem spędziłaś z synem więcej czasu, zobaczył, jak policja zakuwa cię w kajdanki.

– To miało miejsce ponad trzy lata temu, Dwight.

– Może z czasem sytuacja się poprawi – stwierdził. – Ale obecnie tak to właśnie wygląda.

Bez słowa trzymałam w ręce słuchawkę. Nie ufałam sobie na tyle, aby się odezwać.

A potem on nagle wrócił do swojej gładkiej gadki spikera radiowego.

– Wiesz co, jeśli Oliver sam mi powie, że naprawdę ma ochotę spędzić weekend z tobą, pozwolimy mu na to. Na razie nie to mi przekazuje, ale kto wie, co przyniesie przyszłość. – A potem usłyszałam jego ulubione określenie: – Wszystko świetnie.

Kiedy zjawiłam się na Folger Lane, Ava i Swift siedzieli w ogrodzie i jedli lunch.

– Wczoraj dobra wiadomość o Carmen – oświadczyła Estella, stawiając dodatkowy talerz. – Jak tylko mi mówi, ja jej mówię, że musimy powiedzieć Havillandom.

Carmen zdobyła nagrodę za pracę przesłaną na konkurs dla studentów college’u – raport oparty na opracowanym przez siebie eksperymencie, udowadniającym, że muszki owocowe karmione organicznie żyją dłużej niż te, które spożywają zwykłe owoce i warzywa. Została wybrana razem z czworgiem innych studentów (pozostali, w przeciwieństwie do Carmen, to studenci czteroletnich college’ów) i czekała ją podróż do Bostonu oraz wizyta w kampusie Harvardu, gdzie podczas krajowej konferencji poświęconej naukom ścisłym odczyta swoją pracę.

– Kiedy zobaczą, jaka jest mądra – rzekła Estella – na pewno dadzą stypendium.

Wszyscy oczywiście stwierdziliśmy, że to wspinała wiadomość.

– Nie zdążysz się obejrzeć, a twoja córka będzie żoną jakiegoś bostońskiego patrycjusza, który mówi przez nos, a weekendy spędza w Nantucket, grając w polo – stwierdził Swift.

Na twarzy Estelli malowała się konsternacja. Nie miała pojęcia, kto to taki ten bostoński patrycjusz, no i o Nantucket także pewnie nie słyszała.

– Twój tok myślenia jest chybiony, skarbie – powiedziała do niego Ava. – Carmen nie zamierza wybić się, biorąc ślub z jakimś bogaczem, tak jak ja. Zamierza coś osiągnąć dzięki ciężkiej pracy i temu, co ma w głowie.

– Nie musi płacić za bilet – wtrąciła Estella. – Samolot. Jedzenie. Hotel. Wszystko za darmo. Przysłali koszulę z nazwą szkoły na przód, żeby ona nosiła, jak pojedzie.

– Fantastycznie – rzekła Ava.

Estella promieniała. Jeszcze nigdy nie widziałam jej takiej szczęśliwej.

– Pyta mnie, czy Boston niedaleko szkoły Coopera. Może pokaże jej miasto.

Choć dostrzegłaby to tylko osoba, która dobrze ją знаła, rysy twarzy Avy minimalnie stężały. Swift powrócił do lektury „Wall Street Journal”.

– Tak właściwie Cooper jest w New Hampshire – powiedziała. – Dartmouth. No ale może innym razem.

Nie miałam jeszcze okazji poznać Coopera, który studiował na uczelni biznesowej. Ale nie dało się spędzić w towarzystwie Swifta dziesięciu minut, żeby nie pojawiło się jego imię.

– Mój chłopak – oświadczył teraz, kiedy Estella poszła do kuchni. – Świat

stoi przed nim otworem. Może robić w życiu wszystko, na co ma ochotę. Urodzony szczęściarz.

Zaledwie przed tygodniem poleciał razem z dawnymi kolegami z bractwa studenckiego na weekend do Las Vegas. Teraz planowali kolejny wyjazd – narciarstwo helikopterowe w Kolumbii Brytyjskiej.

Choć nie znałam osobiście syna Swifta, mogłam go oglądać na zdjęciach porozwieszanych po całym domu i jasne było, że to jedna z tych osób (jak Swift, ale pewnie w jeszcze większym stopniu), na którą wszyscy zwracają uwagę. Znacznie wyższy od ojca, miał sylwetkę rugbisty, którym zresztą był. Na każdym chyba zdjęciu się śmiał.

Od Swifta wiedziałam, że obecnie Cooper zastanawia się, czy wybrać karierę w branży nieruchomości, czy w przemyśle filmowym: gromadzenie funduszy na produkcję filmów, udzielanie licencji, tego rodzaju rzeczy. Według Swifta świetnie by sobie poradził także w branży muzycznej. Raz, podczas wypadu do San Francisco, Cooperowi swoją wizytówkę wręczył sprawozdawca sportowy z lokalnego oddziału NBC. „Obserwowałem cię podczas kolacji – rzekł mu. – Mógłbyś zrobić karierę w telewizji”.

– Powiedziałem Cooperowi, że dzięki robocie w telewizji ma się doskonale miejsca na meczach Gigantów – oświadczył Swift. – Ale że prawdziwe pieniądze kryją się w biznesie. Kiedy odniesiesz sukces, sam możesz kupić sobie bilety na cały sezon.

– To jedna z tych osób, za którymi wszyscy od pierwszej chwili przepadają – wtrąciła Ava. – Oczywiście zwłaszcza kobiety. Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Ten chłopak jeszcze przed trzydziestką zostanie milionerem – stwierdził Swift. – Ma w sobie to coś. Sukces jest mu pisany.

– Jak komuś jeszcze, kogo znam – rzekła Ava.

Cooper miał oczywiście piękną dziewczynę. Virginie. Mogła być modelką, ale ona studiowała medycynę.

– Gdybym znajdował się w śpiączce, a ta dziewczyna by się nade mną pochylila, obudziłbym się w mgnieniu oka – tak powiedział o niej Swift. – Te jej zderzaki...

– Przestań, kochanie. Jesteś okropny – zbeształa go Ava, jak zawsze w takiej sytuacji, ale widać było, że to element ich gry.

– Mówię po prostu, jak jest – zaprotestował Swift.

– Mówisz o naszej przyszłej synowej. Matce naszych wnuków.

Wszyscy wiedzieli – najwyraźniej od lat – że związek Coopera i Virginii skończy się małżeństwem. Byli ze sobą, odkąd skończyli szesnaście lat, czyli już siedem lat, i idealnie do siebie pasowali. Przed nimi iście bajkowe życie.

Zapytałam, kiedy przyjedzie do domu.

– Jeśli chodzi o Coopera, trudno cokolwiek przewidzieć – odparła Ava.

– Zawsze trzyma kilka srok za ogon.

– Jest teraz na ważnym stażu w spółce inwestycyjnej w Nowym Jorku – wtrącił Swift. – Wiesz, jak to jest. Muszą harować, dopóki nie zarobią pierwszych dziesięciu milionów.

Powstrzymałam się od komentarza. Kiedy rozmowa dotyczyła kwestii, o których nie miałam pojęcia, czyli często, miałam w zwyczaju milczeć.

– Pewnego dnia – kontynuował Swift – w najmniej oczekiwanym momencie będziemy siedzieć na patio razem z psami i nagle usłyszymy głośny raban, a Cooper wpadnie do ogrodu i wykona skok do basenu czy coś w tym stylu. Albo przyjedzie maserati, które wziął z salonu na jazdę próbną. Taki już jest mój Cooper. Ten chłopak porusza się z prędkością macha.

– Czasami chciałabym, żeby nieco zwolnił – odezwała się Ava. Usłyszałam w jej głosie nutkę niepokoju. Ale wtedy wróciła Estella z półmiskiem ciepłych brownies. I winem. Wyglądało na to, że rozmowa na temat jej córki i Coopera dobiegła końca. – Przekaż koniecznie Carmen, że jesteśmy z niej bardzo dumni – poprosiła ją Ava.

– Ten Harvard – zapytała Estella – to dobra szkoła?

Co wieczór – przed wyjściem na mityng AA, albo po powrocie, jeśli byłam tego dnia wcześniej – dzwoniłam do domu w Walnut Creek, aby porozmawiać z Olliem. Niemalże widziałam dłoń mego syna na uchwycie konsoli PlayStation, kiedy próbowałam zaangażować go w coś, co można by uznać za rozmowę.

– Tak.

– Nie.

– Może.

– Nie wiem.

– Nieważne.

– Miałaś już okazję wypróbować nowy aparat? – zapytałam. – Tak sobie pomyślałam, że może, gdybyśmy mieli dla siebie nieco więcej czasu, moglibyśmy razem zorganizować wyprawę fotograficzną, jak kiedyś. Może gdybyś został u mnie na noc.

– Nie wiem.

– Potem zrobilibyśmy popcorn i oglądalibyśmy filmy, leżąc na sofie.

Cisza. Następnie głos Cheri, wołający, że pora kłaść się spać. Dochodziła dopiero siódma, ale Dwight i jego żona byli zwolennikami wczesnego chodzenia do łóżka.

Po odłożeniu słuchawki na ogół płakałam. Bywały chwile, że najbardziej ze wszystkiego miałam ochotę na wino. Zamiast tego parzyłam herbatę. Kiedy mnie tak kusilo, wystarczyło, że pomyślałam o jedynej rzeczy, która miała znaczenie: o odzyskaniu Olliego. Nie tylko w sensie fizycznym, co samo w sobie stanowiło ogromne wyzwanie. Najtrudniejsze wydawało mi się to, by syn na nowo mi zaufał. Czy też po prostu mnie poznał. Albo pozwolił mi poznać siebie. W takich momentach czułam się bardzo, bardzo samotna.

No ale miałam Havillandów. Zdarzało mi się mówić, że Ava i Swift są dla mnie jak rodzina. Ale oni nie byli moją rodziną – nie moją rodziną, tą prawdziwą – i to właśnie tak bardzo w nich kochałam. Nie licząc Olliego, przez całe życie – z wyjątkiem tych kilku marnych lat, kiedy rodzina Dwighta pozornie wzięła mnie pod swoje skrzydła – żyłam jak bezpieczny pies albo sierota, a kiedy odebrano mi syna, znowu tak było.

– Zastanawiałam się, czyje nazwisko trzymasz w portfelu – rzekła raz do mnie Ava.

Początkowo nie zrozumiałam, o co jej chodzi.

– Na karteczce, którą zawsze powinno się mieć obok prawa jazdy – wyjaśniła. – Na której jest napisane: „W razie wypadku proszę się skontaktować z...”. Czyje nazwisko nosisz w portfelu?

Odparłam, że nie mam takiej kartki. A raczej mam, bo znajdowała się

w wyposażeniu kupionego przed laty portfela, ale nic nigdy na niej nie napisałam. Nawet wtedy, gdy byłam mężatką.

Swego czasu była oczywiście Alice. Ale zanim jeszcze zniknęła z mojego życia, nie należała do osób, które robią z przyjaźni wielkie halo. Mogłam na nią liczyć i już.

– Teraz możesz wpisać nasz numer – powiedziała Ava.

Sięgnęła po moją torebkę i wyjęła z niej portfel, po czym swoim eleganckim pismem – używając ulubionego pióra – napisała na odwrocie karteczki swoje nazwisko, numer komórki oraz telefonu stacjonarnego.

– Może powinniśmy cię po prostu adoptować – rzuciła. – Jak Lillian i Sammy’ego, i Rocco.

Niektórzy może i poczuliby się czymś takim urażeni, ale porównanie do jednego z jej psów w ustach Avy stanowiło komplement największy z możliwych.

Po tym, jak w moim życiu pojawili się Ava i Swift, a ja pożegnałam się z bankowcem Jeffem, przestałam sprawdzać wysyłane przez Match.com mejle, rekomendujące potencjalnych partnerów. Rzadko otwierałam także sporadyczne wiadomości od mężczyzn, którzy zobaczyli mój profil i zapraszali na drinka.

Był czas, kiedy bardzo pragnęłam męskiej uwagi, ale ta niecierpliwość, by znaleźć kogoś, z kim będę mogła dzielić smutki i radości, stała się mniejsza, odkąd miałam nowych przyjaciół. Tak byłam zajęta sprawami związanymi z Folger Lane, że nawet gdybym rzeczywiście znalazła faceta, nie bardzo wiedziałam, kiedy miałabym się z nim spotykać. Albo – co było jeszcze mniej prawdopodobne – jak mogłabym znaleźć kogoś, czyje towarzystwo równałoby się z towarzystwem Havillandów? No i pozostawała jeszcze jedna kwestia, ta najbardziej istotna: gdyby udało mi się w końcu odzyskać syna, dla mężczyzny miałabym jeszcze mniej czasu.

Jednak kilka tygodni po tym, jak się poznałyśmy, Ava zdecydowała, że potrzebny mi chłopak i że znalezienie go potraktuje jako swój kolejny projekt. Zmusiła mnie do wymiany zdjęcia profilowego (choć z tego nowego też nie była do końca zadowolona) i usunięcia tej części o dziecku. („Kwestię Olivera możesz wyjaśnić wtedy, gdy jakiś facet zabierze cię na sympatyczną kolację – oświadczyła. – Bez pośpiechu”). Zgodziłam się głównie dlatego, aby sprawić jej przyjemność. Skoro chciała, żebym chodziła na randki, tak właśnie zrobię.

Coś się jednak zmieniło. Moim internetowym „przygodom” przyświecał nowy cel, choć nie wydaje mi się, żebym wtedy zdawała sobie z tego sprawę: miałam zapewnić rozrywkę Swiftowi i Avie. Dzieliłam się z nimi opowieściami o mężczyznach, którzy do mnie napisali. Havillandowie uwielbiali moje historie, im bardziej przygnębiające, tym lepiej.

Większość wiadomości, które przychodziły na mój nowy profil randkowy, pochodziła od tego typu mężczyzn, jakiego się można spodziewać, jeśli twoje zdjęcie prezentuje bladą, lekko wystraszoną kobietę ze związanymi włosami, bez makijażu, która nie pije, a jako ulubione czynności wymienia fotografowanie i oglądanie starych filmów, ale dodaje, że ostatnimi czasy rzadko ma okazję to robić.

Statystycznie najczęściej pisali do mnie mężczyźni po pięćdziesiątce albo bezrobotni, albo ci, co niedawno przestali zaglądać do kieliszka, albo mężowie, którzy lada dzień zamierzali wkroczyć na ścieżkę separacji.

Odezwał się mężczyzna, który niedawno owdowiał; kilka stron (wysłanych, na co zwróciłam uwagę, tuż po trzeciej w nocy) poświęcił opisywaniu walki jego zmarłej żony z rakiem jajnika. W okolicach czwartej strony wspominał w końcu o tym, że zostawiła go z czworgiem dzieci, z których najstarsze nie skończyło

jeszcze trzynastu lat, i niewystarczającą ilością pieniędzy, aby zatrudnić kogoś do pomocy. W domu w ogóle sobie nie radzi. Czy umiem gotować?

Był także facet grający na ukulele, który miał tik powieki (dowiedziałam się tego, ponieważ umówiłam się z nim na kawę, a właściwie na czaj) i tak bardzo przejmował się zarawkami, że wołał nie wymieniać ze mną uścisku dłoni. Następny koleś przez cały nasz spacer (moje standardowe osiemset metrów na poznanie się) opowiadał ze szczegółami o swojej walce z egzemą. Kolejny mężczyzna – zaskakująco przystojny na zdjęciu profilowym – podczas poprzedzającej spotkanie dwugodzinnej rozmowy telefonicznej zapomniał wspomnieć o tym, że jest karłem. Inny chciał poznać (na pierwszym i jedynym spotkaniu) moje nastawienie do seksu grupowego.

– To sprawia, że zaczniesz zastanawiać się nad sobą – oświadczyłam Avie, kiedy mnie poprosiła (zgodnie z moimi przewidywaniami) o wstępny raport dotyczący potencjalnego chłopaka. – Skoro każdy, kogo poznaję, okazuje się kompletnym nieudacznikiem, co mówi to o mnie? Przecież sama ich wybrałam. Przed spotkaniem rozmawialiśmy przez telefon. Ci mężczyźni początkowo wydawali się całkiem w porządku. Co jest ze mną nie tak?

– Jesteś człowiekiem – rzekła Ava. – I optymistką. Zawsze jesteś skłonna zobaczyć w innych to, co najlepsze. To dobra cecha.

Z czasem w ogóle nie miał znaczenia fakt, kim okazywali się ci mężczyźni, dlatego że nawet jeśli nie byli zbyt fajni, a randkę można było uznać za koszmarną, to ja miałam dla Avy i Swifta po prostu ciekawą historię.

Zdarzało się, że w trakcie kolacji z jakimś mężczyzną poznanym na Match.com przyłapywałam się na wyobrażaniu sobie, jak dobrze będę się bawić ze Swiftem i Avą podczas odtwarzania tej sceny w jednej z ich ulubionych restauracji. Jakie to zresztą miało znaczenie? Zależało mi jedynie na moim synu. Fajny facet mógł mi w gruncie rzeczy przeszkadzać...

Ava postrzegala to oczywiście inaczej.

– Ten karzeł mógł się okazać interesujący – stwierdziła. – Prawdopodobnie w ramach kompensacji dysponuje niezwykle umiejętnościami seksualnymi. Możliwe, że jest niesamowitym kochankiem.

– Uważaj na faceta, który obcina włosy zbyt krótko z tyłu – ostrzegł Swift, pokazując na przechodzącego przez ogród konserwatora basenu. Omawialiśmy właśnie jedną z moich zakończonych fiaskiem randek. – Po tym można poznać, że jest posłuszny. W łóżku to wcale nie jest fajne.

Nic nie odpowiedziałam. Ale chłonełam każde ich słowo.

W ogrodzie Havillandów, w towarzystwie butelki zinfandela i jak zawsze wody pellegrino, opowiedziałam o inwestorze budowlanym, który objął mnie tak mocno na parkingu po naszej pierwszej (i ostatniej) kolacji, że miałam wrażenie, iż złamie mi rękę, jeśli będę próbowała się uwolnić. Okazało się, że jest weteranem

wojny w Wietnamie. Dla niego wojna się nie skończyła.

(„Nigdy nie sypiam dłużej niż godzinę – powiedział mi. – Dręczą mnie koszmary. Gdybym miał przy swoim boku kobietę taką jak ty, myślę, że koszmary by się skończyły. – Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa, tak mocno mnie ścisnął. – Chcę się z tobą ożenić – dodał. – Kupię ci wszystko, czego potrzebujesz”).

Tamtego wieczoru, kiedy opowiedziałam im o oświadczeniach weterana, jedliśmy przygotowane przez Avę krewetki. Estella wróciła rankiem z targu z największymi krewetkami, jakie kiedykolwiek widziałam. Usmażone na maśle i czosnku leżały na moim talerzu na świeżym makaronie z groszkiem, a do tego sałatka z młodych zielonych warzyw i sera Humboldt Fog. Nigdy nie byłam amatorką różowego wina, ale teraz, zerkając na wino w kieliszkach Swifta i Avy, poczułam dziwną ochotę, aby się napić. Miało przecudny kolor. Nie różowy jak ten tani sikacz, który Alice rozlewała podczas niskobudżetowych imprez organizowanych przez firmę cateringową, ale delikatnie brzoskwiniowy.

– Nic ci się nie stanie, jeśli spróbujesz – odezwał się Swift, wskazując na butelkę.

Pokręciłam głową.

– Ten facet – rzekła Ava. – Weteran. Co powiedziałaś, kiedy ci się oświadczył?

– Żeby mnie puścił. Ale jeśli chce przez chwilę porozmawiać, to go wysłucham. Powiedziałam, że nie mogę za niego wyjść, no bo go nie znam, a on nie zna mnie. Skończyło się tak, że przez trzy kolejne godziny siedzieliśmy pod restauracją, a on opowiedział mi historię ataku, w którym brał udział. W samym środku dżungli on i jego pluton musieli wykopać ciała zamordowanych żołnierzy piechoty morskiej. A potem nieś je piętnaście kilometrów na plecach.

– Masz wielkie serce, Helen – stwierdziła Ava. – Jest w tobie coś, dzięki czemu inni czują się przy tobie bezpieczni. Ten człowiek może i jest trochę pokręcony, ale jednak dostrzegł w tobie to coś. I ty także mu zaufałaś. Niektórzy uznaliby, że wyciągnie nóż myśliwski i poderżnie ci gardło. Ale tobie nigdy to nie przyjdzie do głowy. Swift i ja musimy wpoić ci pewną zdrową dozę sceptycyzmu, jeśli chodzi o ludzką naturę. Co nie znaczy, żebyśmy cię nie kochali taką, jaką jesteś. Po prostu nie chcemy, aby cię wykorzystywano.

– Świat jest pełen rekinów, Helen – dodał Swift. – Uważam, że znalazłaś nas w samą porę.

Popatrzyłam na nich oboje siedzących naprzeciwko mnie na wyściełanej ławie. Byli na to oczywiście zbyt młodzi, ale przez chwilę pozwoliłam sobie wyobrazić, że to moi rodzice. Nie rodzice, których rzeczywiście miałam. Ale tacy, których żałowałam, że nie mam.

– No więc ten facet ze stresem pourazowym? – zapytał Swift. Z troską

w głosie, jakiej nie doświadczyłam przed poznaniem tej pary. – Jaki miał samochód?

Odparłam, że bmw. Nowiutkie, prosto z salonu, do szyby przyklejone były jeszcze dokumenty.

– Mogło być gorzej – orzekł. – Może powinnaś się jednak nad nim zastanowić?

– Przestań, skarbie – zbeształa go Ava. – Jesteś okropny. Musimy zapewnić Helen wsparcie emocjonalne, a nie kazać jej spiknąć się z jakimś szalonym weteranem tylko dlatego, że ma porządny samochód.

– Oczywiście – zgodził się, znowu pokazując zęby w uśmiechu. – Na chwilę o tym zapomniałem.

W przypadku tamtego weterana z Wietnamu prawda okazała się dla moich przyjaciół wystarczająco interesująca. Jednak gdzieś tymczasem, kiedy zaczęłam zdawać Avie i Swiftowi relacje ze swoich przygód na Match.com, uświadomiłam sobie, że prawdziwe historie są generalnie nudne. Wtedy z odsieczą przyszła moja dawna umiejętność upiększania rzeczywistości albo, w razie konieczności, zupełna jej zmiana, by tylko dostarczyć Havillandom wieczornej rozrywki. Traktowałam to jako swój wkład w te wszystkie drogie kolacje w restauracjach. I wcale nie na jedzeniu mi zależało, lecz na Avie i Swifcie. Niezmiennie zdumiewał mnie fakt, że właśnie mnie wybrali na swoją przyjaciółkę. Byli dla mnie lepszymi kompanami niż jakikolwiek mężczyzna, którego mogłam poznać przez internet.

Był jednak jeden temat, którego raczej nie poruszałam w rozmowach z Havillandami. Temat mojego syna.

Naturalnie opowiedziałam im o Olliem. Wiedzieli o jeździe pod wpływem i sprawie o ograniczenie praw rodzicielskich – kuratorce, okropnym sędzi i wyjazdach w co drugą sobotę do Walnut Creek, aby spędzić kilka godzin z synem, oczywiście jeśli nie bierze akurat udziału w jakichś uroczystościach rodzinnych. Wiedzieli, że jestem winna prawnikowi dużo pieniędzy i że mój eks krzyczy na naszego syna (aczkolwiek w oczach Avy najgorsze w Dwighcie było to, że nie pozwalał Olliemu mieć psa).

Nie wiedzieli o tym, że czasami – nie w dniu mojej wizyty, ale w jakiś dzień powszedni – przez godzinę i piętnaście minut jechałam pod szkołę Olliego, na koniec lekcji, po to tylko, aby zobaczyć go z daleka. Wstrzymywałam oddech, kiedy widziałam, jak wyłania się z budynku z tym swoim za dużym plecakiem i powłócząc nogami, idzie w stronę SUV-a macochy, a twarz ma schowaną w kapturze kurtki jak uczestnik programu ochrony świadków.

Kiedy Ollie był mały, należał do tego rodzaju dzieci, które zagadują nieznanym w supermarkecie i podbiegają do innych dzieci na huśtawkach i drabinkach, aby zapytać, czy mogą się z nimi pobawić. Teraz, kiedy wychodził ze szkoły, prawie zawsze był sam. Choć na schodach przed szkołą aż się roiło od innych dzieciaków, nikt nigdy go nie wołał.

Z determinacją przecinał szkolny dziedziniec i szedł w stronę samochodu Cheri. W ogóle nie było po nim widać, żeby się cieszył, że fajnie będzie, kiedy już do niego wsiądzie. Szedł zgarbiony, z opuszczoną głową, z dłońmi zaciśniętymi w pięści – jakby przedzierał się przez tunel aerodynamiczny albo gradobicie, jakby za rogiem czaiło się coś niedobrego i dlatego przez cały czas musi zachowywać czujność.

Gdy udawało mi się na chwilę dojrzeć twarz Olliego, widziałam napięcie i gniewną minę. Był dla mnie zupełnie niedostępny. Kiedy podchodził do samochodu, wyraz jego twarzy się nie zmieniał, nawet jeśli – co często miało miejsce – w środku w swoim foteliku siedział jego przyrodni brat, Jared.

Ze swojego punktu obserwacyjnego po drugiej stronie ulicy widziałam jedynie tył głowy Cheri; można by pomyśleć, że osoba odbierająca ośmiolatka ze szkoły przynajmniej się odwróci i uśmiechnie do niego, zapyta: „Jak ci minął dzień?” albo zainteresuje się zabraną przez niego ze szkoły pracą wykonaną na zajęciach plastycznych – czymś składającym się z rolek po papierze toaletowym, kartoników po jajkach i patyków od lizaków.

Ale ona nigdy się tak nie zachowała. Przez cały czas siedziała ze wzrokiem wbitym przed siebie, z dłońmi na kierownicy. Ja nie odrywałam oczu od mojego

syna, który siadał sztywno na tylnej kanapie, jak zmęczony staruszek wsiadający do taksówki po bardzo długim locie. Stałam w bezruchu i patrzyłam, jak samochód odjeżdża. I pozostawało mi jedynie czekać na sobotę.

Pragnęłam podbiec do niego, dowiedzieć się o wszystkim, co przytrafiło mu się tego dnia. Chciałam przytulić Olliego i wrócić razem z nim do domu, zabrać go na lody i tam poprosić, aby mi wytłumaczył, o co chodzi z tą kartonową konstrukcją, i śmiać się, kiedy opowie jakiś kiepski dowcip krążący wśród drugoklasistów. Ale to nie była pora moich odwiedzin, a zresztą – i to w tym wszystkim najsmutniejsze – wiedziałam, że na mój widok Ollie okazałby równie mało entuzjazmu jak na widok macochy. Wyglądał jak ktoś, kto uważa, że jest na tym świecie zupełnie sam. Doskonale znałam to uczucie.

Przynajmniej raz w tygodniu, jeśli byłam akurat u nich w okolicach siedemnastej trzydziści czy osiemnastej, jedno z Havillandów – czasem Ava, czasem Swift – proponowało, abym została na kolacji.

– Zjesz z nami, prawda? – zapytała Ava tego pierwszego razu, kiedy mnie zaprosiła.

Nigdy nie miałam żadnych planów. A gdyby nawet, tobym je zmieniła.

Zapraszali mnie na kolację, którą jedliśmy w restauracji albo w domu. Ale zawsze o dość wczesnej porze.

O dwudziestej trzydziści udawali się do sypialni. Nie spać, ale do łóżka, dodawała Ava. Swift zawsze ją najpierw masował.

– Nie pozwalamy, aby cokolwiek zakłóciło nam czas tylko dla nas – zwierzyła się Ava. – Nawet psy.

Próbowałam sobie wyobrazić, jakby to było kończyć każdy dzień w taki sposób. Z mężczyzną, który uwielbia wmasowywać oliwkę w moje ciało. I nie tylko to. Pomyślałam z przygnębieniem, że choć nasza trójka jest sobie taka bliska, między mną a Havillandami istnieje mur. I zawsze będzie istnieć. Czy mogło być inaczej? Ja byłam dziewczynką z zapałkami, która przyciskając nos do szyby, obserwowała ciepły stół zastawiony jedzeniem i płonący w kominku ogień. Może niezupełnie tak było... Nie mogłam pojąć tej niewyobrażalnej zażyłości między nimi. Oczywiście miło było z ich strony, że tak często zapraszali mnie do wspólnego stołu. A jedzenie zawsze okazywało się przepyszne.

Na Folger Lane nie tylko Estella świetnie gotowała. Ava także była doskonałym kucharzem, takim, który nie trzyma się ściśle przepisów, tylko po prostu otwiera lodówkę i dobiera składniki niemalże od niechcienia, by zawsze uzyskać powalający efekt. Lodówka i spiżarnia zapewniały ogromny wybór: najprzeróżniejsze warzywa z targu, świeże pieczywo, sery pleśniowe i doskonałej jakości oliwa z oliwek, ocet balsamiczny, pięć smaków ręcznie pakowanych włoskich lodów.

W te wieczory, kiedy Ava nie miała nastroju do gotowania, Swift sugerował, abyśmy zjedli we troje na mieście. Havillandowie nie należeli do osób odwiedzających modne restauracje w centrum, mieli swoje ulubione lokale w niedalekiej odległości od Folger Lane – restaurację birmańską, gdzie właściciel zawsze przydzielał nam specjalny stolik, do którego Ava miała łatwy dojazd, i dawał do spróbowania ciekawe dania, które nie znajdowały się nawet w menu, oraz Vinny's, gdzie często się stołowaliśmy. Kiedy już na stole pojawiało się wino – i woda mineralna dla mnie – Swift unosił kieliszek i uśmiechał się szeroko. Wiedziałam, co wtedy nastąpi. Kolejne pytania dotyczące moich randek. A może i seksu. Moje doświadczenia z poznawanymi przez internet mężczyznami stały się

dla Swifta ulubionym tematem rozmów, a jako że był to ulubiony temat Swifta, no to i Avy.

Nie byłam pewna dlaczego, ale zaczęło mnie to niepokoić. Wyczuwałam, że w pewien sposób, którego nie potrafiłam zrozumieć, ta para czerpie przyjemność, a może się nawet ekscytuje słuchaniem o moich nietrafionych znajomościach. Choć to całe moje randkowanie było raczej nędzne – spotkania w Starbucks czy Peet's, albo w jakimś barze, gdzie pierwsze, co musisz zrobić, to wybadać, czy siedząca tam osoba to rzeczywiście facet, z którym się umówiłaś, nawet jeśli wygląda na dziesięć kilo i dziesięć lat więcej – słuchanie moich opowieści nie przestawało ich bawić.

Pojawił się jednak problem. Nie wiedziałam, skąd mam je brać. Ostatnio myślałam o tym, żeby usunąć z Match.com swój profil, gdybym to jednak zrobiła, co bym opowiadała Havillandom podczas wspólnych wieczorów?

– No to powiedz nam o tym facecie, z którym umówiłaś się wczoraj – poprosił Swift, kiedy pewnej soboty zasiedliśmy przy naszym ulubionym stoliku w restauracji birmańskiej. Dla siebie i Avy zdążył zamówić butelkę cabernet, a dla mnie jak zawsze pellegrino. Kiedy zbliżył kieliszek do ust, wiedziałam, że muszę coś wymyślić. Prawda okazałaby się przygnębiająca, ale dla Havillandów mogłam ją odpowiednio podkolorować.

Minął rok, odkąd miałam profil na Match.com, i szanse na poznanie w ten sposób porządnego mężczyzny wydawały się bliskie zeru, nawet gdyby rzeczywiście zależało mi na związku. Ale nie chciałam sprawiać przyjacielom zawodu.

Tamtego wieczoru, kiedy Swift zadał pytanie, poczułam dziwny impuls. Nie do końca nowy, być może jedynie ukryty gdzieś w podświadomości. Musiałam przedstawić swoje życie w taki sposób, aby się wydawało bardziej fascynujące, niż w rzeczywistości było.

– Nie wiem, czy powinnam wam o tym mówić – rzekłam, ścisząc głos i wbijając wzrok w serwetkę. – Nie chcę, żebyście źle o mnie myśleli. To trochę... pokręcone.

Na ich twarzach pojawił się błysk ekscytacji. Ava sięgnęła po kieliszek. Swift odłożył pałeczki, których używał zamiast sztućców.

– Pokręcone?

Przypomniały mi się historie, które przed laty opowiadałam po to, aby ukryć wstydliwą prawdę o tym, kim naprawdę jestem. Wymyślałam tragedie, aby tłumaczyć nieobecność moich rodziców i zdobyć współczucie i jednocześnie podziw, oraz stworzyć alternatywną wersję żalosalnej rzeczywistości. (Moja babcia, Audrey Hepburn. Nieuleczalna choroba, przez którą nie miałam dożyć dwudziestych siódmych urodzin. Brat, który mnie uratował, kiedy nasz kajak wyrócił się podczas spływu, a którego potem porwał nurt. Raz, podczas randki

z facetem, z którym nie miałam ochoty więcej się spotykać, opisałam rzadką chorobę, na którą cierpię: kiedy uprawiam seks, moje ciało pokrywa się sączącymi się ranami).

Tamtego wieczoru w restauracji po raz kolejny poczułam dreszczyk wyczekiwania. Pragnęłam uraczyć Swifta i Avę frapującą historią, dzięki której wydam im się bardziej interesująca. Pomyślałam o *Baśniach z tysiąca i jednej nocy* – książce, którą dawno temu czytałam Olliemu, gdy leżeliśmy razem na sofie – oczami wyobraźni ujrzałam Szeherezadę, snującą swoje historie ze świadomością, że w chwili, kiedy przestanie to robić, król każe ją ścinać.

– Naprawdę nie powinnam wam mówić – szepnęłam, tak aby nie słyszeli ludzie przy sąsiednim stoliku. Nikt oprócz Avy i Swifta, którzy od razu nachylili się w moją stronę. – Nigdy dotąd nie zrobiłam czegoś takiego. Uznacie pewnie, że jestem okropna.

Tyle że na pewno tak się nie stanie. Byli moimi przyjaciółmi na śmierć i życie. Dwojgiem ludzi, którzy bez względu na wszystko troszczyli się o mnie i akceptowali.

– Tyle że to takie... niegrzeczne – dodałam.

W oczach Swifta pojawił się błysk – jak u psa wyczuwającego mięso albo krew.

– Daj spokój, Helen – powiedział żartobliwie, ale w jego głosie pobrzmiwała nutka wyczekiwania.

– No dobrze – rzekłam z wahaniem. – Ale to takie trudne...

– Skarbie – odezwała się Ava. – To przecież my!

Milczałam przez długą chwilę. Odetchnęłam głęboko, po chwili raz jeszcze.

– Wracaliśmy z kina – zaczęłam swoją opowieść. – Odwoził mnie do domu, ale powiedział, że chce po coś zajechać do Safewaya tuż przed samym zamknięciem. Po żarówki. Nie pytajcie mnie dlaczego.

Kiedy zaczęłam opowiadać, wzrok miałam wbity w obrus, jak osoba, która czuje zbyt duże skrępowanie, aby patrzeć rozmówcom w oczy, potem jednak spojrzałam na przyjaciół i dostrzegłam na ich twarzach tego rodzaju zainteresowanie i przejęcie, które w normalnych okolicznościach widoczne by było u mnie, a nie u moich rozmówców. To jedna z rzeczy, które w niej kochałam, fakt, że Avę zawsze interesowało to, o czym jej opowiadałam, niemniej jednak dzisiejszego wieczoru doświadczałam czegoś nowego: zdobyłam całą ich uwagę. Podobało mi się to uczucie.

– Nie licząc paru kasjerek, market był pusty – kontynuowałam, zniżając głos niemal do szeptu. – Kiedy tam weszliśmy, zaczęto już powoli gasić światła.

Przez chwilę milczałam. Słyszałam oddech Swifta.

– Zaprowadził mnie na sam koniec sklepu. Tam, gdzie znajdują się rzeczy takie jak przedłużacze. I oczywiście żarówki.

Kolejna pauza. Teraz ja także wstrzymywałam oddech, jakbym miała problem z wydobyciem z siebie kolejnych słów.

– Wsunął mi dłonie pod spódnicę – wyznałam. – Ściągnął z półki przedłużacz i owinął mi nim nadgarstki. Kazał się pochylić.

– W Safewayu? – zapytała Ava. – Między regałami? – Głos miała ściszony, była podekscytowana. Siedzący obok niej Swift swoją dużą dłonią głaskał ją po karku.

– Nikogo oprócz nas nie było. Za kilka minut zamykano sklep. Było dość ciemno.

– Niemniej jednak.

– Miałaś na tego faceta ochotę? – zapytał Swift. – Trochę się obściskiwaliście najpierw w samochodzie, w ramach, powiedzmy, gry wstępnej?

Pokręciłam głową.

– Aż do tamtego momentu nie dotknął mnie nawet palcem. Właściwie to był taki jakiś chłodny. Powściągliwy. Ale nagle coś się zmieniło. Nawet jego głos. Stał się niski i chropawy. Zdjął z półki coś jeszcze. Szpachlę.

– Ty chyba żartujesz – wyrzuciła z siebie Ava.

– Nie.

– A potem to zrobił? – chciał wiedzieć Swift. – Aż do końca?

W tym momencie wciągnęłam głośno powietrze i przyłożyłam dłoń do ust, jakbym przeżywała wszystko jeszcze raz.

– A żebyś wiedział – odparłam. – Nigdy wcześniej nie przeżyłam czegoś takiego.

Spojrzałam mu wtedy prosto w oczy. Czulałam się jak zupełnie inna osoba. Fascynująca osoba.

– Muszę poznać tego kolesia – oświadczył Swift.

Aż do teraz udawało mi się mieć taki wyraz twarzy, jaki chciałam: bardzo poważny, szczerzy i lekko zboląły. Jak nie ja. Teraz nie wytrzymałam. Wybuchnęłam śmiechem i przez ułamek sekundy zastanawiałam się, czy nie przeholowałam. Swift mógł się przecież wkurzyć, że zrobiłam z niego głupca. Ale nie.

– Naprawdę udało ci się mnie nabrać – przyznał, kręcąc głową. A potem on także zaczął się śmiać swoim tubalnym śmiechem, który usłyszałam tamtego pierwszego wieczoru z drugiego końca galerii. – Chylę czoło, Helen.

Ava odetchnęła wtedy – wyglądało na to, że po raz pierwszy od paru minut.

– Wiele się w tobie kryje, Helen – stwierdziła. – Nie podejrzewałamby cię o to.

– Byłabyś świetna w pokera – orzekł Swift. – Albo na Wall Street. Jesteś osobą, o której marzą adwokaci, dlatego że mogą cię powołać na świadka, a ty powiesz wszystko, co tylko chcą, i zrobisz to tak, że w każdej sylabie będzie

słyszeć prawdę. Szczerą prawdę. – Jego duża dłoń nie przestawała gładzić delikatnego karku Avy.

Przez całą wiosnę co parę tygodni Havillandowie wydawali przyjęcie i nie licząc kilku wyjątków, na liście gości znajdowały się zawsze te same osoby. Łącznie ze mną.

Dziwne, że choć członków tej grupy łączyła jedynie ich przyjaźń z Avą i Swiftem, przyjęcia zawsze okazywały się udane. Raz Ava wynajęła jasnowidza, który krążył między gośćmi, przepowiadając im przyszłość z naciskiem na seksualny aspekt życia. Innym razem obok basenu wylądował helikopter, wysiadło z niego czterech muzyków reggae i zaczęło grać na przygotowanych wcześniej gitarach i perkusji. Był też połykacz ognia i dwaj tancerze breakdance, których Ava wypatrzyła na ulicy w San Francisco i z miejsca wynajęła. Pewnego razu gospodarze przytwierdzili nam do pleców nazwiska znanych osób i musieliśmy zadawać pytania innym gościom, dopóki nie odgadliśmy, kim jesteśmy. Okazało się, że ja to Monica Lewinsky. Swift był Tedem Bundym, tym seryjnym zabójcą. Na jedno z przyjęć wynajęli magika, w cylindrze którego na zakończenie występu jakimś cudem znalazł się stanik Avy, innym razem zaprosili zespół rockowy, grający hity z czterech ostatnich dekad. Każdy z gości brał po kolei mikrofon i śpiewał wybraną przez siebie piosenkę. Ja poprosiłam o *Time After Time* Cyndi Lauper.

Gdyby nie Havillandowie, nigdy bym nie poznała tych wszystkich ludzi. Łączyła nas dziwna więź. Nie przyjaźń, lecz świadomość, że jesteśmy nieprawdopodobnymi szczęściarzami, mając za przyjaciół takie osoby jak Ava i Swift.

Jednym z gości zawsze obecnych na przyjęciach na Folger Lane był Ernesto, masażysta Avy, postawny mężczyzna o śniadej cerze, który ubierał się na czarno i miał dłonie wielkości pięciokilowych szynek. Chuda, blada kobieta, Ling, odmierzająca dla Swifta chińskie zioła na długowieczność, zjawiała się w towarzystwie męża o imieniu Ping. Nie miałam pewności, czy on w ogóle mówi po angielsku, ponieważ nigdy się nie odzywał. Przychodziła także para lesbijek, Renata i Jo, które pracowały w branży budowlanej i poznały się z Avą i Swiftem, kiedy instalowały w ich domu te wszystkie udogodnienia dla niepełnosprawnych. Bobby – przyjaciel Swifta jeszcze z dzieciństwa – mieszkał dwie godziny jazdy samochodem stąd, w Vallejo zawsze bywał z kobietą, z którą aktualnie się spotykał. (Taki już był Swift. Nigdy nie odwracał się od przyjaciół. Nieważne, że Bobby pracował w składzie budowlanym jako operator wózka widłowego i mieszkał w kawalerce. On i Swift byli najlepszymi przyjaciółmi i to się nie zmieni).

Zawsze niedaleko szczytu stołu siadał prawnik Swifta, Marty Matthias. Marty pochodził gdzieś ze Wschodu – możliwe, że z Pittsburgha – i choć

Kalifornia była jego domem od dwudziestu pięciu lat, nie udało mu się wyzbyć cech mieszkańca Środkowego Wschodu. Nie grał w tenisa. Wolałby poddać się torturom, niż wyruszyć na pieszą wycieczkę. Kiedy zapytałam go raz, jakie prawo jest jego domeną, odparł, że takie, jakie akurat potrzebne jest jego kumplowi, żeby trzymać go z dala od kłopotów. Traktował Swifta z psim oddaniem, zresztą z wzajemnością.

– Ten człowiek – powiedział raz Swift podczas przyjęcia, wznosząc toast za Marty’ego i jego mistrzowską prawniczą sztuczkę, której niedawno użył, by pomóc Swiftowi – ten człowiek prędzej odgryzłby komuś ucho, przeżuł je i połknął, niż pozwolił mi zapłacić fiskusowi więcej dolców niż to konieczne. Zgadza się, Marty?

Na przyjęciach pojawiali się także przyjaciele Avy, Jasper i Suzanne, stylowi i atrakcyjni marszandzi z centrum. Niedawno – ale jeszcze zanim wzięli pod swoje skrzydła mnie – Havillandowie zaprzyjaźnili się ze zbliżającą się do osiemdziesiątki kobietą, Evelyn Couture, owdowiałą miłośniczką psów, właścicielką ogromnego domu w Pacific Heights. Przywoził ją tutaj osobisty szofer. Na początku wydawało się, że nieszczerólnie pasuje do tych imprez, ale przepadała za Swiftem, a on zawsze sadzał ją obok siebie przy długim, przykrytym lnianym obrusem stole. Tego wieczoru, kiedy wynajął zespół do karaoke, Evelyn wstała i zaśpiewała *How Much Is That Doggie in the Window?*

Poza stałymi bywalcami przyjęć zawsze pojawiał się ktoś nowy – ktoś, kogo Ava poznała podczas spaceru z psami albo w kolejce po kawę w Starbucks, a do kogo zapałała natychmiastową sympatią. Sama mogłabym być jedną z takich osób, tyle że ja szybko i w czarodziejski sposób trafiłam na następny poziom, czyli właśnie do grona stałych bywalców. Martwiłam się, że nie będę wiedziała, co mam mówić, zupełnie jednak niepotrzebnie. Większość tak bardzo lubiła opowiadać o sobie, że z otwartymi ramionami witali kogoś, kto ich słuchał.

Choć zarówno Estella, jak i Ava świetnie radziły sobie w kuchni, na te przyjęcia zawsze wynajmowano firmę cateringową. Po to, żeby się nie stresować. Jedyne, co było na głowie Estelli, to przygotowanie i roznoszenie półmisek z oliwkami, salami, serem i pieczonymi karczochami z North Beach oraz tartinek z kawiozem. Do pomocy w sprzątaniu kuchni ściągała na ogół Carmen, która nie rozstawiała się z podręcznikami, na wypadek gdyby w kuchni panował akurat przestój i mogła się trochę pouczyć. Nawet kiedy zmywała naczynia czy podłogę, w uszach miała słuchawki i słuchała audiobooków. Powiedziała mi, że stara się poprawić swój angielski. Nie chciała mówić z obcym akcentem, i nie mówiła.

Kiedy po raz pierwszy wzięłam udział w jednym z przyjęć Avy i Swifta, przyniosłam bukiet gerber, nie wiedząc, że Ava do każdego pomieszczenia w domu zamówiła wymyślne kompozycje kwiatowe. Następnym razem, kiedy zapytałam, jak mogłabym pomóc, Ava zasugerowała, żebym wzięła ze sobą aparat.

– Zawsze chciałam w jakiś sposób udokumentować te nasze spotkania

– powiedziała. – Ale bez żadnego pozwania. Chodzi mi bardziej o coś w reporterskim stylu. Czarno-białe zdjęcia. Tak jak u tej fotografki, Sally Mann, która przez lata robiła fantastyczne, naturalistyczne zdjęcia swoich nagich dzieci.

Oczywiście spełniłam jej prośbę. Miałam przy stole swoje miejsce, ale rzadko je zajmowałam, wtedy i podczas wszystkich kolejnych przyjęć, no bo zawsze robiłam zdjęcia i chciałam uchwycić te najbardziej nieoczekiwane momenty. Wślizgiwałam się do kuchni, gdzie Estella i Carmen zmywały naczynia, albo szłam nad basen, gdzie goście lubili się czasem kręcić, albo do biblioteki, w której Ava przesiadywała przy kominku, rozmawiając z kimś, kto akurat chciał jej się z czegoś zwierzyć, a wolał nie robić tego wśród innych gości. W przeciwieństwie do Swifta, który uwielbiał dynamikę całej grupy, jego żonę bardziej interesowały długie i wnikliwe rozmowy sam na sam.

A ponieważ wiedziałam, co Ava czuje do swoich psów, chodziłam także za Sammym, Lillian i Rocco, starając się zrobić im zdjęcia, które różniłyby się czymkolwiek od setek, które już istniały. Fotografując, potrafiłam stać się niemal niewidzialna – jak stwierdziła Ava – i byłam w tym bardzo dobra nawet wtedy, kiedy nie robiłam zdjęć. Z wyjątkiem Rocco, który nadal warczał na mój widok, nikt zdawał się nie zauważać, że robię mu zdjęcie.

Z okazji święta Cinco de Mayo Ava naszykowała ozdobną meksykańską suknię dla Estelli; miała ją włożyć podczas serwowania mole[4]. (Oczywiście była Gwatemalką. Avie to w ogóle nie przeszkadzało). Jasper i Suzanne przyprowadzili ze sobą jedną z artystek wystawiających w ich galerii – piękną młodą kobietę o imieniu Squrl. Po kolacji udałam się w stronę altany nad basenem, bo wpadłam na pomysł, żeby sfotografować całe przyjęcie z oddali. Gdy tam stałam i robiłam zdjęcia, usłyszałam za sobą jakiś dźwięk. Odwróciłam się i przez oszklone drzwi zajrzałam do środka – zasłona tylko częściowo je zakrywała.

Zaledwie parę chwil wcześniej robiłam w domu zdjęcia mężowi Suzanne, Jasperowi, który rozwodził się na temat ich zbliżającego się udziału w Art Basel. Teraz przez cienki materiał zasłony dojrzałam Suzanne i Squrl, leżące na miękkim tybetańskim dywanie, obie prawie nagie, splecione w namiętym uścisku. Uznałam, że nie o takie ujęcia chodziło Avie, kiedy wspomniała o fotografiach Sally Mann, i oddaliłam się, nim zdążyły zauważyć moją obecność.

Przez obiektyw miałam okazję widzieć też inne rzeczy. Na końcu ogrodu stałam się świadkiem czegoś, co wyglądało jak bardzo nieprzyjemna kłótnia między Ling a Pingiem. Zobaczyłam, jak Estella chowa do torebki kawał antrykotu. Jednak chyba najbardziej się zdziwiłam – próbując pod stołem zrobić zdjęcie portretowe Lillian – na widok mięsistej dłoni Ernesta spoczywającej na chudym białym udzie zielarki Ling, gdy tymczasem jej siedzący obok mąż bezgłośnie przeżuwał mięso...

Nie opowiedziałam o tym wszystkim Avie. A choć takie zdjęcia mogłyby się

okazać interesujące, nie zrobiłam ich. Moje własne życie mogło stanowić przedmiot rozrywki dla rozmówców podczas koktajli, ale intymne sekrety innych ludzi to nie moja sprawa. Tego rodzaju ujęcia po prostu wykasowywałam.

Pewnego wieczoru, kiedy goście zgromadzili się na patio wokół długiego stołu z drewna tekowego, Estella postawiła na środku złoty półmisek z deserem, który nazywał się bananoster[5]. Ava wyciągnęła nad stołem swoją smukłą, chudą rękę i za pomocą bardzo długiej zapalki podpaliła deser, tak że brzegi półmiska zaczęły lizać płomienie.

Przyglądałam się wtedy twarzy Avy: temu, jak pięknie wygląda taka podświetlona. Próbowalam uchwycić to wszystko dzięki aparatowi: płonące banany, zachwyty na twarzach zgromadzonych za stołem gości. Wokół nas unosił się dym, jakbyśmy wszyscy byli pasażerami luksusowego liniowca płynącego przez Cieśninę Magellana albo okrążającego jakąś grecką wyspę, na którego pokładzie jarzą się wszystkie możliwe światła. Kapitanem tego statku był oczywiście Swift.

Oto siedział u szczytu stołu, dowodząc wszystkim, opierając się wygodnie na krześle, z kubańskim cygarem w białych zębach i dłonią gładzącą jakąś część ciała Avy (kolano, łokieć, ucho), niemal tak, jakbyśmy byli ich dziećmi, a oni rodzicami, którzy dali nam życie. Co, na swój sposób, było prawdą.

Pewnego wieczoru, kiedy Carmen sprzątała ze stołu – butelkę po winie Far Niente, skorupy homarów – Swift poprosił nas, abyśmy przeszli do ogrodu, gdzie każdemu wręczono latający latarnia wielkości małego latawca, który zapaliliśmy, a potem puściliśmy w powietrze... Latarnie wznosiły się powoli coraz wyżej – najpierw ponad dach, następnie ponad drzewa, by w końcu zawisnąć na nocnym niebie, aż miałam wrażenie, że tutaj, na Folger Lane, my utworzyliśmy zupełnie nową konstelację.

Nikt z nas nie zapytał (no bo przecież przepisy przeciwpożarowe i w ogóle), jak to jest możliwe. W świecie Swifta i Avy wszystko wydawało się możliwe. W kuchni gwatemalska matka i jej urodzona w Ameryce córka wyrzucały akurat do śmieci resztki naszej wyśmienitej kolacji. (Nie dawano ich psom. Zbyt tłuste). A my staliśmy w ciemnościach wokół połyskującego turkusem basenu, obserwując, jak migające latarnie wznoszą się w stronę gwiazd. Świeciły się całkiem długo. Kiedy zgasł ostatni, udaliśmy się wszyscy do domu na kieliszek szampana i czekoladowy suflet, serwowany na talerzykach razem z kleksem kwaśnej śmietany i jedną idealną maliną. Następnie powoli, gość po gościu, żegnaliśmy się i wracaliśmy do swojej skromnej rzeczywistości, daleko od tej dziwnej i pięknej ziemi obiecanej stworzonej przez dwójkę naszych niezwykłych przyjaciół. Myślę, że wszyscy byliśmy wdzięczni za to, że przez kilka godzin mogliśmy chodzić po ziemi jak znużeni podróżnicy, których dobre wiatry przywiały na ten odległy i olśniewający ląd. Na żadnym spośród setek, tysięcy zdjęć, które tam robiłam, nie

dało się uchwycić, co czułam, przebywając w tym miejscu i w towarzystwie tej magicznej pary.

Wiadomości na moim profilu randkowym były niezmiennie tak zniechęcające, że sama się ich zaczęłam bać. Aż nagle pewnego wiosennego dnia, mniej więcej w czasie, kiedy w ogrodzie Avy zaczęły wyrastać tulipany, włączyłam laptop i w skrzynce znalazłam krótką wiadomość, inną od pozostałych.

Jej nadawca (mężczyzna o nicku FacetOdCyferek) napisał, że przyjrzał się uważnie mojemu profilowi i („po dokładnej analizie”) uznał, że istnieje niewielka szansa („pamiętaj, że przemawia przeze mnie pesymista”) na to, że się dogadamy. Albo przynajmniej, jak to określił, nasze spotkanie może okazać się ciut mniej okropne niż cała reszta.

Trudno było określić, czytając jego wiadomość, czy to kompletny palant, czy może próbuje być zabawny. Pewnie jedno i drugie.

Na imię miał Elliot i skończył czterdzieści trzy lata – według mnie wiek doskonale pasujący do moich trzydziestu ośmiu. Rozwiedziony, dzieci brak.

„Jeśli mam być szczerzy, to nie wyszłaś korzystnie na swoim zdjęciu – napisał. – Podejrzewam, że nie oddaje rzeczywistości. Ale Twoja twarz od razu mi się spodobała, mam także przeczucie, że jesteś osobą, która bagatelizuje swoje dobre cechy. Może wyczułem to, ponieważ sam taki jestem”.

Jeśli wierzyć jego zdjęciu (a doświadczenie ze zdjęciami profilowymi tak wielu mężczyzn nauczyło mnie ostrożności), Elliot był całkiem przystojny, w taki lekko niemodny sposób: raczej szczupły, z widocznie zaokrąglonym brzuchem. Wyglądał na faceta, który prawdopodobnie posiada całą szufladę białych skarpetek, bo wyznaje zasadę, że dzięki temu po zrobieniu prania nie będzie miał problemu z ich dopasowaniem. Miał jeszcze większość, a może nawet i wszystkie włosy. Napisał, że ma metr osiemdziesiąt wzrostu. („Wspomniałaś, że lubisz tańczyć, a widzę, że masz metr sześćdziesiąt. Ufam, że przez swoją filigranowość nie skreślisz mnie jako partnera do tańca, jako że zdarza mi się słyszeć, że moja postura nie należy do idealnych”).

Uśmiechnęłam się na te słowa. I wcale nie dlatego, że uznałam autora tej wiadomości za niedorzecznego kandydata na obiekt moich uczuć albo za doskonały temat do zabawiania Swifta i Avy podczas naszej następnej kolacji. Prawdę mówiąc, spodobał mi się ten Elliot.

„Tak na marginesie, nie jestem bogaty, ale posiadam przytulne mieszkanie w Los Gatos i mało prawdopodobne jest, aby w najbliższym czasie zwolniono mnie z pracy, jako że jestem swoim własnym szefem”.

Napisał, że jest księgowym.

„Wiem, straszna nuda, co? Nie zdążysz się obejrzeć, a dowiesz się, że interesuje mnie genealogia. A wiesz? Rzeczywiście interesuje”.

Siedem lat temu zakończyło się jego trwające dwanaście lat małżeństwo.

Obyło się bez żadnego dramatyzmu. On i jego była żona, Karen, pozostali przyjaciółmi. „Po prostu oddaliśmy się od siebie – napisał. – Zwyczajnie... ale w tym akurat wypadku wolę być zwyczajny niż stanowić część jednej z tych historii, w których dwoje ludzi wysyła sobie nienawistne anonimy i obmyśla sposoby na zamordowanie eksmałżonka”.

„Tak sobie zgaduję, że choć się z tym nie afiszujesz, dobry z Ciebie fotograf – kontynuował. – Wnioskuje to nie z Twojego zdjęcia profilowego, ale tych dodatkowych fotek, które, jak rozumiem, są Twojego autorstwa. Jeśli zaś chodzi o to zdjęcie przedstawiające Ciebie i Twoją przyjaciółkę, cóż, co mogę powiedzieć? Coś w Twoich oczach kazało mi kilkakrotnie wrócić do niego dzisiejszego wieczoru. Patrząc na Ciebie na tym zdjęciu, powiedziałem na głos – mimo że w pokoju byłem zupełnie sam – że podoba mi się ta kobieta. Jednak być może większe znaczenie ma fakt, że kiedy czytałem Twój profil, dotarło do mnie, że się uśmiecham. Muszę Ci to powiedzieć: piękna z Ciebie kobieta”.

Przez chwilę sądziłam, że może pomylił mnie z Avą. Dlatego że Ava wyglądała na tym zdjęciu oczywiście świetnie. Zresztą jak zawsze.

Wtedy przeczytałam kolejny wers jego wiadomości, napisany jakby w odpowiedzi na moją myśl.

„I niech Ci się nie wydaje, że pomyliłem Cię z przyjaciółką. Choć jestem przekonany, że to urocza osoba. Ale mówię o Tobie, tej spokojnej, którą cechuje pewien smutek, lecz i umiejętność przeżywania prawdziwej radości. Ta kobieta po prawej stronie – rzeczywiście byłem to ja – jest tą, którą mam nadzieję namówić na wspólną kolację. Oby niedługo”.

Przed spotkaniem z osobą poznaną na portalu randkowym zawsze rozmawiałam z nią przez telefon. Taką miałam zasadę. Można wiele powiedzieć o człowieku na podstawie jego głosu, łącznie z tym, że nie ma się ochoty go poznać. (Nie wszystko da się wykryć, stąd tyle katastrofalnych randek w ciemno).

Kiedy jednak odpisałam Elliotowi, on zasugerował, żebyśmy pominęli punkt z telefonem i od razu spotkali się na kolacji. Uspokoiło mnie, kiedy napisał, że ten akurat wieczór ma zajęty (ponieważ zaczęło mi świtać, że może to jakiś dziwacznym stalker; przyznał się, bądź co bądź, do tego, że przez cały wieczór wchodził na Match.com i oglądał moje zdjęcia). Chciałam faceta, który ma przyjaciół.

„Jutro także jestem zajęty, choć wolałbym oczywiście spotkać się wtedy z Tobą. Co powiesz na piątek?”

Piątek był jednym z tych wieczorów, które Swift, Ava i ja często spędzaliśmy razem, więc się zawahałam. A potem zganiłam się w duchu. Wiedziałam, że nieco absurdalne jest odrzucenie zaproszenia na kolację z całkiem atrakcyjnym mężczyzną, sprawiającym wrażenie normalnego, który wydawał się mną autentycznie zainteresowany, tylko z takiego powodu, że moi przyjaciele mogą zdecydować w ostatniej chwili, że mają ochotę uwzględnić mnie w swoich planach.

Odpisałam więc, że piątek mi odpowiada.

„Chętnie bym po Ciebie przyjechał – napisał Elliot. – Ale rozumiem, że wolałabyś nie podawać swojego adresu komuś, kogo nie znasz. Tak więc tym razem spotkajmy się na miejscu”.

Rozpoznałam go od razu, gdy weszłam do restauracji. Często mężczyźni poznani przez internet w ogóle nie są podobni do siebie ze zdjęcia. Ale Elliot wyglądał dokładnie tak samo. Gdy podeszłam do stolika, on wstał. Nieprawidłowa postawa: to prawda. Ale miał ładne włosy, a w jego oczach malowała się życzliwość. Wsunął dla mnie krzesło.

– Nie mogę się powstrzymać – zaczął. – Po prostu muszę ci to powiedzieć. Czekałem na to spotkanie od chwili, gdy zobaczyłem twoje zdjęcie.

Tamtego wieczoru jako ostatni opuściliśmy restaurację, a kiedy odprowadził mnie do samochodu, ujął moje ramię, ale zupełnie inaczej niż tamten weteran z Wietnamu, który mi się oświadczył. Zdecydowanie, ale czule.

– Chciałbym cię pocałować – rzekł. – Musisz mi powiedzieć, czy to dla ciebie problem.

– W żadnym razie – odparłam.

Potem stał i mi się przyglądał.

– Chcę zapamiętać tę chwilę ze wszystkimi szczegółami – oświadczył. – Co nie znaczy, aby istniało prawdopodobieństwo, że ją zapomnę.

– Ja także spędziłam miły wieczór – przyznałam.

Normalnie już dawno zauważyłabym co najmniej jedną problematyczną kwestię zniechęcającą do kontynuowania znajomości. Ale jedyne, co mnie niepokoiło w Elliocie, to zaskakująca intensywność jego uczuć do mnie. To niemożliwe, żebym tak działała na jakiegokolwiek mężczyznę. Nigdy dotąd tak nie było.

Podczas wieczoru spędzonego z Elliotem zaskoczyło mnie jeszcze jedno odkrycie. Po raz pierwszy, odkąd zaczęłam regularnie jadać kolacje w towarzystwie Swifta i Avy, nie notowałam w myślach wszystkich zabawnych i absurdalnych rzeczy, które później będę im mogła opowiedzieć.

Elliot zapytał, czy wspólna kolacja następnego wieczoru to dla mnie za szybko.

– Mógłbym udawać, że wcale nie jestem tak bardzo tobą zainteresowany. Ale nie rozumiem, czemu miałbym to robić.

Odparłam, że jutrzejszy wieczór mi pasuje. Wcześniej planowałam wyjazd do Walnut Creek, ale jak zwykle Dwight przysłał mi dziś po południu mejla z wiadomością, że on i reszta rodziny McCabe'ów spotyka się w Sacramento, aby świętować urodziny Jareda. Oczywiście Ollie też.

– Nie chcę cię wystraszyć swoimi słowami – rzekł Elliot – ale to najlepsza randka, na jakiej byłem.

– Muszę ci coś powiedzieć, nim sprawy pójdą dalej. – Nadal staliśmy na parkingu. Podczas kolacji poruszyliśmy wiele tematów, ale nie ten dla mnie najważniejszy. – Mam syna. Ośmioletniego. Nie mieszka ze mną, nad czym bardzo ubolewam. Ponad trzy lata temu straciłam prawo do opieki nad nim. Nie miałabym do ciebie żalu, gdybyś teraz musiał poważnie zastanowić się nad naszą znajomością.

Przez długą chwilę Elliot stał w milczeniu. Nie spieszył się z odpowiedzią.

– To wszystko świadczy – odezwał się w końcu – że sporo w życiu przeszedłeś. Jak większość z nas, o ile jesteśmy szczerzy. Mam nadzieję, że podczas następnego spotkania uznasz, że możesz mi o tym opowiedzieć.

– Próbuję wyprostować sytuację z Olliem, ale to nie takie łatwe.

– Słuchaj, uważam się za człowieka rozsądnego. Ale lepiej powiem ci to teraz. Oszaleję na twoim punkcie. Pewnie już oszalałem. Tylko nad jednym się teraz zastanawiam: czy poczujesz to samo do mnie.

Ava zadzwoniła nazajutrz z samego rana.

– No i? – zapytała. – Jest już wpół do dziesiątej. Czemu cię u nas jeszcze nie ma? Swift i ja chcemy poznać szczegóły.

– Sądziłam, że możecie być jeszcze na targu – odparłam.

Nie do końca byłam szczerą. Prawda – bezprecedensowa – była taka, że zapomniałam o naszym spotkaniu. Pochłonęło mnie rozmyślanie o wieczorze spędzonym w towarzystwie Elliota.

– Dawno już wróciliśmy. Nasłuchuję twojego samochodu. Nawet psy za tobą tęsknią. Cóż, może nie Rocco, ale pozostała dwójka jak najbardziej. Musisz natychmiast do nas przyjechać i wszystko opowiedzieć. Całą paskudną historię. – Roześmiała się. Swift stanął prawdopodobnie za nią i robił coś może nie stricte seksualnego, ale zuchwałego. – Próbuję się skoncentrować! – rzuciła. A potem: – Puść to mimo uszu! Mówiłam do Swifta. Wiesz, jaki potrafi być niesamowicie irytujący.

Leżałam jeszcze w łóżku, jak na mnie zupełnie nietypowo. Czytałam mejl od Elliota. Właściwie to dwa – jeden napisany wczoraj wieczorem, po naszym spotkaniu, drugi dziś rano.

„Ostatni raz czułem takie podekscytowanie w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim, kiedy wprowadzono dotacje na odnawialne źródła energii”.

Podobało mi się to, że nie odczuwał potrzeby dodania w tym miejscu skrótów LOL albo średnika i nawiasu, żeby mieć pewność, że zrozumie jego żart. Sporo mi się w Eliocie podobało.

„Ponieważ należę do umiarkowanych pesymistów, trochę nie w moim stylu jest stwierdzenie, że dzieje się między nami coś fajnego”.

Po południu pojechałam na Folger Lane. Czekały na mnie cappuccino i croissanty kupione przez Estellę w bardzo dobrej piekarni, prowadzonej przez znajomą Avy. Podczas jednego z niedawnych wyjazdów podrzuciłyśmy tam sadzonkę hortensji, której kolor idealnie pasował do markizy. Taka już była: nie miała nic przeciwko załatwianiu spraw, które wymagały zaparkowania samochodu, wyjścia z niego, dotarcia w inne miejsce – tego rodzaju spraw, które osoby bez uszkodzonego rdzenia kręgowego mogły uważać za prawdziwe utrapienie. Ava zawsze się gdzieś zatrzymywała, kupowała prezenty, dostarczała je.

– No i? – zapytała, podając mi croissanta.

– Spodobał mi się – odparłam. – Dziś wieczorem znowu zabiera mnie na kolację.

– Tak szybko? Nie wydaje ci się, że to lekka przesada?

Dołączył do nas Swift, który wcześniej siedział na patio.

– Żadnych dziwactw tym razem? – spytał.

Pokręciłam głową.

– Jest niski? – chciała wiedzieć Ava.

– Średni. Właściwie to raczej wysoki. Zęby też ma zupełnie w porządku.

– Pozwolił ci zapłacić za siebie?

– Nie.

Ava chciała wiedzieć, dokąd zaprosił mnie tym razem. Wymieniłam nazwę restauracji. Wiedziałam, że Havillandowie często w niej jadają, choć nie ze mną. Była droższa niż ta birmańska, w której najczęściej bywaliśmy.

– Nie tak źle – skwitowała.

Swift zapytał o detale: czy się całowaliśmy, jak daleko się posunął.

Choć dotąd opowiadałam im o wszystkim, co działo się podczas moich randek, tym razem odczuwałam dziwną niechęć do dzielenia się każdym szczegółem. Mogłam wymyślić coś na poczekaniu, ale nie miałam na to ochoty.

– Było fajnie – powiedziałam pozbawionym emocji głosem, choć możliwe, że po prostu starałam się, by tak zabrzmiało. – Bardzo fajnie.

– To wspaniale, skarbie – stwierdziła Ava.

Ale ja wychwyciłam w jej głosie coś jeszcze – a może zwróciłam na to uwagę dopiero później, a może tylko to sobie wyobraziłam. W każdym razie wydała mi się ciut rozczarowana.

– Ten facet nie jest nadal żonaty? – zapytał Swift.

Pokręciłam głową.

– Dawno się rozwiódł. Żadnych okropnych historii na temat koszarnej byłej żony.

– Z mężczyznami, którzy zbyt długo pozostają bez kobiety, coś się dzieje – rzekła Ava. – Cierpią na syndrom starego kawalera. Stają się skostniałi i nieugięci w poglądach.

– Ale on był żonaty przez dwanaście lat – wyjaśniłam. – On i jego eksmałżonka pozostają w dobrych stosunkach.

– Naprawdę? Nie rozumiem, jak to możliwe. Gdybyśmy ja i Swift kiedykolwiek się rozstali, do czego nigdy nie dojdzie, miałabym ochotę skoczyć mu do gardła. Może temu Elliotowi obca jest namiętność i żar uczuć?

Zaczęłam coś mówić, po czym ugryzłam się w język. Ava nie zdążyła jeszcze poznać Elliota, a ja już go broniłam.

– Uważam, że to naprawdę fajny facet i tyle – oświadczyłam.

– To wspaniale. O ile fajny facet jest tym, którego szukasz.

Drugi wieczór spędzony w towarzystwie Elliota okazał się jeszcze przyjemniejszy. Słyszając własne słowa – w poniedziałkowy ranek na Folger Lane, pijąc z Avą kawę w ogrodzie – od razu ich pożałowałam.

– Było nie tylko przyjemnie – dodałam. – A właściwie nawet fantastycznie. Na twarzy Avy malowało się powątpiewanie.

– Nie zamierzam cię studzić – rzekła. – Ale jeśli to ten właściwy człowiek, chcesz czuć namiętność. Pożądanie. Wydaje ci się wtedy, że umrzesz, jeśli się z nim znowu nie spotkasz. Najlepiej wkrótce.

Odparłam, że to dopiero drugie spotkanie.

– Przecież nie biorę z nim ślubu. Uwierz mi, w porównaniu z niektórymi facetami, których poznałam, określenie „fajny” to naprawdę ogromny komplement.

– Tego wieczoru, kiedy poznałam Swifta, udaliśmy się do jego mieszkania i przez cały weekend nie wychodziliśmy z łóżka – oświadczyła. Już to oczywiście słyszałam, choć w oryginalnej wersji było sześć miesięcy. To pewnie miało miejsce trochę później. – Nie zrozum mnie źle, skarbie – kontynuowała. – Cudownie, że znalazłaś kogoś, z kim możesz spędzać czas. Ale ja wiem, że jesteś osobą, która w przeszłości pozwalała się wykorzystywać. I niewykluczone, że choć uważasz Elliota za najlepsze, czego możesz oczekiwać, niekoniecznie jest to prawda.

– Nie damę się wykorzystywać – zaprotestowałam. – Elliot jest super. Zresztą dopiero się poznaliśmy.

– No cóż, cieszę się razem z tobą. – Ava gestem pokazała Estelli, że może zabrać filiżanki. – Uważam, że to wspaniale. A jeśli za tydzień nadal go będziesz lubić, wiesz, że będziemy nalegać, abyś go tutaj przyprowadziła. Żebyśmy mogli go sobie obejrzeć.

Tydzień później lubiłam Elliota jeszcze bardziej. W niedzielę zaprosił mnie do siebie i razem upichciliśmy kolację. Dzień wcześniej, kiedy wróciłam ze spotkania z Olliem, wybraliśmy się do kina.

Dużo się całowaliśmy, ale jeszcze ze sobą nie spaliśmy. Elliot był rozważny i nie lubił się spieszyć – należał do tego rodzaju mężczyzn, którzy przed jazdą próbną przeczytają wszystkie dostępne opinie na temat wybranego modelu samochodu. Poruszyliśmy temat seksu.

– Chcę, żeby wszystko było, jak należy – rzekł. – Chciałbym wtedy czuć, że jesteś ostatnią kobietą, z którą się będę kochał. I wiedzieć, że tak już pozostanie do końca życia.

– To spora odpowiedzialność – odparłam. – Chyba że sam akt sprawi, iż padniesz trupem.

Oczywiście żartowałam. Elliota cechowało spore poczucie humoru, ale nie kiedy w grę wchodziła ta kwestia.

Po dwóch tygodniach zapytał, czy wybiorę się z nim na długi weekend do Mendocino, a ja się zgodziłam, choć oznaczało to, że ominie mnie jedno z przyjęć u Avy i Swifta. Miał wziąć w nim udział szef kuchni specjalizujący się w sushi i dodatkowo wynajęto kodo, czyli japoński zespół bębniarzy.

– Mogłabyś zrobić naprawdę niezwykle zdjęcia – oświadczyła Ava.
– Bębniarze będą ubrani w tradycyjne stroje z trzynastego wieku. Powinnaś zobaczyć ich umięśnione ramiona. Nie wspominając o reszcie ciała.

To w Mendocino Elliot i ja w końcu uprawialiśmy seks. Może nie miałam wrażenia, że ziemia usuwa mi się spod nóg, ale było przyjemnie – choć później, kiedy w drodze do domu przejeżdżaliśmy obok plaży, gdzie Ava i ja zabrałyśmy raz psy, przyłapałam się na tym, że słyszę w głowie jej głos, co nieco mnie wytrąciło z równowagi. Przypomniałam sobie, jak tamtego pierwszego razu siedziałyśmy razem na werandzie, a ona opowiadała mi o tym, jak poznała Swifta i że była w nim tak zakochana, że zapominała o jedzeniu.

– Miał w tamtym czasie długie włosy, które czasem związywał w kucyk – wspominała. – Raz, kiedy spał, odciąłam mu kosmyk włosów.

Gdy jechaliśmy, przyglądałam się uważnie twarzy Elliota – cały czas patrzył na drogę, ale uśmiechał się w sposób, który wiedziałam, że ma związek ze mną i naszym wspólnym weekendem.

– Myślałeś kiedyś o tym, żeby nie obcinać włosów tak krótko z tyłu? – zapytałam.

– Nie. Czemu pytasz?

– A tak bez powodu.

Nazajutrz na Folger Lane Ava chciała oczywiście, abym ze szczegółami opowiedziała, jak minął weekend. Tym razem pilnowałam się, aby pokazać inną stronę Elliota – przedstawić go jako kogoś więcej niż miłego, choć zwyczajnego faceta, który nie jest seryjnym zabójcą. Zrobiłam mu telefonem kilka zdjęć i teraz przeglądałam je, szukając tego najbardziej korzystnego.

– Jest spontaniczny i skory do żartów – powiedziałam. Żadne ze zdjęć w telefonie nie oddawało tego, że jest przystojny. – Kiedy tydzień temu w jego mieszkaniu przyrządzaliśmy razem paellę, objął mnie i zaczęliśmy tańczyć.

Opowiedziałam jej o innym razie, kiedy wróciłam po jednej z moich wizyt w Walnut Creek, a on naszykował mi kąpiel: poustawiał wokół wanny świece, a do wody wsypał pachnącą sól. Zostawił mnie samą w łazience, ale kiedy już wyszłam z wanny, usiedliśmy razem na sofie – ja w jego starym szlafroku – i on wymasował mi stopy. Wtedy formalnie rzecz biorąc, nie byliśmy jeszcze kochankami. Przez żadnego mężczyznę nie czułam się nigdy tak kochana.

– Mmm – bąknęła Ava. Ale wiedziałam, że zdania nie zmieniała. – No więc jak tam seks?

Dawniej od razu bym jej wszystko wyznała. Była mi bliższa niż jakikolwiek

mężczyzna, więc chętnie dzieliłam się z nią nawet najbardziej intymnymi szczegółami. Tym razem było jednak inaczej. Zarejestrowałam w sobie niewielką, ale wyraźną chęć zachowania dla siebie pewnych aspektów tego, co łączyło mnie z Elliotem. Miałam nadzieję, że to, co powiem, wystarczy, aby uznała, że było świetnie.

– W Mendocino, po drodze do gorącego źródła, natrafiliśmy na takie miejsce, gdzie wpadliśmy w błoto aż do kostek. W pobliżu żywego ducha, więc rozebraliśmy się do bielizny, wymazaliśmy się nawzajem błotem i leżeliśmy w słońcu, dopóki nie wyschło, a potem wskoczyliśmy do wody.

– Musiał wyglądać dość zabawnie, z tymi chudymi nogami i brzuchem – orzekła Ava. Oczywiście ja tak go wcześniej opisałam.

Gdy wypowiedziała te słowa, poczułam, że coś się we mnie zmienia. Kiedy Elliot i ja wysmarowaliśmy się błotem, takie leżenie prawie nago wydawało się cudowne, seksowne i romantyczne. Ale gdy popatrzyłam na tę scenę oczami Avy, Elliot wydał mi się nieco śmieszny. Wręcz żaloszny.

Żałowałam, że w ogóle powiedziałam jej o tym brzuchu.

Raz na jakiś czas, kiedy pod nieobecność Havillandów pracowałam nad projektem katalogowania ich dzieł sztuki, ogarniało mnie uczucie dziwne i niepokojące. Moją uwagę przykuwała jakaś rzecz należąca do Avy i w głowie pojawiała się wtedy myśl, że łatwo byłoby zabrać ten przedmiot ze sobą do domu. Nikt by nie zauważył jego zniknięcia.

Choć w wielu widocznych miejscach leżały banknoty dwudziestodolarowe, nigdy bym nie przywłaszczyła sobie ani centa. Wiedziałam, gdzie Ava trzyma pierścionki, diamentowy naszyjnik od Swifta i resztę bardziej kosztownej biżuterii. Nigdy bym niczego nie wzięła. No i obrazy. Diebenkorn. Matisse. W tym domu znajdowały się dzieła warte więcej, niż zarobiłabym przez całe życie. Prędeż uciąłabym sobie palec, albo i dwa, niż je tknęła.

Ale czasami, kiedy byłam na Folger Lane sama – Ava na zajęciach pilates, Estella na zakupach, Swift na jednej z tych swoich sesji z chińską zielarką Ling albo instruktorem szermierki, albo na spotkaniu mającym związek z fundacją – nachodziło mnie pragnienie (zupełnie podobne do tego, które czułam, kiedy na górnej półce w kredensie schowana była butelka wina, a ja nie potrafiłam wyrzucić jej z myśli), by zajrzeć do wielkiej garderoby Avy. Odkąd mnie tam zabrała, ciągle myślałam o tym miejscu. Znajdowało się tu tyle pięknych rzeczy, których Ava w ogóle nie nosiła. Wyobrażałam sobie, jakby to było mieć jedną z nich we własnej szafie. Albo naszyjnik z pereł. Albo chociaż kolczyki. Albo coś jeszcze mniejszego.

Był tam pierścionek, który niesamowicie mi się podobał, w kształcie ryby. (Choć raz nie pies. Dość niezwykle jak na Avę). Para kolczyków z pojedynczym czerwonym kamieniem umieszczonym w maleńkiej złotej siateczce. Pewnego razu przyłożyłam je do swoich uszu. Nie wiedziałam nawet, że to rubiny; zupełnie się nie znałam na kamieniach szlachetnych. Po prostu bardzo mi się podobały: czerwone kamienie i utrzymujące je na miejscu złote nitki. Jakże łatwo byłoby wsunąć je do kieszeni. Świadomość tego nie dawała mi spokoju...

Albo parzyłam w kuchni herbatę i w mojej głowie pojawiała się myśl: mogłabym ot tak, wziąć tę jedną srebrną łyżeczkę od kompletu – na każdej wygrawerowano inny polny kwiat. W szufladzie znajdowała się jedna łyżeczka przeznaczona dla osoby leworęcznej. Ava i Swift nie byli leworęczni, ale ja tak. Gdyby ta łyżeczka była moja, co rano przygotowywałabym sobie owsiankę po to tylko, aby móc ją jeść swoją specjalną łyżeczką.

Przez cały jeden tydzień nie potrafiłam przestać myśleć o świeczniku na tealighty z porcelany kostnej – małej kopule okalającej świeczkę stojącą na porcelanowym talerzyku. Wyglądał niepozornie, dopóki nie zapaliło się świeczki – najlepiej w przyściemnym pokoju. Wtedy ukazywała się cała scena

wygrawerowana w porcelanie: wiejska droga, koń i wóz, mały domek w lesie, a wszystko podświetlała umieszczona pod kopułą świeczka. Wiedziałam, gdzie postawiłabym ten świecznik w swoim mieszkaniu, gdyby należał do mnie.

Pewnego wieczoru, kiedy jedliśmy razem kolację, Ava postawiła ten świecznik na stole. Myśląc, że może kupię taki dla siebie, zapytałam, skąd go ma.

– Bóg jeden raczy wiedzieć – odparła. – Dostaliśmy go pewnie od kogoś podczas jednej z tych beznadziejnych imprez, w których musieliśmy uczestniczyć, kiedy Swift zarządzał jeszcze firmą. Mam całe szuflady takich rzeczy.

Nigdy bym nie zabrała tego świecznika. Ani niczego innego. Gdybym to jednak zrobiła, wiedziałam, że w przeciwieństwie do Avey traktowałabym go jak skarb.

Prawda była taka, że ona nie przykładła większej wagi do rzeczy. Obchodzili ją ludzie, których kochała, no i psy.

Stanowiło to miłą odmianę. Choć można Awę postrzegać jako osobę zepsutą i rozpieszczoną faktem posiadania tylu rzeczy, pojedyncze przedmioty – choćby bardzo cenne – nie miały dla niej znaczenia. Ani drogie ubrania – skórzana kurtka z Barneys, aksamitna peleryna, kozaki Fendi, wiszący obok jacuzzi kaszmirowy szlafrok. Oddawała rzeczy do pralni, a potem o nich zapominała. Robiła to tak często, że pewnego razu wręczyła mi kilkaset dolarów i poprosiła, abym podjechała do każdej pralni chemicznej w mieście i sprawdziła, czy nie ma tam należących do niej ubrań.

Zajęło mi to kilka godzin. Okazało się, że część rzeczy leżała w pralni ponad rok, wśród nich lniana spódnica, która wyjątkowo mi się spodobała. Pomyślałam wtedy, że gdybym zamiast na Folger Lane zabrała ją do swojego mieszkania, Ava nigdy by się nie dowiedziała. Głośno nakazałam sobie więcej o tym nie myśleć, tak samo jak wtedy, kiedy sięgałam po butelkę.

Czasem zadawałam sobie pytanie, co jest ze mną nie tak, że w mojej głowie na okrągło pojawiają się myśli o tym, aby ukraść coś Havillandom. Zastanawiałam się, czy nie czyni mnie to kimś okropnym.

Ale nigdy niczego nie wzięłam. Wiedziałam, że za nic nie zawiodę zaufania przyjaciół, zwłaszcza po wszystkim, co dla mnie zrobili. Nigdy bym nie zaryzykowała, że mogę ich stracić, do czego mogłoby dojść, gdyby wiedzieli o moich pożądlivych myślach. Po prostu kochałam Awę i kochałam stworzony przez nią świat pełen pięknych rzeczy. Pragnęłam być jego częścią. Pragnęłam, aby część jej świata była moja.

Choć Ava lubiła powtarzać, że celem życiowym Swifta jest kochanie jej – a on sam często werbalnie to potwierdzał – ostatnio coraz więcej czasu spędzał w swoim gabinecie. Mocno zaangażował się w ich projekt utworzenia organizacji non profit HAU. Pomagali mu przyjaciele i znajomi, w tym Ling, Ernesto i Marty Matthias, oraz wielu młodych finansistów, często ostatnio zagląających na Folger Lane, na przykład facet, który sprzedał swój start-up mniej więcej w tym samym czasie co Swift, za jeszcze większe pieniądze. Swift brał udział w mnóstwie spotkań, których celem było pozyskanie funduszy od ostrych graczy, poznanych przed laty w branży informatycznej. Evelyn Couture, wdowa z Pacific Heights, zamierzała przekazać fundacji spory legat, i Swift umówił się w tej sprawie z jej prawnikami.

Do tego czasu zdążyłam się zorientować, że choć Swift lubił wykonywać telefony i brać udział w spotkaniach, tak naprawdę siłą sprawczą wszystkiego była Ava...

– Wysłanie Swifta na pogaduszki z darczyńcami to dobry sposób, aby mieć go z głowy – rzekła do mnie. – Ten facet uwielbia przesiadywać z cygarem w palarni i ucinać sobie pogawędki na temat drużyny 49ers, no i jest świetny, jeśli chodzi o przekonywanie ludzi do wyjęcia książeczek czekowych. Ale wiesz co? Kompletnie się nie zna na tworzeniu organizacji non profit.

Tymczasem Ava nie zasypiała gruszek w popiele. Wynajęła projektanta stron internetowych i zespół marketingowców, dzięki czemu concept organizacji miał trafić do potencjalnych darczyńców w całym kraju. Choć Swift nie znosił latać, Ava wysłała go na spotkanie do Nowego Jorku, a potem do Palm Beach. W kolejce czekały Atlanta, Boston, Dallas.

Pewnego dnia późną wiosną, kiedy zjawiłam się na zwyczajowy spacer z Avą i psami połączony z pracą, a następnie z kolacją, Ava czekała na mnie przed domem.

– Przyszedł mi do głowy fantastyczny pomysł – oświadczyła. – Nie mogłam się doczekać, kiedy ci o nim powiem.

Okazało się, że w październiku przypadają urodziny Swifta: kończył sześćdziesiąt lat. (On sam twierdził, że nie dopuszcza do siebie myśli o sześćdziesiątce). Ava planowała wyprawić wielkie przyjęcie niespodziankę.

Swift wiedział, że ona nie pozwoli, aby jego urodziny przeszły bez echa i wyjątkowej oprawy. Ale wpadła na pomysł, co zrobić, aby tej okazji nadać jeszcze większe znaczenie. Przyjęcie urodzinowe połączy z otwarciem pierwszego sponsorowanego przez HAU centrum kastracji i sterylizacji, które ma się mieścić w San Francisco. Towarzyszyć temu będzie reklama społeczna, może krótki film. A – i tutaj na scenę wkraczałam ja – z moją pomocą stworzy księgę pamiątkową ze

zdjęciami dokumentującymi dokonania Swifta i jego oddanie bezpańskim psom oraz ze zdjęciami podopiecznych fundacji HAU.

– Nie będzie musiał wiedzieć wcześniej o twoich planach? – zapytałam.
– Skoro masz zamiar ogłosić tego wieczoru powstanie fundacji?

Roześmiała się.

– Och, skarbie. Ty naprawdę nic nie rozumiesz. Swift nie zwraca uwagi na detale. Wystarczy umówić go z którymś z dawnych członków jego bractwa studenckiego, dać butelkę Macallana i nic więcej nie trzeba mu do szczęścia. Zwłaszcza jeśli w pobliżu kręci się ładna kelnerka.

Inaczej miała Ava – ona była pszczołą robotnicą. Ja także.

Moim zadaniem było przekopanie się przez wszystkie stare rodzinne zdjęcia i ich digitalizacja. Następnie razem z Avą wybierzemy te fotografie, które najlepiej opowiadają życie Swifta – mężczyzny chaotycznego i przebojowego, oddanego rodzinie, miłośnika psów. I naturalnie wielbiciela Avy. To przyjęcie stanie się towarzyskim i filantropijnym wydarzeniem sezonu i pewne było, że napiszą o nim we wszystkich najważniejszych gazetach. Zamieszczając moje zdjęcie uśmiechniętego Swifta.

– Posłuchaj, co sobie wymyśliłam – oświadczyła Ava. – Do fotografii Swifta dołączymy zdjęcia wszystkich psów, które zostały uratowane dzięki jego darowiznom na rzecz schronisk w San Francisco Bay Area i Dolinie Krzemowej. Ty oczywiście zajmiesz się zdjęciami – dodała.

– Nie jestem fotografem zwierząt – zaprotestowałam.

Pokręciła głową. Dla niej nie istniała znacząca różnica między psami a ludźmi, z wyjątkiem tego, że psy były sympatyczniejsze. Jeśli specjalizowałeś się w portretach, to potrafiłeś sfotografować każdego, łącznie z jamnikiem i kundelkiem.

– To będzie jak ze zdjęciami, które robisz dzieciom w szkołach – kontynuowała. – Tylko zamiast dzieci sfotografujesz psy ze schroniska. Jeśli dobrze cię znam, zrobisz to w taki sposób, że ludzie zakochają się w każdym zwierzaku i od razu wyciągną książeczki czekowe. Tak jak Swift. Połączymy te zdjęcia ze zdjęciami Swifta z różnych okresów w jego życiu i tym sposobem nasza fundacja pokaże, jak nierozzerwalne bywają losy zwierząt i ludzi.

– Nic nie wiem na temat fotografowania zwierząt – powtórzyłam. – To bardzo szczególna sztuka.

– Nauczysz się.

Ava nie lubiła zawracać sobie głowy potencjalnymi problemami.

– To będzie przepiękny album ogromnych rozmiarów, edycja limitowana, dostępna tylko dla gości na przyjęciu i najważniejszych darczyńców HAU. Wiem, że doskonale sobie poradzisz – zapewniła mnie. – Ten album będzie stanowić łącznik między ludźmi a zwierzętami, i pokaże, jak bardzo powiązane są nasze

życia.

Zapytałam ją o logistykę. W schronisku będzie przecież inaczej niż w szkole, gdzie dostałam pomieszczenie, w którym rozstawiłam lampy, a asystentki nauczycielek zaganiały do niego dzieci jedno po drugim.

Ava miała się zająć wszystkimi ustaleniami; pracownicy schronisk w rejonie zatoki San Francisco dobrze ją znali. Do mnie należało jedynie uchwycenie natury każdego fotografowanego psa.

Klamka zapadła. Ava należała do tych osób, które bezkrytycznie wierzą w każdy swój projekt. Uważała, że wszystko, do czego się zabierze, nie tylko się uda, ale okaże się niesamowitym sukcesem. Nim zdążyłam się zorientować, co się dzieje, czekał mnie pierwszy etap przedsięwzięcia: przekopanie się przez ponad dwadzieścia kartonów rodzinnych fotografii. Niektóre stanowiły schedę po rodzinie Swifta i dokumentowały jego dzieciństwo w New Jersey i czasy licealne, kiedy był niezłym zapaśnikiem. Więcej zdjęć pochodziło z czasu pierwszego małżeństwa: ślub, narodziny syna, wycieczki do Disneylandu i Europy. Miałam wszystko przejrzeć, oddzielić zdjęcia, na których nie było jego żony Valerie, i spośród nich wybrać te, które trzeba było przerobić na wersję cyfrową. Miałam nadzieję, że w niektórych przypadkach uda mi się tak dociąć zdjęcie, aby wykluczyć z niego Valerie.

– Moje zachowanie może ci się wydawać bezwzględne – rzekła Ava. – Ale gdybyś ją знаła, tobyś mnie zrozumiała. Nie cierpię tej kobiety. Będą nam oczywiście potrzebne zdjęcia z czasów, gdy prowadził firmę – dodała. – Swift zabierający Coopera na mecze. Swift z czasów, gdyśmy się poznali. Zdjęcia Swifta nad basenem i na łodzi, wszystko to, co kocha. A na koniec my dwoje razem z naszymi psami. Wymyśliłam już nawet tytuł tego albumu. Nazwiemy go *Człowiek i jego psy*.

Całkiem przyjemne okazało się przeglądanie zdjęć, poznanie wszystkich etapów, przez które przeszedł Swift, nim ożenił się z moją przyjaciółką. (Moja przyjaciółka. Już samo mówienie w ten sposób o Avie przepełniało mnie radością). Ze zdziwieniem przekonałam się, że jako dziecko wyglądał bardzo niepozornie: był najniższy w klasie, miał kręcone włosy i okulary, a w późniejszych latach trądzik. Kiedy skończył szesnaście lat, musiał najwyraźniej zająć się zapasami, gdyż jego ciało uległo przemianie. Nadal był niski, ale ramiona miał mocno umięśnione, a łydki wyglądały jak napuchnięte, i zaczęła z niego emanować pewność siebie.

Na późniejszych zdjęciach, z czasów licealnych, Swift prawie zawsze się uśmiechał, a przy jego boku pojawiała się coraz to nowa wyjątkowo ładna dziewczyna, na ogół od niego wyższa. Potem nadszedł czas studiów: zapisał się do bractwa i kupił samochód. Najpierw zdezelowanego mustanga, potem corvette. A jeszcze później porsche.

Swift był pełen determinacji, nawet kiedy miał dziewiętnaście lat.

Cóż, możliwe, że na jakiś czas przystopowało go małżeństwo. Pierwsze. Ale Ava poinstruowała mnie, abym ten etap jego życia zmieściła na jednej stronie. Dzięki temu więcej miejsca pozostawało na to, co miało znaczenie. Na nią.

Ava twierdziła, że bardzo by chciała towarzyszyć mi w sesjach zdjęciowych w schroniskach, ale ma obecnie na głowie mnóstwo spraw związanych z fundacją. Zaskoczył mnie Elliot, wolny strzelec z nienormowanym czasem pracy, proponując, że wybierze się ze mną.

Choć miał alergię na psy, stwierdził, że warto trochę pocierpieć w zamian za czas spędzony razem w samochodzie. Kiedy ja będę robić zdjęcia, on popracuje na laptopie albo nadrobi zaległości książkowe.

– Z największą przyjemnością spędzę z tobą kilka popołudni, pomagając ci w czymś, co kochasz – oświadczył.

Dzięki podróżom do miejsc takich jak Napa, Sebastopol i Half Moon Bay mieliśmy sporo czasu na rozmowy. Wcześniej dużo rozmawialiśmy, ale tym razem było jakoś inaczej. Pewne tematy poruszyliśmy po raz pierwszy.

Elliot wychował się na północy stanu Nowy Jork, niedaleko Buffalo, gdzie jego rodzina miała farmę, na której hodowała krowy mleczne i kury. Jednego roku do pracy na farmie przyjechał młodszy brat jego ojca. Wujek Ricky. Wszyscy uwielbiali Ricky'ego, łącznie z Elliotem. Był jedną z tych osób, które samym pojawieniem się potrafią przykuć uwagę wszystkich zgromadzonych i sprawić, że ci zapominali, z kim wcześniej prowadzili rozmowę.

– Znam ten typ – wtrąciłam, myśląc o Swifcie.

– Mój tato należał do tych spokojnych – mówił Elliot. – Jak ja. Niektórzy pewnie powiedzą, że nudnych. Gdybyś utknęła na drodze w czasie burzy śnieżnej, to właśnie do niego byś zadzwoniła i to on by przyjechał swoją furgonetką, żeby cię wyciągnąć, i to on towarzyszyłby całą noc cielącej się krowie. Ale poza tym nie był, jak to się mówi, żywym srebrem, tak jak wujek. Ricky prowadził księgi rachunkowe farmy, zajmował się sprzedażą mleka i śmietany, ogarniał płatności. Farma należała do naszej rodziny od pięciu pokoleń i choć trudno ją uznać za żyłą złotą, całkiem nieźle prosperowała. Mimo że byłem młody – kontynuował Elliot ze wzrokiem jak zawsze utkwionym przed siebie i obiema dłońmi na kierownicy – wyczuwałem, że coś się dzieje między moją matką a wujkiem, chociaż nie bardzo rozumiałem co. Po prostu widziałem, że przy nim zachowuje się inaczej. Że jest weselsza. Ale bardziej roztargniona.

Ojciec Elliota też to musiał zauważyć. Pewnego wieczoru doszło do przepychanki, której towarzyszyły podniesione głosy. Nazajutrz, kiedy Elliot się obudził, wujka Ricky'ego już nie było. Jakiś czas później na świat przyszła jego siostra Patrice. Nikt nic nie mówił, ale tata Elliota najpewniej zawsze się zastanawiał, czy to on jest ojcem albo, co było bardziej prawdopodobne, wiedział, że nim nie jest. Co nie znaczy, aby traktował Patrice inaczej. Ich tato nie należał do osób, które faworyzowałyby jedno dziecko, bez względu na to, jaka historia kryła

się za narodzinami tego drugiego.

– Krótco po tym, jak Ricky oszedł – Elliot ciągnął swoją opowieść – okazało się, że nie płacił żadnemu z naszych wierzycieli. Nasz dług wynosił sześćdziesiąt tysięcy dolarów, plus zaległe podatki. Spora kwota zniknęła także z konta firmowego.

Wszyscy oczywiście wiedzieli, kto ponosi za to odpowiedzialność. Tyle że nie znali miejsca jego pobytu. Ani wtedy, ani już nigdy.

– Straciliśmy farmę. Mój tato najał się do pracy w sklepie żelaznym, a mama przestała wstawać z łóżka. Gdyby miało to miejsce teraz, rozumielibyśmy, że cierpiała na depresję, ale wtedy wiedziałem jedynie, że prawie w ogóle nie wstaje ani się nie odzywa, a kiedy już coś mówi, to od rzeczy, na przykład, że musimy kupić zapas zupy Campbell's na wypadek ataku nuklearnego. Była przekonana, że Bob Barker hipnotyzuje ludzi przez telewizor i że jeśli ogląda się *Truth or Consequences*, uszkodzi ci się mózg. Pewnego dnia odkryłem powód: ten facet do złudzenia przypominał wujka Ricky'ego. Przestałem zapraszać do domu kolegów. Mój tato po powrocie z pracy brał z lodówki piwo i zalegał przed telewizorem. Jeśli na stole miał się pojawić obiad, to ja musiałem go zrobić.

Położyłam mu dłoń na ramieniu. Rozumiałam, jak to jest wstydzic się rodziców tak bardzo, że nie chcesz, aby ktokolwiek widział, jak mieszkasz.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu. Wiedziałam, że Elliot jeszcze nie skończył swojej opowieści, ale uznałam, że robi to, kiedy będzie gotowy.

– Tego roku, kiedy moja siostra poszła do liceum, matka się zabiła – odezwał się w końcu. – Zamknęła drzwi w garażu, wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk w stacyjce.

Zapytałam, czy jego ojciec ponownie się ożenił. Pokręcił głową.

– Chyba nigdy nie przestał jej kochać. Taki już był.

– Nie znam nikogo takiego jak on – stwierdziłam. W moim życiu częściej miałam do czynienia z mężczyznami, którzy odchodzili.

– Teraz już znasz – powiedział Elliot, obejmując mnie.

– Przeszedłeś długą drogę od farmy do księgowości.

– Wiesz dlaczego? – zapytał. – Nigdy nie pogodziłem się z faktem, że mój ojciec stracił cały dorobek tylko dlatego, że nie znał się na finansach. Nie prowadził należycie ksiąg rachunkowych. Pozwolił, aby z jego rąk wyślizgnęło się wszystko, co kochał, ponieważ zbyt go pochłaniały codzienne prace na farmie, by przejmować się jeszcze kwestiami księgowymi. A potem nie miał już czym się przejmować, bo stracił wszystko.

– Postanowiłeś więc, że staniesz się panem od cyferek – stwierdziłam.

– Wiem, że dla większości ludzi to najnudniejszy zawód na świecie. Ale księgowy także może być bohaterem, jeśli ratuje swoich klientów przed finansową ruiną.

– To dobry zawód – powiedziałam. Choć wizja pracy księgowego, beznamiętnie przeliczającego ziarenka, to dokładnie ta wizja, jaką mi przedstawiła Ava. I po prawdzie też tak to sobie wyobrażałam.

– Można pewnie uznać, że mam obsesję – przyznał Elliot. – Bo kiedy zabieram się do czyichś podatków albo do książki przychodów i rozchodów, wszystko musi mi się zgadzać, aż do jednego miejsca po przecinku. Jestem facetem, który dla rozrywki czyta roczne raporty. Zawsze zachowując czujność i pilnując, czy wszystko jest jak należy.

Przyjrzałam się wtedy uważnie jego twarzy; nie była to twarz, na którą po wejściu do pokoju chciałoby się spojrzeć po raz drugi, nawet gdyby facet miał na sobie coś innego niż luźne bawełniane spodnie i rozpinaną koszulę, choć jeśli się przyjrzeć uważniej, w gruncie rzeczy był przystojny. Ale nie należał do osób, które chcą, aby zwracało się na nie uwagę, ani tych, które same ją na siebie zwracają.

– Chciałbym być w twoich oczach bohaterem, Helen. Albo facetem podobnym do męża twojej przyjaciółki Avy, który potrafi ją pewnie zabrać na walentynki do Paryża albo, jeśli to dla niej zbyt męczące, wybudować w ogrodzie wieżę Eiffla. Może pewnego dnia wystarczy ci fakt, że jestem uczciwym człowiekiem, który kocha cię całym sercem.

– Nie porównywałam cię ze Swiftem – zaprotestowałam. Choć tak przecież robiłam.

– Ale ja tak – odparł. – I mam świadomość tego, jak postrzegają mnie ludzie tacy jak on.

Ostatnie słowa wypowiedział takim tonem, że zeszywniałam. Wtedy właśnie powinnam go była przekonać, że się myli, że według nich świetnie do mnie pasuje i nie mogą się doczekać, kiedy go poznają. Tyle że oni niczego takiego nie mówili. Mogłam się wypowiadać jedynie w swoim imieniu.

– Swift i Ava to wspaniali przyjaciele – rzekłam. – Wiele im zawdzięczam.

– Mam tylko nadzieję, że w pewnym momencie nie będą próbowali cię z tego rozliczyć – skwitował Elliot.

Nastał czerwiec. Dość długo już nie byłam u Avy i Swifta. Normalnie jeździłam tam niemal codziennie, aby pracować nad projektem fotograficznym, ale najpierw Havillandowie wyjechali nad jezioro Tahoe, a potem ja do domu Elliota w Los Gatos. On miał akurat urlop, ja także byłam wolna, więc na kilka dni udaliśmy się na wybrzeże pod namiot. Tej soboty, kiedy wróciliśmy, wybraliśmy się na wycieczkę rowerową, a dzień później Elliot zaprosił kilkoro przyjaciół na grilla. Nie przypominał w niczym przyjęć na Folger Lane, ale miło spędziliśmy razem czas. Miło. Wtedy, gdy w moich myślach pojawiała się to słowo, zawsze słyszałam głos Avy. Tylko miło?

Nazajutrz po powrocie do domu udałam się do Havillandów, aby wrócić do pracy nad albumem. Ale przede wszystkim chciałam zobaczyć Avę. Czekala na mnie na podjeździe. Usłyszałam swoje imię, jeszcze zanim zdążyłam wysiąść z samochodu. Lillian i Sammy biegały wokół mnie jak dawno niewidziani przyjaciele.

– Masz pojęcie, jak bardzo się za tobą stęskniłam? – zapytała Ava. – To prawda, kiedyś świetnie radziłam sobie bez ciebie, ale naprawdę nie wiem jak.

Uniosła długie umięśnione ręce i zarzuciła mi je na szyję. Wdychałam jej perfumy o zapachu gardenii.

– Estella dopiero co wróciła z targu z croissantami. Jeszcze są ciepłe. Musisz mi wszystko opowiedzieć.

Niewiele było do opowiadania. Kiedy chodziłam na koszarne randki, miałam dla niej milion historii. Teraz, kiedy czas spędzałam z Elliotem, była tylko jedna historia.

– Jestem szczęśliwa – wyznałam. – Wiem, że to szaleństwo, ale wydaje mi się, że kocham tego mężczyznę.

– To wspaniale, skarbie.

Nie wiem dlaczego, ale coś w jej odpowiedzi sprawiło, że trochę uszło ze mnie powietrze. Miałam wrażenie, że ją rozczarowałam, zawiodłam pokładane we mnie nadzieje. Jakbym była jej dzieckiem i oświadczała, że przyjęto mnie na kurs dla asystentek dentystycznych, gdy tymczasem ona spodziewała się, że zostanę kardiochirurgiem.

Wcześniej sądziłam, że Ava może pragnąć dowiedzieć się więcej na temat mojego wypadu do Sierras. Albo że porozmawiamy o Elliotcie i o mnie. Nie mogłam się doczekać, aż opowiem jej więcej, choć nie zamierzałam się wdawać w intymne szczegóły.

Dawniej zawsze jej wszystko mówiłam. Teraz jednak wyjątkowo chciałam chronić swoją relację z Elliotem. Niemniej wyobrażałam sobie, jak obie siedzimy w ogrodzie, może nad basenem, raczymy się mrożoną kawą i rozmawiamy

o naszych mężczyznach. A może planujemy kolację – taką tylko we czworo. Choć na początku mojej znajomości z Elliotem Havillandowie wyrazili ochotę poznania go, minęły prawie dwa miesiące, a oni nie ponowili zaproszenia.

– Słuchaj – mówiła teraz Ava, kiedy weszliśmy do domu. – Mam nadzieję, że możesz coś dla mnie zrobić. Pamiętasz Evelyn Couture?

To była ta bogata wdowa z Pacific Heights, z którą jakimś cudem zaprzyjaźnił się Swift i która pojawiła się – razem ze swoim szoferem – na kilku ostatnich przyjęciach u Havillandów. Dziwna znajomość jak na Avę i Swifta, ale nigdy nie było wiadomo, kogo wezmą pod swoje skrzydła. Podejrzewam, że uznali, iż doskwiera jej samotność. Może nie miała rodziny albo miała, ale taką, której zależało wyłącznie na jej pieniądzach.

– Przeprowadza się ze swojego domu w Divisadero do apartamentu w Woodside – wyjaśniła Ava. – Przytłacza ją świadomość, że musi zdecydować, co zrobić ze wszystkimi rzeczami. Zaproponowałam jej swoją pomoc.

Ava nigdy nie przyjmowała do wiadomości ograniczeń, jakie nakładał na nią wózek inwalidzki, ale musiałam ją o to zapytać. Raczej mało prawdopodobne, aby tamten dom dostosowano do potrzeb osób niepełnosprawnych. Co planowała zrobić?

– Te rezydencje w Pacific Heights są okropne! – odparła. – Może ma jakiegoś potężnego służącego, który wniesie mnie na górę i posadzi na jednej z obitych pluszem sof. Najpewniej jednak zawiozę tam ciebie. Wiem, że świetnie na nią wpłyniesz. Evelyn potrzebuje pomocy przy ułożeniu planu. Ma tyle rzeczy w tym swoim domu, że nie wie, od czego zacząć.

Oczywiście nie było żadnego służącego. Ava zostawiła mnie w domu w Divisadero, a sama pojechała na zajęcia pilates, odbywające się w budynku z udogodnieniami dla niepełnosprawnych, i potem załatwić parę spraw na mieście – włosy, brwi, terapia. Cały ranek i część popołudnia spędziłam w towarzystwie Evelyn Couture, pomagając segregować ubrania, które zamierzała oddać do ekskluzywnego komisju. Pieniądze z ich sprzedaży przeznaczyła na wsparcie baletu. Zanim wyszłam (przyjechała po mnie Ava), Evelyn podarowała mi broszkę w kształcie motyla i kolczyki w pudełeczku z Macy's z przytwierdzoną metką: czternaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów.

– Cała Evelyn – orzekła Ava, kiedy pokazałam jej kolczyki. – Miejmy nadzieję, że dla naszej fundacji wykaże się większą hojnością. Liczymy na sporo.

Obie wiedziałyśmy, że chwila prawdy nadejdzie w sześćdziesiąte urodziny Swifta, kiedy Havillandowie ogłoszą plan utworzenia we wszystkich pięćdziesięciu stanach ośrodków bezpłatnej sterylizacji i kastracji. Centra Sterylizacyjne im. Avy i Swifta Havillandów pod auspicjami fundacji HAU.

– Fakt, iż poprosiłam cię dzisiaj o pomoc dla Evelyn, nie oznacza, że nie cenię twojego profesjonalizmu jako fotografa – rzekła Ava, kiedy wracałyśmy do

Portola Valley. – Ten album, który dla nas robisz, to prawdziwy majstersztyk. Dzisiejszy dzień można po prostu nazwać ugłaskiwaniem. No wiesz, czasem trzeba to zrobić... kiedy ktoś ma mnóstwo pieniędzy i chcemy, żeby był zadowolony.

– Mam przyjaciół – powiedziałam do Elliota tamtego wieczoru, kiedy się poznaliśmy. – Wspaniali ludzie. Najlepsi przyjaciele, jakich miałam. Można powiedzieć, że wzięli mnie pod swoje skrzydła. Są dla mnie jak rodzina.

W tamten weekend, kiedy pojechaliśmy do Mendocino, opowiedziałam mu całą historię o tym, co stało się z Olliem. O tej potwornej chwili na sali sądowej, kiedy miałam wrażenie, że ściany na mnie napierają, i o tym, co czułam później, pakując rzeczy syna do kartonów i worków na śmieci. O tym, jak martwi mnie fakt, że Dwight krzyczy na Olivera, a Cheri go ignoruje. O nadziei na to, że pewnego dnia, kiedy w końcu spłacę prawnika, wynajmę nowego, lepszego, i spróbuję doprowadzić do zmiany nakazu sądowego. Ale ten cel wydawał mi się niemożliwy do osiągnięcia.

– Nie ciebie pierwszą przyłapano na jeździe pod wpływem alkoholu – rzekł Elliot. – Chodzisz na mityngi AA. W ogóle nie pijesz. Wolno ci chociaż raz na jakiś czas zabrać syna do swojego mieszkania?

– Wciąż o to proszę, ale Dwight nie pozwala Olliemu zostać u mnie na noc – odparłam. – Przypomina to chodzenie do gabinetu dyrektora szkoły. Za każdym razem, kiedy stoję w progu domu Dwighta, czuję się jak żalosny nieudacznik.

– Miej gdzieś to, co o tobie myślą, o ile tylko pozwalają ci spędzać czas z synem.

– Ale Ollie wcale już nie chce się ze mną widywać – powiedziałam ciszej. – Myślę, że jest na mnie zły. Choć z ojcem nie łączy go bliska relacja, o wszystko obwinia mnie. No i pozostaje jeszcze kwestia krewnych z Sacramento – kontynuowałam. – Ciągłe jest zapraszany w weekendy na różne przyjęcia urodzinowe. Z dmuchanymi zamkami, magikami i wycieczkami do parków wodnych.

– Jest coś, czego Ollie tam nie dostanie. – Elliot wziął mnie za rękę. – Ciebie. Możliwe, że jeszcze o tym nie wie, ale potrzebuje matki. Kiedy znowu zaczniesz z nim spędzać więcej czasu, nie godzinę czy dwie, uda ci się odzyskać jego zaufanie.

Wtedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł: coś, co zachęciłoby Olliego do przenocowania u mnie, gdyby jego ojciec wyraził zgodę i gdyby udało nam się znaleźć weekend wolny od rodzinnych uroczystości. Zabrałabym go do Swifta i Avy.

W ciągu tych lat po rozpadzie mojego małżeństwa zaczęłam czuć, że to, co oferuję teraz Olliemu, już nie wystarcza. Brakuje mu korzyści płynących z życia rodzinnego. A u Havillandów czego jak czego, ale życia rodzinnego nie brakowało. Wiedziałam, że ośmiolatкови trudno się będzie oprzeć urokowi domu na Folger Lane, z basenem i tym wszystkim, co Swift kupił dla Coopera, kiedy ten był

jeszcze dzieckiem: szafą grającą, bilardem, cymbergajem, konsolami didżejskimi. Jak kilka gier na PlayStation i Wii mogło się równać z czymś takim? I mogłam zaferować mojemu synowi Avę i Swifta – zwłaszcza Swifta, który na swój sposób sam był jak dziecko.

Ollie byłby nim zachwycony. Ponieważ prosił o szczeniaka, odkąd skończył trzy lata, wiedziałam, że od razu pokochałby psy. Jako synowi ojca, który ciągle na niego krzyczy z powodu nieporządku w pokoju, Olliemu spodobałaby się luźna, zrelaksowana, swobodna atmosfera na Folger Lane, gdzie jedynym obowiązkiem było przyjemne spędzanie czasu.

Nazajutrz, podczas lunchu w ogrodzie, zapytałam Havillandów, czy w któryś weekend mogłabym przywieźć Olliego.

– Bardzo bym chciała, żebyście go poznali. Wiem, że jemu spodobałby się dom. I wy także.

Nie musiałam ich przekonywać.

– Pora, żeby znowu zjawił się tutaj jakiś dzieciak – stwierdził Swift. – Skoro mój wyjechał na te swoje drogie studia.

– Mamy tutaj dziecko – odezwała się Ava. – Właśnie na nie patrzę. Swiftowi tak naprawdę chodzi o to, że przydałby mu się kompan do zabawy. Więc oczywiście przywieź do nas Olliego, Helen. Im prędzej, tym lepiej.

Tego wieczoru zadzwoniłam do Dwighta z propozycją, aby Ollie spędził ze mną cały nadchodzący weekend.

– Proszę bardzo, zapytaj o to Olivera – rzekł. – Twoja matka chce cię o coś zapytać – rzucił, podając mu słuchawkę.

– Moi przyjaciele mają dom z basenem – powiedziałam. To była próba przekupstwa i doskonale wiedziałam, ale miałam to gdzieś. – Mają też łódź. Pomyślałam sobie, że fajnie by było, gdybym zabrała cię do siebie na weekend i gdybyśmy razem tam pojechali. Zjedli coś na świeżym powietrzu albo coś w tym rodzaju.

– Nie umiem pływać. – Usłyszałam głos pozbawiony emocji, jak ostatnio prawie zawsze, kiedy z nim rozmawiałam.

– To może dobra okazja, aby nad tym popracować. I ci przyjaciele mają psy. Zawahał się.

– Trzy – dodałam. – Nazywają się Sammy, Lillian i Rocco. Sammy uwielbia gonić za frisbee.

Z jednej strony okropne było to, że kusiłam Olliego Havillandami i ich psami. Ale tak bardzo pragnęłam, aby mój syn do mnie wrócił, żebyśmy mogli spędzić ze sobą nieco więcej czasu.

– Okej – rzucił Ollie.

Uzgodniliśmy, że przyjadę po niego w sobotę rano i udamy się do Avy i Swifta. Swift upiecze na grillu burgery. Ava przyrządzi domowe lody. Nie

wiedziałam, co jeszcze wymyśli Swift, miałam jednak pewność, że będzie to coś, czego Ollie jeszcze nie doświadczył, coś wspaniałego.

Nie chciałam, aby cokolwiek poszło nie tak. Nie chciałam ryzykować, że zdenerwuję czymś Olliego, dlatego w swoich planach nie uwzględniłam Elliota. Powiedziałam mu o tym cała w nerwach, ale on odparł, że rozumie.

– Mądrze robisz, że nie przedstawiasz syna swojemu mężczyźnie, dopóki nie masz pewności, dokąd zmierza nasza znajomość – stwierdził. Swojemu mężczyźnie! Tak o sobie mówił. – W porządku – dodał. – Jestem człowiekiem cierpliwym. Poznanie Olliego wiele dla mnie znaczy. Chcę rozegrać to we właściwy sposób. Zamierzam być obecny w twoim życiu, w życiu was dwojga, naprawdę długo.

Nadszedł weekend.

Nim pojechałam po syna do Walnut Creek, przebrałam się cztery razy. Sukienka, szorty, znowu sukienka, dżinsy. Ostatecznie zdecydowałam, że powinnam wyglądać tak, jakbym się zbyt mocno nie starała, stąd dżinsy. Poza tym, kiedy ostatnio byłam na zawodach, w których brał udział Ollie, zauważyłam, że Cheri, jego macocha, wyraźnie przytyła, i ucieszyło mnie, że sama jestem szczuplejsza niż zazwyczaj i zdecydowanie szczuplejsza od kobiety, dla której porzucił mnie mąż.

– Nie znoszę w sobie tego, że kiedy tam jeżdżę, ciągle przejmuję się, czy dobrze wyglądam – wyznałam Avie.

– Jesteś tylko człowiekiem – odparła. – Popatrz na Swifta i na mnie. Nie mam absolutnie żadnych wątpliwości co do tego, że mnie uwielbia, ale podczas tych rzadkich okazji, kiedy wiem, że natkniemy się na tę straszną kobietę – miała na myśli Valerie, pierwszą żonę Swifta i matkę Coopera – robię coś szalonego, na przykład jadę wcześniej do fryzjera. Nie chodzi wcale o Swifta i o mnie, ale o mnie i Valerie – dodała. – Tak samo jest pewnie w twoim przypadku. Prawdopodobnie chcesz dobrze wyglądać, kiedy spotykasz się z byłym mężem, ale założę się, że nade wszystko pragniesz wyglądać lepiej niż jego żona. I wiedzieć, że on to widzi.

– To okropne, jak kobiety ze sobą rywalizują – stwierdziłam. – Jest tak, jakbyśmy nadal chodziły do liceum.

– Wiesz, co między innymi kocham w naszej przyjaźni? – zapytała Ava. – To, że nas nie dotyczą te bzdury. Nigdy się tobą nie przejmuję w tym sensie. I wiem, że nie polujesz na mojego męża jak wiele innych kobiet. W twoim przypadku to nie wchodzi w grę.

Wiedziałam, że to miał być komplement, ale kiedy jadąc autostradą po syna, rozmyślałam o słowach Avy, nic nie mogłam poradzić na to, że czuję się – jak zresztą często – tak mało ważna i bezbarwna. Tak niewidzialna, że mogłabym skakać do basenu nago z trampoliny, a największy seksualny maniak, jakiego znałam, nie podniósłby nawet wzroku.

Był jednak taki, który by podniósł. Elliot. Stanowił przeciwieństwo Swifta, ale dla niego, z jakiegoś powodu, byłam najbardziej atrakcyjną kobietą na świecie.

– Nie zamierzam być facetem, który wydzwaniał do ciebie kilkanaście razy w ciągu dnia – oświadczył mi raz przez telefon. – Ale chcę, żebyś wiedziała, że tyle właśnie razy miałbym na to ochotę. Że nie wspomnę o tym, jak często o tobie myślę. To znaczy bez przerwy.

W minionym tygodniu spędziliśmy ze sobą dwie noce z rzędu, ale teraz mieliśmy się nie widzieć przez cały weekend.

– Choć zdarza mi się zachowywać idiotycznie – rzekł do mnie – jednej

rzeczy nigdy nie zrobię: nie będę ingerował w twoją relację z synem. To jest dla ciebie najważniejsze na świecie.

Pocałowałam go wtedy. Jedno, na co zawsze mogłam liczyć w przypadku Elliota (właściwie nie tylko jedno), to wyrozumiałość.

– Chcę, żebyś wiedziała, że będę tęsknił za tobą jak wariat. Prawdopodobnie będę musiał ukoić smutek, czytając kodeks podatkowy albo oglądając *W pogoni za cieniem*.

Pomyślałam, że taki już jest ten Elliot. Mógł być piękny dzień, a on z radością zaszywał się w gabinecie, opuszczał rolety i oglądał stare filmy albo pracował na laptopie. Ktoś taki jak Swift wybrałby się pewnie na przejażdżkę motocyklową. Albo na seminarium poświęcone seksowi tantrycznemu. Albo po prostu popróbowaliby go w praktyce.

Poczułam wtedy, że serce mi się ścisnęło. Jeśli związek jest naprawdę dobry, nie myśli się krytycznie o swoim partnerze, tak jak ja. Nie porównuje się go z mężem przyjaciółki ani nie przyznaje, kiedy tak stoi w swoim starym szlafroku i parzy kawę, że rzeczywiście ma okropną postawę i spory brzuch. Ani że mąż przyjaciółki w życiu by nie włożył takiego taniego frotowego szlafroka.

Ale była też druga strona medalu. Kiedy Elliot powiedział, jak bardzo będzie za mną tęsknił przez te dwa dni, dotarło do mnie, że ja za nim również. I choć to była prawda, odczuwałam też swoistą ulgę, że nie spędzi z nami tego weekendu. W przeciwnym razie martwiłabym się tym, co o nim pomyślą Havillandowie.

A zresztą kim ja jestem? Ja, osoba posiadająca równie mało stylowy szlafrok, która wygląda w nim pewnie tak samo absurdalnie jak Elliot w swoim. Ja, osoba, która także kocha stare filmy i chętnie spędziłaby całe popołudnie – nawet słoneczne – na oglądaniu razem z nim trzech filmów z rzędu. Gdybym miała większą pewność, że obecność Elliota okaże się dla mojego syna wystarczająca, mogłabym zasugerować, aby to on – on, nie Swift – wybrał się z nami na jakąś wycieczkę i wspólne gotowanie. Myślałam, że to pomoże Olliemu wydostać się z jego twardej, niedostępnej skorupy, że przestanie postrzegać matkę jako osobę, która go porzuciła. Wybrałabym Elliota, nie Swifta, by podczas weekendu przekazał mojemu synowi następującą informację: „Widzisz, możesz spędzić ze swoją mamą fajny dzień. Nie tylko ten jeden, ale całe mnóstwo”.

Wiedziałam jednak, że Elliot nie zaimponowałby mojemu synowi. Wabikiem na Olliego mógł być Swift. Życie na Folger Lane. Basen, psy. Ale przede wszystkim Swift.

W tamtym czasie nie przyznawałam się do tego nawet przed samą sobą. Wyrzuty sumienia dopadały mnie zarówno wtedy, gdy cieszyło mnie towarzystwo Elliota, jak i w chwilach, kiedy dostrzegałam w nim głównie wady. Czasami, przypomniawszy sobie słowa Avy, martwiłam się, że być może coś ze mną nie w porządku, skoro dobrze mi z kimś tak zwyczajnym jak Elliot. Jakbym

zdecydowała się na mniej intensywne, gorsze życie. Jakbym wybrała zwykłe, nieskomplikowane zadowolenie, a nie wielką i wyjątkową namiętność.

Nie wij gniazda – tak mi powiedziała Ava. Kiedy byłam z Elliotem, nie miałam wrażenia, że to robię. Jednak za każdym razem, kiedy mój samochód zatrzymywał się przed domem na Folger Lane, wątpliwości wracały.

Kiedy zjawiłam się w domu eksmęża, aby zabrać syna na weekend – po raz pierwszy od ponad trzech lat – Cheri rozmawiała przez telefon, jak nieraz. Przyrodni brat mojego syna, Jared, siedział na pozbawionym oparcia foteliku samochodowym, a w rączkach trzymał niedojedzony tost i mazak. Dostrzegłszy mnie w drzwiach, Cheri pokazała na salon, skąd dochodziły odgłosy jakiejś kreskówki. Dwight pojechał pewnie na pole golfowe. Ollie siedział na kanapie, jeszcze w piżamie. Był blady, a jego szyja w powyciąganej górze od piżamy wydawała się przeraźliwie chuda i skurczona, jak u ptaka. Na ławie stała miska z płatkami, a na podłodze leżały zabawki należące zapewne do Jareda. Mój syn nie podniósł nawet wzroku.

Wylewne powitania nigdy nie były w moim stylu, nawet kiedy jedyne, czego pragnęłam, to przytulić Olliego. W ciągu tych smutnych, szarych miesięcy, a potem lat, odkąd zamieszkał w Walnut Creek, przekonałam się, że potrzebuje kilku godzin – czasami nawet całego dnia – aby po okresie rozłąki znowu poczuć się swobodnie w moim towarzystwie. Nie dziwiło mnie już, że pierwsze, co widziałam, kiedy przyjeżdżałam po Olliego, to jego pozbawiona wyrazu, obojętna twarz. Wiedziałam, że kiedy go uściskam, jego ciało będzie spięte i czujne. Jakiś czas później, o ile dopisze mi szczęście – mniej więcej wtedy, kiedy nadejdzie pora, by się żegnać – wtuli się we mnie jak kiedyś, a ja przez chwilę będę miała okazję poczuć, jak to dawniej było między nami. A potem będę musiała go odwieźć do domu i mój syn na powrót przywdzieje swoją zbroję.

– Hej, Oll – odezwałam się. – Fajnie cię widzieć. – Usiadłam na podłodze obok kanapy.

Ssał kciuk. Wiedziałam, że próbuje się tego oduczyć, bo dzieci w szkole śmiały się z niego. Ale kiedy był sam albo się denerwował, wracał do tego nawyku.

– Mam pomóc ci się spakować? – zapytałam. Mogłam się irytować na Cheri czy Dwighta za to, że się tym nie zajęli, ale jaki to miało sens?

– Chcę obejrzeć film do końca.

Usiadłam obok niego na kanapie, walcząc z pokusą, by wziąć go w ramiona i mocno przytulić. Poglaskałam go po plecach. Przesunęłam dłonią po włosach. Czasami, kiedy po niego przyjeżdżałam, Ollie był obcięty na zapalną – pewnie ze względów praktycznych – tym razem jednak przydałaby mu się wizyta u fryzjera. Miał też długie paznokcie u stóp. Wyglądał jak chłopiec, którym matka nie opiekowała się tak, jak powinna.

Choć Ollie już od trzech lat miotał się między domem ojca a moim mieszkaniem, jakoś do tej pory nie kupiliśmy mu walizki czy worka marynarskiego. Ponieważ Cheri dalej rozmawiała przez telefon, z szafki pod zlewem wyciągnęłam worek na śmieci, aby zapakować do niego rzeczy na

weekend.

Dwa komplety bielizny. Dwie pary skarpetek. Dawniej, kiedy mieszkał ze mną, bawiliśmy się w ich parowanie, teraz wszystkie zostały wrzucone do jednej szuflady. Same białe. Cheri pewnie uznała, że tak będzie prościej, niż śledzić, jakie wzory są na czasie – samochody, dinozaury, transformersi.

Wyjęłam z szuflady koszulkę z terierem, którą uwielbiał, choć była już na niego za mała, i dwie inne – jedną z długim rękawem, drugą z krótkim.

– Musisz zabrać ze sobą kąpielówki. Przyjaciele, do których jedziemy, mają basen.

– Nikt mi nigdy nie pokazał, jak się pływa – powiedział. Sugestia była jasna: to ja powinnam go była nauczyć.

– Wejdę do wody razem z tobą – zapewniłam. – Będą tam makarony do pływania.

– Mówiłaś, że mają psa. – W jego głosie jak zawsze słychać było nieufność.

– Nawet trzy.

– A kablówkę?

– Poczekaj, aż tam pojedziemy – odparłam. – Zbyt dobrze będziemy się bawić, żeby oglądać telewizję.

– Chciałem zobaczyć program o robotach – powiedział z nutką pretensji, którą tak dobrze znałam. Tak jakby całe zło na tym świecie było moją winą.

– Cheri ma w samochodzie odtwarzacz DVD – oświadczył, kiedy przypięłam go pasami na tylnym siedzeniu hondy. Nie znosiłam tego, że teraz zgodnie z przepisami dzieci muszą siedzieć z tyłu, a nie na przednim fotelu, gdzie można porozmawiać. Podobno ze względów bezpieczeństwa, ale kiedy tak jechałam, mając syna za sobą, czułam się bardziej jak szofer niż jak matka.

– Cóż, ja wolę rozmawiać. Nie widzieliśmy się dwa tygodnie. Chcę się dowiedzieć, co słychać w szkole. Czego nauczył cię ostatnio pan Rettstadt?

– Niczego.

– Nie wierzę. Powiedz mi chociaż jedną rzecz.

– Bla, bla – odparł. – Bla, bla, bla, bla, bla. Bla, bla, bada blabada, blada, bladada, bla.

– Byłam w bibliotece. Wypożyczyłam nam mnóstwo książek. Jedna jest o owadach.

– Nienawidzę owadów.

Kiedyś było inaczej. Kiedy mieszkał ze mną, niemal przez godzinę potrafiliśmy obserwować mrowisko. Nie tędy droga.

– Mam też inne książki – dodałam.

– Nienawidzę czytać.

W końcu zasnął. Wcześniej myślałam, że zatrzymamy się w parku, w którym lubił jeździć na hulajnodze, ale kiedy przejechaliśmy przez most, zdążyło minąć

południe, a wiedziałam, że Ava będzie czekać na nas z lunchem, więc udałam się prosto na Folger Lane.

– Myślę, że polubisz moich przyjaciół – powiedziałam, kiedy obudził się jakieś półtora kilometra od ich domu. – Nie mogą się doczekać, aby cię poznać.

Nie znosiłam tonu swojego głosu, kiedy to mówiłam. Jakbym słyszała stewardesę.

– Ava nie może chodzić – wyjaśniłam. – Jeździ na wózku inwalidzkim. Ma specjalny samochód z rampą.

– Która godzina? – Kciuk w buzi. Szkliste spojrzenie. – Kiedy jedziemy do domu?

Gdy wjeżdżałam na podjazd, byłam przekonana, że popełniam koszmarny błąd. Mój syn nie pozwoli sobie na to, aby przyjemnie spędzić czas. Ava i Swift będą robić co w ich mocy, ale później, kiedy już odjedziemy, popatrzą na siebie i westchną: „Dzięki Bogu już po wszystkim”. Będą uprzejmi, ale raczej nas znowu nie zaproszą. Co więcej, mogą dojść nawet do smutnego, aczkolwiek oczywistego wniosku, że pewnie lepiej, iż to nie mnie przyznano prawa do opieki nad synem.

Ava otworzyła drzwi. Lillian podbiegła do Olivera i zaczęła biegać w kółko jak zawsze, kiedy poznawała nową osobę, a Sammy machał ogonem i radośnie czekał. Ale największą niespodziankę sprawił Rocco, który zazwyczaj warczał na każdego, kto nie był Avą. Wyglądało na to, że od razu zapałał sympatią do mojego syna. Od chwili, kiedy Ollie wszedł do domu, Rocco lizał go po ręce i nie odstępował na krok.

– Miło cię poznać, Oliverze – przywitał się Swift, wyciągając rękę. – Masz ochotę na coś do picia?

Tak jak i Ava, należał do tych rzadko spotykanych osób, które nie zmieniały tonu głosu podczas rozmowy z dzieckiem.

– Trzeba w to wrzucać pieniądze? – zapytał Ollie. Dostrzegł elektryczny bilard. Swift był na tyle bystry, żeby nie pokazywać go chłopcu. Niech lepiej sam wszystko odkryje.

– Dla ciebie, chłopie, bilard jest gratis. Mój syn Cooper grał w to na okrągło. Kiedy kupiliśmy bilard, był za niski, więc zrobiliśmy to pudło.

Ollie wszedł na prowizoryczny stopień. Zaczął dotykać sterowników. Potem spojrzał na mnie, jakbym mu miała powiedzieć, że nie wolno.

– W porządku – uspokoiłam go. – To nasi przyjaciele. Możesz robić to, na co masz ochotę.

Po lunchu chciał zobaczyć, gdzie sypiają psy. Następnie Swift pokazał mi pokój, w którym poukładał wszystkie należące kiedyś do Coopera zółwie Ninja.

– Pana syn tu mieszka?

– Jest już duży – wyjaśnił mi Swift. – Teraz jedyne dziecko w tym domu to ja.

Ollie zmierzył go uważnym wzrokiem.

– Czuj się jak u siebie, chłopie – dodał Swift. – Jedynym miejscem, gdzie trzeba zachowywać ostrożność, jest basen. Ava wprowadziła zasadę, że jeśli wchodzę do wody, w pobliżu musi być ktoś dorosły. Ciebie to także dotyczy.

– Ale on nie jest dzieckiem – szepnął do mnie Ollie.

– Tu mnie masz, chłopie. Ale czasem bywam niegrzeczny, tak jak dzieci. Różnica jest taka, że nikt nie każe mi iść do swojego pokoju.

Wyszliśmy do ogrodu. Przez chwilę stali obok basenu i wpatrywali się w wodę, Swift z ciemną opalenizną – nie uznawał kremów z filtrem – Oliver z nogami wystającymi spod zbyt dużych szortów, białymi jak mleko.

– Nie umiem pływać – odezwał się Ollie. Głos miał cichy i ochrypły.

Kiedy mój syn mieszkał jeszcze ze mną, zabrałam go na dwie lekcje pływania, ale on zawsze bał się wody.

– Co ty mówisz? – zapytał Swift. – Może pora, żebyśmy coś z tym zrobili.

Podniósł mojego syna i przerzucił go sobie przez ramię. A potem wskoczył razem z nim do wody. Myślałam, że Ollie zacznie płakać, ale on wynurzył się na powierzchnię cały roześmiany.

Skończyło się tak, że większą część popołudnia spędzili razem w basenie. O czwartej Ollie potrafił już skakać do wody tyłem i przepłynąć cały basen, udając trupa.

– Ty sobie żartowałeś, no nie? – spytał go Swift. – Kiedy mówiłeś, że nie umiesz pływać. Masz prawdziwy talent. Będziesz mistrzem.

– Nie wiedziałem, że umiem pływać! – zawołał Ollie. – Nigdy nie byłem u was w domu.

– Cóż, no to już wiesz, co musisz robić – orzekł Swift. – Musisz częściej nas odwiedzać.

Na twarzy mojego syna zagościła powaga. Było tak, jakby zaproponowano mu właśnie pracę, a on, po namyśle, zdecydował się ją przyjąć.

– Myślisz, że twój syn nie będzie się gniewał, jeśli pogram sobie jeszcze w jego bilard? – zapytał Ollie.

Swift pokazał mu wcześniej zdjęcie, na którym Cooper lata na lotni nad pustynią Arizona, i jeszcze jedno w skyboksie[6] na meczu Gigantów.

– Uważam, że chciałby, abyś to robił – zapewnił go teraz. – Może tak się zdarzy, że podczas jednej z twoich wizyt on także tu będzie i wtedy razem poszalejecie.

Ollie przez jakiś czas grał w bilard, a potem rzucał Rocco frisbee. Następnie Ava zrobiła nam koktajle i pozwoliła Oliemu wrzucić do blendera wszystko, na co miał ochotę. Przed kolacją wpakowaliśmy się do range rovera Swifta i pojechaliśmy do parku, żeby psy mogły się wybiegać. Rocco przez cały czas trzymał się Olivera.

Wybraliśmy się na hamburgery. Swift zamówił Olliemu deser lodowy. Kiedy siedzieliśmy na tylnej kanapie, Ollie z Rocco na kolanach, mój syn szepnął mi do ucha:

– Szkoda, że musimy wracać do domu.

Zasnął w samochodzie. Dzięki temu Ava i Swift mieli okazję wypytać, co słyhać u mnie i Elliota. Mimo że Ollie spał, nie wdawaliśmy się w szczegóły.

– Więc naprawdę lubisz tego faceta? – zapytał Swift.

Odparłam, że tak.

– Nie ma może jakichś wielkich fajerwerków – rzekłam – ale jest fajnie.

– Fajnie – powtórzyła Ava. Zabrzmiało to sceptycznie.

– A co on sądzi o moim małym kumplu? – chciał wiedzieć Swift. – No bo ten mały gość zasługuje na naprawdę świetnego faceta. Najlepszego.

– Nie wybiegajmy przed orkiestrę, skarbie – wtrąciła Ava. – Helen i Elliot po prostu się spotykają. Nie biorą przecież ślubu.

– To dobre pytanie – stwierdził Swift. – Helen musi myśleć przyszłościowo.

– Cóż, Elliot prawdopodobnie nie radzi sobie z dziećmi tak dobrze jak ty – odparłam. – Ale z tobą mało kto może się równać.

– Ale w łóżku jest dobry, co? – zapytał, jak zwykle z szerokim uśmiechem.

– Óóó. – Ava pokazała na Olliego. – Jej syn.

Było już po dziesiątej, kiedy Ollie i ja przyjechaliśmy do mnie. Choć był za duży na noszenie na rękach, jakoś udało mi się go wnieść po schodach. Jakże przyjemnie było to znowu robić. Położyłam go na specjalnie przygotowanym dmuchanym materacu i rozwiązałam mu buty. Zanim na dobre zasnął, spytał, czy jutro moglibyśmy znowu jechać do naszych przyjaciół. Na Swifta mówił Monkey Man.

Rankiem jeszcze raz zapytał, czy pojedziemy do domu Monkey Mana, ale obiecałam Dwightowi, że przed dwunastą go odwozę. Na małym balkonie wychodzącym na parking obciąłam synowi włosy. Mogłam tak stać bez końca: Ollie na krześle z ręcznikiem wokół szyi, ja z nożyczkami, obcinająca jego cienkie, jasne włosy. Nie chciałam, aby to się skończyło, i choć może się myliłam, miałam wrażenie, że Ollie także jest szczęśliwy. Nie garbił się jak zazwyczaj, a w jego ramionach nie czuć było wczorajszego napięcia. Śpiewał *Yellow Submarine*, jedną z piosenek, którą usłyszał wczoraj w szafie grającej na Folger Lane.

W drodze powrotnej do Walnut Creek nawijał o tym, co chciałby robić, kiedy następnym razem pojedziemy do domu Havillandów. Chciałby pobawić się z psami. Wypróbować stół do cymbergaja. I znowu popływać z Monkey Manem.

– Czy on jest jakimś superbohaterem? – zapytał mnie.

– Można tak powiedzieć – odparłam.

W poniedziałek po weekendzie spędzonym z Olliem Elliot zaprosił mnie na kolację.

– Mam nadzieję, że nie zabrzmiało to desperacko – rzekł. – Nie widzieliśmy się tylko trzy dni. Ale tak strasznie za tobą tęskniłem. Już nawet nie pamiętam, jak to było, gdy cię nie znałem.

Powinny mnie ucieszyć jego słowa, ja jednak poczułam lekką irytację. Jakby nie miał nic innego do roboty.

– Rozumiem, że na razie nie chcesz mnie przedstawiać Olliemu, i w pełni szanuję twoją decyzję – kontynuował. – Ale nie mogę się doczekać dnia, w którym poczujesz się w naszym związku na tyle pewnie, aby to zrobić.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Prawda była taka, że nie chodziło tylko o to, że niezbyt długo się znamy. Oprócz tego bałam się, że Elliot nie będzie wiedział, jak rozmawiać z Olliem. I że Ollie uzna go za głupka. A to dlatego, że Elliot tak bardzo różnił się od Swifta. A Ollie wolałby, żeby było inaczej.

Poza tym obawiałam się także tego, jak zostanie odebrany przez Avę i Swifta. Martwiłam się, że Elliot może mnie wprowadzić w zakłopotanie. Albo, co było jeszcze gorsze, że zrobi coś żenującego.

– Jestem przekonana, że niedługo się poznacie – zapewniłam. – Chcę jedynie poczekać na odpowiedni moment.

Trudno powiedzieć, co to miałyby być za moment.

Kiedy zjawiałam się na Folger Lane, aby spotkać się z Avą albo popracować (oczywiście w tajemnicy) nad albumem urodzinowym, Swift najczęściej siedział w altanie przy basenie i rozmawiał przez telefon. Jeśli akurat tam nie przebywał, przez chwilę ze mną żartował, po czym znikał. Gdy się z nim widziałam następnym razem, kilka dni po wizycie Olliego, chciał porozmawiać o moim synu.

– Masz świetnego dzieciaka – oświadczył.
 – Strasznie mu się spodobałeś – zrewanżowałam się.
 – Do bani, że jego ojciec tak ci go odebrał. – Podczas rozmowy gryzł udko indyka. Jadł jak jaskiniowiec. Bez sztuców. – Ollie się do tego nie przyzna, ale chłopak w tym wieku potrzebuje mamy. I choć moja była żona doprowadzała mnie do szału, wiedziałem o tym, kiedy Cooper był mały.

– Uwierz mi, ojciec mojego syna jest twoim przeciwieństwem.
 – Jesteś świetną mamą – stwierdził. – Ollie powinien spędzać z tobą znacznie więcej czasu.

Mnie się wydawało, że podczas minionego weekendu Swift był tą osobą, z którą mój syn miał ochotę spędzać czas. Tak czy inaczej to była dobra wiadomość. Dopóki Ollie będzie chciał bywać w domu Swifta i Avy, będzie chciał także bywać u mnie. Tak długo, jak miałam Havillandów, mogłam zaoferować mu rodzinę.

– Kiedy więc znowu przywieziesz tu tego chłopaka? – zapytał Swift. – Już się za nim stęskniłem.

– Postaram się, żeby spędzić z Olliem więcej czasu podczas wakacji – wyjaśniłam. – Ale mało prawdopodobne, że jego ojciec mi to ułatwi. Nie pójdę z tym teraz do sądu, jeśli się nie zgodzi; nie ma takiej opcji... Prawnik z centrum wsparcia kobiet, z którym rozmawiałam w zeszłym roku, nic w tej sprawie nie zrobił.

Że nie wspomnę o tym, dodałam w myśli, że przez całe lato miałam ciężko pracować. Oprócz tego, co robiłam dla Havillandów, przyjąłam dodatkowe zlecenie: kiepsko płatne zdjęcia do katalogu poświęconego półwypowi, co znaczyło, że w ogóle nie pozostanie mi czasu dla Olliego. Nie mówiąc o Elliocie.

– Posłuchaj – wtrąciła Ava. – Oliverowi się tutaj podoba. A w domu jest zawsze Estella. Jeśli uda ci się przekonać swojego eks do tego, aby mały spędził kilka wakacyjnych tygodni z tobą, Swift i ja nie mamy nic przeciwko temu, żeby tu przyjeżdżał, kiedy będziesz pracować.

Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Oszłomiła mnie ich wielkoduszność. Wyobraziłam sobie materac rozłożony dla Olliego. Klocki lego porozrzucane ponownie na stole w salonie. Popcorn na sofie.

– Nauczę go pływać – obiecał Swift. – Do Święta Pracy będzie śmigał

motylkiem.

– Porozmawiam z jego ojcem – powiedziałam.

Zadzwoiłam do Dwighta, aby zapytać, czy latem mogłabym zabrać Olliego do siebie na kilka tygodni. Bez większych protestów przystał na dwa, co było najdłuższym okresem, jaki miałam spędzić z synem, odkąd straciłam prawo do opieki.

– Usłyszę choć jedno słowo o tym, że pijesz, a nie będzie powtórki – zapowiedział.

Chciałam mu coś odpowiedzieć, ale ugryzłam się w język. Liczył się tylko czas spędzony razem z Olliem. Tak długo na to czekałam.

Nazajutrz, przez telefon, Ollie opowiedział mi o swoich planach. Przez dwa tygodnie zamierzał nauczyć Rocco jakiejś sztuczki i poświęcić czas na naukę pływania. Razem z Monkey Manem postanowili, że w Święto Pracy urządzą wyścig pływacki. No i teraz rozpocznie treningi.

– Jeśli będę miał dobry humor, to dam ci fory, kolego – powiedział mu Swift. – Ale nie sądzę, żebyś ich potrzebował. Jesteś tyle ode mnie młodszy. Czy wiesz, ile mam lat?

– Dwadzieścia pięć? – strzelił Ollie.

Nie bardzo znał się na wieku dorosłych, a Swift rzeczywiście zachowywał się jak dwudziestopięcioletek.

Nie tylko mój syn był podekscytowany planami na lato. Swift także. Kupił już bilety na mecz Gigantów, a teraz się dowiadywał, ile trzeba mieć lat, żeby jeździć gokartami Formuły 4, które widział kiedyś na torze niedaleko autostrady dwieście osiem. Mało tego: stary tunel, w którym Cooper trenował baseballowe uderzenia i który od blisko dziesięciu lat zbierał kurz na tyłach ogrodu, teraz zostanie odnowiony. Swift rozumiał, że najpewniej nie chciałabym, aby Ollie jeździł z nim na motocyklu. Ale co ja na to, jeśli doczepi się przyczepę?

– Chcę zabrać chłopaka nad Tahoe – oświadczył Avie i mnie. – Na łódź. Donzi[7].

Słyszałam już kiedyś, jak wspominał o tej łodzi. Podarował ją Cooperowi z okazji ukończenia szkoły. Na wielu zdjęciach wiszących w tym domu widziałam ich razem na tej łodzi o opływowych kształtach. Jak zawsze roześmianych.

– Nie mówimy o zwykłej motorówce – kontynuował Swift. – To cacko to oryginalna łódź wyścigowa Donzi z tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego dziewiątego roku. Colin Farrell pływał taką w *Policjantach z Miami*. Myślicie, że nasz Oliver miałby ochotę na krótką przejażdżkę?

– Nie zapominaj o jednym, skarbie – wtrąciła Ava. Swift zdążył już przedstawić całą listę zajęć na lato z moim synem. – Przecież chodzi o to, aby Helen i Ollie mogli spędzić razem więcej czasu. Nie o to, żebyś ty miał znowu okazję dzielić się z małym chłopcem swoimi zabawkami.

– Wiem, wiem – odparł Swift. – Ja tylko mówię o tym wszystkim, co będę robił, kiedy Cooper i Virginia zaczną mieć dzieciaki. To będzie dobra wprawka.

Słyszając słowa Swifta, poczułam przyływ wdzięczności i czułości. Nie dość, że Havillandowie adoptowali mnie, to teraz postanowili się zaopiekować także moim synem. Może to i prawda, że wykorzystywałam Swifta i Avę, ale nawet jeśli, czy było w tym coś strasznego? Od czegoś trzeba w końcu zacząć.

– Nie jestem pewny, czy czuję się na tyle stary, aby być dziadkiem – dodał Swift. – Wolę być wujkiem. Bogatym wujkiem. – Z jego gardła wydobył się tubalny śmiech. – Ale będzie zabawa.

– Pamiętaj tylko, kochanie – odezwała się jeszcze raz Ava – że to ma być czas dla Helen i Olliego. Kto wie, może ja także będę miała ochotę pooglądać cię trochę tego lata.

– A konkretnie którą część mnie? – zapytał.

Osobą, której imię w ogóle nie pojawiło się podczas naszych rozmów na temat lata, był Elliot. Jego istnienie dla mojego syna pozostawało tajemnicą, a dla przyjaciół stanowiło przedmiot milczącej, aczkolwiek jednoznacznej oceny. Kiedy Ollie do mnie wróci – to znaczy na te dwa tygodnie – będę musiała skończyć z nowym zwyczajem spędzania dwóch albo trzech nocy w tygodniu w Los Gatos. Ten zbliżający się czas z Olliem był bezcenną, długo wyczekiwaną okazją do odbudowania naszej relacji. Nie mogłam pozwolić, aby cokolwiek stanęło nam na drodze.

Kiedy powiedziałam Elliotowi, że wtedy nie będę mogła zostawać u niego na noc, przyjął to spokojnie i ze zrozumieniem, jak zawsze. Cieszył się, że uda mi się spędzić z synem trochę więcej czasu. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, kto wie, co będzie dalej? A jeśli chodzi o resztę: nigdzie się nie spieszyliśmy. Elliot miał pewność, że kiedy on i Ollie się poznają, wszystko się ułoży.

– Wiem, że jestem dziwakiem – powiedział. – Ale sądzę, że kiedy już się poznamy, zobaczy, że mam dobre chęci. I że mi na nim zależy.

Dmuchany materac już miałam, ale z myślą o zbliżającym się przyjeździe Olliego kupiłam składany parawan, aby zapewnić synowi choć trochę prywatności, oraz zaopatrzyłam się w jego ulubione płatki i lody na patyku. Zamiast zmuszać go do kolejnego przewożenia jego rzeczy, kupiłam ogromny karton klocków lego i postawiłam na stole w salonie, a obok niego nowe mazaki i (jako że basen Havillandów stanie się istotnym elementem wakacji) nowe kąpielówki. Wieczorami, odliczając dni do przyjazdu Olliego, zaczęłam wyobrażać nas sobie znowu razem. Nigdy nie pozwolę, żeby kiedykolwiek przytrafiło nam się coś złego. Nic – nawet ten porządny mężczyzna, na którym mi zależy – nie przeszkodzi mi w tym, jak spędzę czas z synem.

Pojechałam po niego pod koniec czerwca, dwa dni po zakończeniu roku szkolnego. Cekał już na mnie przed domem i po raz pierwszy, odkąd zamieszkał w Walnut Creek, uśmiechał się. Z domu dobiegały krzyki mojego eksmęża. Chyba jakiś problem z Jaredem.

– On tylko wysypał płatki z kartonu – rzekł Ollie. – Wiesz, jaki jest tata.

Chwilę później przed dom wyszedł Dwight. Kiedy Ollie wsiadł do samochodu i zaczął zapinać pasy, mój eks nachylił się i powiedział mi cicho do ucha:

– Tylko pamiętaj, co mówiłem o piciu. Jeden błąd i po wszystkim.

Wyprostował się i uwagę skierował na Olliego.

– Nie zapominaj, synu, że gdybyś miał jakiś problem, zawsze możesz zadzwonić do Cheri albo do mnie. Nawet w środku nocy.

Odsunął się od samochodu i pomachał. Na jego twarzy pojawił się

wymuszony uśmiech. W drzwiach stała Cheri z Jaredem na rękach. Nie zdradzała żadnych emocji.

Gdy tylko dotarliśmy do mojego mieszkania, Ollie chciał jechać do Monkey Mana. Każdy kolejny dzień wyglądał tak samo. Lubił Avę i kochał psy, ale szalał na punkcie Swifta. Pierwsze, co mówił po przebudzeniu, to:

– Kiedy pojedziemy do Monkey Mana?

Musiałam co prawda pracować, choć pomagania Avie w projekcie urodzinowym nie traktowałam jak pracy, ale najlepsze było to, że jednocześnie miałam w pobliżu syna. Czasami Swift zabierał go na basen, innym razem Ollie chodził za nim po domu, stał i przyglądał się jego lekcji qigong albo do niego dołączał. Jeśli zaczynał się nudzić, wychodził na dwór z psami.

Martwiłam się chwilami, że mój syn może nadużyć gościnności, stać się dla Havillandów utrapieniem, ale Swift zapewnił, że strasznie go cieszy obecność Olliego.

– Chłopak jest moim pomagierem numer jeden – rzekł, kiedy szli razem na basen. – Zaraz po Avie, rzecz jasna.

Ava nabrała zwyczaju mówić na nich „chłopcy”, a oni dość szybko wypracowali wspólne zwyczaje. Czasami wsiadali do range rovera i jechali załatwiać różne sprawy. Czasami wybierali cybergaja. Swift uczył Olliego grać w karty i twierdził, że potrafi blefować.

– Wiesz, jaki jest najlepszy sposób na to, żeby inni ci uwierzyli, kiedy kłamiesz? – zapytał go. – Wymyśloną część historii uzupełnić prawdziwymi informacjami. Wtedy we wszystko wierzą.

Pokazał mu, jak odczytywać indeks NASDAQ, a żeby było ciekawiej, kupił mu trzy akcje Berkshire Hathaway, by śledził, co się z nimi dzieje na giełdzie. Przed laty tak samo robił z Cooperem. Nieraz Ollie zabierał lego do altany nad basenem, gdzie Swift pracował, i przez godzinę czy dwie układał je na podłodze, gdy tymczasem na tyłach domu Ava i ja przygotowywałyśmy zdjęcia do albumu albo rozmawiałyśmy.

Najważniejszy był basen. Po latach strachu przed wodą teraz Ollie nie mógł się nacieszyć pływaniem, oczywiście o ile towarzyszył mu Monkey Man. Po tygodniu jego skóra przybrała odcień brązu, a na chudych ramionach pojawił się zarys mięśni.

Oczywiście ja także chciałam spędzać z synem tyle czasu, ile się tylko da – zarówno u Havillandów, jak i wieczorami w naszym mieszkaniu. Było nam u nich dobrze, choć praca dla Avy zdawała się pochłaniać coraz więcej czasu. Nieraz wracaliśmy o siódmej lub ósmej, w sam raz na kąpiel Olliego i wspólne czytanie przed snem.

Projekt katalogowania kolekcji dzieł sztuki został tymczasowo odłożony, a Ava i ja większość czasu poświęcałyśmy sekretnemu albumowi urodzinowemu

zatytułowanemu *Człowiek i jego psy*. Lista moich obowiązków się rozszerzyła. Coraz częściej Ava wynajdywała mi inne zajęcia, takie, które kiedyś zlecałyby Estelli. Na przykład uporządkowanie szuflady z naszyjnikami albo poustawianie na toaletce flakonów z perfumami.

– Może Estella chciałaby się tym zająć – powiedziałam raz. – A jeśli jest zbyt zajęta, to może Carmen?

– Kiedyś zlecałam Carmen tego rodzaju prace – odparła Ava. – Ale będę szczerą. Nie ufam już tej dziewczynie. Raz, kiedy wróciłam do domu, wychodziła akurat z pralni z miną winowajcy. Ale kroplą, która przelała czarę, był Cooper.

Zapytałam, co ma na myśli.

– Kiedy chodził do liceum, zdobył w rugby taki pierścień. Dla najlepszego zawodnika. Pewnego dnia, mniej więcej rok później, Carmen zostawiła na stole otwartą torebkę i zobaczyłam go. Ten pierścień. Musiała go sobie wziąć.

– Co zrobiłaś?

– Oczywiście wyjęłam go z torby. Nie powiedzieliśmy Cooperowi. To by złamało mu serce. Zawsze przepadał za Carmen.

Ava powiedziała, że ta dodatkowo wykonywana przeze mnie praca zaoszczędzi jej czasu. Ale przeważnie i tak siedziała ze mną tam, gdzie akurat katalogowałam, układałam czy sprzątałam. Słyszałam, jak na dworze mój syn i Swift pluskają się w basenie albo ćwiczą w tunelu dla graczy w baseball. Ollie tak bardzo zafascynowany był Monkey Manem, że zaczęłam się martwić o to, czy on i ja spędzamy razem wystarczająco dużo czasu.

– Pomyślałam sobie, że dzisiaj wrócimy trochę wcześniej – rzekłam pewnego popołudnia, mniej więcej po tygodniu. – Może wybierzemy się na rowery.

– Tak się denerwuję, czy zdążymy z albumem przed urodzinami Swifta – powiedziała Ava. – Przecież nie musisz martwić się o Olliego. On i Swift świetnie się razem bawią. W towarzystwie dzieci jest jak flecista z Hameln[8]. Jakby je hipnotyzował. Pójdą za nim wszędzie.

Właśnie wtedy mój syn zawołał do mnie z altany nad basenem:

– Hej, mam! Monkey Man zaprosił nas na kolację. Zostaniemy, prawda?

– Oczywiście – odparłam. Czy ja mogłam wymyślić coś bardziej ekscytującego?

Choć przed nadejściem lata dobrze się układało między mną a Elliotem, od przyjazdu Olliego nie za dużo o nim myślałam. Byłam po prostu taka szczęśliwa, że znowu mam przy sobie syna. Poza tym całe dni spędzaliśmy u Havillandów. Tak dobrze się wszystko układało, że Ollie zapytał Dwighta, czy może zostać na jeszcze jeden tydzień. Nie otrzymał jednak zgody. Niemniej przyjemna była świadomość, że mój syn chce ze mną być. Choć wiedziałam też, że głównie chodzi o Swifta.

Jeden jedyny raz w trakcie tych dwóch tygodni Ava zapytała mnie o Elliota. Wybierałyśmy akurat zdjęcia do albumu.

– Nadal spotykasz się z tym facetem? – zapytała. – Evanem? Irvingiem? Tym księgowym?

– Nie widzieliśmy się, odkąd jest u mnie Ollie – odparłam. – Ale tak.

– Kiedy myśmy się poznali, nie potrafiliśmy się rozstać nawet na pięć minut. Seks jest przeciętny, co?

Nie miałam ochoty poruszać tej kwestii, ale Avie trudno było odmówić. Powiedziałam, że Elliot jest delikatnym kochankiem, nie szalonym czy agresywnym, i może brak mu nieco wyobraźni, ale nigdy się nie spieszy i jest bardziej czuły niż jakikolwiek inny mężczyzna, którego znałam. Kiedy wychodziłam z wanny – to znaczy zanim przyjechał do mnie Ollie – łokcie i kolana smarował mi balsamem, takim, którego używał od zawsze, dla farmerów.

– Mmmm. Brzmi wspaniale – rzekła Ava. Z powątpiewaniem w głosie.

To prawda, przyznałam. Elliot nie był romantyczny w tradycyjnym rozumieniu tego słowa. Ale raz, kiedy miałam trzy dni wolnego, pojechaliśmy do hrabstwa Humboldt, rozbiliśmy namiot w ustronnym miejscu w pobliżu gorącego źródła i przez jego teleskop oglądaliśmy gwiazdozbiory. W drodze powrotnej pomyślałam, że choć Elliot nie należy do osób, które na początku znajomości mogą zawrócić w głowie, to z każdym kolejnym spotkaniem coraz bardziej mi na nim zależy. Powiedziałam Avie, że nie wiem jednak, jak w moim życiu może być obecny zarówno Elliot, jak i Ollie. I że najbardziej na świecie zależy mi na synu.

Nigdy nie powiedziałam, że jestem w Elliocie zakochana, ani że odczuwam ten pochłaniający całą energię głód, aby być z nim, o którym opowiadała Ava. (I najwyraźniej nadal odczuwa). Prawdę mówiąc, niemal nic z tego, co mówiła ona o sobie i Swifcie, nie przypominało tego, co ja mogłabym powiedzieć o sobie i Elliocie. Z nim po prostu wszystko było łatwiejsze i prostsze... Czułam się szczęśliwa, mając go przy swoim boku, ale nie tęskniłam za nim, kiedy się nie spotykaliśmy. Zawsze był dla mnie miły. W pełni mu ufałam – możliwe, że nawet bardziej niż sobie samej.

– Chyba dobrze, że jest dla ciebie miły – oceniła Ava z pewnym wahaniem

w głosie. Było jasne, i nie musiała nawet mówić, że od związku oczekuje czegoś więcej.

Choć Swift nieustannie czynił aluzje do tego, jak niesamowite są ich doznania, Ava nigdy nie mówiła o szczegółach. Nie próbowali ukrywać książek o seksie tantrycznym, a na pięttrze wisiały erotyczne grafiki Hiroshige. Ale nigdy nie rozmawialiśmy ani o tym, co dzieje się za drzwiami sypialni Havillandów, ani o tym, jakie ograniczenia nakłada na Avę uraz rdzenia kręgowego.

Pewnego wieczoru wpisałam do przeglądarki internetowej zwrot „seks przy porażeniu kończyn dolnych”, a wyniki odesłały mnie do stron z informacjami na temat cewników i pozycji seksualnych na wózku. Już samo szukanie tych informacji sprawiało, że miałam wyrzuty sumienia, jakbym otworzyła drzwi do pokoju, który powinien pozostać zamknięty. Kiedy Ava poruszała temat swoich intymnych kontaktów ze Swiftem, mówiła ogólnikowo, tyle tylko, że to przekracza wyobrażenia większości par.

– Swift i ja nie mamy przed sobą żadnych tajemnic. Jest tak, jakbyśmy byli częścią tego samego ciała. Może właśnie dlatego nie postrzegam swojego wózka w kategoriach tragedii. On nie jeździ na wózku i dzięki temu czuję się spełniona.

– Ja i Elliot bardzo się od siebie różnimy – rzekłam. – Ale dobrze mieć przy boku tego spokojnego, solidnego mężczyznę. Nigdy wcześniej żadnemu partnerowi tak nie ufałam.

Jak zawsze, kiedy mówiłam o Elliocie, w głosie Avy dawało się wyczuć lekki ton naganny.

– Nie wątpię, że to naprawdę świetny facet – powiedziała. – Upewnij się tylko, czy nie jesteś dla niego jak siostra albo koleżanka. Ja, i oczywiście mówię to tylko za siebie, wolałabym namiętny romans.

W tamtym czasie już sam pomysł namiętnego romansu wydawał mi się nie do pojęcia. Ava nie miała dzieci, i może na tym właśnie polegała różnica między nami. Do mojego życia wrócił mój syn. Nie było więc miejsca na wiele więcej.

W ciągu tych dwóch tygodni Ollie i ja nabraliśmy pewnej rutyny – pierwszy raz, odkąd mój syn skończył pięć lat. Jako że w moim mieszkaniu była tylko jedna sypialnia, ulokowałam go w salonie na materacu, ale przeważnie jeszcze przed świtem przychodził do mnie do łóżka ze stertą książek z biblioteki w dłoniach. Mościliśmy się wygodnie na poduszkach i czytaliśmy, dopóki nie wzeszło słońce. Na śniadanie robiłam francuskie tosty albo naleśniki, a potem graliśmy w karty w Anakondę, której to gry nauczył go Swift. Ollie zazwyczaj wygrywał. Następnie ubieraliśmy się i jechaliśmy do Havillandów, gdzie większą część przedpołudnia mój syn spędzał na zabawie z psami i pływaniu w basenie ze Swiftem, gdy tymczasem ja zajmowałam się pracą.

– Mam pomysł – oświadczył Swift. Siedzieliśmy przy basenie. Zrobiłam sobie przerwę, aby coś przekąsić. Ollie odpoczywał na leżaku po grze w Marco Polo ze Swiftem i słuchał jego iPod'a. Ava czytała jakiś magazyn. Estella przyniosła przed chwilą Krwawą Mary, dla mnie wersję bezalkoholową. – Strasznie dawno nie urządzaliśmy żadnego przyjęcia. Zaprośmy na kolację tego twojego chłopaka.

– Sama nie wiem – bąknęłam. Prawdę mówiąc, stęskniłam się za Elliotem, ale Folger Lane nie wydawało się najlepszym miejscem na spotkanie po niemal dziesięciu dniach rozłąki. Poza tym był tutaj Ollie.

– Pora, żebyśmy go poznali – rzekł Swift. Ava знаła oczywiście jego imię, ale zawsze mówiła o nim per księgowy. A Swift chyba w ogóle go nie pamiętał. – To może zadzwoń do niego i zapytaj, czy jest wolny wieczorem, co?

– Kiedy?

– Teraz.

– To chyba nie najlepszy pomysł – zaprotestowałam. – Elliot nie poznał jeszcze Olliego. Może lepiej by było, gdyby Ollie najpierw spędził trochę czasu z Elliotem i ze mną. Później moglibyśmy się spotkać wszyscy razem.

– Za bardzo wszystko analizujesz – odezwała się Ava. Jej głos zabrzmiał ostro. W ten sposób mówiła tylko do Estelli, kiedy ta wróciła do domu z niewłaściwą karmą dla psów albo gdy ominęła jakieś miejsce podczas odkurzania. Albo, co miało miejsce niedawno, kiedy opowiadała mi o tym, jak Carmen ukradła pierścień Coopera.

– Będzie fajnie – powiedziała. – Możemy się wybrać do klubu jachtowego i zjeść kolację na łodzi.

Nie zaskoczył mnie fakt, że Elliot ma wolny wieczór, ale choć ucieszył go telefon ode mnie, wyraził tę samą obawę co wcześniej ja – kiedy jednak słuchałam, jak się zastanawia, czy to odpowiednia pora i miejsce, by poznać Olliego, rzuciłam ostro:

– Za dużo myślisz. I zbyt mocno się przejmujesz.
– Przejmuję się tym, co jest dla mnie ważne – odparł.
– Co ty na to, żebyśmy choć raz dobrze się bawili, bez analizowania każdej rzeczy?

Przez chwilę milczał.

– Sądziłem, że często się dobrze bawimy – odezwał się w końcu. – Po prostu podchodzę do tego poważnie. Poznanie Olliego wiele dla mnie znaczy.

– Będzie dobrze – powiedziałam, jakbym była Avą. – Swift ma na pokładzie grilla. Możemy zjeść hamburgery, a Ava przygotowuje s'mores[9]. Swift pozwoli pewnie Olliemu stanąć za sterem.

Zdecydowaliśmy, że Elliot przyjedzie po południu na Folger Lane. Napijemy się czegoś, kto będzie miał ochotę, to popływa, a później pojedziemy do klubu jachtowego i zjemy kolację na żaglówce Havillandów.

– Na donzi? – zapytał Ollie. Zdażył już wiele usłyszeć na temat łodzi motorowej Monkey Mana.

Swift pokręcił głową.

– Tamta jest nad Tahoe, chłopie – wyjaśnił. – Ale nic się nie martw. Niedługo też tam pojedziemy. A kiedy wsiądziemy na donzi, to uważaj, maleńka.
– Wykonał taki ruch, jak wymachujący lassem kowboj.

Kiedy przyjechał Elliot, siedzieliśmy przy basenie. Swift miał na sobie kąpielówki. Ava jedną ze swoich długich sukienek. Ollie nie wychodził z wody – nauczył się pływać tak dobrze, że nie musiał mieć obok siebie nikogo dorosłego, choć oczywiście mieliśmy na niego baczenie.

Najpierw rzucił mi się w oczy strój Elliota. Rozpinana koszula, luźne spodnie khaki, tanie mokasy. Musiał być niedawno u fryzjera. Kark miał odsłonięty, różowy i bezbronny, miejsca wokół uszu także. Nie chciałam, żeby mi to przeszkadzało, ale jednak przeszkadzało.

Wstałam, aby się przywitać; położyłam rękę na jego ramieniu, ale go nie pocałowałam, choć w innych okolicznościach miałabym na to ochotę.

– Chcę, żebyś poznał moich przyjaciół – powiedziałam. Uznałam, że najlepiej, jeśli odbędzie się jedna prezentacja naraz. Najpierw Swift i Ava, a potem Ollie, kiedy już wyjdzie z wody.

– Wiele o was słyszałem – powiedział Elliot, wyciągając rękę nad stołem, na którym stała prawie pusta butelka po winie. Swift otwierał właśnie kolejną. Elliot przyniósł ze sobą wino, ale wiedziałam, że najpewniej nie przypadnie ono Swiftowi do gustu.

– My też o tobie wszystko wiemy – odezwała się Ava. – Cóż, może nie wszystko. Ale możesz uznać to spotkanie za „poznanie rodziców”.

– To wspaniale, że Helen ma przyjaciół, którzy się o nią troszczą tak jak wy – oświadczył Elliot.

– Ona jest osobą, którą łatwo wykorzystać – wtrącił Swift, patrząc Elliotowi w oczy. – W morzu pływa wiele rekinów.

– Ja do nich nie należę. – Elliot nie spuścił wzroku.

– Oczywiście, że nie. – Ava uniosła rękę i poklepała go po ramieniu. – Mysz byłaby groźniejsza od Elliota.

Roześmieli się. Ja nie.

Swift rzucił Elliotowi ręcznik – puszysty, duży, z niebieskim paskiem na dole, pasującym do logo jednej z firm, którymi zarządzał kiedyś Swift. Od Avy wiedziałam, że kiedy pracował jeszcze w Dolinie Krzemowej, rozdawali je jako gwiazdkowe prezenty razem ze szlafrokami z monogramem.

Teraz otworzył kasetkę z cygarami i poczęstował Elliota, który miał lekko zbolaną minę.

– Mam nadzieję, że przywiozłeś jakieś ubranie na zmianę – rzekł Swift. – Później jedziemy na łódź.

– Jeśli nie, możemy ci dać coś Swifta – zaproponowała Ava. Elliot był wyższy o ponad dziesięć centymetrów i mieli zupełnie inną budowę, ale Elliot tego nie skomentował.

– Mamy tu pewną zasadę – dodał Swift. – Kiedy ktoś nie wchodzi do wody z własnej woli, to go wrzucamy. – Z jego gardła wydobył się hieni śmiech.

Popatrzyłam na Elliota. Nie uśmiechał się.

Ollie kuczał teraz na trampolinie i szykował się do skoku. Zawołał do Swifta, aby na niego patrzył.

– Mój mąż zamienił tego chłopca w rybę – rzekła Ava do Elliota.

– Następne w kolejności są zapasy – rzucił Swift.

Później, kiedy Ollie wyszedł z wody – w takim momencie zawsze chwycił mnie za serce widok mego małego chłopca, chudego i drżącego, ociekającego wodą na brzegu basenu, ze szczękającymi zębami, ale szczęśliwego – otuliłam go w puszysty ręcznik i przyprowadziłam do stołu, przy którym siedzieli dorośli.

– Chciałabym, żebyś kogoś poznał – powiedziałam. – To jest Elliot.

Widziałam, jak mój syn mierzy go wzrokiem: koszulę, niemodne spodnie, blade kostki i blade dłonie. Elliot nie wszedł do wody.

– To nie jest twój chłopak, co? – zapytał mnie Ollie.

Swift znowu zaśmiał się tubalnie.

– Ten mały jest nie w ciemię bity – stwierdził.

– Twoja mama i ja jesteśmy dobrymi przyjaciółmi – powiedział Elliot. – Ale nie zamierzam cię okłamywać. Czasami, kiedy dopisze mi szczęście, udaje mi się ją zaprosić na randkę. Pomyślałem sobie, że może kiedyś całą trójką wybierzemy się w jakieś fajne miejsce.

– Nie chcę żadnego innego miejsca. Tutaj mi się podoba. – Odwrócił się do Swifta. – Chcesz pograć w piłkarzyki?

– Zniszczę cię – odparł Swift. – Zniszczę, a potem zetnę na proch.

Uniósł Olliego nad głowę i zabrał – piszczącego i śmiejącego się – do altany, gdzie znajdował się stół z piłkarzykami.

Ja i Ava zostaliśmy same z Elliotem. Zaczęła nalewać mu wino, ale ją powstrzymał.

– Rzadko piję.

Odstawiła butelkę na stół.

– O rety. – Ava zaśmiała się cicho, jakby mocno ją to zdumiało. – Nie pływasz. Nie pijesz. Czy ty w ogóle wiesz, co to znaczy zabawa?

– Owszem, wiem – odparł.

– Mam nadzieję, że lubisz chociaż psy.

– Kocham. Już dawno bym jakiegoś przygarnął, gdybym nie miał na nie alergii.

Przyglądałam się uważnie twarzy Avy.

– Czy to nie dziwne – rzekła – że nikt nigdy nie mówi, że ma alergię na ludzi?

Jakąś godzinę później zapakowaliśmy się wszyscy do range rovera razem z lodówką wypełnioną stekami, ostrygami, winem, sałatkami i mięsem na hamburgery oraz bułkami dla Olliego. Pojechaliśmy do prywatnej mariny, gdzie Swift trzymał swoją żaglówkę.

– Właściwie to od żagli wolę silniki – wyjaśnił. – Ale szybką łódź trzymam nad Tahoe. To tam sprawdzamy moc koni mechanicznych.

– Możemy tam niedługo jechać? – zapytał go Ollie.

– A czy psy obsikują hydranty? – odparł Swift.

On i Ava siedzieli z przodu, a między nimi Ollie, tak żeby mógł używać iPoda Swifta. Elliot i ja zajęliśmy miejsca z tyłu. Odkąd Swift zaznajomił go z Bobem Marleyem, reggae wyparło albumy z końca lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, tak bardzo lubiane kiedyś przez Olliego. Takiej muzyki słuchał jego ojciec.

– *I shot the sheriff* – śpiewał teraz, trochę fałszując, ale głośno. – *But I didn't shoot no deputy*.

Elliot powiedział, że widział kiedyś Boba Marleya na żywo, na koncercie, w latach siedemdziesiątych. Czułam, że bardzo stara się wymyślić coś, co zwróciłoby uwagę Olliego.

– Byłem kiedyś z kumplem na Jamajce – odezwał się Swift. – Dostaliśmy zaproszenie na imprezę do domu Boba. To dopiero było szaleństwo.

– Poznałeś Boba Marleya? – zapytał z niedowierzaniem Ollie.

– Zagraliśmy w piłkę nożną. Tyle że Bob mówił na nią futbol.

Elliot nie wspomniał, ale wiedziałam, że cierpi czasem na chorobę morską. Nie martwiłam się tym, że dozna poparzeń, ponieważ kiedy wypłynęliśmy z mariny na łodzi Swifta, która nazywała się „Bad Boy”, Elliot cały był wysmarowany kremem z filtrem. Na szczęście nie zabrał ze sobą kapelusza, który czasami zakładał, kiedy chodziliśmy na piesze wycieczki – takiego, który miał osłaniać nie tylko twarz, ale i szyję, z dyndającym sznurkiem pod brodą. Zawsze przypominały mi się wtedy czepki noszone przez dziewczynki z *Domku na prerii*. Tego dnia miał ze sobą czapkę z daszkiem drużyny Oakland A.

– Ja jestem fanem Gigantów – rzekł Swift.

– Ja też – wtrącił Ollie, choć to była dla mnie nowość.

Cudownie pływało się po zatoce, ale woda była wzburzona.

– Nie chcę psuć zabawy – odezwał się Elliot – ale czy nie ubierzemy Olliego w kapok?

– Jestem doskonałym pływakiem – odparł Ollie. – Tak mówi Monkey Man.

– Nawet doskonali pływacy zakładają kapok na otwartym morzu. Prawdę mówiąc, sam właśnie miałem go założyć. – Elliot sięgnął po kamizelkę,

przytwierdzoną do ściany na pokładzie żaglówki. – Lepiej dmuchać na zimne, no nie?

Ollie popatrzył na Swifta. Uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, miałam okazję widzieć na kilkuset zdjęciach, które przeglądałam podczas pracy nad *Człowiekiem i jego psami* – był to szeroki, odsłaniający zęby uśmiech sugerujący sztamę z Olliem i ich zgodę co do tego, że sugestia Elliota jest niedorzeczna.

– Dobrze, że istnieją na świecie ludzie tacy jak ty – Swift zwrócił się do Elliota – którzy powstrzymują ludzi takich jak ja przed zbyt dużym szaleństwem. Potrzeba takich, co przestrzegają zasad, aby stanowili przeciwwagę dla buntowników. Niektórzy by powiedzieli, że jeśli masz na sobie kapok, jesteś ofermą. Ale co w tym złego?

– Chcę jedynie mieć pewność, że Oliver jest bezpieczny – oświadczył Elliot. Swift wypuścił dym z cygara.

– Rozumiem twój punkt widzenia, stary – rzekł. – Ale nie dam się wcisnąć w jakąś odblaskową kamizelkę z pianki tutaj, w zatoce. – Po czym wziął jeden z kapoków, pomachał nim nad głową niczym lassem i cisnął do wody. – Ogranicza mnie i już.

– Juhuu! – zawołał Ollie. – Kapoki są dla maluchów!

– On dopiero co nauczył się pływać – nie dawał za wygraną Elliot.

– To oczywiście dobry pomysł – odezwałam się. W głowie czułam bolesne pulsowanie. – Myślę, że Elliot ma rację.

Swift położył rękę na ramieniu Olliego.

– Słyszałeś, co mówi twoja mama, chłopie. Jej chłopak ma rację. Ten facet ma w głowie o wiele więcej oleju niż twój stary kumpel Monkey Man.

– Kazałeś Cooperowi zakładać kapok, kiedy był w moim wieku, Monkey Manie? – zapytał Ollie. Choć jeszcze go nie poznał, Cooper stał się już dla niego legendą. Syn Monkey Mana wyznaczał standardy tego, co fajne. Cooper i Swift, obaj, niczym gwiazdy rocka.

Ostatecznie zapięłam mojemu synowi kapok, wiążąc na długich paskach kokardki, które on od razu rozwiązał. Tak więc kapok nie zapewniłby wystarczającej ochrony, gdyby łódź się wywróciła albo gdyby Ollie wypadł za burtę.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy robić z tego problem, postanowiłam jednak odpuścić. Ollie był już wystarczająco zły. Obwiniął Elliota o to, że musi mieć kapok. Tak naprawdę sama powinnam była o nim pomyśleć.

– Słyszałem, że grasz w tee-ball[10] – rzekł do niego Elliot. – Jak sobie radzi twoja drużyna?

– Sezon już się skończył, a zresztą tee-ball jest głupi – odparł Ollie ze wzrokiem wbitym w wodę. – W sam raz dla maluchów. Miotaczami są ojcowie, a oni okropnie rzucają. Niektórzy chłopcy w mojej drużynie są tak beznadziejni, że

tylko stoją i nawet nie biorą zamachu. Ojcowie muszą rzucić piłką tak, żeby trafiła w ich kij.

– Od czegoś trzeba zacząć, no nie? Niedługo będziesz wystarczająco duży na grę w Małej Lidze. To już większe wyzwanie.

– Nie cierpię Małej Ligi.

– Kim chcesz być, kiedy dorośniesz? – Może nie było to najlepsze pytanie, ale Elliot bardzo się starał.

– Śmieciarzem. Albo przestępcą. Będę pewnie napadał na banki.

– Jeśli zamierzasz zabierać ludziom pieniądze – wtrącił się Swift – rób to mądrze. Wymyśl start-up.

Po zatoce pływało wiele żaglówek. Słońce wisiało nisko nad horyzontem.

– Co wy na to, żebyśmy upiekli te maleństwa? – zapytał Swift, wydając z lodówki cztery steki i kotlety z mięsa mielonego, które Estella przyszykowała dla Olliego.

Po minie Elliota widziałam, że jest mu niedobrze, nic jednak nie powiedział.

Swift spytał go, jaki stek lubi najbardziej.

– Ja zawsze krwisty – dodał, po czym on i Ava wymienili spojrzenia.

Często odnosiło się wrażenie, że dla tej pary wszystkie uwagi – czynione czy to przez nich, czy przez kogoś innego – mają podtekst seksualny. Kiedy byliśmy tylko we trójkę, nie przeszkadzało mi to; czasem nawet sama się przyłączałam do ich gry. Jednak przy Eliocie, a tym bardziej przy Olliem, iskry, które zawsze przeskakiwały między nimi, sprawiały, że czułam się niezręcznie.

– Mój żołądek trochę się właśnie buntuje – odparł Elliot. – Może pozostanę przy chlebie.

Swift sięgnął po jedną z ostryg, które Ava ułożyła na półmisku razem z chrzanem, cytryną i rezedą. Zbliżył ją do ust i wyssał zawartość, wydając przy tym jęk zadowolenia.

– Nie ma nic lepszego niż ostrygi – orzekł. – Cóż, może z jednym wyjątkiem. – Posłał Avie kolejne znaczące spojrzenie.

W tym momencie Elliot odwrócił się na pięcie tak szybko, że aż się zdziwiłam. Był przecież osobą, której ruchy cechował spokój. Odszedł na bok, stanął przy burcie i zgiął się wpół, głowę trzymał nad wodą. Dopiero po chwili zorientowałam się, co się dzieje. Wymiotował.

Potem coś się zmieniło. Wcześniej oczywiście opowiadałam Elliotowi o planach Swifta i Avy związanych z ich organizacją non profit, a także ich miłością do psów, co on uznał za jedną z rzeczy, które bogaci robią ze swoimi pieniędzmi. Ale po tym koszmarnym rejsie wyglądało na to, że Elliota ogarnęła nowa obsesja: zgłębianie kwestii formalnych HAU.

Dwa tygodnie z Olliem dobiegały końca i Swift, aby to uczcić, zabrał go na tor gokartowy do Mountain View. Chętnie wybrałabym się razem z nimi, ale mój syn dał jasno do zrozumienia, że chce tam jechać tylko ze Swiftem. Tak więc skorzystałam z okazji i odwiedziłam Elliota.

Widzieliśmy się po raz pierwszy od tamtego wieczoru na łodzi Havillandów. Sporo czasu minęło od mojej ostatniej wizyty w mieszkaniu Elliota w Los Gatos. Zwykle panował w nim nieskazitelny porządek, dziś jednak stół w jadalni zasypyany był jakimiś dokumentami, a jedną ścianę zasłaniały karteczki samoprzylepne. Na jednym z dokumentów zobaczyłam nazwisko Havillandów, a na innym nazwę ich fundacji.

– Co ty robisz? – spytałam. – Nie jesteś przecież księgowym Swifta. Czy zbieranie informacji na temat firm innych ludzi to jakieś dziwaczne hobby, tak jak zbieranie znaczków czy gra w ping-ponga?

– To informacje dostępne dla wszystkich – odparł. – Są zarejestrowani jako organizacja non profit.

– Nie masz nic lepszego do roboty, niż węszyć w finansach moich przyjaciół? – Wiedziałam, że moje słowa mogą go zabołec, ale miałam to gdzieś.

– Coś mi się w tym wszystkim nie zgadza – rzekł.

– Jesteś po prostu zazdrosny – oświadczyłam. – Ponieważ spędzam z nimi tyle czasu.

– Ja się tylko martwię. Wiesz, że zdjęcia potrafią opowiedzieć własną historię? Cyferki także. I ta historia nie zawsze bywa przyjemna.

– Czy nie rozumiesz, ile dla mnie robią? – zapytałam. – A teraz także dla Olliego? On uwielbia Swifta.

Elliot milczał przez chwilę.

– Nie sądzisz, że ja też chciałbym mieć szansę na to, by zaprzyjaźnić się z twoim synem? – spytał w końcu. – Gdybyś tylko mi ją dała.

– Jeszcze nadarzy się okazja, na pewno. Po prostu wasza znajomość nie zaczęła się najlepiej.

– Przygotowałbym dla nas kolację – zaproponował. – Moglibyśmy zabrać teleskop w miejsce, gdzie jest najciemniej, i pokazałbym mu Marsa.

– Może następnym razem, gdy będzie u mnie.

– Kiedy układ planet okaże się sprzyjający – powiedział Elliot z pewną nutką

goryczy w głosie. I wcale nie miał na myśli nieba.

Nadszedł ostatni dzień naszych wspólnych wakacji i Ollie chciał go oczywiście spędzić w domu Monkey Mana. Siedział w basenie i ćwiczył pływanie w stylu dowolnym do zawodów podczas Święta Pracy, a Swift mierzył mu czas stoperem. Obiecał mojemu synowi, że jeśli wygra, to pojedą nad jezioro Tahoe. I wsiądą na donzi – co było marzeniem Olliego. Choć wystarczyłby mu wyjazd dokądkolwiek, byle tylko z Monkey Manem.

Ava pojechała na pilates. Ja przez kilka godzin pracowałam nad zaproszeniami na przyjęcie urodzinowe – zostało jeszcze sporo czasu, ale ona chciała mieć pewność, że każdy zaklepie sobie termin. Zeszłam na dół, aby jak zawsze zjeść razem lunch.

Stanęliśmy nad brzegiem basenu i patrzyliśmy, jak Ollie pokonuje kolejne długości.

– Superdzieciak – stwierdził Swift. – Odwaliłaś kawał dobrej roboty.

Pokręciłam głową.

– Nie moja w tym zasługa – odparłam. – Wiesz przecież, że od trzech lat spędzam ze swoim synem naprawdę niewiele czasu. Ostatnie dwa tygodnie to najdłuższy okres od przedszkola.

– Chciałem z tobą na ten temat pomówić, Helen. – Swift sprawiał wrażenie poważniejszego niż zazwyczaj. – Rozmawialiśmy z Avą i jesteśmy jednomyślni. Chcielibyśmy opłacić prawnika, żeby twój mały mógł wrócić tam, gdzie jego miejsce. Potrzebujemy go tu.

– Nie spłaciłam jeszcze poprzedniego prawnika – odparłam. – W żadnym razie nie mogę przyjąć takiego prezentu.

– A po co ma się rodzinę? – zapytał Swift. – Zadzwońię do Marty’ego Matthiasa. Umówię was na spotkanie.

Tego wieczoru Havillandowie zabrali mnie i Olliego na kolację do japońskiej restauracji. Ava wspomniała mi, że zaproponowała, abym zaprosiła także Elliota – użyła nawet jego imienia – kiedy jednak zadzwoniłam do niego, odparł, że jest zajęty.

To był jeden z tych lokali, w których kelner podchodzi do stolika i przyrządza dania na skwierczącej blasze, wymachując przy tym mieczem samuraja. Ollie był oczywiście zachwycony.

– Strasznie będę za tobą tęsknił, chłopie – rzekł do niego Swift. – Masz mi obiecać, że niedługo przyjedziesz.

Po kolacji wróciliśmy do mojego mieszkania. Ollie przebrał się w piżamę. Położyłam się obok niego na materacu. Nie chciałam robić z jego wyjazdu wielkiego halo, mimo że czułam lęk na myśl o jutrzejszym pożegnaniu.

– Coś mi przyszło do głowy – rzekłam. – Zastanawiałam się, co byś

powiedział na to, żeby na czas trzeciej klasy zamieszkać ze mną. Tak na próbę. Moglibyśmy porozmawiać o tym z twoim tatą.

Oliver bawił się iPodem, który Swift podarował mu w restauracji. Teraz popatrzył na mnie. Nie było to jego dawne, nieufne spojrzenie z ukosa; tym razem patrzył mi prosto w oczy.

– Dobrze.

– Nie mówię, że będziesz przez cały czas chodził do restauracji i dostawał takie fajne prezenty jak dziś. Mam na myśli codzienne życie. Szkołę. Prace domowe. Obowiązki w domu.

– Wiem.

Nie miałam pewności, czy zrobił to świadomie, ale przerzucił nogę przez moją nogę, a głowę oparł na moim ramieniu. W tamtej chwili nie liczyło się nic oprócz nadziei, że może w końcu odzyskam syna.

Później przyszło mi na myśl coś jeszcze: nie powiedziałam Olliemu, że także Elliot stałby się częścią naszego życia. Nie zamierzałam jednak ryzykować. Nie byłam gotowa, by stracić syna kolejny raz. Nasza relacja była zbyt cenna. I nadal krucha. Poza tym po wieczorze na łodzi postawiłam pod znakiem zapytania swoją przyszłość z Elliotem.

Dzień po tym, jak odwiozłam Olliego do Walnut Creek – połowa lipca, wszystkie róże Avy w pełnym rozkwicie – Elliot zostawił mi na poczcie głosowej trzy wiadomości. Powiedziałam sobie, że oddzwonię do niego, jak tylko nie będę tak bardzo zajęta, ale w końcu nie udało mi się.

Nazajutrz znowu zadzwonił, tuż przed dwudziestą drugą.

– Wiem, że pewnie jesteś już w łóżku, ale musimy porozmawiać – zaczął.

– Okej.

– Nie przez telefon. Liczyłem na to, że pozwolisz mi przyjechać.

Z tonu jego głosu wywnioskowałam, że sprawa jest ważna. Nie rozmawialiśmy o tym, ale odkąd go przedstawiłam Havillandom i Olliemu, coś się zmieniło, jeśli chodzi o moje uczucia do niego. Znałam Elliota, on pewnie też to wyczuwał, ale nie chciał o nic pytać podczas moich ostatnich dni z synem. Aż do teraz.

Od dnia, kiedy w końcu się poznali, Ava niewiele mówiła o Eliocie, co samo w sobie było wymowne. Swift stwierdził, że w razie audytu dobrze mieć Elliota w swojej drużynie. Ollie ani razu nie wspomniał jego imienia.

Stał w drzwiach trzydzieści minut po tym, jak odłożyłam słuchawkę. Kiedy odebrałam telefon, miałam na sobie szlafrok i zdecydowałam się nie przebierać.

– Wiem, że twoi przyjaciele nie mają o mnie najlepszego zdania – oświadczył, nadal stojąc w progu; w ręce trzymał papierową torbę, w której znajdował się bochenek chleba z czterech zbóż, który czasem piekł... Wręczył mi go. Jak zawsze mógł służyć jako przycisk do papieru.

– Próbowałem zająć się pieczeniem, aby nie myśleć o tobie. Na próżno.

– Moi przyjaciele cię lubią – rzekłam. A potem zamilkłam. W relacji z Elliotem ceniłam to, że zawsze mówiliśmy sobie prawdę. Opowiedział mi, jak podczas wspinaczki na Half Dome w parku narodowym Yosemite doznał ataku paniki i musiał zawrócić. Wyznał, że przed naszym pierwszym spotkaniem wypisał sobie pięć interesujących tematów do rozmowy, żeby uniknąć niezręcznego milczenia. Ja zwierzyłam mu się z tego, że zdarza mi się opowiadać zmyślane historie, ale nigdy jemu. Z Elliotem byłam pewnie nudniejszą osobą, ale przynajmniej szczerą.

– Nie przejmuję się, co sądzą moi przyjaciele – powiedziałam. A potem znowu zamilkłam. Bo przecież się przejmowałam. I on o tym wiedział.

– Widzisz, jestem w tobie zakochany – oświadczył Elliot. – I wiem, że to się nie zmieni, ale jeśli masz mi powiedzieć, że nie chcesz być ze mną, lepiej, żebym dowiedział się teraz, nim zaangażuję się bardziej i strata ciebie okaże się jeszcze trudniejsza.

Nie odwzajemniłam się takim samym wyznaniem. Nigdy. Stałam i przyglądałam się jego życzliwej, miłej twarzy – bruzdom na policzkach, zmarszczkom wokół oczu. Jego włosy były zmierzwiłone; kiedy się czymś martwił, czyli prawie zawsze, miał w zwyczaju przeczesywać je palcami.

– Może wejdiesz? – zapytałam.

Odetchnął głęboko. Rozejrzał się, jakby utrwał to miejsce w pamięci. Jakby był u mnie po raz ostatni. Opadł na sofę jak człowiek, który pokonał długą drogę, żeby tu dotrzeć. Drogę pod górę.

– Wiem, że twoim zdaniem Ollie nigdy nie będzie się w stanie do mnie zbliżyć – rzekł. – Ale się mylisz. Jestem osobą, którą z czasem coraz bardziej się docenia. Myślę, że do twojego syna też to w końcu dotrze. O ile ty i ja będziemy razem. Jeśli dasz mi szansę.

Nadal milczałam. Stałam, tuląc do siebie twardy bochenek owinięty w szary papier.

– Zobaczyłby, że cię uszczęśliwiam – kontynuował Elliot. – Bo uważam, że tak by właśnie było. Z czasem ty także coraz bardziej byś mnie doceniała.

– Teraz też cię doceniam – odezwałam się w końcu. – Jesteś najlepszym mężczyzną, jakiego znam.

To akurat było prawdą. Miałam co do Elliota inne zastrzeżenia – głównie takie, że moi przyjaciele nie mają o nim najlepszego zdania – ale nigdy nie wątpiłam w jego dobre serce.

– Niektórzy ludzie robią od razu świetne wrażenie – rzekł Elliot. – Ja nigdy. Nie należę do osób, z którymi inni mają ochotę się spotykać.

– Ale z tobą jest fajnie – odparłam. – Pamiętasz, jak robiliśmy zdjęcia pitbulom? I chihuahue, która bez przerwy napastowała mi nogę? To był superdzień.

– Gdybym tylko mógł, siedem dni w tygodniu pomagałbym ci robić zdjęcia psom. Zawsze się cieszę, kiedy jestem z tobą. Prawie zawsze. Muszę przyznać, że na żaglówce tak nie było.

Odłożyłam chleb na stół i usiadłam obok Elliota.

– I jaka byłam zadowolona, gdy zabrałeś mnie do Akademii Nauki na wystawę owadów. Nie sądziłam, że okaże się taka interesująca – powiedziałam.

– Szkoda, że nie mogliśmy wybrać się tam razem z Olliem – rzekł z żalem w głosie.

– Miło spędziliśmy czas tylko we dwoje.

– Z nikim nie czułem się tak szczęśliwy jak z tobą, Helen. To znaczy wcześniej. Ostatnio rzadko się widywaliśmy.

– Zamierzałam oddzwonić. Byłam po prostu zajęta.

Pokręcił głową. I nagle na jego twarzy pojawił się bezgraniczny smutek. W rozmowie z nim nie było sensu udawać.

– Nie powinnaś dzwonić do mnie jedynie z poczucia obowiązku.

Moja przyjaciółka Alice twierdziła, że nie ufa mężczyznom, którzy mają zbyt gładkie dłonie. Dłonie Elliota wyglądały na zaskakująco szorstkie. Może od pracy na farmie, choć to odległa przeszłość. A może po prostu od majsterkowania w ogrodzie, gdzie sam zbudował taras. Jeśli znałam jakiegoś mężczyznę z gładkimi dłońmi, to był nim Swift, sugerujący, że Elliot może okazać się dla mnie zbyt uległy i nudny.

– Potrzebowałam trochę czasu dla siebie – wyjaśniłam. – Żeby побыć z synem. – Ale to nie była cała prawda i on o tym wiedział. Nie miałam nic przeciwko obecności innych ludzi, o ile tylko mieli na imię Swift i Ava.

– Wiem, że bardzo ci zależy na przyjaciółkach – rzekł Elliot. – Ale kiedy dzień dobiega końca, oni udają się do swojego wielkiego domu i uprawiają ten cały zwałający z nóg seks tantryczny, a ty leżysz w łóżku zupełnie sama. – Wstał i popatrzył na mnie, a jego plecy, tak często zgarbione, tym razem były wyprostowane. – To ja jestem tym mężczyzną, który chce być tutaj z tobą.

Wtedy zrobił coś zaskakującego. Dotknął mnie – mojej twarzy, włosów – z taką niecierpliwością, jakiej nigdy dotąd u niego nie zauważyłam.

Przyciągnął mnie do siebie. Zaczął całować. Usta, potem szyję, powieki. Palce wplótł w moje włosy i głębokim i wygłodniałym głosem, niemal warcząc, wypowiadał moje imię. *Helen. Helen. Helen.*

Choć raz nie rozmawialiśmy. Oddałam mu pocałunek. A potem następne. Jego dłonie wędrowały w dół po moich plecach. Wtulił twarz w moją szyję i trwał tak zaskakująco długo, po czym spojrzał mi w oczy.

– Wiem, że moja znajomość z Oliverem nie zaczęła się najlepiej – rzekł. – Ale mógłbym być dla ciebie dobry. Dla was obojga.

Tym razem nie słyszałam w uchu głosu Avy. W tej akurat chwili nie myślałam nawet o swoim synu. Dotknęłam dłoni Elliota. Pociągnęłam go na sofę. Zbliżyłam czoło do jego czoła. Poczułam, jak się odprężam. Westchnęłam głęboko jak ktoś, kto w końcu zdjął ciasne buty albo rozpiął sukienkę, ktoś, kto wreszcie po długiej podróży zajechał przed swój dom.

– Moglibyśmy być rodziną – powiedział Elliot.

Tydzień po powrocie Olliego do Walnut Creek stała się rzecz przedziwna. Zadzwonił Dwight i zaproponował, aby nasz syn spędził u mnie resztę wakacji.

– Przechodzimy teraz ciężki okres – rzekł. – Zrobił się strasznie przekorny. Zero szacunku wobec starszych. Nagle zaczął używać takich słów jak „spadaj” i „gnojek”, a kiedy każe mu być cicho, bezgłośnie wypowiada kolejne. Według mnie to po prostu taki etap, ale Cheri martwi się, że Jared przejmuje od Olivera złe nawyki. Jeśli chcesz się tym zająć, proszę bardzo.

Nic nie powiedziałam, ale wiedziałam, skąd u naszego syna to nowe słownictwo. Swift zawsze powtarzał Olliemu, że najwięcej w życiu osiągną buntownicy i ci, co mają gdzieś zasady. Raz, kiedy byliśmy u Havillandów, Ollie opowiedział o swoim wychowawcy, panu Rettstadt, który podczas jednej z wycieczek kazał im iść miarowym, równym krokiem całą drogę powrotną do autobusu, gdyż jeden z chłopców zaczął tańczyć breakdance.

– Co za ciota – orzekł Swift. – Pewnie po prostu zazdrościł, że sam nie umie się tak ruszać.

Teraz, kiedy jechaliśmy samochodem z powrotem do Redwood City, próbowałam porozmawiać z synem o tym, co się dzieje między nim a jego ojcem i Cheri.

– Cheri jest głupia – oświadczył. – Na okrągło rozmawia przez telefon.

Choć ja także mogłam nie lubić Cheri (mogłam i nie lubiłam), wiedziałam, że nie mogę tak tego zostawić.

– Wiesz, że chciałabym, abyś był ze mną przez cały czas – powiedziałam. – Ale kiedy jesteś z ojcem i macochą, powinieneś starać się jakoś z nimi dogadywać, i musisz być grzeczny. Dzieci nie wiedzą wszystkiego. Po to mają rodziców, którzy się nimi opiekują.

Ollie milczał, kiedy przejeżdżaliśmy przez most. Na kolanach trzymał klatkę z chomikiem.

– Tata wcale nie chce się mnie pozbyć i w ogóle – odezwał się w końcu. Dzieci często wypowiadają na głos to, czego najbardziej się boją, licząc, że ktoś temu zaprzeczy. – Uznał jedynie, że zmiana otoczenia dobrze mi zrobi. Jared ciągle grzebie w moich rzeczach. Małe dzieci są do bani.

Twarz Olliego przybrała ten obojętny, nieustępliwy wyraz, który bez problemu rozpoznawałam. Znałam go na tyle dobrze, by wiedzieć, że kryje się za nim ból.

– No i chyba działałam tacie na nerwy – dodał. Tak cicho, że ledwie usłyszałam.

– Myślałam o różnych fajnych rzeczach, które możemy razem robić teraz, kiedy mamy więcej czasu. Możemy wybrać się pod namiot. Jechać do oceanarium

w Monterey.

Spojrzał na mnie czujnie.

– A co z Monkey Manem? – zapytał. – Będziemy tam jeździć, tak?

– W niektóre dni owszem – odparłam. – Ale pomyślałam, że dobrze by było część czasu spędzić także z Elliotem. Pamiętasz go? – Nie mówiłam, że to mój chłopak, tylko przyjaciel.

– Chcę spędzać wolny czas na basenie Monkey Mana. Muszę trenować do naszych zawodów. I pojedziemy nad Tahoe i będziemy pływać donzi.

– Ava i Swift czasem będą pewnie mieli ochotę pobyć sami – odrzekłam.

– A ty i ja zyskamy mnóstwo czasu na przygody.

Ollie patrzył przez chwilę przez szybę. Obserwował przejeżdżające mostem samochody. Liczył mini coopery. Co minutę lub dwie wołał, że zobaczył kolejnego.

– Kiedy ludzie uprawiają seks, nie lubią, jak kręcą się przy nich dzieci. – Nie patrzył na mnie, gdy to mówił, lecz nadal wyglądał przez szybę, rysując na niej palcem litery.

– Kochanie się wymaga prywatności – odparłam. – Pewnego dnia, kiedy dorosisz, poznasz kogoś wyjątkowego i też będziesz chciał mieć prywatność.

– Tak jak w ubikacji.

– Nie do końca. Ale w sumie prywatność to prywatność.

– Tata i Cheri robią to, kiedy myślą, że śpię – rzekł. – Nie wiedzą, że ja wiem.

Zastanawiałam się, co powinnam teraz powiedzieć.

– Pasy boczne! – zawołał Ollie. Kolejny mini cooper.

– Ludzie robią to, kiedy się kochają – powiedziałam. Albo nie, mogłabym dodać.

– Dobrze, że ty nie wyszłaś za mąż – oświadczył Ollie takim tonem, jakby już zostało postanowione, że zawsze będę sama.

– W tej chwili nie – rzekłam. – Ale nigdy nie wiadomo. Może kiedyś.

– To by było niefajnie.

– Cóż, na razie nie planuję ślubu. – Może powinnam była wtedy wspomnieć o Elliocie, ale nie wspomniałam.

Kiedy Ollie wrócił, aby spędzić ze mną resztę wakacji, lipiec zbliżał się ku końcowi. Tego pierwszego dnia nie pojechałam z nim na Folger Lane. Ani nie zaprosiłam do nas Elliota. Uznałam, że powinniśmy mieć trochę czasu tylko dla siebie, tak jak kiedyś.

Ale następnego dnia nie było takiej opcji, aby utrzymać mego syna z dala od domu Havillandów. Ledwie wszedł do środka, a Swift wypróbował na nim chwyt zapaśniczy.

– Czemu tak długo cię nie było, chłopie? – spytał.

A potem rozległ się głośny śmiech Olliego. Swift podwinął mu koszulkę i go łaskotał. Biegające wokół nich psy warczały. A Rocco lizał mojego syna po ręce.

– Mam nadzieję, że lubisz brownie – odezwała się Ava.

– Myślisz, że podzielę się twoim wyjątkowym brownie z tym nic niewartym próżniakiem? – rzucił do niej Swift. Trzymał teraz Olliego głową w dół. – Powiedz wujek. Powiedz wujek. Wtedy cię puszcze. Może.

Kolejne piski. Radość.

– Wujek! – zawołał Ollie. – Wujek!

– Niech ci będzie. Puszcze cię. Ale musisz pamiętać, że to ja jestem twoim potężnym i wszechmocnym dowódcą. Masz robić, co ci każe. – Postawił mojego syna z powrotem na ziemi. Głos miał niższy niż zazwyczaj, a oczy zmrużone.

Ollie aż się skręcał ze śmiechu. Bałam się, że może się zmoczyć – kiedyś miewał z tym problem – tak się jednak nie stało.

– Powtarzaj za mną – rzekł Swift. – „Obiecuję być ci posłusznym, mój wszechmocny dowódco!”

– Obiecuję być ci posłusznym...

– ...mój wszechmocny dowódco – przypomniał mu Swift.

– Mój wszechmocny dowódco.

Ollie ciężko dyszał, ale wiedziałam, że jest zachwycony. Jego oczy miały ten sam wyraz, jaki czasem obserwowałam u Sammy’ego, kiedy Ava wyjmowała smycz i takie specjalne narzędzie, dzięki któremu rzucała mu piłeczkę tenisową dalej niż zazwyczaj, co oznaczało, że szykuje się wyprawa do parku. Podekscytowanie, nie strach. Choć wiedziałam, jaki będzie skutek tego podekscytowania, kiedy wrócimy do siebie: Ollie będzie zbyt nakręcony, żeby iść spać o normalnej porze.

Na stole na patio obok nakrycia Olliego leżały dwa prezenty: maska z płetwami oraz zegarek.

– Wodoodporny – powiedział mu Swift. – Działa do stu metrów pod wodą. To ci powinno wystarczyć, dopóki nie wybierzemy się razem na jakieś poważne nurkowanie. Cooper i ja robiliśmy tak często, był wtedy zaledwie kilka lat starszy

od ciebie.

Ollie zdążył już rozerwać opakowanie. Próbował ustawić godzinę.

– Ma też stoper, więc możemy mierzyć, jak szybko przepłyniesz z jednego końca basenu na drugi. Albo jak długo potrafisz wstrzymać oddech.

– Zawsze chciałem mieć taki zegarek – powiedział Ollie schrypniętym szeptem.

To była dla mnie nowość. Ale Swift odsłonił przede mną zupełnie nową stronę mojego syna, której wcześniej nie znałam. Pewność siebie i brawurę. W towarzystwie Swifta obniżał mu się nawet głos, choć od mutacji dzieliło go jeszcze kilka lat.

Nazajutrz była niedziela. O ósmej trzydzieści na progu mieszkania zjawił się Elliot z prezentem dla mnie: zszywaczem tapicerskim. Wiedział, że go nie mam. Brałam akurat prysznic, więc drzwi otworzył Ollie.

– Przyszedł ten pan! – zawołał mój syn. – Ten, który wymiotował.

Założyłam szlafrok i wyszłam do salonu.

– Pomyślałem, że zabiorę was na śniadanie – oświadczył Elliot. – Znam miejsce, gdzie serwują najlepsze francuskie tosty.

Ollie był jeszcze w piżamie. Zdążył już zjeść płatki i obejrzeć w telewizji kreskówki. Obiecałam sobie, że podczas jego pobytu będziemy jeść przy stole, a nie przed telewizorem, teraz jednak byłam taka szczęśliwa, że pozwoliłam mu robić to, na co miał ochotę.

– Dzień dobry, Ollie – rzekł Elliot. Wyciągnął dłoń.

Mój syn spojrzał na niego wzrokiem pozbawionym wyrazu, ale ją uściśnął.

– Nie spodziewaliśmy się ciebie – powiedziałam. Prawdopodobnie próbował zachować się spontanicznie, z nutką szaleństwa, tak jak Swift, ale mu nie wyszło. Spontaniczność zdecydowanie nie należała do jego cech.

– Już jadłem – oświadczył Ollie.

– No to mam inną propozycję. Co wy na to, żebyśmy zapakowali do mojego auta rowery i wybrali się na przejażdżkę? Zabrałem swój.

– Myślę, że Ollie miałby ochotę posiedzieć trochę w domu – odparłam. – Ja, prawdę mówiąc, także.

Położył na stole zszywacz. Zerknęłam na dzbanek z kawą. Pusty.

– Mogę zaparzyć świeżą kawę – zaproponowałam.

Pokręcił głową.

– Powinienem być najpierw zadzwonić – rzekł. – Myślałem jedynie o tym, jak bardzo chcę zobaczyć was oboje.

– Czemu chciałeś zobaczyć mnie? – zapytał Ollie. – Nawet mnie nie znasz.

– Cóż, to prawda – przyznał Elliot. Jego głos, przez krótką chwilę wesoły, stał się na nowo poważny. – Ale chciałem cię poznać.

Od chwili, kiedy mój syn dowiedział się o donzi, męczył Swifta, by zabrał go na łódź. Wcześniej nie słyszał o *Policjantach z Miami* ani o Colinie Farrellu, ale teraz przypominał mi, że to właśnie tą łodzią pływał w filmie. Donzi potrafiła płynąć szybciej niż pocisk, tak mi oświadczył. Z prędkością warpowa[11].

Kiedy zapytał Swifta, czy będzie mógł kierować, ten udzielił mu nietypowej jak na siebie odpowiedzi.

– Jak będziesz starszy, to tak. W przypadku donzi trzeba naprawdę sporo umieć, inaczej można sobie napytać biedy. Dlatego z jej kupnem czekałem, aż Cooper skończy siedemnaście lat, a nawet wtedy pozwalałem mu przejąć stery tylko wtedy, gdy stałem obok.

Jeśli taka odpowiedź rozczarowała Olliego, nic nie dał po sobie poznać. Słowa Swifta dodały łodzi jeszcze więcej tajemniczości.

– Donzi należała kiedyś do złych ludzi, którzy szmuglowali na niej narkotyki – powiedział mi Ollie. Jechaliśmy akurat na Folger Lane, kiedy kolejny raz wypłynął temat łodzi. – Także karabiny maszynowe – dodał. – Potem zostali aresztowani, a policja sprzedawała łódź, więc Monkey Man ją kupił.

Odparłam, że nie wiedziałam. To było w stylu Swifta: kupić łódź motorową, należącą wcześniej do przemytników kokainy i broni.

– Gdy dorosnę, chcę być taki jak Monkey Man – oświadczył mój syn niskim głosem. Zmrużył oczy i przejrzał się w lusterku wstecznym.

Kiedy zobaczyłam, jak to robi, coś sobie uświadomiłam. Choć to ja zaprosiłam Swifta do życia Olliego i choć uwielbiałam spędzać z nim czas, a Havillandów nazywałam swoją prawie rodziną, nie chciałam, aby mój chłopiec stał się kiedyś taki jak on. Swift bawił mnie i zapewniał rozrywkę, mogłam także liczyć na jego szczodrość i wsparcie, ale nagle dotarło do mnie, że nie do końca szanuję tego człowieka. Gdybym nadal pracowała dla tamtej firmy cateringowej, a on pojawiłby się na jednym z przyjęć, na którym krążyłabym z tacami pełnymi przekąsek, moja dawna przyjaciółka Alice uznałaby go za dupka, a ja pewnie bym się z nią zgodziła...

Teraz mój syn, z którym jechałam do domu Havillandów, po raz kolejny wałkował temat łodzi Monkey Mana.

– Monkey Man mówi, że donzi wyciąga ponad trzysta kilometrów na godzinę. Raz płynęli tak szybko, że jednej dziewczynie na pokładzie zerwało górę od bikini.

Zacisnęłam dłonie na kierownicy.

– Jeśli pewnego razu wybierzemy się nad jezioro Tahoe razem ze Swiftem i Avą i znajdziesz się na tej łodzi, zapewniam cię, że Swift nie będzie płynął z taką prędkością – oświadczyłam. – Już ja tego dopilnuję.

– Nie jesteś jego szefem. Nikt nie jest szefem Monkey Mana.

Mój eksmąż zgodził się, żeby Ollie został u mnie do końca lata i czasem tylko przyjeżdżał do Walnut Creek. Zachowywał się tak kulturalnie, że zaczęłam myśleć, że być może nie będę musiała korzystać z usług Marty'ego Matthiasa, do którego zresztą Swift jeszcze nie dzwonił. Może po Święcie Pracy ja i Dwight usiedlibyśmy i przeprowadzili sensowną, przyjacielską rozmowę na temat opieki nad Olliem i tego, aby znów ze mną zamieszkał.

– Wydaje mi się, że Dwight jest na to otwarty – powiedziałam Swiftowi i Avie. – Możliwe, że on i Cheri są już zmęczeni opieką nad maluchem i ośmiolatkiem.

Tymczasem buntownicze zachowanie, na które narzekał Dwight, w ogóle się nie pojawiało. Co wieczór, kiedy wracaliśmy do siebie, Ollie kąpał się, a potem czytaliśmy razem w łóżku, jakby te wszystkie niedobre lata w ogóle nie miały miejsca.

W pierwszy weekend sierpnia zawiozłam Olliego do Sacramento, aby odwiedził rodzinę Dwighta. McCabe'owie, którzy swego czasu przyjęli mnie jak córkę, teraz nawet nie wyszli z domu.

W ten sam weekend Havillandowie wybrali się do domu nad jeziorem Tahoe. Dawniej o opiekę nad psami Ava poprosiłyby Estellę, ale Rocco zaczął jej bardzo nie lubić – bardziej nawet niż mnie. Poza tym niepokojem napawała ją myśl, że matce mogłaby towarzyszyć Carmen i że cały weekend byłyby w domu same. Zapytała więc, czy ja mogłabym się tym zająć.

Wiedziałam, że Elliot chętnie skorzystałby z okazji, aby spędzić ze mną dwie noce. Bez względu na to, czy mieszkałam z moim synem, czy nie. Tego lata obecność Olliego – i moja niechęć do spędzania czasu z Elliotem, kiedy miałam u siebie syna – sprawiła, że nasz wspólny czas mocno się skurczył, a seks został praktycznie wyeliminowany.

Mogłam zadzwonić do niego i poprosić, aby przyjechał na weekend do domu Havillandów. Ale kiedy się nad tym zastanowiłam, uświadomiłam sobie, że tak naprawdę chcę zostać w ich domu sama.

Jak zawsze zaproponowałam, że mogę zająć się wszystkim, co Ava mi zleci, ale ona poprosiła tylko, żebym wyprowadziła psy na spacer i zajrzała do Evelyn Couture. Poza tym miałam po prostu odpoczywać.

– Weź długą kąpiel w jacuzzi i wysmaruj się La Mer – tak mi powiedziała. To był jej krem do twarzy za trzysta dolarów. – W lodówce zostawiłam spory kawałek dzikiego łososa.

– Daj mi jakieś zajęcie – odparłam. – Mogę ci się do czegoś przydać.

– No to odbierz mi jeszcze rzeczy z pralni.

W drodze powrotnej z pralni włączyłam stację radiową grającą ostrego rocka

i mocno podgłośniłam. Rzadko słuchałam takiej muzyki, ale fajnie było pośpiewać sobie na cały głos. Zajechałam do marketu, w którym zaopatrywała się Ava, i kupiłam dwa gatunki importowanych serów i bagietkę. Lodówka Havillandów pełna była oczywiście różnych pyszności, ale miałam ochotę sama coś sobie wybrać. Dołożyłam jeszcze duży kawałek ciasta czekoladowego i croissanta na śniadanie.

Brałam pod uwagę ewentualność, że do domu może zajrzeć Estella, dlatego ucieszyłam się, widząc, że podjazd jest pusty. Z naręczem ubrań przekręciłam klucz w drzwiach, przygotowując się na radosny atak czekających po drugiej stronie psów. Jak zwykle Lillian i Sammy zaczęły mnie radośnie obskakiwać. Rocco trzymał się na uboczu, ale nie warczał. Pokazywał jednak zęby w sposób, który napawał mnie lekkim niepokojem.

Wtedy coś sobie uświadomiłam: choć raz mogłam robić w tym domu wszystko, na co tylko miałam ochotę.

Odłożyłam ubrania. Otworzyłam lodówkę.

Setki razy siedziałam na patio razem z Avą i Swiftem, którzy pili wino, i w ogóle mnie to nie ruszało, ale tego wieczoru z jakiegoś powodu widok chłodzącego się francuskiego różowego wina i drogiego chardonnay sprawił, że przez chwilę się wahałam. Tylko przez kilka sekund wyobrażałam sobie, jak by to było siedzieć samej przy basenie z serem pleśniowym i specjalnymi krakersami Avy na talerzyku, i z dużym kieliszkiem schłodzonego wina w dłoni. Zamknęłam lodówkę.

Z ubraniami w jednej ręce i butelką pellegrino w drugiej udałam się na górę do garderoby.

Zamierzałam jedynie zdjąć z rzeczy foliowe worki i resztę pozostawić dla Estelli, a potem zejść na dół i przyrządzić sobie łososia, ale coś sprawiło, że się zatrzymałam. Pozwoliłam swojej dłoni pogłodzić jeden z kaszmirowych swetrów. Zrzuciłam buty. Policzyłam głośno swoim szkolnym francuskim, ile jedwabnych bluzek znajduje się w kolekcji Avy. *Quatorze*.

Przyjrzałam się uważnie jednej z sukni, które przywiozłam dzisiaj z pralni, tej, którą Ava założyła niedawno na kolację w mieście – jedno z tych kameralnych spotkań, które miały związek z działalnością fundacji. Suknię uszyto z ręcznie malowanego jedwabiu, miała rękawy prześwitujące jak skrzydła motyla. Miała też głębokie wycięcie na plecach, ale ponieważ Ava przez całą kolację siedziała na wózku, inni goście tego nie zauważyli... Tylko Swift i ja wiedzieliśmy, że suknia nie ma pleców i że Ava nie założyła pod nią bielizny.

– Czasem kiedy wracamy do domu – powiedziała mi, kiedy pomagałam jej się przygotować – odrywa prawą rękę od kierownicy, aby mnie dotknąć.

– Na autostradzie? – spytałam.

– Tylko prawą rękę. Jest dobrą kierowcą.

W sypialni Havillandów znajdowała się wieża stereo, a obok niej stos płyt. Wzięłam do ręki pierwszą z brzegu. Andrea Bocelli. Ten niewidomy włoski śpiewak.

Włożyłam płytę do odtwarzacza i włączyłam muzykę tak głośno, żeby słyszeć w garderobie. Andrea Bocelli śpiewał po włosku, więc nic nie rozumiałam, ale na pewno śpiewał o miłości – namiętnej, możliwe, że beznadziejnej. Prawdopodobnie tego rodzaju utwory sprawiały, że jego fanki rzucały mu się do stóp i błagały, żeby wrócić z nim do hotelu, mimo że jest niewidomy. A może to jeszcze bardziej je nakręcało.

Dotknęłam rękawa aksamitnej marynarki i zbliżyłam go do policzka. Pociągnęłam łyk wody mineralnej, wyobrażając sobie, że to szampan.

Zastanawiałam się, jak bym się czuła, mając na sobie jedną z tych czternastu jedwabnych bluzek z Paryża, zwłaszcza gdybym nie miała nic pod spodem. Co założyłabym do niej? Może tajskie spodnie z jedwabiu. Albo nic. Tylko tę delikatną, prześliczną bluzkę.

Koszulę, którą miałam na sobie, kupiłam w Gapie – bawełniana, rozpinana, biała, klasyczna. Rozpięłam ją. Pociągnęłam kolejny łyk pellegrino. Upuściłam koszulę na podłogę. Rozpięłam stanik.

Piersi miałam większe niż Ava, ale gdybym nie zapięła trzech górnych guzików, ta francuska bluzka powinna na mnie pasować. Zaczęłam wkładać ją przez głowę, po czym dotarło do mnie, że najpierw powinnam była rozpiąć mankiety.

Przecisnęłam przez nie dłonie i odpadł jeden guzik. Nie zwykły guzik, od koszuli z Gapa. Ten zrobiono z macicy perłowej.

Andrea Bocelli śpiewał już drugą pieśń, która wydawała się jeszcze seksowniejsza i bardziej tragiczna od poprzedniej, o ile to w ogóle możliwe. Śpiewałam razem z nim, na tyle, na ile potrafi osoba, która nie zna włoskiego i nigdy wcześniej nie słyszała tego utworu.

Bluzka okazała się ciaśniejsza, niż się spodziewałam, rozpięłam więc wszystkie guziki. Położyłam dłoń na nieosłoniętej materiałem skórze i pogładziłam lewą pierś. Ponownie zbliżyłam do ust butelkę z wodą. Udając, że jestem we Włoszech.

Utwór na płycie nie bardzo nadawał się do tańca, ale ja i tak zaczęłam tańczyć. Sięgnęłam po jeden z kaszmirowych swetrów i przyłożyłam go do siebie, jakby pod nim znajdował się ktoś, kto mnie przytula.

– *Tesoro, Tesoro!* – śpiewałam. – *Ti amo fino alla fine dei tempi.*

Nie miałam pojęcia, co śpiewam.

Wsunęłam stopy w zielone pantofle ze skóry. Z jednej z szuflad z akcesoriami wyjęłam szalik. Wirowałam po garderobie, a szalik powiewał, jakby był latawcem.

Weszłam do sypialni. Pokoju Avy i Swifta. Położyłam się w poprzek na łóżku. Jeden pantofel zsunął mi się ze stopy. Można by pomyśleć, że jestem pijana, ale ja czułam jedynie dziwną i wspaniałą wolność, zupełnie sama w tym domu, który kochałam.

Początkowo jedyne, co zobaczyłam, kiedy otworzyłam oczy, to psy – cała trójka stała w rzędzie niczym ława przysięgłych. Lillian przechyliła lekko głowę. Sammy warczał. Rocco odsłonił jedynie ostre, małe zęby w sposób, który od razu przywodził na myśl rząd krwawych śladów, jakie by zostawiły na skórze.

Potem dotarło do mnie, że w sypialni znajduje się ktoś jeszcze. Estella.

– Ja się tylko wygłupiałam – rzekłam do niej. – Nie miałam nic złego na myśli.

– Nie wchodzi się do pokoju pani Havilland – powiedziała Estella. – Ten pokój jest wyjątkowy.

Wiedziałam o tym. Nikt nie musiał tego mówić. To się czuło.

– Przyniosłam rzeczy z pralni. – Nie ma sensu mówić nic więcej. Nie miałam przecież po co wchodzić do sypialni.

– Ja nic nie mówię – odparła Estella. – Wiem, jak to czasem bywa. Te wszystkie suknie... Mnie też to się zdarza. Stoję tu z żelazkiem i chcę, żeby moja córka miała taka bluzka na koniec szkoły. Niezwykły naszyjnik. Ładne buty.

Zalała mnie fala ulgi. Przez chwilę oczami wyobraźni widziałam, jak Estella opowiada Avie, jak jej stuknięta przyjaciółka Helen tańczyła w garderobie z jej swetrem za czterysta dolarów. Leżała na jej łóżku w pokoju, do którego nie powinien wchodzić nikt oprócz Avy i Swifta. Jak by to odebrała po wszystkim, co dla mnie zrobiła? Okazało się jednak, że Estella mnie rozumie.

– Ava jest bardzo szczodra – rzekłam. – Tak wiele mi daje. Swift oczywiście także.

– Pan Havilland. On nie taki jak ona. Uważaj, żeby twój chłopak za bardzo się do niego nie przywiązał...

– Ollie przepada za Swiftem – odparłam. – Wiem, że czasami zachowuje się jak zwariowany, ale ma wielkie serce.

– Pan Havilland mój szef – powiedziała Estella. – Niedobrze mówić o tym. Mówię ci tylko: uważaj.

Kiedy Swift się zaoferował, że wynajmie Marty'ego Matthiasa, aby złożył w sądzie wniosek o przywrócenie mi prawa do opieki nad synem, zakiełkowała we mnie nadzieja, że może uda się sprawę załatwić na tyle szybko, aby Ollie nowy rok szkolny rozpoczął ze mną w Redwood City.

Ale to było nierealne. I o ile mi wiadomo, Swift nie zadzwonił jeszcze do Marty'ego. Miałam ochotę przypomnieć mu o tej obietnicy, nie chciałam jednak wywierać presji. Mówiłam sobie, że po prostu pochłaniają go sprawy związane z fundacją. Niedługo się tym zajmie, a tymczasem spędzałam z synem więcej czasu niż przez trzy ostatnie lata. Do rozpoczęcia roku szkolnego i powrotu Olliego do Walnut Creek został jeszcze cały tydzień.

Zbliżało się Święto Pracy. Dla mojego syna oznaczało to jedno: wielkie zawody pływackie. On kontra Monkey Man.

Ollie wrócił z Sacramento. Havillandowie wrócili z nad jeziora Tahoe. Elliot i ja prawie w ogóle się nie spotykaliśmy, choć pewnego wieczoru przywiózł lody i siedzieliśmy w kuchni, jedząc je i rozmawiając szeptem. Ollie miał twarde serce, ale martwiłam się, co by pomyślał, gdyby się obudził i zobaczył w domu mojego chłopaka.

– Nie podoba mi się to udawanie przed twoim synem, że nic nas nie łączy – rzekł Elliot. – Jakby nasz związek był czymś, czego należy się wstydzić.

– Ollie sporo przeszedł – odparłam. – A teraz jest dobrze. Nie chcę wprowadzać niepotrzebnego zamieszania.

Nic nie odpowiedział.

– Może wzięlibyśmy rowery i pojechali razem na piknik? – zapytałam. – Gdzieś, gdzie będzie płasko i bez samochodów, tak żeby Ollie mógł jechać obok nas. Na przykład tą ścieżką rowerową obok zalewu. Tyle że jeszcze nie teraz.

– Może powinnaś przestać tak bardzo chronić syna – powiedział cicho. – Czy przyszło ci kiedykolwiek do głowy, że moja obecność w jego życiu może tak naprawdę okazać się przydatna, a nie wielce problematyczna?

Właściwie to nie.

Ostatecznie zgodziłam się, aby Elliot zjawił się u nas któregoś wieczoru i zrobił kolację. Co zaskakujące, wszyscy troje całkiem dobrze się bawiliśmy. Graliśmy w kalambury, podczas których Ollie był raz w mojej drużynie, raz w Elliota, i zrobiliśmy popcorn. Ollie przyznał, że nie wiedział, iż można zrobić popcorn inaczej niż w mikrofalówce. Słyszając to, Elliot zrobił bardzo poważną minę – w czym był dobry – i oświadczył, że może powinien się zastanowić nad naszą znajomością.

– Ale moja mama robi pyszne ciastka z masłem orzechowym.

– W takim razie nigdzie się nie wybieram. Dla mnie ich jeszcze nie piekła.

Potem włączyliśmy film. Elliot przywiózł ze sobą płytę ze swoim ulubionym *Żółtym psiskiem*. Ollie stwierdził, że nie zapowiada się zbyt fajnie i że on woli kino akcji, ale na końcu się popłakał.

– Ten fragment też mnie zawsze wzrusza – powiedział Elliot, obejmując ramieniem mojego syna. Dawniej w takim momencie Ollie by pewnie cały zeszywniał, teraz jednak w ogóle się nie opierał, a kiedy kilka minut później zasnął z głową na ramieniu Elliota, ten stwierdził, że nie może wstać, bo nie chce go obudzić.

– Nie możesz tak siedzieć przez całą noc – oświadczyłam.

Zalała mnie fala czułości. Nie był to ogień ani namiętność, ani dreszczyk ekscytacji. To było coś innego, coś, czego nie potrafiłam nazwać.

– Są gorsze rzeczy niż bycie oparciem dla twojego śpiącego syna – odparł.
– Właściwie nie ma też wielu lepszych.

Do powrotu Olliego do domu ojca zostały dwa dni i nadeszła pora na wielkie zawody pływackie.

– Wiem, mówiłem, że dam ci fory, chłopie – rzekł Swift do Olliego, kiedy wyszli tamtego popołudnia z basenu. – Ale muszę to odwołać. Jesteś po prostu za szybki. Niepotrzebne ci fory.

Podeszłam do syna z ręcznikiem i otuliłam go nim. To właśnie takich drobiazgów – krótkich chwil – brakowało mi najbardziej, odkąd zamieszkał z ojcem. Tego, jak siedział mi na kolanach, kiedy go wycierałam. Smarowania kremem z filtrem. Obserwowania, dzień po dniu, jak w ciągu lata jego sylwetka ulega zmianie: jak urósł i schudł. Kupowania dużych kartonów mleka zamiast tych półlitrowych, bo wiedziałam, że będzie u mnie na tyle długo, żeby je wypić.

– Niewykluczone, że zetnę cię w proch, rozumiesz? – zapytał Swift. – Chodzi mi po prostu o to, że rozegramy te zawody w uczciwy sposób. Jak dorośli.

Tym, czego Ollie nie opanował, była nawrotka na końcu basenu. Swift pokazał mu, jak ją robić, ale Ollie i tak miał problem. Czasami krztusił się wodą, co go spowalniało.

Zawody miały się odbyć w sobotę, ostatni dzień Olliego u mnie. Całe przedpołudnie on i Swift spędzili na ćwiczeniu nawrotki. Ava i ja siedziałyśmy na leżakach i wystawiałyśmy twarze do słońca, podczas gdy nasi dwaj chłopcy – Ollie i Swift – przemieszczali się nieustannie tam i z powrotem, wymachując rękami, zmieniając kierunek, znowu wymachując. Nim nastąpiła pora lunchu, Ollie miał opanowaną nawrotkę.

– Dziś wieczorem – powiedział Swift. Położył na stole sto dolarów. – Dziesięć długości. Wygrany zgarnia całą pulę. – Uniósł rękę, a Ollie przybił mu piątkę.

– Mówiłeś, że jeśli wygram, to popłyniemy razem donzi – rzekł Ollie. Znowu miał taki ton głosu, jak zawsze, kiedy rozmawiał ze Swiftem, opanowany i hardy, jakby to wszystko go nie bardzo obchodziło, gdy tymczasem wiedziałam, że te zawody znaczą dla niego więcej niż cokolwiek innego.

– To jest już ustalone, stary. Tak sobie tylko myślę, że może minąć trochę czasu, nim uda nam się pojechać nad jezioro. Więc na razie dostaniesz trochę gotówki. Ale tylko jeśli mnie pokonasz, jasne?

Zawody miały się odbyć o szóstej. Ava zaprosiła kilkoro przyjaciół. Po zawodach coś wszyscy przekąsimy. Zamierzała zrobić lody z owocami, do których poda kruche ciasteczka Estelli. Kiedy zapytałam, czy Elliot także może przyjść, odparła, że oczywiście, choć jak zawsze, kiedy pojawiał się jego imię, wychwyciłam w jej głosie nutkę dezaprobaty.

– Jeśli tylko chcesz – rzekła.

Wczesnym wieczorem zaczęli zjawiać się goście: Renata i Carol, lesbijki z branży budowlanej; dawny przyjaciel Swifta, Bobby, który przyjechał aż z Vallejo; masażysta Avy, Ernesto, i nowa przyjaciółka Avy, Felicity, o której słyszałam, ale z którą jeszcze nie miałam okazji się spotkać.

Ava poznała ją w gabinecie weterynaryjnym. Była mniej więcej w moim wieku. Niedawno jej mąż zmarł na raka, a ona teraz musiała sprzedać dom i znaleźć pracę. Na domiar złego jej psa czekała operacja. Skończyło się tak, że Ava oczywiście za nią zapłaciła. Teraz Felicity stała przy basenie w długiej zielonej sukni, którą znałam z garderoby Avy. Na rękach trzymała psa rasy cavalier king charles spaniel.

– Och, Felicity – rzekła Ava na widok swojej nowej przyjaciółki. – Nie masz pojęcia, jaka jesteś piękna.

Okazało się, że Ava ma kaszmirowy szal w kolorze idealnie pasującym do sukni; po kolacji pójdą po niego na górę.

Stałam przy basenie i rozglądałam się za Elliotem – zaskoczona tym, jak bardzo chcę się z nim spotkać. Tuż po szóstej z altany wyłonił się Swift w ozdobionym monogramem szlafroku, ręce unosił do góry jak wkraczający na ring Muhammad Ali. Za nim szedł Ollie w szlafroku z inicjałami CAH, który musiał należeć kiedyś do Coopera. Mój syn wypiął klatkę piersiową, ale wiedziałam, że się denerwuje – bał się, że przy tyłu widzach mu się nie powiedzie. Ale przede wszystkim bał się, że rozczaruje Swifta.

Obaj stanęli nad brzegiem basenu i zdjęli szlafroki – Swift z szerokimi owłosionymi plecami i umięśnionymi ramionami, a obok niego mój syn, chudziutki i drżący.

Swift miał miniaturowe działo (a jakżeby inaczej), w którym wykorzystywano prawdziwy proch. Ernesto odpalił lont i bum: obaj wskoczyli do basenu.

Wcześniej zastanawiałam się, jak Swift rozegra ten wyścig. Zważywszy na różnicę nie tylko wieku i siły, lecz także na fakt, że jeszcze trzy miesiące temu Ollie bał się wody, raczej mało prawdopodobne, aby Swift na serio się ścigał. Oczywiście nie dopuści do tego, aby mój syn wiedział, że zawody zostały sfingowane, ale byłam pewna, że pozwoli mu wygrać.

Kiedy jednak wskoczyli do wody, Swift wyrwał do przodu, jakby za przeciwnika miał dorosłego pływaka, a nie ośmioletniego chłopca. Gdy dopłynął do końca basenu, dzieliło ich już niemal pięć metrów i dystans między nimi coraz bardziej się zwiększał.

Ollie autentycznie walczył. Nigdy dotąd nie płynął tak szybko ani z taką koncentracją, ale nawrotki go spowalniały. One oraz fakt, że był dzieckiem, które dopiero nauczyło się pływać.

Tylko raz, kiedy zaczerpnął powietrza po nawrotce, obejrzał się, aby

sprawdzić, gdzie jest Swift. To jedno krótkie zerknięcie nic mu jednak nie dało. Tak się akurat złożyło, że Swift płynął równo z nim, ale dzieliły ich trzy równe długości.

Kiedy Swift finiszował, zatrzymał się. Trzy metry przed końcem obrócił się na plecy, po czym zaczął utrzymywać się nieruchomo na wodzie. Ollie go doganiał, szaleńczo młóćąc rękami, ale czekały go jeszcze dwie długości. Swift popatrzył na grupę stojącą nad brzegiem basenu i uśmiechnął się szeroko. Dopiero gdy Ollie zbliżył się do końca ostatniej długości, zaczął płynąć.

Ollie dotknął krawędzi basenu dosłownie sekundę przed Swiftem. Wszyscy zaczęli wiwatować.

Nigdy dotąd nie widziałam na twarzy mojego syna miny, jaką miał, kiedy podciągnął się na brzeg basenu. Cały drżał i na chwilę zakrył dłońmi twarz, jakby to było dla niego za dużo.

– Udało mi się? – zapytał.

Swift też się podciągnął i usiadł obok Olliego.

– Byłeś niesamowity, stary. Przez jakiś czas myślałem, że cię pobiję, ale w decydującym momencie tobie puściły wszelkie hamulce.

Siedziałam kawałek dalej obok Avy i chłonełam całą scenę: mojego rozpromienionego syna, tubalny śmiech Swifta, kiedy zawieszał na szyi Olliego specjalnie przygotowany medal. Mój syn cały się trząsał i kręcił głową.

– Nie mogę uwierzyć, że mi się udało – rzekł oszołomiony. – Nie mogę uwierzyć.

Ava dotknęła mojego rękawa.

– Cały Swift – szepnęła, uśmiechając się blado. – Wiedział, że to Ollie musi wygrać, ale nie mógł się powstrzymać przed rywalizacją. Swift nie znosi przegrywać. W czymkolwiek.

Stojący nad basenem Ollie nadal nie dowierzał swemu zwycięstwu.

– Teraz pojedę z tobą nad jezioro Tahoe, tak? – zapytał Swifta.
– I popływamy donzi.

– Jak najbardziej. Gdy tylko przyjdzie ładny, długi weekend, od razu tam jedziemy.

– To tak wiele znaczyło dla Olliego – rzekłam do Avy. – Dzięki tobie i Swiftowi miał wspaniałe wakacje. Ja także.

– Swift sam jest właściwie chłopcem – odparła. – Tyle że większym, który okres dojrzewania ma już za sobą.

– Ollie go uwielbia – powiedziałam. Co nie znaczy, że o tym nie wiedziała.

– Jak my wszyscy – stwierdziła.

Później Swift wytarł się i założył jedną ze swoich kolorowych hawajskich koszul. Olliemu także wręczył taką koszulę – w mały i drzewa bananowe. Koszula okazała się dużo za duża, ale i tak ją założył, a na wierzchu miał medal.

Kiedy Swift go zapytał, czy ma ochotę na hamburgera, czy na stek, Ollie odparł, że za bardzo się cieszy, żeby jeść.

Podszedł do mnie Elliot. Wcześniej stał z boku razem z Evelyn Couture – drugą po Elliocie najbardziej niepasującą osobą na przyjęciach u Havillandów.

– O czym rozmawiałaś z Evelyn? – zapytałam. Trudno sobie wyobrazić dziwniejszą parę niż ich dwoje.

– Słyszała, że jestem księgowym – odparł. – Opowiedziała mi o tym, że wyprowadza się ze swojego domu. Wygląda na to, że przepisuje go na fundację Swifta i Avy.

Nie wiedziałam o tym. Podczas każdej mojej bytności u Evelyn pakowałyśmy w kartony ubrania i antyki dla komisów, z których dochody przeznaczano na balet i Małą Ligę, natomiast większość mebli wystawiona została w domach aukcyjnych. Zakładałam, że dom także będzie wystawiony na sprzedaż.

– To wspaniale.

– Przekupiłaś ją pewnie całą tą swoją pomocą – stwierdził.

– Wątpię – odparłam. – Nikt nie decyduje, co zrobić z wartym pięć milionów dolarów domem tylko dlatego, że czyjaś przyjaciółka pomaga mu w pakowaniu.

– Ten jej dom jest wart znacznie więcej niż pięć milionów. Z jej słów wnioskuję, że coś koło dwudziestu. Wystarczy na mnóstwo psich sterylizacji.

Byłam przyzwyczajona do tego, że kiedy Elliot ze mną rozmawia, w jego głosie słyszę czułość, w tej jednak chwili słyszałam jedynie sceptycyzm.

– Chciałbym wiedzieć, kto zasiada w zarządzie tej ich organizacji non profit – rzekł.

– Na pewno kilkoro bogatych miłośników psów – odparłam. – A czy to ważne?

– Znasz mnie. Porządny arkusz kalkulacyjny to coś, czemu nie potrafię się oprzeć. Najbardziej na świecie lubię grzebać w cyferkach.

Miałam zamiar powiedzieć coś żartobliwego, ale Elliot nagle spoważniał.

– Właściwie to nieprawda – rzekł. – Najbardziej lubię być z tobą.

Nazajutrz odwiozłam Olliego do domu jego ojca. Zgodnie z moimi przewidywaniami nie płakał. Już dawno temu przekonałam się, że w taki właśnie sposób dziecko rozwiedzionych rodziców chroni samo siebie: odcina się od uczuć towarzyszących opuszczaniu świata jednego rodzica i wkraczaniu do świata tego drugiego.

Rano, kiedy pomagałam mu w pakowaniu, już było widać, że go straciłam. Gdy go objęłam, po dawnemu zeszywniał. Wiedziałam, że lepiej nie naciskać.

– Mówiłaś, że może zamieszkać z tobą – powiedział wczoraj wieczorem, kiedy po raz ostatni kładłam go spać na materacu. – Ale tak się nie stało.

– Pracuję nad tym – odparłam. To znaczy Swift pracował. Miałam nadzieję, że rzeczywiście tak jest. Koniecznie musiałam z nim o tym porozmawiać.

Ollie chciał zabrać do Walnut Creek swój medal pływacki i studolarowy banknot od Monkey Mana. Tego ostatniego wieczoru, po powrocie z zawodów, spał w hawajskiej koszuli. Teraz powiesił ją na wieszaku, przyglądając się materiałowi tak, jakby uczył się go na pamięć. Z powodów, których mi nie wyjaśnił, ale które wydawało mi się, że rozumiem, mój syn zdecydował się nie zabierać koszuli do domu ojca.

– Nadal możemy ich odwiedzać, kiedy będziesz do mnie przyjeżdżał – rzekłam ze wzrokiem utkwionym w jego twarzy.

Ollie dotknął kołnierzyka koszuli.

– I pojedziemy razem nad Tahoe – oświadczył. – Obiecał, że popływamy donzi.

– Jestem pewna, że tak się stanie. Może nie od razu, ale kiedyś na pewno.

Kiedy dojechaliśmy do domu Dwighta i Cheri, na chodniku pożegnałam się z synem.

– Do zobaczenia niedługo – powiedziałam do niego. Moje słowa były tak bardzo nieadekwatne do sytuacji. Nachyliłam się i przytuliłam swojego chłopca.

Dawniej w takich momentach jego ciało od razu by zeszywniało. Teraz czułam, jak Ollie wtula się w moje ramiona. Staliśmy tak przez długą chwilę. Nie chciałam go puścić.

Nie zdążyłam jeszcze dojechać do domu, gdy otrzymałam esemesa od Avy. „Przyjedź do nas na kolację”. To zabawne, że oni nigdy nie pytali, czy mam jakieś inne plany. Tak się akurat złożyło, że miałam – tak jakby. Obiecałam Elliotowi, że zadzwonię do niego po powrocie i że jeśli będę w odpowiednim nastroju, to się spotkamy. Teraz jednak jedyne, na co miałam ochotę, to znaleźć się w miejscu, w którym spędziłam tak wiele szczęśliwych chwil z moim synem: w domu Havillandów.

Napisałam do Elliota: „Sorki. Niefajnie się czuję po odwiezieniu Olliego.

Możemy to przelożyć?”

Odpisał mi kilka minut później, jak zawsze wyrozumiały: „Jasne. Nie martw się za bardzo i pamiętaj, że Cię kocham. Do zobaczenia”.

Pojechałam na Folger Lane.

Kiedy tam dotarłam, Swift i Ava raczyli się już winem. Weszłam do domu bez dzwonienia do drzwi, wiedząc, że są w ogrodzie i jedzą guacamole. Gdy do nich podeszłam, Ava nie odezwała się ani słowem. Mocno mnie przytuliła. Swift nalał mi wody mineralnej. Przez chwilę miałam ochotę poprosić o kieliszek wina. Fatalnie się czułam i chciałam się napić czegoś mocniejszego.

– Będzie brakować mi tego dzieciaka – rzekł Swift.

Milczałam. Czułam smutek już na sam widok basenu.

– Naprawdę miałam nadzieję, że do trzeciej klasy pójdzie już tutaj, u mnie.

Teraz nadeszła odpowiednia chwila, żeby Swift wspomniał o swojej obietnicy. Prawnikowi i złożeniu wniosku w sądzie. Wniosku o ponowne rozpatrzenie sprawy w oparciu o nowe okoliczności: trwałam w trzeźwości i mogłam dołączyć referencje od Swifta i Avy oraz innych osób. Obserwowałam bacznie ich twarze.

– Swift grilluje dzisiaj łososia – odezwała się Ava. – Odwiedzi nas Felicity.

Teraz, kiedy Ollie wrócił do Walnut Creek, można by pomyśleć, że będę spędzać więcej czasu z Elliotem. Tak się jednak nie stało. Po pierwsze, coraz mniej czasu zostało do przyjęcia niespodzianki z okazji urodzin Swifta i musiałam sfinalizować wydanie albumu i oddać go do drukarni. Ava chciała, żebym pomogła jej ustalić menu i załatwić mnóstwo innych spraw związanych z przyjęciem. Ale to nie był jedyny powód, dla którego nieco się oddalałam od Elliota.

Po tym, jak przedstawiłam go Swiftowi i Avie – w dniu tego koszmarne rejsu – moi przyjaciele nie kryli, że ich zdaniem nie jest dla mnie wystarczająco dobry. Od tamtego czasu starałam się oddzielać swoje życie z Elliotem od czasu spędzanego z Havillandami. Pytali o niego sporadycznie; w ich przypadku prawdziwe okazało się powiedzenie, że co z oczu, to z serca. Za drugim razem, kiedy pozwoliłam, aby te dwie ważne sfery mojego życia się połączyły – w dniu zawodów pływackich – role się odwróciły. Dotąd to Swift i Ava mieli zastrzeżenia co do Elliota, tym razem to on patrzył na nich krytycznym wzrokiem.

– Co ci wiadomo na temat tego, w jaki sposób Swift dorobił się majątku?
– zapytał krótko po tamtym wieczorze, podczas którego poznał Evelyn Couture.

– Nie rozmawiamy o pieniądzach – odparłam. – To nie taki rodzaj przyjaźni.

– Jestem po prostu ciekawy, ponieważ pogrzebałem trochę w necie i sprawdziłem parę kwestii. Ta organizacja non profit to przedsięwzięcie prywatne. Troje członków zarządu: Swift, Ava i Cooper Havilland.

– A to jest niezgodne z prawem? – zapytałam.

– W żadnym razie – odparł Elliot. – Przemawia przeze mnie ciekawość.

W ciągu kolejnych tygodni zadawał mi coraz więcej pytań. Nie potrafiłam udzielić na nie odpowiedzi i irytowałam się, że w ogóle je zadaje. Co mnie obchodzi to, że Swift sprzedał fundacji swoje udziały? Albo jakaś spółka ubezpieczeniowa na Kajmanach?

Zakładałam, że zainteresowanie Elliota fundacją HAU wynika z jego hobby, tak jak genealogia albo czytanie recenzji różnych modeli samochodów (planował wymienić swoją toyotę prius na coś innego): ot, zwykła ciekawość fana cyferek, który ma za dużo wolnego czasu. Dlatego ta jego obsesja coraz bardziej mnie irytowała. Nie rozumiałam, jakie znaczenie ma fakt, że w zarządzie HAU zasiadają trzy osoby, a nie trzydzieści, ani nie wiedziałam, jakie wydają zarządzenia. To, że Elliota tak bardzo wszystko interesowało, tylko potwierdzało opinię Avy, że nie ma nic lepszego do roboty, niż przesiadywać nad stertą arkuszy kalkulacyjnych.

Pewnego ranka obudziłam się w jego mieszkaniu i przekonałam się, że on już siedzi przy biurku i analizuje wyliczenia. Nie było jeszcze szóstej. Sądząc po wyglądzie włosów, musiał je przeczesywać palcami wiele razy, co miał w zwyczaju robić, kiedy się na czymś mocno koncentrował. Na biurku stały trzy

puste kubki po kawie.

W głowie słyszałam określenie, którego używał Swift w stosunku do księgowych: liczykrupa. I pytanie Avy: Tylko miło?

– Co ty próbujesz w ten sposób osiągnąć? – zapytałam go.

– Chcę to po prostu rozgryźć – odparł Elliot. – Jak wszystko funkcjonuje.

Nie od razu, ale jak osoba, którą porwał silny, nieustępliwy prąd i znosi coraz dalej, czułam, że mój punkt widzenia ulega zmianie. Było tak, jakby do oka wpadł mi jakiś paproch, i choć bardzo chciałam się go pozbyć, wpływał na to, w jaki sposób postrzegałam wszystko dookoła. Zwłaszcza Elliota.

Troskę, którą mi okazywał – żebym zapięła w samochodzie pasy albo posmarowała ranę maścią z antybiotykiem – kiedyś traktowałam jako dowód na to, że jest czułym i kochającym mężczyzną. Teraz w mojej głowie rozbrzmiewał głos Avy, nazywającej go marudnym i czepialskim. Irytowało mnie, że tak ważne są dla niego detale. Nadal przyjemnie spędzaliśmy razem czas – rozwiązując wspólnie krzyżówki, jedząc w łóżku popcorn podczas oglądania starych, czarno-białych filmów, sprawdzając leżące gdzieś na uboczu restauracje, o których Elliot dowiedział się z internetu. Dopóki byliśmy tylko my dwoje, w naszym własnym małym świecie, czułam się tak dobrze jak w żadnym wcześniejszym związku. Kiedy jednak poruszał temat Havillandów, zamykałam się w sobie. Elliot miał misję: zamierzał znaleźć dowód na to, że z działalnością Swifta jest coś nie w porządku. Coraz częściej dochodziłam do wniosku, że po prostu z nim jest coś nie tak.

Pod koniec września Elliot zadzwonił pewnego wieczoru z informacją, że musi się ze mną spotkać i że zaraz przyjedzie. Przez kilka ostatnich dni unikałam go, pomagając Avie w realizacji coraz bardziej wymyślnych zadań związanych ze zbliżającym się przyjęciem. Byłam wykończona i nie miałam ochoty odpierać kolejnych irytujących tekstów na temat struktury finansowej HAU.

W ogóle nie przygotowałam się na jego przyjazd. Drzwi otworzyłam w piżamie.

– Wyglądam okropnie – powiedziałam.

– Dla mnie wyglądasz wspaniale – odparł. – Po prostu jak ty.

Elliota można było uznać za mężczyznę staroświeckiego. Stał w progu w garniturze, a w ręce trzymał bukiet róż – taki, jaki można kupić w Safeway, a nie w kwiaciarni, to bardzo do niego pasowało. Powiedziałam Avie, że Elliot musiał być nieobecny, kiedy rozdawano podręczniki do romantyzmu. Raz przywiózł mi sól do kąpieli z CVS[12]. Innym razem, gdy wybieraliśmy się do Sierras pod namiot, dostałam w prezencie ciepłą bieliznę.

Okazało się, że tego wieczoru zjawił się z pierścieniem. Z zaskakująco dużym brylantem jak na osobę, która ostrożnie gospodaruje pieniędzmi, i w tradycyjnym stylu – taki pierścionek, który czterdzieści lat temu ojciec mógł podarować matce, o ile się miało innego ojca niż mój. Nawet podczas naszej pierwszej randki w ciemno nie wydawał się tak zdenerwowany jak teraz.

– Wiem, że prawdopodobnie się nie zgodzisz – rzekł. – Ale proszę, rozważ to dokładnie. Mogę być dla ciebie dobrym mężem. Nie tylko będę cię uwielbiał. Będę się także o ciebie troszczył. Wiem, że wcześniej tego nie miałaś.

„Rozważ to dokładnie”. Cały Elliot. Nawet w tak ważnym momencie, kiedy można by sądzić, że uczucia biorą górę nad rozumem, on obierał drogę spokojną, rozsądną, refleksyjną.

– Wiem, że nie wyglądam jak Mister World – dodał. – Ale co do jednego mam pewność. Nikt nie mógłby cię kochać bardziej niż ja, Helen. Nigdy cię nie skrzywdzę. Możesz na mnie liczyć.

Zawsze należałam do osób, które pozwalają, aby to inni – bardzo często mężczyźni – decydowali o moim życiu. Tego wieczoru, patrząc w życzliwe i pełne niepokoju oczy Elliota, widząc owinięte w celofan róże, głębokie zmarszczki na jego twarzy, pudełeczko z niebieskiego aksamitu, wiedziałam, że kocham tego mężczyznę. I że mu ufam. Oczami wyobraźni zobaczyłam, jak u jubilera wybiera ten tradycyjny w stylu pierścionek, i zalała mnie fala czułości. Wyobraziłam sobie, jak potem jedzie do mnie – możliwe, że kilka razy objeżdża kwartał ze świadomością, że jeśli nie przyjmę jego oświadczenia, to mogą być ostatnie chwile nadziei. Nie złamię serca temu dobremu człowiekowi.

– Wyjdź za mnie – powiedział.

Siedziałam, przyglądając się uważnie jego twarzy i dużym zaskakująco szorstkim dłoniom, które wyglądały, jakby należały do hodowcy krów, i przypomniało mi się, że gdy wsiadamy do samochodu, on zawsze sięga po mój pas i go zapina. Pamiętałam, jak czeka cierpliwie – dwie godziny, czasami nawet trzy – kiedy robię zdjęcia psom.

Podniosłam wzrok na Elliota, stojącego przede mną w pogniezionej koszuli, trzymającego w dłoni pudełeczko z pierścionkiem.

– Dobrze. Wyjdę za ciebie.

Nawet, kiedy wypowiadałam te słowa, przed oczami miałam twarz Swifta tamtego dnia na łodzi, podczas sporu o kapok, i słyszałam głos Avy. „Niewielkie oczekiwania”.

– Dzięki tobie jestem teraz najszczęśliwszym z ludzi – oświadczył. – To znaczy tak szczęśliwym, jak tylko potrafi być taki facet jak ja.

Przyjęłam pierścionek. Ale nie włożyłam go na palec. Przez chwilę trzymałam go w dłoni, po czym schowałam do aksamitnego pudełka.

– Nie jestem jeszcze gotowa, aby to rozgłaszać – wyjaśniłam. – Najpierw chcę się z tym trochę oswoić.

Oczywiście tak naprawdę znałam powód, dla którego nie chciałam nosić na razie pierścionka. Bałam się, co mógłby powiedzieć Ollie, gdybym mu oznajmiła, że wychodzę ponownie za mąż. W dodatku za Elliota, którego mój syn zapamiętał głównie jako osobę, która koniecznie chciała go widzieć w kapoku i która zwymiotowała za burtę żaglówki Swifta. Podczas tych kilku krótkich kolejnych spotkań Elliot nieco się zrehabilitował w oczach Olliego, ale prawdą było, że w oczach mojego syna mój chłopak księgowy nie mógł się równać z Monkey Manem.

Jednak moja niechęć do włożenia pierścionka miała przede wszystkim związek ze Swiftem i Avą, w oczach których Elliot ani trochę nie zyskał. Nie chciałam im się tłumaczyć ze swojej decyzji.

Niemalże od tej samej chwili, w której przyjął oświadczenia Elliota, zaczęłam go unikać.

Bywało, że widząc na wyświetlaczu jego imię, specjalnie nie odbierałam telefonu. Wieczorem po powrocie od Swifta i Avy, a raczej ze wspólnej kolacji w Vinnie's albo w tej birmańskiej restauracji, lub po dniu spędzonym na pomaganiu Evelyn Couture, zwykle czekała na mnie wiadomość od niego.

– To ja – mówił. Najpierw z nadzieją, ale później niespokojnie, aż w końcu w jego głosie słychać było rezygnację. – Twój narzeczony?

Czasami oddzwaniałam. A kiedy to robiłam, nasze rozmowy trwały zaskakująco krótko. Chciał dzielić się ze mną tym, co dawniej: opowiadał więc o pracy, o czymś, co przeczytał w gazecie albo o niedawnej wizycie u lekarza, po prostu o tym, o czym rozmawiają pary. O zwyczajnym życiu. W czasie, gdy mówił, ja przeglądałam mejle.

– Zastanawiam się nad kupnem auta elektrycznego. A kiedy zamieszkamy razem, możemy zamontować na dachu panele solarne i przestać kupować gaz.

– Razem znaczyło u niego.

– Dobry pomysł – rzuciłam.

Jednak częściej po powrocie do domu wysyłałam Elliotowi esemesa, że jestem zbyt zmęczona na rozmowę i że zadzwonię jutro. A potem nadchodziło jutro, a ja znowu wybierałam się do Havillandów i dokonywałam ostatnich poprawek w albumie urodzinowym, albo jechałam do miasta, aby pomóc Evelyn Couture w niemającym końca pakowaniu, albo po coś na przyjęcie – chińskie lampiony, urządzenie do wytwarzania baniek mydlanych, zamówione przez Avę specjalne podkładki na stół z twarzą Swifta pośrodku każdej z nich, tak że kiedy goście zasiądą do stołu, on będzie się do nich szeroko uśmiechał. A przynajmniej dopóki kelnerzy nie postawią talerzy z psami dziesięciu różnych ras, które także wykonano na specjalne zamówienie. W końcu, po pięciu dniach wysyłania esemesów, zadzwoniłam do Elliota.

– Wiem, że powinnam była oddzwonić już dawno temu – powiedziałam.

– Ale mam teraz prawdziwe urwanie głowy. A na dodatek wszystko trzeba utrzymywać w tajemnicy przed Swiftem.

– Naprawdę uważasz, że jeszcze się nie domyślił, że będzie impreza?

– zapytał Elliot. – Ten człowiek kończy sześćdziesiąt lat. To egocentryk, jakich mało. Wie, że jego żona nie dopuściłaby, aby nie świętowano takiej okazji. I to jak świętowano. Nie zdziwiłbym się, gdyby próbowała wynająć Candlestick Park[13].

Ava rzeczywiście zastanawiała się nad kilkoma oryginalnymi lokalizacjami, ale ostatecznie postanowiła wynająć stoły i namiot i rozstawić go w ogrodzie za domem. Wyjaśniła, że zapewni to gościom większą swobodę.

– Gdyby ktoś chciał na przykład zrzucić ubranie i wskoczyć do basenu – dodała.

Obie wiedziałyśmy, którego „ktosia” ma na myśli.

Rozważywszy wiele opcji, jeśli chodzi o motyw przewodni dekoracji, Ava w końcu podjęła decyzję. Wiedząc, jak bardzo Swift kocha jezioro Tahoe – przede wszystkim zimą – wynajęła maszynę, która cały ogród za domem miała pokryć warstwą śniegu. Dodatkowo zamówiła naturalnych rozmiarów rzeźbę z lodu, przedstawiającą Swifta w pozie Dawida, tyle że z jego części intymnych miał lać się szampan.

Elliot chciał oczywiście wiedzieć, jak Ava zamierza utrzymać to wszystko w tajemnicy.

– W dniu przyjęcia wysłała Swifta poza miasto – wyjaśniłam. – Tym sposobem pozbędzie się go z domu na czas ostatnich przygotowań.

– Sądziłem, że Swift nie lubi wyjeżdżać? Zwłaszcza bez Avy.

– Zorganizuje specjalną męską wycieczkę do oceanarium Monterey razem z Olliem – wyjaśniłam. Choć była to wycieczka, na którą to ja i Elliot planowaliśmy zabrać mojego syna. – Ollie pragnie oczywiście jechać nad jezioro Tahoe, ale to zdecydowanie za daleko na jednodniową wycieczkę, a poza tym nie chcę, żeby tam jechał beze mnie. No więc stanęło na Monterey.

– Czarodziej Swift – rzucił cierpko Elliot. – Facet macha różdżką i spełnia twoje życzenia. Gdyby tu teraz był, uczyniłby oczywiście żartobliwą uwagę na temat swojej wszechmocnej różdżki.

Postanowiłam to zignorować.

Było wiadomo, że będziemy musieli się nieźle spiąć, żeby zdążyć ze wszystkim w jeden dzień. Plan był taki, że kiedy Swift i Ollie wejdą do domu, wszyscy goście będą już czekać. Obok altany przy basenie rozłoży się zespół grający reggae, pośrodku przysypanego śniegiem ogrodu zapłonie ognisko, a jakby tego było mało, dramaturzmu dodadzą różni performerzy, łącznie z połykaczem ognia i tancerką na linie.

W porze koktajlowej gościom zostaną zaserwowane ostrygi, *foie gras*, kraby kieszeńce, kawior i szampan marki Cristal, a na kolację zaplanowano jagnięcinę, zapiekanekę z ziemniaków, zieloną fasolkę szparagową i sałatkę z endywii, gruszek i orzechów włoskich. Przy każdym nakryciu (ponad setka gości, z których większość to ludzie zamożni i skłonni do wypisywania hojnych czeków, a do tego stali bywalcy przyjęć u Havillandów) znajdzie się egzemplarz *Człowieka i jego psów*. Zamówiono tysiąc albumów, tak by mieć też na później, kiedy fundacja się rozrośnie.

Opowiedziałam o tym wszystkim Elliotowi podczas kolacji w restauracji. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie i piliśmy kawę. Na tę okazję włożyłam na palec pierścionelek, ale atmosfera między nami wydawała się napięta, choć oboje

staraliśmy się zachowywać tak, jakby wszystko było w porządku.

– Skoro w taki sposób świętują sześćdziesiątkę Swifta, próbuję sobie wyobrazić, co Ava wymyśli na jego siedemdziesiąte urodziny – rzekł Elliot.

– Zakładając, że będą jeszcze razem.

– Co ty opowiadasz? – zapytałam. – Jeśli miałabym postawić na jeden jedyny związek na świecie, wymieniłabym Havillandów. Nigdy nie widziałam bardziej zakochanej pary.

– Miłość nie zawsze objawia się w oczywisty sposób – stwierdził Elliot.

– Nie każdy musi nieustannie obwieszczać światu, jak niezwykły jest jego związek. Niektórzy uczucie okazują czynami.

Udałam się na Folger Lane, aby pokazać Avie próbny wydruk urodzinowego albumu. Cały nakład miał być do odbioru jutro. Kiedy zatrzymałam się na podjeździe, obok mnie zajechał mercedes Avy. Na fotelu pasażera siedziała Estella.

– Zabrałam ją na manicure i pedicure – oświadczyła Ava, kiedy wysiadły z samochodu. – Możesz uwierzyć, że nigdy wcześniej sobie nie robiła?

Prawdę mówiąc, mogłam. Teraz Estella wyciągnęła ręce, demonstrując krótkie paznokcie pomalowane na jaskrawą czerwień. Z papierowych japoniek, takich, jakie się dostaje u pedicurzystki, wyglądały czerwone paznokcie. Własne buty – stare adidasy – miała wciśnięte pod ramię.

– Próbowałam ją przekonać do czegoś mniej krzykliwego – rzekła Ava. – Ale miała ochotę iść na całość.

Nachyliłam się, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Carmen podoba się w college'u? – zapytałam.

– O tak, dobrze jej idzie – odparła Estella. – Ta moja dziewczyna, ona będzie doktorem. Będzie opiekowała się swoją rodziną.

– Tym się nie musisz martwić – wtrąciła Ava. – Bez względu na to, co zdecyduje się robić Carmen, wiesz, że Swift i ja zawsze będziemy o ciebie dbać.

– Carmen skończy studia, opiekujemy się sobą. Mam mądrą córkę.

– Studia medyczne są trudne, Estello – dodała Ava. – Mam nadzieję, że sobie poradzi, ale nie rezygnuj ze swojej pracy.

– Tak, pani Havilland. – Po tych słowach Estella ruszyła w stronę domu. Nadzieja, którą było słyhać w jej głosie, nagle zniknęła.

– Poza tym – zakończyła Ava – co byśmy bez ciebie poczęli?

Ava i Swift musieli zająć się paroma sprawami w domu nad Tahoe. Zatrudniali w tym celu zarządcę nieruchomości, ale ostatnio mieli z nim jakieś problemy. Chcieli szukać kogoś innego na jego miejsce.

– Pewnie mogłabym to załatwić przez telefon – powiedziała Ava – ale to miejsce jest dla nas takie wyjątkowe, że nie chcę przekazywać kluczy komuś, kogo nie znamy.

Poprosiła mnie o to, żebym tam pojechała i przeprowadziła rozmowy z dwiema firmami specjalizującymi się w zarządzaniu nieruchomościami.

– Możesz zrobić sobie krótki urlop – zaproponowała. – Zabrać ze sobą stos gazet. Porozmawiać z tymi, którzy odpowiedzieli na nasze ogłoszenie, i wybrać osobę, która ci się spodoba. Ja i Swift mamy do ciebie pełne zaufanie i wiemy, że dokonasz najlepszego wyboru.

To nie wszystko. Havillandowie myśleli o generalnym remoncie na wiosnę. Zaraz po tym wielkim przyjęciu urodzinowym Ava zamierzała przystąpić do rozmów z architektami.

– Byłoby świetnie, gdybyś zabrała ze sobą aparat i porobiła zdjęcia. Żeby architekt, zanim się sam tam wybierze, wiedział, nad czym będzie pracował. – Przez chwilę milczała, po czym dodała: – Gdybyś chciała, mogłabyś zabrać ze sobą tego swojego chłopaka.

Dziwne, ale ona i Swift nigdy nie używali imienia Elliota.

Odparłam, że pojedę. Ale sama. Choć źle się z tym czułam, nie byłam w nastroju na weekend w towarzystwie Elliota. Tak naprawdę potrzebowałam czasu tylko dla siebie.

Nigdy dotąd nie byłam nad jeziorem Tahoe. Nie jeździłam na nartach, to po pierwsze – choć oczywiście Ava także nie. Ważniejszy był jednak fakt, że to miejsce zawsze kojarzyło mi się z ludźmi ze świata, do którego nie należałam – ludźmi, którzy od dziecka szusowali na nartach, grali w tenisa, potrafili żeglować i posiadali łodzie motorowe. Już samo to, jak je określali – *Tahoe*, nigdy *jeziro Tahoe* – sugerowało, iż są z nim związani w sposób, o jakim ja mogłam tylko pomarzyć.

Ale po tylu miesiącach słuchania o tym miejscu pragnęłam zobaczyć je na własne oczy. I czułam dumę, że ufają mi na tyle, aby powierzyć wybranie odpowiedniej osoby na stanowisko zarządcy. Ava zapytała, czy skoro już tam będę, to mogłabym odkurzyć dywany i zasłony, no i jeszcze wezwać fachowca do zmywarki, która podczas ich ostatniego pobytu trochę szwankowała.

Zadaniem, o którym myślałam z największą ochotą, było oczywiście robienie zdjęć. Sporo czasu minęło, odkąd fotografowałam coś innego niż psy i dzieci w szkole. Niezmiernie cieszyła mnie myśl, że przez cały dzień będę mogła

chodzić po należącym do Havillandów domu nad jeziorem i otaczającym go terenie, pstrykając zdjęcia we własnym tempie.

Dojazd zajął mi ponad cztery godziny, ale nie przeszkadzało mi to. Rozmyślałam o obietnicy Swifta. Miał porozmawiać ze swoim prawnikiem o wznowieniu sprawy o opiekę nad Olliem, ale ostatecznie tego nie zrobił. Nie bardzo chciałam go ponaglać, jednak kilka dni temu wróciłam do tematu, ponieważ obawiałam się, że może wyleciało mu to z głowy.

– Pracuję nad tym, kotku, nic się nie martw – odparł, klepiąc mnie w ramię. Nie byłam tego taka pewna, no ale cóż mogłam zrobić?

Od mojej jazdy pod wpływem alkoholu minęły ponad trzy lata i nie przytrafiła mi się w tym czasie ani jedna wpadka. Byłam zadłużona, ale przynajmniej miałam sensowne dochody. Ale najważniejsze było to, że mój syn sam z siebie mówił, że chce ze mną mieszkać. Możliwe, że w tej kwestii nie bez znaczenia było jego uwielbienie dla Monkey Mana. I to, jak bardzo lubił frisbee i zabawy z Rocco. Ale chodziło mu także o mnie. Tego lata przeszliśmy długą drogę. Mój syn znowu mi ufał.

Myślałam o tym wszystkim, kiedy przejeżdżałam przez miasteczko Truckee, które od domu Avy i Swifta dzieliło dwadzieścia pięć kilometrów. Plan był taki, że dzisiaj odpocznę po długiej podróży, a jutro rano udam się do miasteczka, gdzie spotkam się z kandydatami na stanowisko zarządcy. Z domu wyjechałam przed południem, żeby zdążyć przed zachodem słońca i obfotografować dom z zewnątrz przy najbardziej korzystnym świetle.

Po drodze minęłam wiele rezydencji położonych nad samym jeziorem: dużych, bez wątplenia drogich, zaprojektowanych na zamówienie, z wszelkiego rodzaju udogodnieniami, ale żadna nie wydała mi się ani trochę urocza. Wtedy skręciłam w drogę prowadzącą do domu Swifta i Avy.

Zobaczyłam kolejne okazałe posiadłości, ale i one nie mogły się równać z domem Havillandów. Moja pierwsza myśl, gdy go ujrzałam, była taka: po co ktoś miałby chcieć cokolwiek zmieniać? Dom stał na końcu długiego podjazdu. Teren otaczały wysokie drzewa, dzięki czemu nie było widać innych rezydencji. W dół, do jeziora, prowadziła porośnięta mchem ścieżka. Dość duży dom dzięki ciągnącej się wzdłuż wszystkich czterech ścian werandzie i wyrastającemu z dachu kamiennemu kominowi bardziej wyglądał jak domek letniskowy niż rezydencja.

Dach pokryty był gontem, okna miały czerwone okiennice, a otaczające dom drzewa w ogóle nie przypominały tych, które widziałam w mijanych posiadłościach – wyglądały, jakby dopiero co zostały posadzone przez superdrogiego architekta krajobrazu. U Havillandów rosły strzeliste sosny i sekwoje, i całe mnóstwo paproci. Pomiędzy dwoma drzewami rozwieszono hamak, a przodem do jeziora stała huśtawka ogrodowa.

Pozostałe budynki to domek dla gości i hangar, w którym Swift i Ava

trzymali zapewne kajaki i deski do pływania z wiosłem, jak również canoe z kory brzozy, które Swift zamówił specjalnie u pewnego człowieka w Kanadzie, oraz sprzęt do uprawiania narciarstwa wodnego. Tam też trzymał swoją dumę i radość, donzi. Dzięki mojemu synowi wiedziałam wszystko na temat tej łodzi: ile ma koni mechanicznych, o tym, jak ludzie, od których Swift ją kupił, wymykali się policji podczas szaleńczego, trwającego pięć godzin pościgu gdzieś na Florydzie, z narkotykami wartymi kilka milionów dolarów, a także z kałasznikowami na pokładzie. Kiedy Ollie opowiadał mi tę historię, na jego twarzy malował się nabożny lęk.

– Potem ci źli ludzie trafili do więzienia – rzekł na koniec. – A Monkey Man kupił donzi.

Jeziro zobaczyłam, jeszcze zanim wyłączyłam silnik: migoczący błękit, a nad nim horyzont. Po jeziorze pływało niewiele łodzi, a już na pewno żadna nie była tak szybka jak donzi.

– Mam najlepszą cholerną łódź na całym jeziorze – oświadczył Swift Olliemu.

Dla mnie najwspanialszy ze wszystkiego okazał się teren, na którym stał dom – miejsce, gdzie czas się zatrzymał na roku tysiąc dziewięćsetnym, tak mało widać było dowodów współczesnego życia.

Zaparkowałam samochód przed domem i wysiadłam. Rozejrzałam się. Dochodziła szósta i światło padało na jezioro pod idealnym kątem. Sięgnęłam po aparat.

Zawsze kiedy zaczynam pstrykać, coś się ze mną dzieje. Wszystko inne przestaje się liczyć. Mógłby szaleć wielki pożar, ale dopóki ogień nie pojawiłby się w celowniku, najpewniej w ogóle bym go nie zauważyła. Teraz stałam jak skamieniała, urzeczona widokiem zachodzącego nad jeziorem słońca. Dostrzegłam lecącego tuż nad wodą nura, oświetlonego idealnym złotym światłem.

Zanurkował. Uchwyciłam go w momencie, gdy się wynurzył.

Kto wie, ile minęło czasu. Może pięć minut, może pół godziny. Nagle uświadomiłam sobie, że z domu dochodzi muzyka – jakiś hip hop. Odwróciłam się i po raz pierwszy przyjrzałam się całej posiadłości.

Wtedy go zobaczyłam: drugi samochód na podjeździe, żółty kabriolet z opuszczonym dachem. Teraz zauważyłam także, że z komina leci dym. Z otwartego okna dobiegał śmiech.

Pewnie powinien zdjąć mnie strach, ale myśl, że ktoś wtargnął do drogocennego, idealnego gniazda Swifta i Avy, skutecznie go przegoniła. Jedyne, co zarejestrowałam, to wściekle silny instynkt opiekuńczy.

Poczułam dziwny impuls. Uniosłam aparat. Skoro, jak uważałam, ktoś włamał się do domu, trzeba uwiecznić numery rejestracyjne żółtego samochodu. Więc uwieczniłam. Następnie, zbyt oszołomiona, aby czuć strach, podeszłam do

drzwi i nacisnęłam klamkę. Nie musiałam wyjmować kluczy. Drzwi były otwarte.

Pierwsze, co zobaczyłam, to walizka, skórzana i wyglądająca na drogą. Obok niej na podłodze leżał wysłużony plecak. Nikogo nie widziałam, ale słyszałam trzask ognia i zapach dymu dochodzący zapewne z salonu. Niczym lunatyk udałam się korytarzem w tamtą stronę. W salonie stały stare, obite pluszem sofy – takie, co to są znacznie ładniejsze niż nowe – dwa skórzane fotele klubowe, fotel bujany, dywan w stylu południowo-zachodnim i obraz, którego autorem musiał być ten sam artysta, którego obraz z psem zainspirował moją pierwszą rozmowę z Avą.

Czułam, że coś się gotuje. Mięso. Teraz słyszałam także głosy – jeden wysoki, rozbawiony, drugi niższy. Śmiech znajomy, ale jednak inny. Zdążyłam już się połapać, że to nie włamywacz.

Stałam, próbując zdecydować, co zrobić, kiedy otworzyły się drzwi na drugim końcu pokoju. To był syn Swifta, Cooper, trzymał w ręce kieliszek martini. Od razu go rozpoznałam. Obok niego, w rozpiętej męskiej koszuli, stała córka Estelli, Carmen.

Przez długą chwilę wszyscy po prostu staliśmy. Nie odezwałam się ani słowem, milczał także Cooper, w jednej ręce trzymający bardzo długi i noszący ślady krwi widelec do grilla, w drugiej drinka.

Wpatrywaliśmy się w siebie nawzajem. Kiedy ostatnio słyszałam imię Coopera, rodzice świętowali jego zaręczyny z piękną Virginią. Kiedy ostatni raz widziałam Carmen, sprzątała ubikację.

Przyglądałam się uważnie ich twarzom. Oni przyglądali się mojej.

Potem odwróciłam się. Wyszłam na korytarz i udałam się na dwór, do samochodu. Odłożyłam aparat na fotel dla pasażera, ale dopiero wtedy, kiedy zrobiłam zdjęcie całego domu – gdy znalazłam się w połowie podjazdu i nikt nie mógł mnie już zobaczyć. Obiecałam to Avie i Swiftowi. Z kolei Olliemu obiecałam, że sfotografuję donzi, ale nie było takiej opcji, abym udała się teraz do hangaru.

Czekała mnie długa droga powrotna do Portola Valley. Koło wpół do dziewiątej zadzwonił telefon. Ava.

– Niech zgadnę. Leżysz na sofie przed kominkiem z kieliszkiem tej wody, którą upierasz się zastępować porządnego caberneta, zamiast go teraz pić. I prawdopodobnie byłaś na tyle szalona, żeby nie zabierać swojego chłopaka, mimo że będziesz spać być może w najbardziej romantycznym miejscu nad całym jeziorem. Niewykluczone, że uświadomisz sobie, czego brakuje w waszym związku. Co nie znaczy, że zamierzam się nad tym rozwodzić.

– Prawdę mówiąc, wracam właśnie do domu – odparłam. Choć tworzenie historyjek zawsze przychodziło mi bez trudu, nie zdążyłam jeszcze wymyślić, jak wytłumaczę Avie swój przedwczesny powrót.

Oczywiście chciała wiedzieć, co się stało.

– Czuję lekkie mdłości – odparłam. – I boli mnie żołądek.

– Wobec tego masz przyjechać prosto do nas – oznajmiła. – Położymy cię do łóżka z butelką gorącej wody i kubkiem miętowej herbaty. Zaczekam na ciebie.

– Dam sobie radę – zapewniłam. – Muszę po prostu wrócić do domu.

– Przyjedziesz tutaj. Koniec dyskusji. Musimy się tobą zaopiekować.

Dochodziła jedenasta, kiedy w końcu dotarłam na Folger Lane. W domu paliło się światło, psy czekały. Drzwi otworzyła Ava.

– No dobrze – powiedziała, prowadząc mnie do salonu. – Co się dzieje? Bo nie wierzę w tę bajeczkę o bolącym żołądku. Ciebie nigdy nie boli brzuch.

Ava się nie myliła. To był jeden z wielu momentów, który przypominał mi, jak dobrze mnie zna i jaka bliska więź nas łączy.

– Niech no zgadnę – odezwał się Swift, stając za nią. W rękę trzymał drinka. – Jednak zabrałaś ze sobą księgowego. Potem ostro się pokłóciliście. Tak sobie

myślę, że próbowałaś ułożyć w scrabble jakieś niedozwolone słowo, a on trzymał się zasad. I musiałaś się stamtąd wynieść.

Pokręciłam głową. Nie mogłam pozwolić im myśleć, że pokłóciłam się z Elliotem. Jak ktokolwiek mógłby się z nim pokłócić?

– Po prostu... kobiece sprawy – bąknęłam.

Uznałam, że to wystarczy, aby wypłoszyć Swifta, i miałam rację. Już dawno temu przekonałam się, że nic tak nie pomaga pozbyć się mężczyzny, o ile tego właśnie się chce, jak aluzja do menstruacji.

– Okej – rzekła Ava, kiedy zostałyśmy same. – Teraz usiądziesz i powiesz mi prawdę. To ja, pamiętasz? Twoja najlepsza przyjaciółka. Nie mamy przed sobą tajemnic.

Nigdy wcześniej nie nazwała mnie swoją najlepszą przyjaciółką, ale teraz, po tych słowach, coś we mnie pękło. Padłam na sofę. Ava nachyliła się w swoim wózku, żeby mnie objąć.

– Możesz mi powiedzieć – rzekła. – Wszystko będzie dobrze.

– Tam był Cooper – wyrzuciłam z siebie. – W domu był Cooper i wpadłam na nich. Towarzyszyła mu Carmen.

Niemal niedostrzegalnie – na tyle, że osoba postronna w ogóle nie zwróciłaby na to pewnie uwagi – Ava cofnęła się i wyprostowała. Jej piękne długie ręce powróciły na oparcia. Obrzuciła mnie spokojnym spojrzeniem.

– To wszystko? – spytała. W jej głosie słychać było połączenie irytacji z rozbawieniem. – To jest ta wielka katastrofa?

– Gotowali razem kolację – powiedziałam, jakby konieczne były dodatkowe informacje. – Miała na sobie jego koszulę. Tylko koszulę. Byli razem.

Z twarzy Avy nie byłam w stanie niczego wyczytać. Kiwała głową, a na jej ustach błąkał się uśmiech, ale nie taki jak wtedy, gdy jeden z psów kładł głowę na jej kolanach, albo gdy Swift zachodził ją od tyłu i zanurzał twarz w jej włosach.

– Słuchaj – rzekła. – To, co się dzieje między Cooperem a tą dziewczyną – tą dziewczyną, tak powiedziała – nie ma żadnego znaczenia. Jest po prostu chłopakiem, i tyle.

– Zaręczył się. Myślałam, że bierze ślub z Virginią.

Nie roześmiała się, ale mało brakowało.

– To, co najważniejsze, pozostaje bez zmian – oświadczyła. – Cooper w czerwcu skończy studia i wyjedzie do Nowego Jorku. Odbędzie się wielkie wesele. Jego i Virginię czeka bardzo miłe życie.

„Mile”... Właśnie to słowo kwestionowała, kiedy go użyłam do opisanie Elliota.

– Wątpię, aby Virginia postrzegła to w taki sposób – stwierdziłam.

– Ależ postrzega – odparła Ava. – Myślisz, że nie wie, iż Cooper raz na jakiś czas robi skok w bok? Myślisz, że podczas tych ośmiu wspólnych lat robi to po raz

pierwszy? Tacy już są mężczyźni, Helen.

Z tym akurat mogłam polemizować, przeszłam jednak do innej kwestii.

– A co z Carmen? – zapytałam. – Ona pewnie uważa, że to coś więcej. Prawdopodobnie jest w nim zakochana. A Estella... – Nie wiedziałam, w jaki sposób dokończyć zdanie. Wiedziałam, że Estella zachowanie Coopera odebrałaby zupełnie inaczej niż Ava.

– Dbanie o interesy Carmen to nie twoja sprawa. Nie twoja i nie moja. Carmen jest dorosła. Może podejmować samodzielne decyzje i najwyraźniej tak właśnie czyni.

– Swift wie? – zapytałam. Nie mogłam się otrząsnąć po jej reakcji.

Wyglądała na lekko zniecierpliwioną.

– Może wie, może nie. Tak czy inaczej, nie miałoby to dla niego większego znaczenia. Dla ciebie także nie powinno. – Zmieniła położenie kół w sposób sugerujący, że jest gotowa do opuszczenia pokoju.

Najwyraźniej nasza rozmowa dobiegła końca.

– Zostaniesz na noc, prawda? – spytała. – Po takiej długiej drodze? Przygotowaliśmy ci pokój.

Odparłam, że wolałabym jechać do siebie. Nie próbowała mnie przekonywać, żebym zmieniła zdanie.

– Rozumiem, że to miało miejsce, zanim zdążyłaś zająć się wszystkim? – zapytała Ava, gdy szłam ku drzwiom.

– Zająć się wszystkim?

– Przeprowadzić rozmowy z kandydatami na zarządcę. I zrobić zdjęcia dla naszego architekta.

– Mam tylko jedno ujęcie domu z zewnątrz – odparłam. – Przepraszam.

Było jeszcze kilka – zachód słońca, nury, tablica rejestracyjna żółtego kabrioletu. Jednak żadne z tych zdjęć nie okazałoby się przydatne.

– Nic się nie martw – odparła Ava. – To nic takiego. Skupmy się teraz na przyjęciu urodzinowym, dobrze? Wyobrażasz sobie minę Swifta, kiedy się zjawi i zobaczy śnieg w ogrodzie? Na pewno wie, że coś dla niego szykuję, ale takiego przyjęcia jeszcze nigdy nie wyprawiałam.

Jadąc do siebie, nie myślałam o przyjęciu. Ani o Swifcie. Myślałam o tym, co zobaczyłam na twarzy Coopera, kiedy wyłonił się dzisiaj z kuchni w domu nad jeziorem Tahoe.

Ktoś inny mógłby okazać strach czy nawet przerażenie, ponieważ został przyłapany w tak niezręcznej sytuacji, ale nie Cooper... Jest młodym mężczyzną, który nawet teraz, w wieku zaledwie dwudziestu dwóch lat, ma pewność, że świat zachowa się zgodnie z jego wolą, a jeśli innym ludziom nie podoba się jego zachowanie – jeśli, dajmy na to, zaufana przyjaciółka rodziców przyłapała go w kompromitującej sytuacji razem z córką ich gospodyni krótko po jego

zaręczynach z inną – to jest ich problem, nie jego.

Cooper ewidentnie wiedział, kim jestem. Właściwie to nawet uśmiechnął się na mój widok. Był to uśmiech lekko krzywy, sugerujący, że wypił już kilka drinków, choć może był to jego normalny, chłopięcy uśmiech, którym miał w zwyczaju czarować innych. Jedyne, co Cooper mógł mieć mi za złe, to fakt, że moja niespodziewana wizyta prawdopodobnie popsowała nastrój. Ponieważ druga osoba w pokoju – Carmen – wyglądała tak, jak można było oczekiwać. (Jak wyglądała na przykład przed laty jej matka, gdy pokonywała pustynię między San Ysidro a Teksasem i natrafiła na patrol graniczny).

Przyparta do muru i przerażona.

Po przyjeździe do domu powinnam była od razu iść spać, tak jednak nie zrobiłam. Jeśli mam być szczerą, to nawet nie pojechałam od razu do siebie.

Na trasie pomiędzy domem Havillandów a moim mieszkaniem znajduje się sklep monopolowy. Musiałam go pewnie mijać z tysiąc razy i nigdy nie zwracałam na niego uwagi. Tym razem zatrzymałam się, kupiłam butelkę cabernet i położyłam na fotelu obok aparatu. Kiedy weszłam do mieszkania, wyjęłam korkociąg, a potem napełniłam kieliszek. Po tylu latach, tylu mityngach, odhaczaniu kolejnych dni w trzeźwości, poszło mi naprawdę szybko.

Gdy butelka była już pusta, stanęłam przed lustrem i przyjrzałam się swojej twarzy. Chciałam się przekonać, czy wyglądam inaczej. Może i wyglądałam, ale w tamtej chwili, zważywszy na ilość wypitego alkoholu i fakt, że przez cały dzień nic nie jadłam, miałabym problem z poprawną oceną czegokolwiek.

Zrobiłam wówczas coś dziwnego, choć wtedy wydawało mi się to sensowne. Może chciałam udokumentować tamtą chwilę? Żebym pamiętała i nigdy więcej nie uległa pokusie. Może zrobiłam to, gdyż dotarła do mnie rozpaczliwa prawda, że jednak nie udało mi się zmienić swojego życia.

Postawiłam aparat na stercie książek, tak jak wtedy, kiedy robiłam sobie zdjęcie profilowe na Match.com, i włączyłam samowyzwalacz. Stanęłam przed celownikiem i czekałam na trzask migawki.

Następnie wzięłam do ręki telefon. Mogłam zadzwonić do swojego sponsora, ale teraz w sytuacjach awaryjnych zawsze dzwoniłam do Avy. Gdybym nie była pijana, nigdy nie zadzwoniłabym do niej o tej godzinie, no ale byłam. Jak zawsze – nawet o tej porze i mimo tego, że ją obudziłam – w głosie Avy na drugim końcu linii brzmiała troska i współczucie.

– Spieprzyłam to – rzuciłam do słuchawki. – Upiłam się. Mam na imię Helen – powiedziałam głośno, tak jak to robiliśmy podczas mityngów. – Jestem alkoholiczką.

Następnego ranka próbowałam o wszystkim zapomnieć. O wyjeździe nad Tahoe. O tym, co tam zobaczyłam. O reakcji Avy. Przede wszystkim o picciu – choć musiałam to wyznać na jutrzejszym mityngu, i to zrobiłam. Aż do wczoraj mogłam się pochwalić tysiąc osiemdziesięcioma sześcioma dniami trzeźwości. Teraz wróciłam do liczby zero.

Nim jednak byłam w stanie wyrzucić to ze świadomości, musiałam zrobić jedną rzecz: wydrukowałam zdjęcie, które zrobiłam sobie zeszłej nocy, i włożyłam je do szuflady z bielizną. Każdego dnia miało mi przypominać, że nigdy więcej nie może się powtórzyć scenariusz z wczoraj.

Kiedy przestała mnie boleć głowa, pojechałam na Folger Lane. Zdecydowałam, że zapytam Swifta wprost, czy nadal planuje wynająć dla mnie

prawnika, który pomoże mi odzyskać Olliego. Gdy wykona ten obiecany telefon, ja zabiorę się do gromadzenia wyciągów z konta i kart kredytowych oraz referencji. Zaczynając oczywiście od Avy i Swifta. I może Evelyn Couture.

I wtedy coś sobie uświadomiłam: w moim obecnym życiu nie było niczego, co nie pochodziło bezpośrednio od Havillandów. Przyjaciele, źródło utrzymania, potencjalny prawnik, nawet ubrania. Swift i Ava byli odpowiedzialni za wszystko z wyjątkiem syna, którego urodziłam, i mężczyzny, z którym sypiałam – choć nawet tego nie robiłam już zbyt często. Na swój sposób przejęli oni także Elliota – pokazując mi nieustannie jego wady, tak że po pewnym czasie nie dostrzegałam już jego zalet.

Nawet mnie zbijało to z tropu. Dowiedziawszy się od Avy, że jej pasierb, jego ojciec, narzeczona pasierba i ona sama lekceważą pojęcie wierności, mogłam na nowo zacząć szanować Elliota, którego lojalność była stuprocentowa. Ja jednak uważałam, że sprzymierzając się z nim, znajdę się w opozycji do wszystkiego, co reprezentują sobą Swift i Ava. A to przecież oni zapewnili mi moje nowe życie – łącznie z tym, że Oliver w końcu znowu otworzył przede mną swoje serce. Bez względu na niepokój, jaki mnie teraz dręczył, którego źródło stanowiło moje odkrycie nad jeziorem Tahoe, musiałam się go wyzbyć, jeśli chciałam odzyskać syna.

Nadal nikomu nie powiedziałam o zaręczynach z Elliotem. Nie miałam zbyt wielu osób do poinformowania, ale z pewnością byli wśród nich Ava i Swift, no i Ollie. Nie chciałam dzielić się tą nowiną z synem, dopóki nie pozna Elliota trochę lepiej.

Istniała jeszcze jedna ważna okoliczność, żeby zachować nasze zaręczyny w tajemnicy: zbliżające się złożenie wniosku w sądzie o odzyskanie prawa do opieki nad synem. Gdyby Ollie wiedział, że zamierzam wyjść za mężczyznę, którego nie darzył zbyt dużym szacunkiem, być może nie chciałby ze mną zamieszkać. Powiedziałam Elliotowi, że właśnie z tego powodu nie noszę zaręczynowego pierścienia (choć pominęłam kwestię braku szacunku). Wyjaśniłam, że Ollie po prostu jeszcze go dobrze nie zna i że najpierw obaj powinni spędzić ze sobą więcej czasu.

– Wtedy cię pokocha – zapewniłam. Mimo że tak naprawdę miałam wątpliwości.

Choć rozmowa z Olliem nie wydawała mi się prosta, bardziej zadreślałam się myślą, jak powiedzieć o nas Havillandom. Nie miałam nikogo innego, kogo pragnęłabym poinformować o zaręczynach – a już na pewno nie moją matkę, Kay. Z jakiegoś powodu czułam, że zanim wykonam tak poważny krok, potrzebuję z ich strony jeśli nie błogosławieństwa, to przynajmniej akceptacji. Byli dla mnie tak bardzo ważni.

Rozmyślając o podzieleniu się swoją nowiną, uświadomiłam sobie, że po zniknięciu Alice z mojego życia, nie został mi nikt oprócz Avy i Swifta. Teraz, kiedy wiedziałam, że nie mogę tego odkładać w nieskończoność, uznałam, że powinniśmy spotkać się we czworo na kolacji, a ponieważ od czasu tamtego strasznego rejsu łodzią Havillandowie nie wspominali ani słowem o wspólnym wieczorze, postanowiłam, że choć raz ja przejmę inicjatywę.

– Wiem, że Swift jest domatorem, ale naprawdę chciałabym, żebyście lepiej poznali Elliota – rzekłam do Avy. – Pomyślałam więc, że dla odmiany to ja zrobię dla nas wszystkich kolację. Nic wyszukanego. Pieczonego kurczaka i ziemniaki według mojego przepisu. Może sałatkę cesarską? Masz tyle pracy w związku ze zbliżającymi się urodzinami, że przyda ci się wieczór bez gotowania.

– Spróbuję go przekonać – obiecała Ava. – Ale znasz Swifta.

Dziwne, ale zgodzili się przyjechać do mojego małego mieszkania. Nie planowałam mówić im na razie o zaręczynach, ale liczyłam, że jeśli wszystko pójdzie dobrze – a chciałam wierzyć, że tak się stanie – przyjdą kolejne wspólne kolacje, podczas których moi przyjaciele w końcu zaczną dostrzegać zalety Elliota: to, jaki potrafi być zabawny, na ten swój śmiertelnie poważny sposób, a przede wszystkim jaki jest dla mnie dobry.

Większość dnia spędziłam na przygotowaniach, mimo że sam posiłek nie był skomplikowany. Kupiłam kwiaty i świece, a w salonie przestawiłam meble, tak żeby zrobić miejsce na wózek Avy. Przyjrzałam się krytycznym wzrokiem łazience, zastanawiając się, co zrobić, aby nie wyglądała tak skromnie, ale jedyne, co mi przyszło do głowy, to postawić storczyki na rezerwuarze i schować kosmetyki pod blat. Dołożyłam jeszcze drogą świecę zapachową i ładne ręczniki. Na ścianie powiesiłam prezent od Avy: rycinę przedstawiającą psa rasy boston terrier.

– To przecież twoi przyjaciele – rzekł Elliot, obserwując moje przygotowania i towarzyszący im niepokój. – Nie powinnaś tak bardzo się przejmować. Przyjeżdżają tutaj, żeby spędzić z nami wieczór, a nie krytykować twoje mieszkanie.

Albo Elliota, pomyślałam z nadzieją. Liczyłam, że on odwzajemni im się tym samym. Bo choć mówiąc o Elliocie, Ava potrafiła być naprawdę obcesowa, on, co było zaskakujące, w niczym jej nie ustępował. Oczywiście nie opowiedziałam mu w szczególach, co wydarzyło się nad jeziorem Tahoe. W przeciwnym razie już nigdy nie miałby ochoty bratać się z Havillandami. Ale chociaż nie wiedział o zdradzie Coopera i lekkim traktowaniu tego tematu przez Avę, wiedziałam, że nie ma o moich przyjaciółkach najlepszego zdania. A teraz dochodziła jeszcze wyraźna obsesja na punkcie finansów HAU, do których to informacji mógł dotrzeć każdy, kto nie miał do roboty nic lepszego, niż czytać sterty nudnych dokumentów. Na przykład Elliot.

Niedobrze robiło mi się na myśl, że mężczyzna, którego mam poślubić, podejrzewa moich przyjaciół o nieczyste interesy, a fakt, że nie wzięłyby pod lupę fundacji HAU, gdyby nie znajomość ze mną i gdybym nie przyjaźniła się z Havillandami, przyprawiał mnie o wstyd i wyrzuty sumienia.

Swift i Ava zjawili się punktualnie o wpół do szóstej. Kiedy rozległ się dzwonek, poprosiłam Elliota, aby otworzył. Ja byłam w kuchni i do drzwi miałam nie więcej niż pięć kroków, chciałam jednak im pokazać, że jesteśmy parą, i pomóc Elliotowi poczuć, że stanowi część mojego życia. Gdy Swift wręczył mu wino – bardzo dobre, czerwone – poprosiłam, aby je otworzył i nalał dla wszystkich. Oprócz mnie, oczywiście.

Zgodnie z moimi przewidywaniami Ava od razu zwróciła uwagę na prezentowaną mi rycinę. Swift rzucił w stronę Elliota uwagę na temat drużyny Gigantów, która zaliczała bardzo dobry sezon.

– Muszę przyznać, że niespecjalnie interesuję się baseballlem – rzekł Elliot. – Choć koszykówką chyba jeszcze mniej. Rozgrywki zawsze odbywają się w najbardziej pracowitym momencie okresu podatkowego...

– Dla mnie byłby to wystarczający powód, aby zmienić zawód – stwierdził Swift. – Ale oczywiście rozmawiasz właśnie z próżniakiem, który w ogóle nie

chodzi już do pracy. Jedyne, co muszę teraz robić, to wymyślać nowe sposoby doprowadzenia mojej żony do orgazmu.

Byłam przyzwyczajona do takiej gadki Swifta, ale widziałam, że Elliota lekko zamurowało. Na ratunek przyszła mu Ava.

– To wcale nie jest takie trudne – rzekła.

– Mam ci pomóc w kuchni? – zawołał Elliot.

Wiedziałam, że liczy na odpowiedź twierdzącą, nie usłyszał jej jednak. Chciałam, żeby lepiej poznał moich przyjaciół. Co ważniejsze, chciałam, aby oni poznali jego.

Spędziłam z nimi tak wiele wspaniałych wieczorów – ze Swiftem i Avą, z Elliotem również. Ale nie z nimi razem, tak jak teraz, kiedy zebraliśmy się przy moim małym stole z kurczakiem pośrodku, niczym ofiarą całopalną, a ja próbowałam pokazać Havillandom, jaki z Elliota dobry i uroczy mężczyzna. Pragnęłam także przekonać Elliota, że sam fakt, iż jeden z moich przyjaciół (to znaczy Swift) ma w zwyczaju mówić okropne rzeczy, drugi zaś (Ava) mówi w sposób nieco protekcyjny, nie oznacza, że są okropni czy protekcyjni.

– Opowiedz Swiftowi o tym, jak wychowywałeś się na farmie i jak uciekły wszystkie krowy – zachęcałam, ponieważ to była całkiem fajna historia (pознаłam ją kilka tygodni temu), która pokazywała, że potrafi dowodzić w sposób, który według mnie nawet Swift uznałby za godny podziwu.

– Jesteś wiejskim chłopakiem, co? – zapytał Swift. – Często bawiłeś się w bara-bara na sianie?

– Moja rodzina skończyła z rolnictwem, kiedy miałem siedem lat – odparł Elliot. – Sprzedaliśmy farmę i przeprowadziliśmy się do Milwaukee, gdzie mój ojciec znalazł pracę w branży browarniczej.

Wiedziałam, że tak naprawdę wydarzyło się o wiele więcej. Ale Elliot nie zamierzał wdawać się w szczegóły. Prawdopodobnie postanowił dziś wypowiadać się tak nieciekawie i zdawkowo, jak tylko się da. Ale Swift nie odpuszczał.

– Browarniczej, co? – zapytał. Piwo to temat mu bliski. – Ty też pracujesz w tej branży?

– Właściwie dość wcześnie zakochałem się w księgowości. Uwielbiam cechującą liczby prostotę. Od zawsze podobało mi się to, że z księgi rachunkowej da się wyczytać wszystko. Oczywiście nie zawsze same dobre rzeczy. W przypadku mojej rodziny to była katastrofa. Straciliśmy farmę.

– Przykro mi – rzekł Swift, sięgając po kieliszek.

– To wtedy dowiedziałem się, jak ważne jest pilnowanie rozliczeń. Mój ojciec się nimi nie przejmował i zapłacił za to ziemią, którą kochał, która w naszej rodzinie była od ponad stu lat.

– Ja na widok kalkulatora i arkusza kalkulacyjnego zwiewam, gdzie pieprz rośnie. Zostawiam to ludziom, którzy dla mnie pracują.

– Mam nadzieję, że dobrze wywiążą się ze swoich obowiązków – powiedział Elliot.

Zrobiłam ciasto, ale piekło się dłużej, niż zakładałam, i Havillandowie nie zostali, aby go spróbować.

– Znasz nas, skarbie – rzekła do mnie Ava, kiedy wkładała żakiet. – Wcześniej do łóżka. Dla Swifta to świętość.

– Do łóżka – rzucił Swift do Elliota i mrugnął. – Niekoniecznie po to, aby spać.

Kiedy wyszli, a ciasto ostygło, ukroiłam kawałek dla Elliota. Ja nie miałam apetytu.

– Wiem, że ich kochasz, i zamierzam to szanować – rzekł. – Ale nie masz wrażenia, że w ich towarzystwie nagle stajesz się taka mała? Że Swift zabiera całe powietrze?

– Nie wiem, o co ci chodzi – odparłam. – Swifta i Avę zawsze interesuje to, co dzieje się w moim życiu. Latem Swift poświęcił wiele godzin, aby nauczyć Olliego pływać.

– Ale co oni wiedzą o tobie, co nie ma związku z nimi?

– Bardzo się mną interesują. Zawsze chcą słuchać moich opowieści. Uważają, że jestem zabawna.

– Zabawna? – powtórzył. – Ktoś w rodzaju nadwornego błazna?

Nigdy dotąd tak nie mówił. Do tej pory zawsze postrzegałam go jako człowieka łagodnego. Teraz jednak zobaczyłam na jego twarzy pogardę. Nie dla mnie, ale równie dobrze mogłam się mylić.

– Czujesz się zagrożony przez naszą przyjaźń, prawda? – spytałam. – Chcesz, żebym wybrała pomiędzy Swiftem i Avą a tobą.

Pokręcił głową.

– Chcę jedynie widzieć, że wybierasz siebie, Helen – odparł. – Zamiast biec na każde zawołanie Avy i załatwiać kolejną sprawę związaną z funkcjonowaniem tego niesamowitego teatru objazdowego Swifta i Avy. Tego nieprzerwanego przedstawienia prezentującego, jak bardzo są wspaniali...

W jego głosie jeszcze nigdy nie słyszałam tyle gniewu. Byłam oszołomiona.

– Oni tyle dla mnie robią – oświadczyłam. – To w zasadzie moja rodzina.

– Miałem nadzieję, że to ja będę twoją rodziną. Ollie i ja. Rodziną, która nie zostawia cię o ósmej, żeby zająć się masażami.

– Są ludźmi namiętnymi, to wszystko – odparowałam. – Łączy ich intymna więź, której większość ludzi nie zrozumie.

– On jest narcyzem – stwierdził Elliot. – Nie rozgryzłem jeszcze, jaką rolę gra ona. Może tylko jego maskotki-inwalidki. Kobiety, która zawsze będzie w niego wpatrzona, bez względu na wszystko, bo tkwi uwięziona na wózku inwalidzkim.

Ze wszystkiego, co do tej pory powiedział, to było najgorsze. Te słowa mnie zmroziły. Zrobiło mi się niedobrze.

– Ava od dwunastu lat jeździ na wózku, na litość boską! – krzyknęłam.
– Myślisz, że nie jest jej ciężko? Kim jesteśmy, aby osądzać, w jaki sposób żyją?

– Problem w tym – odparł przerażająco cicho – że to oni osądzają mnie. Od dnia, w którym mnie poznali. Po dziesięciu minutach uznali, że niewart jestem ich czasu.

– Oni cię nie znają. Dlatego właśnie ich tutaj zaprosiłam. Aby cię poznali. Ale ty chciałeś jedynie rozmawiać o księgowości.

Ostatnie słowo praktycznie z siebie wyplułam, wymówiłam je takim tonem, jakby było przekleństwem.

– Liczby. Kolumny. Bilansowanie budżetu – dodałam. – Nie pojmuję, dlaczego nie okazało się to dla nich tak samo fascynujące jak dla ciebie.

– Przykro mi, jeśli nie jestem tak ekscytującą osobą, jak byś chciała, Helen – powiedział Elliot. – Ale ekscytujący ludzie to nie zawsze ci, na których można liczyć.

– Ava i Swift mnie kochają – oświadczyłam. – Swift zamierza zapłacić za prawnika, który pomoże mi złożyć wniosek odwoławczy. Nie wiem nawet, ile to będzie kosztować, ale na pewno dużo.

– Sądziłem, że miał to zrobić dawno temu – odparł Elliot. – Skoro on się nie kwapi, pozwól, żebym ja ci pomógł.

– Swift jest zajęty. Zajmie się tym. On i Ava są najlepszymi przyjaciółmi, jakich mam.

– Nie wiesz, co znaczy dobry przyjaciel. A jeśli chodzi o miłość, jeśli na tym etapie nie jesteś w stanie uwierzyć w moją, nie wiem, co więcej mógłbym zrobić, by cię przekonać.

Dawniej jego słowa zawsze cechowała delikatność, nawet kiedy poruszaliśmy trudne tematy. Jednak teraz w jego głosie słychać było ostry ton. Z jego twarzy zniknęła wcześniejsza łagodność.

– Wiem, że dobrzy przyjaciele nie węszą w czyichś finansach z nadzieją, że znajdą jakieś nieprawidłowości – oświadczyłam. – Nie żywią przekonania, że każdy skrywa jakąś okropną tajemnicę i że to oni powinni ją odkryć.

W ciągu kilku ostatnich minut mój głos stawał się coraz wyższy. W przypadku Elliota odwrotnie. Mówił coraz ciszej, a wydostające się z jego gardła słowa były zduszone, jakby ich wypowiedanie sprawiało mu fizyczny ból.

– Słyszę mnóstwo emocji w tym, co do mnie mówisz, Helen. Ale nie wyłapuję miłości.

– Cóż, w tej akurat chwili trudno jest mi ją w sobie znaleźć – odparłam.

– Zaatakowałaś właśnie dwoje ludzi, którzy mają dla mnie więcej życzliwości niż ktokolwiek wcześniej.

Jego głos stał się teraz tak cichy, że ledwie go słyszałam.

– Jeśli miłość jest prawdziwa, nie przychodzi i nie odchodzi – rzekł. – Po prostu trwa przez cały czas.

Dotąd siedzieliśmy przy stole naprzeciwko siebie, a między nami stało ledwie tknięte ciasto. Świece, które dzisiaj kupiłam – by wszystko wyglądało perfekcyjnie – zdążyły się już wypalić, a na obrusie pozostały małe kółka zastygniętego wosku. Elliot powoli podniósł się z krzesła i stanął przede mną, w tych swoich workowatych spodniach i ze zbyt krótko obciętymi włosami. Możliwe, że w tamtej chwili chciałam, by chwycił mnie mocno za ramiona, przyciągnął do siebie, oświadczył, że jestem niesprawiedliwa i że on nie zasługuje na takie traktowanie. Mógłby nawet podnieść głos i powiedzieć, że dokonuję niewłaściwego wyboru.

Ale kłótnia nie była w jego stylu. Tak więc bardzo powoli, jakby bolał go każdy mięsień i każde zakończenie nerwowe, włożył marynarkę, niczym stuletni staruszek z chorym kręgosłupem i artretyzmem. Drogę do drzwi pokonał tak, jakby to był najdłuższy spacer w jego życiu.

– Chciałem być twoim partnerem, Helen – odezwał się. – Byłbym ci bezkrytycznie oddany. Gdybyś mi tylko pozwoliła, z największą przyjemnością zaprzyjaźniłbym się z twoim synem. Bez względu na to, jak to wyglądało, chciałem zostać jego ojczymem.

– Bezkrytycznie oddany – powiedziałam z goryczą w głosie. – O ile wyrzeknę się przyjaciół. Co dla nas zrobiłeś poza czepianiem się ich? I nie tylko czepianiem. Węszaniem w ich finansach, jakby byli przestępcami. Kiedy Swift i Ava pojawili się w moim życiu, znajdowałam się na samym dnie. Oni mnie uratowali.

– Ty rzeczywiście w to wierzysz, prawda? – szepnął. – Łamiesz mi serce, Helen.

Stałam na środku pokoju i patrzyłam na Elliota. Wiedziałam, że gdybym wypowiedziała choćby jedno słowo wyrażające żal, on by do mnie wrócił. Nie zrobiłam tego jednak. Pozwoliłam mu odejść.

Tego wieczoru, po wyjściu Elliota, wybrałam się na późny mityng. Zazwyczaj jeździłam tam o innej porze, dlatego zobaczyłam same nowe twarze – sądząc po wyglądzie, byli to ludzie, którzy nie musieli siedzieć w domu z małymi dziećmi; ludzie, którzy kiedyś włóczyli się po barach, a teraz spotkania AA nazywali swoim nowym nocnym życiem. Jako że wszyscy byli młodszy ode mnie, opowiadane przez nich historie niewiele miały wspólnego z tym, kim teraz byłam, ani z tym, jak wyglądało moje życie, kiedy jeszcze piłam. Po dziesięciu minutach zadałam sobie pytanie, co ja tutaj robię.

Większość z nich miała po dwadzieścia kilka lat. Wyglądali na tego typu alkoholików, którzy w wieku piętnastu lat używali podrabianych dowodów tożsamości, kręcili się przed sklepami monopolowymi, czekając, aż ktoś kupi im butelkę taniego ginu, albo wozili się samochodami z kilkoma zgrzewkami piwa. Nie widziałam w tej grupie nikogo, kto by z wyjęciem butelki i wypiciem jej zawartości czekał, aż jego syn pójdzie spać. I miał świadomość, że gdy rankiem zadzwoni budzik, trzeba go wyszykować do przedszkola. Obce im były batalie o prawo do opieki, rozmowy z kuratorami czy ustalone sądownie grafiki odwiedzin.

Jednak po zakończeniu mityngu, kiedy szłam w stronę drzwi, podeszła do mnie dziewczyna.

– Znasz Havillandów. – To było stwierdzenie, nie pytanie. Po jej minie widziałam, że ona także ich zna.

Mocno się zdziwiłam, słysząc ich nazwisko w tym miejscu. Nie mieli nic wspólnego ze spotkaniami AA. One należały do ciemnej strony mojego życia, prawdopodobnie mojego prawdziwego życia, choć nie takiego, jakie bym sobie wybrała. Przy Avie i Swifcie nauczyłam się udawać, że nigdy nie piłam. Że nie jechałam pod wpływem. Że nie było ani raportu kuratora, ani kajdanek.

– Skąd wiesz? – zapytałam dziewczynę.

– Przyjaciółka, z którą tu przyszłam, jest kelnerką w Vinnie's. Poznała cię, gdy weszłaś. Ona także zna Havillandów.

Nie zdziwiło mnie, że Swift i Ava mieli tak młodą znajomą. Ava potrafi się zaprzyjaźnić z każdym. Sama się o tym przekonałam. Niemniej zapytałam, co ich łączy. Może sztuka? Psy? A może – co wydawało się najbardziej prawdopodobne – dziewczyna była jedną z wielu osób, które doświadczyły zycziwości Avy.

Wydawała się zdenerwowana.

– Znam ich syna. To znaczy znałam.

– Coopera – rzekłam. – Wygląda na to, że wszyscy go kochają.

– Taa, no cóż. Zależy, z kim się rozmawia. Jego ojciec jest przekonany, że Cooper chodzi po wodzie i sika perfumami.

Wyczuwałam coś nieprzyjemnego. Choć wielu ludzi twierdziło, że Swift i Ava to najbardziej życzliwe i szczodre osoby, jakie znają, ta młoda dziewczyna z całą pewnością do nich nie należała. Nie chciałam wiedzieć dlaczego i nic mnie to nie obchodziło. Miałam wrażenie, że zmusza mnie do odwrócenia wzroku.

– Jestem Sally – powiedziała. – Możliwe, że nie pamiętają mojego imienia. Ale nie radzę ci pytać.

Głos miała beznamiętny, przez co sprawiała wrażenie dużo starszej, niż wskazywałby jej wygląd.

– Cooper i ja lubiliśmy kiedyś razem pić. Kiedy w czasach college’u przyjeżdżał do domu na ferie, imprezowaliśmy razem całą ekipą. Nazywał nas swoimi domowymi dziewczynami. Parę razy wylądowaliśmy nawet w tym szaleńczo drogim domu jego rodziców nad jeziorem Tahoe. Nie był moim chłopakiem, tylko jednym z facetów, z którymi sobie popijałam.

A potem pewnego razu pojechali razem na plażę. Sally i jej dwie koleżanki, Savannah i Casey, Cooper i jego dwóch kumpli ze studiów.

– Siedzieliśmy na wydmach z butelką Jim Beama i likierem miętowym – opowiadała. – Musieli nam czegoś dosypać. Kiedyśmy się obudziły, zniknęły nasze dzinsy i bielizna. Miałyśmy na sobie jedynie T-shirty. Żadnego telefonu, żadnych pieniędzy na powrót do domu.

– Skąd wiesz, że to sprawka Coopera i jego kolegów? – spytałam. Może sobie poszli i zjawił się ktoś inny. Nigdy nie wiadomo.

– Zrobił mi zdjęcie. Wyglądałam na nim – w tym momencie spuściła wzrok – tak, jak to sobie możesz wyobrazić. Wysłał je kilku swoim znajomym.

– Jeśli to rzeczywiście miało miejsce, mogłaś wnieść oskarżenie – odparłam. – Dlaczego nie poszłyście na policję?

– Poszłyśmy. Ale wtedy do akcji wkroczył prawnik Havillandów. Dupek, jakich mało. Zamierzali wyciągnąć brudy z mojej przeszłości – w liceum przyłapano mnie na kradzieży w sklepie. Powiedziałam im, że mam to gdzieś, że to było dawno temu. Wtedy wplątali we wszystko mojego tatę. Jest przedsiębiorcą budowlanym i budował wtedy domy na sprzedaż, zaciągając mnóstwo kredytów. Nagle banki zaczęły żądać ich spłaty.

Stałam bez ruchu i trawiłam jej słowa. Wokół nas odstawiano na bok składane krzesła i gaszono światła. Nie chciałam słyszeć nic więcej. Chciałam jechać do domu.

– Potem bach i po problemie. Ojciec Coopera wszystko wyciszył.

A Cooper zdążył wrócić do Dartmouth na rozpoczęcie kolejnego semestru.

– Ci ludzie dostają wszystko, czego chcą – oświadczyła Sally. – Bycie ich przyjacielem musi być cholernie fajne. Ale nie radzę stać się ich wrogiem.

Była środa, a do wielkiego przyjęcia urodzinowego pozostały tylko cztery dni. Zgodnie z planem w ten weekend przyjeżdżał do mnie Oliver. Ava poleciła, żebym wtajemniczyła go w nasz plan. Bardzo go to ekscytowało.

– To trochę tak, jakbym był tajnym agentem – oświadczył. Tyle że Monkey Man nie był oczywiście tym złym. Monkey Man jak zawsze odgrywał rolę bohatera.

Kiedy Ava przedstawiła Swiftowi pomysł wycieczki do oceanarium w Monterey, nie zgłosił sprzeciwu. Zrobiła to podczas wspólnej kolacji.

– Pamiętasz, latem obiecałeś Olliemu, że zabierzesz go w jakieś supermiejsce, jeśli wygra zawody pływackie? – zapytała. – No cóż, kolego, pora dotrzymać słowa. A ponieważ nad Tahoe jest trochę za daleko, by jechał bez mamy, uznałyśmy, że całodzienna wycieczka do Monterey będzie idealna.

Wcześniej odbyłam z Olliem długą rozmowę, poprosiłam, aby nikomu nie mówił o przyjęciu niespodziance. Nie wymieniłam konkretnie Dwighta, ale on sam rozumiał, że z ojcem i macochą lepiej nie rozmawiać o niektórych aspektach życia na Folger Lane. Poza tym mój syn nigdy by nie popsuł Swiftowi niespodzianki.

Dzień przed przyjęciem, w piątek, pojechałam po południu do Walnut Creek po Olliego. Noc mieliśmy spędzić w moim mieszkaniu, a w sobotę Ollie wybierze się ze Swiftem na wycieczkę do Monterey, z przykazaniem, aby wrócili do domu nie później niż o siódmej.

Tego wieczoru naszykowałam Olliemu kąpiel. Kiedy się rozebrał, przyniosłam kosz z zabawkami: G.I. Joe, kilka plastikowych dinozaurów, statek piratów.

Teraz mój syn chciał się już kąpać sam, i był na tyle duży, że mu pozwalałam, ale siadałam pod drzwiami z gazetą i się przysłuchiwałam. To było coś, co zawsze uwielbiałam, i jedna z dziesięciu tysięcy rzeczy, za którymi tęskniłam, odkąd nie mieszkał ze mną: odgłos kąpiącego się dziecka.

Strasznie lubiłam wszystko, co mali chłopcy robią w wannie, kiedy są sami, na przykład jak każą dinozaurom rozmawiać ze sobą. Jeden – ewidentnie pani dinozaurowa – strofuje drugiego za to, że jest niedobry dla młodszego brata.

– Właśnie, że nie – powiedział chłopiec-dinozaur.

– Właśnie, że tak – upierała się pani dinozaurowa wysokim głosem.

– Jesteś niedobra – oświadczył chłopiec-dinozaur.

– Działasz mi na nerwy – odparła pani dinozaurowa. – Powiedz to jeszcze raz, a dostaniesz klapsa.

Potem rozległo się bulgotanie – Ollie na chwilę się zanurzył – a następnie plusk, kiedy się wynurzył. Teraz naśladował odgłos, jaki wydaje silnik – pewnie łódź. Pani dinozaurowa wołająca pomocy. G.I. Joe spieszący na ratunek.

Jakże żałowałam, że mój syn jedzie jutro ze Swiftem. Pragnęłam zatrzymać go w domu, ze mną tutaj, w tym bezpiecznym miejscu, gdzie mogłabym mu czytać, gdzie gralibyśmy w planszówki, a ja zrobiłabym makaron z serem. Wieczorem położyłabym go spać i słuchała jego oddechu. Tak bardzo chciałam, aby pozostał małym chłopcem, a czułam, że ten czas powoli dobiega końca. Wtedy w mojej głowie pojawiła się niepokojąca myśl, tak wyraźna jak jeden z billboardów ustawionych wzdłuż autostrady: Nie pozwól mu jechać ze Swiftem.

Gdybym powiedziała Olliemu, że nie może jechać do oceanarium, nigdy by mi nie wybaczył – tak samo, jak nie do końca wybaczył Elliotowi, że nalegał na założenie kapoku. (Elliot. Na myśl o nim poczułam w sercu lekkie ukłucie. Od tamtego wieczoru w moim mieszkaniu nie rozstawałam się z telefonem, na wypadek gdyby zadzwonił. Cóż za ironia, zważywszy, że przez tyle czasu unikałam jego telefonów. Myślałam, żeby do niego zadzwonić, ale nie potrafiłam się przemóc. Powiedziałam tyle strasznych słów; czemu miałby mi wybaczyć? Jeszcze większą ironią losu było to, że Ollie zapytał mnie o Elliota. Choć przepadał za Monkey Manem, chyba dotarło do niego, że solidność i stałość Elliota też mają zalety. Dopiero gdy zniknął z naszego życia, zrozumieliśmy, zarówno mój syn, jak i ja, że był dla nas bardzo dobry).

Teraz jednak Ollie był znowu ze mną i jeśli chciał jechać na wycieczkę ze swoim bohaterem, nie zamierzałam mu zabraniać. Świetnie spędzą razem czas, obserwując delfiny, rekiny i foki, a potem wrócą do domu, gdzie na Swifta czekać będzie wielka niespodzianka. Przyjęcie. Ollie bardzo się cieszył, że odgrywa tak ważną rolę. Że wyjeżdża ze Swiftem z miasta, żebyśmy mogli dopiąć wszystko na ostatni guzik.

Swift miał po niego przyjechać już o szóstej rano. Wieczorem spakowałam plecak Olliego: ubranie na zmianę, kilka batoników musli, paczkę krakersów w kształcie rybek, kilka książeczek (choć wątpiłam, aby do nich zajrzał). Poprosił mnie, żebym naładowała aparat cyfrowy, który sprezentowałam mu na urodziny, gdyż zamierzał robić zdjęcia wszystkim fajnym stworzeniom w oceanarium.

Ollie był gotowy już o piątej. Miał na sobie hawajską koszulę, włożoną w spodnie, żeby nie sięgała do kolan, a na to kurtkę Gigantów, którą dostał od Swifta. Czekaliśmy pod blokiem – było jeszcze ciemno – kiedy podjechał land rover i Swift opuścił szybę.

– Yo, kolo! – zawołał do Olliego. – Gotowy na męską sobotę? Zabrałem maczety, na wypadek gdyby napadła na nas banda zbirów.

Swift zawiązał mu na głowie bandanę. Sobie także.

– Nie zadzierajcie z nami – krzyknął i z jego gardła wydobył się ten hieni śmiech. – Jesteśmy piratami.

Ollie spojrzał na mnie. Poznał Swifta na tyle dobrze, aby podejrzewać, że tylko tak gada, ale nie miał pewności.

- On żartuje, skarbie – uspokoiłam go. – Nie będzie żadnych zbirów.
- Tylko ten tutaj. – Swift wychylił się, otworzył drzwi od strony pasażera i przygryzł cygaro. – Wskakuj, chłopie.
- Jesteśmy piratami – rzekł Ollie, kiedy zapinałam mu pasy.
- Nie jedź zbyt szybko, dobrze, Swift? – poprosiłam. – Wieziesz cenny ładunek.
- Jakbym sam nie wiedział. Będę go traktować jak własnego syna.

Przez cały ranek walczyłam ze sobą, by nie zadzwonić na komórkę Swifta i poprosić Olliego do telefonu. Mój syn miał ochotę na męską wyprawę, a nie na telefony od matki. Poza tym wiedziałam, że zbyt dobrze będą się razem bawić, by chciał tracić choćby minutę na rozmowę ze mną.

Wypiłam kawę i udałam się na Folger Lane, gdzie przygotowania do przyjęcia ruszyły pełną parą od razu po tym, jak sprzed domu zniknął samochód Swifta. Teraz na podjeździe stały trzy auta dostawcze: z kwiatami, stołami, obrusami, zastawą. W kuchni firma cateringowa przygotowywała tace z jedzeniem.

Dzień wcześniej Ava zadzwoniła z wiadomością, że dotarły albumy, cały tysiąc egzemplarzy, wydrukowanych na specjalne zamówienie.

– Nie mogę się doczekać, kiedy je zobaczę – rzekła. – Ale nie chciałam wyjmować ich bez ciebie.

Czekała na mnie w dużej, sąsiadującej z kuchnią pralni. Pod ścianą stało sto kartonów z tektury falistej. Jakimś cudem Avie udało się je przemycić tylnym wejściem bez wiedzy Swifta i umieścić w takim miejscu w domu, do którego się nigdy nie zapuszczał. Pralnia była królestwem Estelli, zresztą i tak nie miał pojęcia, jak się obsługuje pralkę.

Rozcięłyśmy pierwszy karton. Wyjęłam jeden album, zważyłam w dłoni, przesunęłam palcami po wytłaczanych literach na okładce. Ava zdecydowała się na najdroższy rodzaj okładki: czerwona skóra plus złote litery. Dopiero po chwili zobaczyłam pomyłkę.

Podtytuł był taki, jak powinien: *Niezwykłe życie Swifta Havillanda*. Ale tytuł zamiast *Człowiek i jego psy* – jak życzyła sobie Ava – brzmiał *Bóg i jego psy*.

Spojrzałam na Avę, aby się przekonać, jak bardzo jest zła. Ale ona się roześmiała.

– No cóż, to poniekąd prawda, czyż nie? Ten człowiek jest rzeczywiście kimś w rodzaju boga. Może nie stworzył całego świata, ale wydaje mu się, że to zrobił.

Weszła Estella, aby sprawdzić, co robimy. Wzięła do ręki album i zaczęła przewracać kartki, przyglądając się uważnie każdemu zdjęciu.

Kiedy wyszła, Ava pokręciła głową.

– Co za idiotka ze mnie. Tyle miesięcy przygotowań, tyle zdjęć, a ja zapomniałam umieścić choćby jedno, na którym jest Estella.

– Ona na pewno nie obrazi się o coś takiego – rzekłam.

Prawdę mówiąc, mojego zdjęcia także nie było w albumie. Sama nie chciałam go umieszczać, a Ava nigdy tego nie zasugerowała.

Pozostało jeszcze sporo do roboty, ale chciałam poświęcić kilka minut na obejrzenie albumu. Wzięłam jeden egzemplarz i szklankę lemoniady i wyszłam do

ogrodu. Choć spędziłam nad tym projektem niezliczoną liczbę godzin – i choć znałam na pamięć każdą fotografię – chciałam wyobrazić sobie, że widzę tę księgę po raz pierwszy. Byłam jednym z gości na przyjęciu – mechanikiem samochodowym Swifta albo jego masażystką, a może Evelyn Couture – brałam do ręki album i z ciekawością zadawałam sobie pytanie: kim jest ten człowiek?

Strona numer jeden: twarz małego dziecka. Choć miał wtedy zaledwie sześć czy siedem miesięcy, już dawał się rozpoznać. Buzię miał szeroko otwartą i zanosił się śmiechem.

Dla mojego męża, kochanka i bratniej duszy – dedykacja. Dla uczczenia jego pierwszych sześciu dekad na planecie Ziemia. Galaktyka Droga Mleczna już nigdy nie będzie taka jak dawniej.

Na dwóch kolejnych stronach znajdowały się zdjęcia z dzieciństwa Swifta. Ava zdecydowała, że ta część jego życia nie powinna zabierać wiele miejsca, a zdjęcia wyjaśniały dlaczego. Swift był niezbyt ładnym dzieckiem i zawsze trzymał się na uboczu. Na fotografiach pojawiali się także starszy brat i młodsza siostra. (Podczas wybierania zdjęć do albumu zaciekał mnie fakt, że ani razu nie usłyszałam ich imion. Nie znaleźli się także na liście gości. Podobnie jak inni członkowie rodziny Swifta, oczywiście poza jego synem. Skoro już o tym mowa, nie zaproszono też nikogo z rodziny Avy. O której, co wtedy do mnie dotarło, nie wiedziałam zupełnie nic).

Było tutaj jedno zdjęcie całej rodziny z czasów dzieciństwa Swifta. Ojciec wyglądał na surowego mężczyznę: kwadratowa szczęka, ciemne zmrużone oczy i postawa sugerująca przeszkolenie wojskowe. Obok niego – ale w ogóle go nie dotykając – stała matka Swifta. Chuda, niemalże koścista, z zapadniętymi oczami, w których malowało się poczucie porażki, i z otwartymi ustami, jakby próbowała zaczerpnąć tchu. Jej jedna dłoń spoczywała na ramieniu młodszego syna i w geście tym było więcej kontroli niż czułości. Powstrzymywała go, żeby się nie pakował w kłopoty. Niezbyt długo.

Potem okres dojrzewania, także potraktowany dość pobieżnie. Swift był niski i chuderlawy, miał fatalną fryzurę i fatalną cerę. Jedno zdjęcie zrobiono podczas szkolnej wycieczki – z plecakiem na plecach stał z innymi uczniami chyba na tle parku Yosemite. W tym czasie odgrywał rolę klasowego klauna; być może zdawał sobie sprawę z faktu, że wszystkie najlepsze role zostały już obsadzone. Jedną rękę trzymał na ramieniu stojącego przed nim chłopaka – Bobby'ego, nadal stałego bywalca na przyjęciach Havillandów – a drugą miał uniesioną nad jego głowę (co nie było proste, gdyż Bobby był wyższy od Swifta o dobre piętnaście centymetrów) i przyprawiał mu rogi.

Później nadeszła pora metamorfozy. Drużyna zapaśnicza. Być może lepsze leki na trądzik. Dziewczyna na balu maturalnym. (Może nie jakaś najładniejsza. Ale miała duże piersi, w które Swift wpatrzony był nawet na oficjalnym zdjęciu

z balu).

Na kolejnym Swift wyjeżdża na studia z dwiema walizkami Samsonite i gitarą basową. (Przez krótką chwilę grał w zespole rockowym. Możliwe, że w ten sposób chciał zapewnić sobie większe powodzenie u dziewcząt, zwłaszcza że Swift, którego znałam, wykazywał raczej znikome zainteresowanie muzyką). Wąskie spodnie, długie bokobrody i rozpięte trzy górne guziki u koszuli. Obok niego stali sztywno rodzice i młodsza siostra; wyglądali na speszonych faktem, że są spokrewnieni z tą osobą. Starszy brat najwyraźniej zdążył już wyfrunąć z gniazda.

To było drugie i ostatnie zdjęcie w albumie, na którym pojawiła się rodzina Swifta. Prawdopodobnie po raz ostatni odegrali wtedy w jego życiu jakąś rolę.

Następne zdjęcia przedstawiały zaskakująco szybki awans towarzyski. Członkostwo w bractwie studenckim. Ładna dziewczyna przy boku. Kolejna, jeszcze ładniejsza. Corvette. Cała seria zdjęć dokumentujących młodzieńcze błazenady (Swift przebrany za kobietę, Swift wypinający tyłek w mustangu z opuszczanym dachem, Swift w jacuzzi z trzema kobietami. Cała czwórka wyglądała na pijaną).

Widać było już także początki kariery, która zapewniła domy jemu i byłej żonie, i dzięki której mógł urządzać przyjęcia takie jak dziś. Miał na sobie garnitur. Pierwszy wyglądał na tani. Kolejny już nie.

I następnie małżeństwo z Valerie, matką Coopera. Pojawiła się dokładnie na dwóch zdjęciach: portrecie ślubnym i kilka lat później, gdy wyraźnie przytyła. Na drugiej fotografii trzymała na rękach małe dziecko, Coopera, i wyglądała na mocno nieszczęśliwą. Nieco z boku stał Swift z cygarem i jak zawsze wygłupiał się do aparatu.

Pozostała część historii rozwijała się zgodnie z tym, czego można by oczekiwać. Sznur samochodów i kobiet, z którymi spotykał się po rozwodzie (więcej zdjęć tych kobiet niż byłej żony). Dorastający Cooper. (Zgodnie z instrukcjami za pomocą Photoshopa usunęłam ze zdjęć jego matkę). Umowa najmu pierwszego budynku w Redwood City. Wejście jego spółki, Theracor, na giełdę. A potem Ava.

W albumie znajdowała się fotografia ich dwojga niedługo po tym, jak się poznali – gdy nie jeździła jeszcze na wózku. Tak jak przewidywałam, była wyższa od Swifta i miała piękne nogi, a figurę znacznie pełniejszą, bardziej zmysłową niż obecnie. Obejrzawszy to zdjęcie oraz inne z początków ich związku, zwróciłam uwagę na fakt, jak bardzo wypadek ją postarzył. Z kolei Swift niewiele się zmienił.

To Ava wpadła na pomysł, aby strony ze zdjęciami z życia Swifta występowały naprzemiennie z moimi portretami psów ze schronisk wspieranych finansowo przez nich oboje – zrobiłam je podczas wszystkich radosnych wycieczek z Elliotem. Kiedy Ava przedstawiła mi ten pomysł, uznałam go za nieco dziwny,

ale spróbowałam nadać trochę sensu tej prezentacji. Dlatego psy, których portrety umieściłam po rozwodzie, sprawiały wrażenie szczęśliwszych; z kolei te na początkowych stronach były urocze, ale otaczała je aura melancholii. Obok strony przedstawiającej Swifta z rodzicami umieściłam basseta i kundelka z jednym okiem. Naprzeciwko zdjęcia, na którym Swift, ubrany w stylowy czerwony garnitur, informuje o tym, że jego firmę zakupił gigant Oracle, dałam zdjęcie z psem ze schroniska w Sonomie, który wyglądał jak skrzyżowanie pitbula z lwem. Z całą pewnością był to samiec alfa, aczkolwiek z tych dwóch sąsiadujących ze sobą postaci to nie pies się oblizywał, tylko Swift.

Przewracałam kolejne kartki, gdy za mną pojawiła się Ava. Najpierw poczułam jej perfumy o zapachu gardenii, a zaraz potem moją szyję objęła długa szczupła dłoń ze srebrną bransoletką. Poglaskała mnie, po czym ustawiła wózek obok mojego krzesła.

– Doskonale sobie poradziłaś, skarbie – rzekła. – Naprawdę udało ci się uchwycić naturę Swifta.

– Ja jedynie poukładałam zdjęcia – odparłam. – Wszystkie już były zrobione. To bardziej kwestia tego, jaki on jest, niż tego, co ja zrobiłam.

Spojrzałam na Avę. Wyjątkowo nie zrobiła makijażu. Zaskoczyło mnie, jak staro wygląda. Nogi, które zazwyczaj zakrywała, teraz miała odsłonięte aż do kolan. Zaszokowała mnie ich chudość: dwie kości umieszczone na podnóżku wózka, ozdobione bezużytecznymi, choć drogimi butami.

– Nie dałabym rady bez ciebie, wiesz? – Jej głos brzmiał inaczej. Wydawał się łagodniejszy i bardziej bezbronny niż Avy, którą znałam.

– Ty także jesteś silna – odparłam.

Chyba mnie nie słyszała.

– Jest tak, jakbyśmy tworzyli teraz jedną osobę – rzekła i przez chwilę wydawało mi się, że słyszę w jej głosie rozgoryczenie. – Jak bliźnięta syjamskie dzielące jedno serce. Jeśli jedno umrze, drugie także.

Było południe. Pomagałam nosić zastawę i sztuce, kiedy przywieziono sprzęt do naśnieżania. Chodziło o to, żeby przekształcić Folger Lane w zimową replikę domu nad jeziorem Tahoe. Kiedy urządzenie wypluwało z siebie śnieg, Ava mi wyjaśniła, że nie wystarczy po prostu stworzyć dla Swifta ładnej sceny rodem z cudownej zimowej krainy. Gdy ogród pokryje już warstwa śniegu, w widocznych miejscach za pomocą barwnika spożywczego zrobi się duże żółte plamy, żeby wyglądało, jakby przed chwilą nasikał jakiś pies.

Jeśli zaś chodzi o prawdziwe psy, to Ava zamknęła je w swojej sypialni z mnóstwem psich przysmaków, głównie ze względu na Rocco, żeby nie denerwował się obecnością tylu osób i gorączkowym tempem przygotowań. Pod okapami dachu wisiały wielkie sztuczne sople, a wzdłuż głównej ścieżki ustawiono ulepione ze śniegu pingwiny. (Nie zamieszkiwały co prawda okolic jeziora Tahoe, ale Ava pozwoliła sobie dość swobodnie zinterpretować motyw przewodni przyjęcia). Drzewa obwieszono lampkami, w ogrodzie pojawiło się także igloo, które miało zostać podświetlone od środka, żeby całość wyglądała cudownie i tajemniczo.

Ollie będzie zachwycony. Ollie, który akurat w tej chwili przebywał zapewne w oceanarium i przyglądał się barrakudzie albo mancie. Dla Swifta było to coś nudniejszego niż zazwyczaj, ale miałam pewność, że kocha mojego syna i wiedząc, jak bardzo mu zależy na podziwianiu morskich stworzeń, wczuje się w swoją rolę. Nagle pożałowałam, że to nie ze mną Oliver pojechał do oceanarium. Albo ze mną i Elliotem.

Elliot. Dość tych myśli.

– Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć to igloo wieczorem, z włączonym oświetleniem – oświadczyła Ava, kiedy skończyli układać cegły z jasnoniebieskiego lodu. – Przypomina mi ten mały świecznik z porcelany kostnej.

Zamówiła do salonu rzeźby lodowe z ich trzema psami: jedna przedstawiała Sammy'ego i Lillian, wtulone w siebie na posłaniu, a druga samego Rocco. Jak zawsze z otwartym pyskiem. Szczekającego.

Za domem obok altanki porośniętej różami dwaj mężczyźni w kombinezonach z nazwą firmy na plecach ustawiali kolejną rzeźbę z lodu, w której umieszczono zdjęcia Coopera – wyglądało to prawie tak, jakby był ofiarą lawiny, pogrzebaną pod śniegiem i zamarznąłą, uśmiechającą się do żywych z lodowatej wieczności. Tam, gdzie kończył się basen, stanął wielki monitor plazmowy, na którym raz za razem leciał filmik ze Swiftem w roli głównej: Swift ćwiczący quigong, Swift podczas bieganina, Swift pływający, Swift tańczący, Swift w pozie wojownika, Swift rzucający psom frisbee, Swift wyciągnięty na dmuchanym fotelu, z drinkiem i cygarem w ręce. Pośrodku ogrodu ustawiono

największą z lodowych rzeźb – przedstawiała nagiego Swifta naturalnej wielkości, wewnątrz penisa umieszczono rurkę, z której wypływał szampan. Kolejny pomysł tak bardzo w stylu jubilata.

– Ktoś może zażartować, że penis wydaje się zbyt duży w stosunku do reszty ciała – oświadczyła Ava. – A wtedy Swift postanowi zapewne udowodnić temu komuś, że się myli.

– Skoro już o nim mowa – powiedziałam – to chyba do niego zadzwonię. Niebawem powinni się zbierać do domu. – Byłam dumna, że wytrzymałam tak długo.

Nikt nie odebrał.

– Pewnie stracili poczucie czasu – stwierdziła Ava. – Podejrzewam, że zjawia się koło wpół do ósmej.

Staralam się nie martwić. Ava ma rację; prawdopodobnie tak dobrze się razem bawią, że stracili poczucie czasu, ale wrócą przed rozpoczęciem przyjęcia.

Prace tymczasem trwały. Niesamowicie, jak odmieniono ogród Havillandów. Pomiędzy lodowymi rzeźbami i światełkami Ava kazała, co było ciut niespójne, przygotować miejsce na ognisko i pokaz tańca z ogniem. Wystąpi także tancerka na rurze, bo Swift po prostu lubi tego rodzaju taniec. Rozstawiono kilkanaście stołów i rozłożono wykonane na zamówienie podkładki, na których uśmiechał się Swift, trzymając w zębach wyjątkowo długie cygaro. Przy każdej podkładce, owinięty w srebrny papier i ozdobiony niebieską kokardą, leżał album zatytułowany *Bóg i jego psy*, a oprócz niego koperta z formularzem, który goście mogli wypełnić i dołączyć do czeku z darowizną na rzecz fundacji HAU. Sugerowana kwota: dwa tysiące dolarów.

O czwartej Ava zadzwoniła do Swifta, ale nie odebrał.

– Pewnie tak świetnie się bawią, że chcą wykorzystać każdą minutę – stwierdziła. – Założę się, że zajechali do tej meksykańskiej knajpki, którą tak lubi Swift, na gigantyczne burrito.

– Mają jeszcze mnóstwo czasu, żeby zdążyć przed gośćmi – dodałam, choć wypowiadając te słowa, czułam lekki, ale bezustanny niepokój. Żałowałam, że w planie Avy, dotyczącym wyciągnięcia Swifta z miasta, bierze udział mój syn.

Zjawiła się Virginia, narzeczona Coopera – piękna, choć reprezentowała taki typ urody, który szybko ulatuje z pamięci. Przyjechała na weekend do Palo Alto do rodziców, aby się zająć planami weselnymi. Dowiedzieliśmy się od niej, że Cooper został w Nowym Jorku, by dopiąć ważną transakcję, ale jeszcze dzisiaj przyleci do San Francisco. Na lotnisku wypożyczy samochód i dotrze prosto na Folger Lane.

Virginia pojechała na pedicure. Estella zabrała psy na spacer. Pojawiła się Ava, na twarzy miała swoją specjalną maseczkę pobudzającą skórę do produkcji kolagenu.

– Swift nadal nie odbiera. – Wyglądała na lekko zaniepokojoną. – Pewnie

kiepski zasięg.

Teraz wystraszyłam się na dobre. Wcześniej starałam się nie denerwować. Chciałam po prostu podarować synowi dzień w towarzystwie jego idola. Czemu nie kupiłam Olliemu taniego telefonu na kartę, o który ciągle mnie męczył?

O siódmej zaczęli zjeżdżać się goście. Avę wyraźnie niepokoił fakt, że nie może dodzwonić się do Swifta, a ja, wiedząc, że jest z nim Ollie, cała byłam w nerwach.

Virginia wróciła jakiś czas temu razem ze swoją matką i teraz razem przechadzały się po ogrodzie w niebiesko-srebrnych sukniach, ze specjalnie dobranym srebrnym lakierem na paznokciach. Ale Cooper jeszcze nie dojechał.

– Znacie go – rzekła Ava. – Zawsze się spóźnia.

Jako jeden z pierwszych pojawił się Bobby, przyjaciel Swifta, w towarzystwie aktualnej, nieprzyzwoicie młodej dziewczyny o imieniu Cascade. Zaraz po nim przyjechał Ernesto razem z niejaką Geraldine, która w ostatniej firmie Swifta pracowała na stanowisku jego asystentki. Przywitałam się z Ling i Pingiem, zielarką Swifta i jej mężem, i ze sporą grupą innych osób, których nie znałam – byli to pewnie dawni partnerzy biznesowi. Zjawiła się Renata, ale bez Carol, która niedawno zostawiła ją dla innej kobiety. Nowa protegowana Avy, Felicity, przyjechała przebrana za śnieżynkę. Z kolei Evelyn Couture miała na sobie suknię w stylu vintage, która wyglądała jak z garderoby Nancy Reagan z czasów prezydentury jej męża.

Zespół meksykańskich muzyków, także niespecjalnie pasujący do zimowej scenerii (ale Swift uwielbia taką muzykę), zaczął grać *La Bambę*. Tancerka na rurze zdążyła już rozstawić nad basenem swój sprzęt i zgodnie z instrukcjami z występem czekała do chwili, gdy w drzwiach pojawi się jubilat. Wśród gości krążyli wynajęci przez firmę cateringową kelnerzy, którym pomagała Estella. Roznosili tace z pierwszą porcją przystawek: surowym łososiem na cienko pokrojonym żytnim chlebie z kwaśną śmietaną i kawiozem. Lillian i Sammy’emu założono specjalne urodzinowe obroże. Rocco został w sypialni razem z bardzo dużą kością.

– Strasznie by się stresował wśród tylu ludzi – wyjaśniła. – Ale musi wiedzieć, że jestem blisko.

Cooper nadal się nie pojawił.

– Cały Cooper. – Ava spojrzała na zegarek. – Chce mieć pewność, że wszyscy już będą, kiedy przyjedzie. Żeby mieć odpowiednie wejście. – Wiedziałam jednak, że jedyną osobą, której nieobecność mocno ją już martwi, jest Swift. Ja umierałam z niepokoju o Olliego.

O wpół do dziewiątej podjechała do rzeźby przedstawiającej nagiego Swifta i podstawiała kieliszek pod tryskającego szampanem penisa, po czym zastukała – w kieliszek, nie penisa – łyżeczką.

– Jak wszyscy wiedzą – zaczęła, a światło odbijało się w jej długiej wyszywanej srebrnymi koralikami sukni – zgromadziliśmy się tutaj, aby uczcić urodziny mojego niezwykłego męża. To ma być niespodzianka, choć kiedy Swift się tu zjawi, a powinien lada chwila, już na sam widok waszych samochodów częściowo się wszystkiego domyśli. Zanim to nastąpi, zapraszam do obejrzenia albumu przygotowanego dla was przeze mnie i naszą wspaniałą przyjaciółkę Helen, upamiętniającego pracę Swifta na rzecz schronisk w San Francisco Bay Area, a wkrótce także w całym kraju. Witajcie w naszym domu.

Rozejrzałam się. Goście wyglądali na oczarowanych. Wyraz ich twarzy potwierdzał, że tygodnie przygotowań nie poszły na darmo.

– Wielu z was pytało, co podarować mężczyźnie, który ma tak wiele – kontynuowała Ava. – Odpowiedź brzmi: możecie wesprzeć naszą fundację HAU, której strona internetowa rusza właśnie dzisiaj. Dzięki waszej pomocy psy w Kalifornii i w całym kraju będą miały zapewnioną darmową kastrację i sterylizację.

– I będą się mogły bzykać do woli bez żadnych konsekwencji! – zawołał Bobby, przyjaciel Swifta. – A to akurat cel bliski sercu mego kumpla.

– Dziękuję wam za przybycie. Czestujcie się. – Ava zbliżyła kieliszek do lodowego penisa. Ja sięgnęłam po wodę mineralną.

Zespół znowu zaczął grać. Większość gości gromadziła się wokół basenu, aby podziwiać talent tancerki na rurze, której Ava przekazała, że może już zacząć. Narzeczona Coopera, Virginia, sprawdzała coś w telefonie.

Z kuchni wyszła Estella, ale tym razem bez tacy. W ręce trzymała komórkę Avy. Miała minę, jakiej jeszcze u niej nie widziałam, i która nie wróżyła niczego dobrego.

W chwili, gdy Ava wzięła od niej telefon, wiedziałam, że chodzi o Swifta, a skoro o niego, to także o mojego syna. Podbiegłam do niej.

Trzymała telefon przy uchu. Słuchała, ale kręciła głową. Zespół grał tak głośno, że trudno było cokolwiek usłyszeć. Krzyczałam.

– Powiedz mi! Powiedz!

Był wypadek. Nie w Monterey, ale nad jeziorem Tahoe. Najwyraźniej to właśnie tam udał się Swift z moim synem.

Ktoś mówił coś o łodzi.

Droga z Portola Valley nad jezioro Tahoe zajmuje cztery godziny i dwadzieścia minut. Trzy i pół, jeśli za kierownicą siedzi Swift. Bobby dowiózł nas tam w trzy godziny i kwadrans.

Pierwsze informacje, które Ava uzyskała przez telefon od policji, były nieprecyzyjne. Po południu łódź Swifta zderzyła się na jeziorze ze skuterem wodnym. W wypadku brały udział cztery osoby – dwóch mężczyzn, młoda kobieta i dziecko. Ktoś odniósł obrażenia zagrażające życiu, ale rozmawiający z Avą funkcjonariusz nie podał tożsamości tej osoby.

– Pani mąż jest w szpitalu. Sugerujemy, aby przyjechała pani tutaj najszybciej, jak to możliwe.

– Ollie! – powiedziałam do niej. A raczej zawołałam. – Co z Olliem?

Wydawało mi się, że nie słyszy.

– Musimy jechać – odezwała się ani do mnie, ani do nikogo konkretnego. Skierowała się w stronę drzwi jak osoba pogrążona we śnie. W koszmarze sennym.

Ernesto posadził ją na przednim siedzeniu samochodu Bobby’ego – choć raz nie protestowała przeciwko pomocy; chciała jak najszybciej ruszyć w drogę. Ja zajęłam miejsce z tyłu. Ernesto umieścił w bagażniku wózek Avy. Część gości pytała, co się stało, ale ona zdawała się ich nie słyszeć, a jeśli słyszała, to nie miała siły odpowiedzieć. Zanim drzwi samochodu się zamknęły, Estella mocno mnie przytuliła.

– Modlę się o twój chłopiec – powiedziała. Dodała coś jeszcze, ale po hiszpańsku.

– Jedź już – rzuciła Ava do Bobby’ego.

Ruszył tak szybko, że zapiszczały opony. Za nami nad sztucznym śniegiem połyskiwały białe światełka, ale my się nie oglądaliśmy.

Oto, co zapamiętałam z tamtych trzech godzin i piętnastu minut: Ava stukała coś bez sensu w telefonie. Ja wyjęłam swój – ale do kogo miałam zadzwonić? Przecież nie do Swifta. Wybrałam numer policji w Truckee w stanie Kalifornia, kiedy jednak w końcu połączyło mnie z człowiekiem, a nie automatem, nic nie słyszałam z powodu głośnego szłochu Avy.

– Szukam informacji o chłopcu – rzuciłam do telefonu. – Osiem lat. Mógł brać udział w wypadku.

– Jest pani matką? – Ledwie słyszałam kobiecego głos na drugim końcu linii.

– Jest w szpitalu. Najlepiej, gdyby pani przyjechała tu jak najszybciej.

Potem kolejne telefony. Nic konkretnego. Bobby miał na liczniku sto sześćdziesiąt, ale i tak wydawało się, że jedzie za wolno.

Nie rozmawialiśmy podczas drogi. Bobby na początku próbował coś mówić, ale Ava powiedziała, żeby przestał, a potem nikt się już nie odzywał. Kiedy tak

mknęliśmy w ciemnościach autostradą, wiedziałam, że w pewien potworny i niemożliwy do uniknięcia sposób każda z nas modli się o to, aby ranna była ukochana osoba tej drugiej. Nie moja.

Bobby podjechał pod same drzwi szpitala. Wyskoczyłam z auta, nim jeszcze zdążyło się zatrzymać. Wtedy o tym nie myślałam – nie myślałam o niczym, tylko o moim synu, czy nic mu się nie stało – ale później przyszło mi do głowy, że to musiała być jedna z tych chwil w życiu Avy, kiedy paraliż nóg okazał się wyjątkowo brutalny. Ja mogłam pobiec do szpitala i w końcu z kimś porozmawiać. Ona musiała czekać, aż Bobby wyjmie z bagażnika wózek, rozłoży go, a potem ją na nim posadzi. Choć wydaje mi się, że gdyby trwało to pięć sekund dłużej, po prostu rzuciłaby się na ziemię i wczołgała po rampie prowadzącej do podwójnych drzwi.

Do szpitala nie przyjęto żadnego Olivera McCabe’a. Swifta Havillanda także nie.

– Wypadek na jeziorze? – zapytałam. – Zderzenie z łodzią?

– Musi zapytać pani kogoś innego – odparła recepcjonistka. – Nic nie wiem o żadnym wypadku. Dopiero zaczęłam swoją zmianę.

Ktoś kazał mi udać się na drugie piętro. Tam ich w końcu znalazłam: mojego syna i Swifta, siedzących w towarzystwie policjanta. I – to dopiero szok – Coopera.

Swift i Cooper siedzieli obok siebie przy stole, a funkcjonariusz coś pisał. Swift miał na czole jeden plaster, nic poza tym, a Cooper prawą rękę na temblaku.

Pobiegłam w stronę Olliego – skulonego na kanapie na drugim końcu pomieszczenia. Nie miał żadnych widocznych obrażeń, choć wystarczyło, że na niego spojrzałam, by wiedzieć, że przydarzyło mu się coś, co mocno nim wstrząsnęło. Wzrok miał wbity przed siebie. Był otulony kocem, a mimo to cały się trząsał.

– Nienawidzę tej łodzi – odezwał się. – Nigdy więcej nie wsiądę na żadną łódź.

– Już dobrze – uspokajałam go. – Zaraz cię mocno przytulę.

Teraz, kiedy przekonałam się, że mój syn jest cały i zdrowy, okoliczności wypadku nie wydawały się takie ważne. Przynajmniej na razie.

Oliver nie mógł przestać się trząść. Podniosłam wzrok na Swifta rozmawiającego z policjantem. Zdumiało mnie, że on, w przeciwieństwie do Olliego, wydawał się taki sam jak zawsze – spokojny, rzeczowy – tylko bez charakterystycznego dla siebie uśmiechu. Słuchał uważnie funkcjonariusza, choć w gruncie rzeczy to głównie on mówił, czasem tylko wtrącał się Cooper.

Co Cooper robił nad jeziorem Tahoe? (Co oni wszyscy tam robili?) O ile mi było wiadomo, miał przylecieć do San Francisco z Nowego Jorku. (Wypożyczyć samochód. Zjawić się na przyjęciu, spotkać z narzeczoną i wznieść urodzinowy toast za ojca). Teraz siedział rozparty na plastikowym krześle, nogi miał rozsunięte szeroko, tak jak czynił to pewien typ mężczyzn, a co moim zdaniem zawsze

wyglądało jak obwieszczenie własnej męskości. *Oto mój członek. Oto moje jądra. Jakież pytania?*

W jednej ręce trzymał colę, w drugiej telefon. Miał na sobie różową koszulkę polo z małą aplikacją przedstawiającą aligatora, z gumowego sznurka na szyi zwisały ray-bany, a dwudniowy zarost w żaden sposób nie umniejszał jego atrakcyjności. Jego wygląd przypominał mi jedno ze zdjęć Swifta, umieszczonych przeze mnie w *Człowieku i jego psach*, zrobione, kiedy Cooper miał szesnaście czy siedemnaście lat i otrzymał tytuł Króla Balu, klasa z rocznika dwa tysiące.

Kiedy dotarłam do poczekalni, spodziewałam się, że porozmawiam ze Swiftem – albo on ze mną – i dziwne, zważywszy na wiele miesięcy podobno zażyłej znajomości, ale zdawał się nie zauważać ani mnie, ani, co było jeszcze dziwniejsze, mojego syna. Zajmowaliśmy dwie różne części pomieszczenia – on przebywał ze swoim synem, ja ze swoim. Niewypowiedziany przekaz brzmiał jasno: tak to od teraz będzie wyglądać. Gdybym mogła w tamtym momencie zabrać Olliego i z nim uciec, tak bym zrobiła. Nawet przez koc czułam, jak wciąż drży. Od chwili, kiedy wzięłam go w ramiona, nie odezwał się słowem.

Spojrzałam na Swifta. Mimo że się nie uśmiechał, jego twarz choć raz wydawała się dziwnie spokojna. Pomyślałam przelotnie o Elliocie i tym, że kiedy się denerwuje, co rusz przeczesuje palcami włosy. Elliot, normalnie taki spokojny, w nerwach robił się ożywiony. Swift, zawsze taki głośny i ekstrawagancki, sprawiał wrażenie chłodnego i opanowanego, a przecież można było zakładać, że jest wytrącony z równowagi.

Brakowało mi Elliota. Żałowałam, że nie ma go tu ze mną.

Przytulając mocno syna, przyglądałam się, jak Swift rozmawia z policjantem. Czasem wykonywał jakiś gest rękami, ale bez cienia niepokoju, jakby pokazywał ogrodnikowi, gdzie ma posadzić cebule tulipanów, albo jakby relacjonował koledze akcję zainicjowaną przez drużynę 49ers podczas meczu w zeszłą sobotę. Siedzący obok niego Cooper wyglądał na poważnego, skupionego, zmartwionego. Co jakiś czas, kiedy jego ojciec mówił, kiwał głową, innym razem kręcił nią – nie po to, aby zaprzeczyć jego słowom, ale by podkreślić, jak godna ubolewania jest ta sytuacja.

– To tylko dziecko – odezwał się Cooper. Głos miał spokojny, rozsądny. Ani śladu cech chłopaka z bractwa studenckiego. – To nie jego wina.

On i Swift wymienili wtedy spojrzenia. Aż do tamtej chwili nie zdawałam sobie sprawy z ich podobieństwa. Dotarło do mnie, że mówią o moim synu.

– Masz dzieci, Norman? – spytał Swift. Najwyraźniej zdążył już poznać imię funkcjonariusza. – Wiesz, jakie są w tym wieku.

Policjant zerknął na Olliego. Nie słyszałam kolejnych słów Swifta. Całą uwagę skupiłam na synu.

W tym właśnie momencie do poczekalni wjechała Ava. Skierowała się

prosto do Swifta, zdając się nie dostrzegać mnie i Olliego.

– Nareszcie! – zawołała. – Nikt nie potrafił mi powiedzieć, na którym jesteś piętrze.

Wyciągnęła długą chudą rękę – nadal ubrana w srebrną suknię – aby dotknąć jego torsu i pogłodzić po włosach. Sposób, w jaki go dotykała, przypominał mi jej czułości z psami.

– Nic ci się nie stało – powtarzała. – Nic ci się nie stało i tylko to się liczy.

Do pomieszczenia wszedł drugi funkcjonariusz.

– Proszę pani – rzekł – wiem, że to trudne, ale pani mąż musi się teraz skoncentrować. Próbujemy spisać oświadczenie.

Wszedł lekarz w stroju chirurga.

– Przeżyła operację – oznajmił. – Ale ciśnienie w mózgu było bardzo wysokie. Skutki są poważne. Skala jej obrażeń pozostaje na razie nieznana.

– O kim on mówi? – zapytałam drugiego policjanta, tego nowego.

– O pani Hernandez – odparł. – Rozumiem, że pracowała dla rodziny Havillandów. A może jej matka? Spadła ze skutera. Ma szczęście, że żyje.

Carmen.

Straciłam poczucie czasu, ale był wczesny ranek i znajdowaliśmy się na komisariacie – mój syn w końcu zasnął na kozetce, przykryty nie tylko jednym kocem, ale dwoma, tak bardzo się trząsł. I nie miało to związku z temperaturą. Jeden z funkcjonariuszy mnie także zaproponował kozetkę, ale ja nie mogłam zasnąć, więc siedziałam po prostu na podłodze obok Olliego i nie przestawałam go obejmować.

Kiedy już świtało, wszedł policjant i powiedział, że właśnie skończył pisać raport – „na razie ustalenia wstępne” – i że może mi teraz opowiedzieć, co się wydarzyło, na podstawie zeznań Swifta i Coopera, którzy ze mną nie zamienili ani słowa.

– Oczywiście z pani synem także chcemy porozmawiać – rzekł. – Ale najpierw musi dojść do siebie. Możliwe, że będzie konieczna obecność psychologa, który oceni, ile mały jest w stanie wytrzymać.

Nie chciałam zostawiać Olliego, ale nareszcie zapadł w głęboki sen, udałam się więc razem z funkcjonariuszem do drugiego pomieszczenia, gdzie zajęłam miejsce naprzeciwko jego biurka.

„Reynolds” – widniało na plakietce.

– Co więc może mi pan powiedzieć? – spytałam.

– Wiemy, że pan Havilland zabrał pani syna Olivera nad jezioro, aby go przewieźć swoją szybką łodzią motorową – zaczął funkcjonariusz Reynolds.

– Nie taki był plan – wtrąciłam. – Mieli spędzić ten dzień w Monterey.

– Ze słów pana Havillanda wynika, że chciał zrobić niespodziankę pani synowi. Podobno od dawna rozmawiali o takiej wycieczce.

– Mieli jechać do oceanarium – powtórzyłam. Jakby miało to jakieś znaczenie.

– Bez wiedzy pana Havillanda jego syn Cooper zdecydował się przyjechać tam dzień wcześniej. Razem z nim przyjechała jego koleżanka, pani Hernandez – kontynuował.

Opisana w ten sposób sytuacja – zapewne w oparciu o jego rozmowę z Cooperem – wydawała się cudownie nieskomplikowana. Grill w ogrodzie. Kąpiel w jeziorze. Gra w karty. (Łózkowe igraszki z pewnością także. Ale to nie sprawa policji). W sobotnie popołudnie postanowili popływać na skuterze wodnym. Młodszy pan Havilland chciał pokazać swojej towarzyszkę całe jezioro.

Późnym popołudniem przyjechał starszy pan Havilland razem z Olliem.

Późnym popołudniem? Z domu wyjechali o szóstej rano. Jak to możliwe, że czterogodzinna podróż zabrała im tyle czasu? Co sobie myślał Swift, zajeżdżając nad jezioro późnym popołudniem, skoro wiedział doskonale, że wieczorem musi się zjawić z powrotem w domu?

Na to pytanie nie było odpowiedzi. Jak mówił funkcjonariusz, pan Havilland przyjechał tam, według jego słów, pomiędzy czwartą a piątą. Nie zaniepokoił go widok innego samochodu na podjeździe, gdyż rozpoznał, że to żółty dodge viper, którego jego syn miał w zwyczaju wypożyczać, kiedy przylatywał do San Francisco. Uznał, że Cooper chciał mu zrobić niespodziankę z okazji urodzin i że zamierzał spędzić kilka dodatkowych dni w domu nad jeziorem. Miał swój klucz i jak twierdził jego ojciec, nieraz z niego korzystał.

– Jako że w domu nikogo nie było, pan Havilland senior domyślił się, że syn korzysta z uroków jeziora, tak jak miał to w planach on i pani syn – kontynuował Reynolds. – Jego domysły się potwierdziły, kiedy zobaczył, że w hangarze brakuje skutera wodnego. Udał się więc na dół, żeby zająć się zwodowaniem łodzi motorowej... – zerknął do notatek – ...donzi.

Słuchałam, ale tylko jednym uchem. Z trudem mogłam się skupić, kiedy Ollie przebywał w innym pomieszczeniu. Nie chciałam zostawiać go samego. Gdyby się obudził przestraszony albo miał zły sen, chciałam, aby wiedział, że jestem obok. Miałam problem ze zrozumieniem sensu opisywanych przez funkcjonariusza wydarzeń. I tego, co Cooper i Swift sobie myśleli, korzystając z łodzi i skutera po południu, kiedy wiedzieli, że na Folger Lane muszą wrócić przed wpół do ósmej. Przynajmniej jeden z nich – Cooper – wiedział, że odbędzie się wielkie przyjęcie, na którym wymagana jest obecność zarówno jego, jak i jego ojca. Nawet Swift musiał podejrzewać, że na coś się zanosi, skoro jego żona tak się upierała, aby wrócili do domu nie później niż o ósmej. Nie zadawał żadnych pytań, aby sprawić jej przyjemność...

– Pani syn i pan Havilland pływali łodzią nie dłużej niż piętnaście lub dwadzieścia minut, kiedy doszło do wypadku – kontynuował policjant. – Pan

Havilland wyjaśnił, że ten konkretnie model łodzi motorowej jest w stanie płynąć z prędkością nawet stu czterdziestu kilometrów na godzinę. Ale Oliver miał zapowiedziane, że w żadnym razie nie będą tak szybko płynąć. To miała być krótka wycieczka z dzieckiem na pokładzie.

Kiwnęłam głową. Był to gest świadczący raczej o odrętwieniu niż przyznający rację. Swift, którego znałam, nie miałby nic przeciwko zabraniu chłopca na rejs pełen emocji.

– Pan Havilland podkreślił, że w kwestii bezpieczeństwa na wodzie jest nieugięty. Początkowo planował zabrać Olivera tylko na małą łódkę z przytwierdzonym do burty silnikiem albo na kajak, ale pani syn tak bardzo nalegał na przejażdżkę większą łodzią, że w końcu mu uległ.

Pojechali nad jezioro Tahoe, żeby popływać donzi. Taki był cel tej wycieczki. Nie jechali czterech godzin, żeby popływać kajakiem. Nie powiedziałam tego na głos, a jedynie pomyślałam.

– Niestety, pani syn wykazywał silny opór przed założeniem kapoka – kontynuował funkcjonariusz Reynolds. – O ile mi wiadomo, Oliver przez większą część dnia był marudny i przekorny, ale pan Havilland przypisał to zmęczeniu chłopca.

– Mógł być zmęczony – zgodziłam się. Ale cała reszta nie miała żadnego sensu. Jeśli Ollie nie chciał założyć kapoka, trudno sobie wyobrazić, aby Swift robił z tego problem. A jeszcze trudniej, że mój syn był w stosunku do Swifta marudny i przekorny. Za każdym razem, kiedy widziałam ich razem, Ollie zachowywał się jak posłuszny i oddany szczeniak.

– Jak można się spodziewać, pan Havilland nie ustąpił. Wyjaśnił pani synowi, że nigdzie nie popłyną, jeśli nie zgodzi się założyć kapoka. Ollie przystał na to niechętnie.

Wypadek, pomyślałam. Mów mi o wypadku.

– Ale pani syn nie przestawał się wyklócać o ten kapok. Wie pani, jakie dzieci bywają pyskate.

Może wiedziałam. Ale nie Ollie, nie w stosunku do Swifta.

Według słów funkcjonariusza Reynoldsa Ollie dalej pyskował Swiftowi. – Użył pewnego określenia, aby opisać ten typ osób, które zakładają kapok. Nie chcę go powtarzać, pani McCabe – rzekł do mnie. – Powiem tylko tyle, że to było słowo zaczynające się na „c”. Potem Ollie zaczął pytać, czy mógłby pokierować łodzią. Pan Havilland odmówił. W żadnym razie. Dopływali akurat do zatoki Rubicon, o ile jest pani znana topografia tamtego terenu.

Pokręciłam głową.

– Tylko raz miałam okazję być nad jeziorem Tahoe – wyjaśniłam.

– To wtedy pan Havilland na sterburcie dojrzał skuter. Płynący z umiarkowaną prędkością, ale na tyle blisko, że należało zachować ostrożność.

Skuter podpłynął bliżej i ku zdziwieniu pana Havillanda okazało się, że kieruje nim jego syn, Cooper. Oczywiście chcieli do siebie podpłynąć. I tak zrobili. Podpłynęli na tyle blisko, że mogli ze sobą rozmawiać. Pan Havilland senior zapytał syna, czy ten nie ma przy sobie kremu z filtrem. – Mężczyzna przerwał i zajrzał do raportu. – Pan Havilland senior chciał pięćdziesiątkę – kontynuował po chwili. – Wyjaśnił synowi, że ma dwudziestkę piątkę, ale że na wodzie to za mało.

I w takiej akurat chwili Swift mówił o kremie z filtrem? O co w tym wszystkim chodzi? Przypomniało mi się wtedy, jak grał z Olliem w karty przy basenie i zdradził mu, jak wygrać w pokera.

„Wiesz, jaki jest najlepszy sposób na to, by inni ci uwierzyli, kiedy kłamiesz? Wymyśloną część historii uzupełniasz prawdziwymi informacjami. Wtedy we wszystko uwierzą”.

Sama także o tym wiedziałam, odkąd wymyślałam różne historie. Prawdą było, że Audrey Hepburn pracowała na rzecz UNICEF-u. Prawdą było, że wystąpiła w filmie z Gregorym Peckiem. Nie była jedynie moją babcią.

– Łódź i skuter znajdowały się na tyle blisko siebie, że pan Havilland senior wyciągnął rękę i wziął od syna tubkę kremu. I właśnie w tamtej chwili, gdy odwrócił wzrok, pani syn Ollie złapał za ster i dodał gazu.

Zrobiłam gwałtowny wdech. Twardym wzrokiem popatrzyłam na policjanta. Nie znałam tego mężczyzny, ale znałam swojego syna. Nie zrobiłby czegoś takiego. Sądziłam, że znam także Swifta, ale się myliłam. Swift kłamał.

On nigdy nie używał kremu z filtrem. Powiedział Olliemu, że taki krem jest dla ciot.

– Kiedy Ollie dodał gazu – kontynuował funkcjonariusz – łódź wystrzeliła do przodu. To właśnie wtedy wpadła na skuter. Syna pana Havillanda wyrzuciło z siedzenia, ale skończyło się tylko zwichnięciem nadgarstka. Niestety, obrażenia doznane przez panią Hernandez okazały się znacznie poważniejsze. Ma obrażenia głowy. Straciła przytomność. Ta młoda kobieta bez wątpienia żyje tylko dzięki wysiłkom pana Havillanda, starszego pana Havillanda, który skoczył po nią do wody. Zważywszy na okoliczności – zakończył Reynolds – zachował się jak bohater.

Chciałam wiedzieć, czy są nowe informacje dotyczące stanu Carmen.

– Czy ktoś skontaktował się z jej matką? – zapytałam.

– Lekarze mówią, że za wcześnie, aby cokolwiek stwierdzić – odparł.

– A matka już tu jedzie. Oczywiście rozumiemy, że Oliver jest zbyt mały, aby ponosić odpowiedzialność – kontynuował. – Nie był w stanie przewidzieć konsekwencji.

– Mój syn nie zrobiłby czegoś takiego – oświadczyłam. – Mój syn czci ziemię, po której chodzi Swift. Nie potrafię sobie wyobrazić, że miałby chwycić za ster i próbować płynąć samemu. Brak mu pewności siebie. To już raczej Swift

zrobiłby coś takiego. Albo Cooper.

– Z całym należnym szacunkiem, pani McCabe, wobec zachowania swoich dzieci matki nigdy nie są bezstronne. Moja żona zachowywałaby się tak samo, gdyby sprawa dotyczyła naszego syna.

– Nie o to chodzi – upierałam się.

– Oczywiście porozmawiamy o tym wszystkim z pani synem, kiedy już będzie gotowy – rzekł policjant. – A tymczasem, zważywszy na jego wiek, nie zostaną mu postawione żadne zarzuty. To, co zrobił, według pana Havillanda, było psikusiem. Głupim psikusiem, z potwornymi konsekwencjami dla tej młodej kobiety, choć możemy dziękować Bogu, że nikt inny poważnie nie ucierpiał. I nikt nie sugeruje, że pani syn celowo skrzywdził panią Hernandez.

– On tego w ogóle nie zrobił.

– Rozumiemy, że pani syn doświadczył traumatycznych przeżyć – ciągnął funkcjonariusz Reynolds. – Wieczorem udało nam się dodzwonić do jego ojca. Bardzo się oczywiście przejął, ale potwierdził, że Oliver ostatnio okazywał gniew, zwłaszcza wobec osób od niego starszych.

Rozmawiali z Dwightem. Ściany zdawały się na mnie napierać. Nie tak jak przed trzema laty w sali sądowej. Bardziej.

– Dzieci z rozbitych rodzin często uzewnętrzniają w ten sposób swoje emocje – rzekł policjant. – Fakt, że aresztowano panią za jazdę pod wpływem alkoholu, zapewne wywołał w pani synu konsternację. Widział, jak aresztowano kogoś, kto miał być dla niego autorytetem.

– Skąd pan o tym wie?

– Pan Havilland wyjaśnił nam, że alkohol nie stanowi już dla pani problemu. Jak dobrze rozumiem, uczestniczy pani w mityngach AA.

To się nie mogło dziać naprawdę.

Może i bym coś powiedziała, ale usłyszałam, że Ollie mnie woła i od razu do niego poszłam.

Chcieli oczywiście porozmawiać z moim synem. Nie doszedł jeszcze do siebie, ale wyglądało na to, że to ważne. Zwłaszcza po tym, co miało miejsce – według Swifta – na jeziorze.

Najpierw dostał puszkę coli. Posadzono go na wygodnym krześle. Tym razem zjawiała się policjantka i ktoś w rodzaju kuratora dziecięcego. Mnie tam nie wpuszczono.

– Przykro mi – powiedział funkcjonariusz Reynolds. – Takie są przepisy.

Przesłuchanie trwało bardzo krótko, najwyżej pięć minut. Kiedy Ollie wyszedł z pokoju – blady, z zapadniętymi oczami – policjantka wzięła mnie na bok. Mój syn w tym czasie poszedł do łazienki.

– Nie odpowiada na pytania – rzekła. – Kiedy słuchał wersji wydarzeń przedstawionej przez pana Havillanda, wpatrywał się jedynie w okno i kiwał

głową. I powtarzał „przepraszam”.

– Ollie ma osiem lat – odparłam.

– Na pewno dręczą go wyrzuty sumienia i czuje się odpowiedzialny. Zapytał, czy pójdzie do więzienia. Staralam się go uspokoić, że rozumiemy, iż nie zdawał sobie sprawy z konsekwencji swoich czynów. Że nie stawiamy zarzutów nikomu w jego wieku.

– Ollie potwierdził, że to on uruchomił silnik? – zapytałam. – Powiedział, że to on wjechał łodzią w skuter?

– Na tym etapie w ogóle nie mówi. Ale zgodził się ze wszystkim, czego się dowiedzieliśmy od pana Havillanda i jego syna.

– Jest wykończony. Ma mętlik w głowie.

– Pani syn sporo przeszedł – rzekła. – Pewnie będzie pani chciała skonsultować z terapeutą nie tylko kwestię jego gniewu, ale i związanych z wypadkiem wyrzutów sumienia i wstydu, które najprawdopodobniej nie będą mu dawać spokoju. Ważne, aby pamiętać, że to tylko dziecko. Wszyscy to rozumiemy.

Możliwe, że za jakiś czas pojawi się więcej pytań, ale w tej chwili byliśmy wolni. Dowiedziałam się, że jakiś znajomy przywiózł Estellę do szpitala, ale niewiele mogłam dla niej zrobić. Będzie miała przy sobie rodzinę, a gdybym nawet знаła hiszpański, co bym jej powiedziała? Lekarze czekali na wyniki, a Carmen nadal przebywała na oddziale intensywnej terapii i nie odzyskała przytomności.

Wcześniej nie miałam czasu ani głowy, aby o tym pomyśleć, ale teraz owszem: przez te godziny, które upłynęły od naszego przyjazdu do szpitala do teraz – co najmniej osiem – ani Swift, ani Cooper, ani Ava nie zamienili nawet jednego słowa ze mną czy z moim synem. Bez względu na to, gdzie teraz przebywali – w domu nad jeziorem, gdzie brali prysznic i wkładali czyste ubrania, czy też w samochodzie wracającym na Folger Lane – zniknęli bez pożegnania.

I teraz co? Nie miałam pojęcia, jak wrócimy do domu, choć to akurat najmniej mnie martwiło.

Gdy się zastanawiałam, do kogo zadzwonić – czy znam osobę skłoną poświęcić ponad cztery godziny na przyjazd w niedzielne popołudnie po zrozpaczoną kobietę i roztrzęsione dziecko nad jezioro Tahoe – dotarło do mnie, że po wykluczeniu Swifta i Avy nie mam nikogo.

– Będę osobą, do której się dzwoni w razie nagłego wypadku – powiedziała mi kiedyś Ava i napisała swoje imię na kartce, którą trzymałam w portfelu. To już było nieaktualne.

Kiedyś byłaby nią Alice, ale spaliłam za sobą mosty, kiedy porzuciłam naszą przyjaźń dla pary żyjącej z większym rozmachem.

No i pozostawał jeszcze Elliot.

Odebrał po pierwszym sygnale. Siedział w domu, jak to miał w zwyczaju, nawet podczas dni pełnych słońca. Słyszałam w tle jakiś film. Oczami wyobraźni

zobaczyłam, jak siedzi w workowatych spodniach na starej, obitej sztruksem sofie, i przy opuszczonych żaluzjach ogląda po raz setny film *Starsza pani znika*. Albo *W samo południe*.

Zalała mnie fala miłości. Miłości i żalu.

– Zrozumiem, jeśli się teraz rozłączysz – powiedziałam, kiedy odebrał. Nie musiałam się przedstawiać.

– Nigdy bym tego nie zrobił, Helen – odparł.

– Znalazłam się w trudnym położeniu. Ja i Ollie. Zastanawiałam się, czy mógłbyś po nas przyjechać.

Przyjechał krótko przed zachodem słońca. Dla mnie miał jabłko, a dla Olliego paczkę orzeszków ziemnych.

– Zjedlibyście pewnie coś porządnego – powiedział, biorąc na ręce Olliego. Zdziwiłam się, że mój syn nie stawia oporu. – Ale uznałem, że to zaspokoi pierwszy głód.

Nie było zimno, ale zabrał dla Olliego koc i poduszkę.

– Możesz mi o wszystkim opowiedzieć, jeśli chcesz – rzekł do mnie, kiedy już go posadził na tylnej kanapie. – Chyba że nie chcesz.

Ale jechał z nami Ollie. No i od czego zacząć? Tak naprawdę sama nie wiedziałam, co się stało – wiedziałam jedynie, że coś straszego i że cały świat wygląda teraz inaczej.

– Miałeś rację.

– Rację?

– Co do moich przyjaciół. Ludzi, których uważałam za przyjaciół.

– Jeśli myślisz, że się teraz cieszę, to się mylisz – odparł. – Przykro mi, że cię skrzywdzili.

Jechaliśmy w milczeniu. Po pewnym czasie Ollie zasnął. Mimo to nie chciałam ryzykować, że coś usłyszy, trzymałam się więc bezpiecznych tematów.

– Dobrze cię widzieć – rzekłam. – Co u ciebie?

– Och, Helen – westchnął. – Co ja mam ci powiedzieć?

Było już ciemno, kiedy Ollie się obudził. Od godziny czy dwóch jechaliśmy autostradą. Elliot zapytał, czy jest głodny, on jednak pokręcił głową.

– Chyba i tak zajadę do takiej jednej restauracji – stwierdził. – Jeśli zmienisz zdanie, to coś ci zamówimy.

Okazało się, że Ollie jest głodny jak wilk. Zjadł dwie porcje tacos z kurczakiem i budyń czekoladowy, a kiedy skończył, zapytał Elliota, czy mógłby dostać jeszcze jedno tacos. Dotarło do mnie, że prawdopodobnie dużo czasu minęło, odkąd coś jadł. Wypił szklankę mleka, a potem jeszcze jedną.

– Ostatnie, co jadłeś, to pewnie lunch ze Swiftem, co? – spytałam.

Pokręcił głową.

– Lunch mieliśmy zjeść po rejsie łodzią. Ale wtedy stało się to wszystko.

– Więc popłynęliście łodzią wcześniej? Jeszcze przed południem?

– Tak się cieszyłem – mówił Ollie. – Gdy tylko dotarliśmy nad jezioro, Swift i ja wyciągnęliśmy donzi na wodę.

– Ale kiedy wyjeżdżaliście, było jeszcze ciemno. Nad jezioro musieliście dojechać całkiem wcześnie. – Szybko sobie policzyłam. Może o dziesiątej. Najpóźniej o jedenastej, jeśli zatrzymali się, żeby zjeść śniadanie.

– Nie zatrzymaliśmy się na śniadanie. Monkey Man i ja zjedliśmy

w samochodzie po bananie.

– Nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że całe przedpołudnie spędziście na łodzi, pływając po jeziorze? I popołudnie także? – W głowie miałam mętlik. Pod numer alarmowy z łodzi Swifta zadzwoniono tuż przed szóstą.

Oliver wyraźnie czuł się nieswojo. Zaczął się bawić solniczką: usypywał na stole małe kopczyki soli, a potem posypywał je pieprzem. Robił tak, kiedy miał cztery czy pięć lat – podczas rozmów z kuratorką – i uświadomiłam sobie, że Ollie nie powie nic więcej. Przynajmniej na razie.

Kiedy znowu ruszyliśmy w drogę, nie potrafiłam przestać myśleć o tym, co powiedział Ollie – że on i Swift zwodowali łódź przed południem. Nie miało to sensu. Wiedziałam, że on nie chce już rozmawiać, ale nie dawało mi to spokoju. Zaczęłam raz jeszcze.

– Nie rozumiem, Ollie. Był późny ranek, kiedy ty i Monkey Man dotarliście nad jezioro. Ale na pogotowiu twierdzą, że zgłoszenie o wypadku otrzymali o szóstej. Co ty i Monkey Man robiliście przez cały dzień? Musieliście pływać naprawdę wiele godzin.

Aż do teraz Ollie nie powiedział niczego o dniu spędzonym ze Swiftem ani o wycieczce po jeziorze. Nagle jednak słowa wręcz z niego eksplodowały.

– Płynęliśmy łodzią tylko przez parę minut. Potem się zderzyliśmy, a potem w ogóle już nie pływaliśmy.

– Ale kiedy przyjechało pogotowie, zaczynało się ściemniać.

Elliot i ja wymieniliśmy spojrzenia. Ze swojego miejsca widziałam, jak siedzący z tyłu Ollie przygląda się uważnie jakiejś nitce na swoim bucie.

– Nienawidzę tej łodzi! – zawołał. – Nie wsiądę już nigdy na żadną łódź.

Zasłonił dłońmi uszy. Zaczął śpiewać. Nie była to jakaś prawdziwa piosenka. Po prostu wrzeszczał: bla, bla, bla, bla, bla, bla.

– Rozumiem, że nie chcesz o tym mówić, Ollie. Ale ja muszę wiedzieć. Co się działo przez cały ten czas pomiędzy wejściem na łódź a przyjazdem pogotowia.

Dotąd obserwowałam twarz mojego syna w lusterku wstecznym, teraz jednak odwróciłam się do niego. Siedział przypięty pasami i kulił się pod kocem.

– Co robiliście przez ten czas? – spytałam.

Ollie zasłonił uszy dłońmi.

– Żałuję, że w ogóle pojechaliśmy na tę głupią łódkę. To wtedy wszystko zaczęło się dziać.

– Możesz mi opowiedzieć, co się stało – poprosiłam łagodnie. – Bez względu na wszystko, będzie dobrze.

– Ona tam cały czas leżała – wydusił z siebie tak cicho, że ledwie słyszałam.

– Oczy miała otwarte i wypływała z niej krew. – W końcu się rozplakał.

Elliot zjechał na pobocze. Przesiadłam się na tylną kanapę, mogłam objąć syna i mocno go tulić.

Musiło minąć kilka minut, nim Ollie uspokoił się na tyle, żeby znowu mówić, a kiedy zaczął, głos miał inny. Mówił szeptem, jakby się bał, że może go usłyszeć ktoś oprócz nas dwojga.

– Monkey Man powiedział, że musimy odpocząć. Cooper wymiotował i zachowywał się naprawdę głupio, śpiewał *99 Bottles of Beer*, ale ciągle myliły mu się liczby. Najpierw dwadzieścia siedem butelek. Potem czterdzieści dwie. Potem znowu dziewięćdziesiąt dziewięć. Całkiem jakby zwariował.

– A Monkey Man? – zapytałam. – Co robił?

– Monkey Man kazał Cooperowi pić tę całą wodę. Monkey Man ciągle mu mówił, żeby pił więcej wody i odpoczywał.

– Chcesz powiedzieć, że odpoczywaliście przed wypadkiem? Cooper pił wodę i odpoczywaliście, a potem wydarzył się wypadek?

Ollie pokręcił głową.

– Najpierw był wypadek. Później mieliśmy odpoczywać. Długo odpoczywaliśmy. Monkey Man ciągle mówił, że musimy czekać, aż ona się obudzi, ale ona się nie budziła. Dziwnie wyglądała i się nie ruszała, a Monkey Man kazał Cooperowi pić więcej wody, ale on zachowywał się jak głupek.

Spojrzałam na Elliota. Nie znał jeszcze tej historii – właściwie ja też nie – ale usłyszał wystarczająco, aby wiedzieć, że nie pokrywała się z wersją Swifta.

– Naprawdę chciało mi się jeść. Zasnąłem. W końcu Cooper nie zachowywał się już jak głupek i Monkey Man powiedział, że możemy zadzwonić po ludzi, którzy nas zabiorą.

Po raz kolejny spojrzałam na Elliota. Jego twarz mówiła wszystko.

– Ta dziewczyna dalej się nie obudziła. Dalej dziwnie wyglądała.

– Powiedziałaś to na policji? – zapytałam Olliego. – O odpoczynku i dziewczynie? I o picciu wody?

Pokręcił głową. Obracał w palcach wystającą z koca nitkę.

– Monkey Man kazał mi o tym nie mówić. Powiedział, że jeśli powiem, to wszystko się pochrzani.

Elliot sięgnął do tyłu i wziął mnie za rękę.

– Wszystko będzie dobrze. Dzięki Bogu, że ci o wszystkim powiedział.

Wiedziałam, że jutro będę musiała zadzwonić do funkcjonariusza Reynoldsa i poinformować go, że pojawiły się nowe informacje, które musi poznać. Choć nie będzie to proste, będę musiała zawieźć mojego syna nad jezioro Tahoe na jeszcze jedną rozmowę na komisariacie. Tym razem Swifta nie będzie w sąsiednim pokoju. Ani teraz, ani – co już wiedziałam – nigdy więcej.

Kiedy zajechaliśmy na miejsce, spytałam Elliota, czy ma ochotę wejść z nami na górę, ale on pokręcił głową.

– Musisz się zająć Oliverem.

Oczywiście miał rację. My porozmawiamy innym razem.

Choć Ollie przespał większą część drogi, pierwsze, co zrobił, gdy weszliśmy do mieszkania, to położył się na moim łóżku. Pięć minut później już spał.

Rozejrzałam się. Od dawna tylko tu spałam. W lodówce nie było jedzenia, a w kuchennych szafkach nie pozostało nic oprócz dwóch paczek kukurydzy na popcorn i oleju canola. Przez niemal rok moje życie toczyło się na Folger Lane. Koniec tego.

Zadzwoiłam do szpitala nad jeziorem Tahoe, aby zapytać o Carmen. Nie byłam jej krewną, więc nikt nie mógł mi udzielić informacji. Żałowałam, że nie mam numeru do Estelli. Choć gdybym miała, to co bym powiedziała? Przypomniałam sobie, jak tamtego dnia w garderobie Avy, kiedy składała pranie, mówiła mi o swoich marzeniach związanych z córką. *Mi corazón.*

Pomyślałam o aparacie. Zostawiłam go na przyjęciu. Gdy dowiedziałam się o wypadku, pobiegłam od razu do samochodu Bobby'ego. W końcu będę musiała tam jechać i go zabrać.

Z sypialni dobiegał odgłos oddechu Olliego – spokojniejszego niż na komisariacie. Bez względu na to, jakie mroczne i niepokojące obrazy wirowały w jego głowie, w końcu się nieco uspokoił.

Choć miałam opory, wiedziałam, że będę musiała zadzwonić do Dwighta. Wcześniej obiecałam, że wieczorem przywiozę Olliego do Walnut Creek, ale teraz to nie było możliwe. Musiał jeszcze u mnie zostać. Policja kontaktowała się już z Dwightem i powiedziała mu tyle, że poczuł się w obowiązku podzielić z nimi historią o moim aresztowaniu za jazdę po pijaku. Ale nie mogłam sobie pozwolić na ten luksus i się na niego gniewać. Musieliśmy porozmawiać o tym, co się stało. Choć jeszcze nie wiedziałam, co powiem jemu albo naszemu synowi.

Zdarza się, że ktoś cię naprawdę rozczarowuje. Nawet osoba dorosła. Zwłaszcza osoba dorosła. Może to być osoba, którą bardzo kochasz i myślisz, że możesz jej ufać, a ona i tak cię zawiedzie. To nie znaczy, że nie powinieneś nikogo kochać. Musisz być jedynie ostrożny i uważać, kogo obdarzasz uczuciem.

Wcale nie chciałam mówić czegoś takiego ośmioletniemu synowi. Ale musiałam.

Rozległ się dzwonek u drzwi. To na pewno Elliot – pomimo tego, co się wydarzyło przez ostatnie dwa dni, ucieszyłam się, że wrócił. Okazało się jednak, że na progu stoi Marty Matthias. Ubrany w strój golfowy – żółta koszula i zielone spodnie – w ręce trzymał aktówkę. Skąd wiedział, gdzie mieszkam?

Wpuściłam go.

– Ładne mieszkanie – powiedział, choć oboje wiedzieliśmy, że nie. Postawił teczkę na podłodze. – Rano zadzwonił do mnie nasz przyjaciel Swift – oświadczył.
– Przekazał mi, że powinniśmy złożyć w sądzie dokumenty do ponownego rozpatrzenia twojej sprawy o prawo do opieki nad synem.

Moja sprawa w sądzie. Teraz?

Detektywowi, którego Swift jakiś czas temu wynajął, żeby przyjrzał się mojemu eksmężowi – a to nowość – udało się zdobyć obciążające informacje.

– Wygląda na to, że twój były stracił pracę. Od pewnego czasu nie spłaca rat za dom. Jest na granicy egzekucji mienia.

Egzekucja mienia. Z trudem mogłam się skupić.

– Dalej jest jeszcze lepiej – oświadczył Marty. (Marty, o którym Swift powiedział mi kiedyś, że zdolny byłby odgryźć ucho każdemu, kto by stanowił zagrożenie dla jego klienta. Czyli Swifta). – Koleś ma mały problem z kontrolowaniem agresji. Niedawno jego żona złożyła doniesienie o przemoc domowej. Nie wniosła oskarżenia, ale wszystko jest w aktach.

To, że Dwight ma problemy z agresją, w ogóle mnie nie zaskoczyło. Ale ta część o Cheri owszem.

– Musisz mówić ciszej, Marty. Mój syn śpi w sąsiednim pokoju.

– Oczywiście – odparł. – Super, jak w końcu można położyć je spać, co nie?

I trochę pożyć?

Patrzyłam tylko na niego.

– No więc sprawa wygląda bardzo obiecująco, Helen – kontynuował prawnik. – Jeśli pójdziemy z tym do sądu, jestem przekonany, że twój dzieciak wróci tam, gdzie jego miejsce. Choć moim zdaniem obejdzie się bez sądu. Gdy twój eks dowie się, co na niego masz, najpewniej szybko da nam to, czego chcemy. Zwłaszcza że nie ma kasy na prawnika. W przeciwieństwie do ciebie.

Dziwne. Od niemal trzech lat naprawdę zależało mi jedynie na odzyskaniu syna, żeby znowu spędzać z nim każdy dzień. Teraz ten prawnik oznajmiał mi, że tak się właśnie stanie – i to pewnie niedługo. A ja czułam jedynie otępienie.

– Swift opłacił już detektywa – kontynuował Marty. – Jak ci wiadomo, Havillandowie są bardzo szczodrymi ludźmi.

Nadal staliśmy w przedpokoju. Nie zaproponowałam mu, żeby usiadł. Choć niewiele rozumiałam z tego, co się dzieje, wiedziałam, że nie przyszedł z przyjacielską wizytą.

– Oczywiście pozostaje kwestia niemałego honorarium za moje usługi.

Honorarium.

– Moja kancelaria może się podjąć tej sprawy za niecałe trzydzieści tysięcy – oświadczył. – Co nie znaczy, żebyś musiała się przejmować pieniędzmi. Swift chętnie uiści całą kwotę. Jednak zanim ruszymy ze sprawą, musimy mieć pewność,

że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie, jeśli chodzi o wydarzenia nad jeziorem Tahoe. Łącznie z twoim synem.

Milczałam. Wiedziałam, że Marty dokładnie mi wyłuszczy, czego chce.

– Źle by się stało, gdyby pojawiły się rozbieżności na temat szczegółów wypadku. Co nie znaczy, żebyśmy się tego spodziewali. Ze względu na fakt, że małym dzieciom często wszystko się miesza, chciałem po prostu to wyjaśnić. Nasz przyjaciel nie wyszedłby z tak hojną propozycją, gdyby istniało prawdopodobieństwo, że ty albo twój syn przedstawicie wersję wydarzeń sprzeczną z jego wersją, i jego syna. Przecież tam byli.

– Ollie też – odparłam. – Jest bardzo zdenerwowany.

– Dzieciom przychodzą do głowy różne szalone rzeczy, prawda? – zapytał Marty. – Mają niesamowitą wyobraźnię. Co nie znaczy, aby dysponowały jakimkolwiek dowodem na poparcie swoich historyjek. Ale trzeba przyznać, że potrafią być zabawne. A tak na marginesie, o ile mi wiadomo, też jesteś niezłą blagierką. Swift mi opowiadał, jakie historie potrafisz wymyślać praktycznie na poczekaniu.

– Nie skłamałabym pod przysięgą, jeśli to właśnie sugerujesz – oświadczyłam.

– Oczywiście, że nie.

Marty ruszył ku drzwiom i zrobił dwa kroki, ale zawrócił. Podniósł z podłogi maskotkę Olliego. Przyglądał jej się niespiesznie.

– Wiem od Avy, że niedawno miałaś wpadkę z alkoholem – rzekł w końcu.

– Ale nie widzę powodu, aby się tym martwić. Tylko Havillandowie wiedzą. Z całą pewnością nie chcielibyśmy, aby ta informacja ujrzała światło dzienne.

– Ava ci powiedziała? – zapytałam.

– Musisz wiedzieć jedno o mnie i o Havillandach, kotku – odparł Marty.

– Mówią mi wszystko.

Nazajutrz rano, w poniedziałek, nie zadzwoniłam do funkcjonariusza Reynoldsa. Zadzwoniłam za to do mojego byłego męża, który od policji dowiedział się o wypadku, w którym brał udział nasz syn. Być może z powodów, które ujawnił mi Marty Matthias, Dwight nie protestował, gdy mu powiedziałam, że zamiast odwozić Olliego dziś wieczorem do Walnut Creek, powinnam jeszcze dzień lub dwa zostawić go u siebie. Jeśli Dwightowi rzeczywiście groziła utrata domu, mogło to tłumaczyć, dlaczego wydawał się taki nieobecny myślami, kiedy próbowałam streścić mu wszystko, co wiem.

– Niech zostanie u ciebie nawet na cały tydzień, jeśli uważasz, że to dobrze mu robi – zaproponował Dwight, a w jego głosie niemal słycać było ulgę.

Zadzwoniłam także do Elliota. Miałam nadzieję, że wydarzenia z wczoraj może coś między nami zmieniają, ale kiedy usłyszałam jego głos, zrozumiałam, że życzliwość, którą okazał Olliemu i mnie po wypadku, wynikała z przyjaźni i współczucia. Nic w jego tonie nie sugerowało, że ma nadzieję, iż do siebie wrócimy. Elliot był lojalny do szpiku kości, ale nie mógł zapomnieć mojej zdrady. Zrozumiałam, jak bardzo się myliłam, kiedy go atakowałam za to, że nie ufa Havillandom. Niestety, za późno.

Teraz jednak, z dobroci serca, zaproponował, że podrzuci mnie i Olliego do domu Havillandów, żebym mogła zabrać swój samochód i aparat.

Kiedy zajechaliśmy na Folger Lane, Elliot wysiadł z auta, ale tylko po to, aby otworzyć mi drzwi. Stał od strony kierowcy i w atmosferze ostateczności uścisnął Olliemu dłoń.

– Jesteś porządnym młodym mężczyzną – rzekł do niego. – Bez względu na wszystko, co się tam wydarzyło, nie pozwól, aby to zmieniło twoją opinię na temat tego, jaki jesteś.

Właśnie coś w tym stylu mówi się komuś, gdy się podejrzewa, że nigdy więcej się go nie zobaczy.

Do mnie zaś powiedział:

– Dbaj o siebie, Helen.

Objął mnie, ale bardzo krótko i z wyraźnym skrępowaniem. Wsiadł do samochodu i odjechał.

Mój syn i ja staliśmy i patrzyliśmy, jak znika na końcu ulicy. Następnie odwróciłam się i spojrzałam na dom: kamelie i jaśmin, dzwonki wietrzne, tabliczka z napisem: WSZYSTKIE PSY SĄ TU MILE WIDZIANE. NIEKTÓRZY LUDZIE RÓWNIEŻ. Ten właśnie napis poprawiał mi humor za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżałam. Teraz zalała mnie fala ulgi, bo wyglądało na to, iż Havillandowie są nieobecni. Nie było ich samochodów, stał tylko van ekipy sprzątającej i jeszcze jeden, należący do firmy organizującej przyjęcia, który najwyraźniej przyjechał po

krzesła i stoły oraz to, co pozostało z nieudanych urodzin.

– Nie chcę wchodzić – odezwał się Ollie.

– W porządku. Możesz poczekać tutaj. Zajmie mi to tylko chwilę.

Otworzył drzwi mojego auta i położył się na tylnym siedzeniu. Ja ruszyłam ścieżką prowadzącą do drzwi. Po obu stronach widać było kałuże z roztopionego śniegu oraz pozostałości lodowych pingwinów, które stały tu zaledwie półtora dnia temu.

Estella siedziała teraz oczywiście w szpitalu i czekała, aż Carmen odzyska przytomność. Cooper z pewnością wyjechał już razem z narzeczoną – wrócił na uczelnię i do swojego życia. Podejrzewałam, że Ava i Swift zostali nieco dłużej nad jeziorem Tahoe, pewnie woleli unikać Folger Lane, dopóki nie znikną stąd wszystkie ślady po katastrofalnym przyjęciu. Mnie to nie przeszkadzało. No bo co im miałam do powiedzenia? Teraz czy kiedykolwiek indziej? Mniej więcej to samo, co oni zamierzali powiedzieć mnie i mojemu synowi.

Do tej pory zawsze, gdy się tutaj zjawiałam, witały mnie psy. (To znaczy Lillian i Sammy. Gdzieś za nimi czał się warczący Rocco). Dziś jednak nie. Kiedy otworzyłam drzwi – nie były zamknięte na klucz – uderzyła mnie niespotykana w tym domu cisza.

Przy basenie musiała pracować ekipa sprzątająca, ale w domu nie zastałam nikogo. Wszędzie kałuże wody z roztopionych rzeźb, a między nimi kilka podkładek z twarzami Swifta. Na stole w jadalni leżały nieotwarte prezenty urodzinowe, a obok nich koszyk z kopertami, w których najpewniej znajdowały się darowizny na rzecz fundacji Havillandów. I stosy dodatkowych egzemplarzy naszego albumu *Bóg i jego psy*.

Wzięłam do ręki jeden album i przekartkowałam. Choć doskonale znałam każde zdjęcie, byłam ciekawa, czy teraz na twarzach osób dostrzegę coś, co wcześniej mi umknęło. Może przez cały czas była tam prawda o mężczyźnie, w którego towarzystwie spędziłam tyle godzin w ciągu ostatnich miesięcy, a którego prawdziwy charakter ujawnił się zaledwie dobieg temu. Może kryła się tutaj, na tych kartkach przez cały czas, a ja po prostu byłam ślepa.

Odkładałam album na miejsce, gdy usłyszałam za sobą głos.

– To tacy niezwykli ludzie, prawda?

Odwróciłam się. Nowa przyjaciółka Avy, Felicity.

– Rzeczywiście, są niesamowici – odparłam. – Nie znam nikogo takiego jak oni.

Nie dodałam, że mam nadzieję, iż nigdy więcej nie poznam.

– To taka straszna tragedia – oświadczyła. – Są dla mnie tacy mili. Odkąd poznałam Avę, moje życie się zmieniło.

– Ona już tak ma. Wiadomo coś o Carmen?

– Carmen? – zapytała Felicity. – A kto to taki? Chodzi mi o psa

Havillandów.

– Ich psa? Którego? – O czym ona mówi?

– Rocco – wyjaśniła. – Sądziłam, że wiesz. Niewiarygodne, że ci cudowni ludzie muszą przechodzić przez coś takiego. Jakby nie wystarczyło nieudane przyjęcie. Nie wiem, czy Ava dojdzie po tym do siebie.

Rocco. Oczami wyobraźni zobaczyłam jego ostre małe zęby, które odsłaniał za każdym razem na mój widok. Nieraz zostawały mi na ciele krwawe ślady. Skonsternowana nie odrywałam wzroku od Felicity.

– Jak rozpełtało się to piekło, a ty i Ava pojechałyście do szpitala, Rocco wy dostał się z pokoju, gdzie go zamknięto na czas przyjęcia. Znasz Rocco, zawsze się do czegoś dorwał. Zbiegł na dół i zjadł cały tort. Czekoladowy. Musiało mu się chcieć po nim pić, bo potem wypił szampana z tej szalonej rzeźby lodowej. Znaleźliśmy go wczoraj po południu w pralni. Martwy leżał na podłodze. Kto by pomyślał, że czekolada i alkohol są dla psów zabójcze?

Wyjaśniła, że Ava i Swift są teraz w krematorium. Lillian i Sammy pojechały razem z nimi, „aby lepiej zrozumiały i się z nim pożegnały”.

W odpowiedzi pokręciłam jedynie głową.

Usłyszałam, że w kuchni dzwoni telefon.

– Założę się, że to Ava – rzekła Felicity, po czym pobiegła odebrać. – To dla niej taki trudny czas.

Mój aparat leżał tam, gdzie go zostawiłam, na krześle przy drzwiach, ale choć raz nie miałam ochoty robić zdjęć. Nie było takiej potrzeby. Z całą pewnością będę pamiętać tę chwilę.

Stałam sama pośrodku pokoju, chłonąc po prostu wszystko – to miejsce, gdzie przez niemal rok wierzyłam, że w końcu znalazłam dom. Wyrzałam do ogrodu – papierowe lampiony, sznury lampek w kształcie śnieżnych płatków, które nadal mrugały, ponieważ nikt nie pomyślał, żeby je wyłączyć, resztki topiącego się śniegu i lodu – i wdychałam zapach świeczek eukaliptusowych. Zobaczyłam na krześle kaszmirowy sweter, który dostałam kiedyś od Avy. Zostawiłam go tam.

Szłam już do drzwi, kiedy dostrzegłam małe kościane figurki mężczyzny i kobiety: talizmany, radosnych cudzołożników wyciągających się na małym rzeźbionym łóżku. Wsunęłam je do kieszeni i udałam się do samochodu, gdzie czekał na mnie syn.

Tego wieczoru przygotowałam dla Olliego makaron zapiekany z serem. Danie, które zawsze poprawiało humor. Potem nalałam wodę do wanny i pozwoliłam, aby kąpał się sam, ale siedziałam tuż za drzwiami, nasłuchując, czy wszystko w porządku.

Początkowo dochodził jedynie odgłos leżącej się wody, a potem Ollie zaczął warczeć jak motor. Często do kąpieli zabierał matchboxy i jeździł nimi po wannie.

– Szybciej, szybciej! – wołał. – Jiiihuuu!

Potem głos mu się zmienił i usłyszałam mężczyznę, to znaczy Ollie naśladował głos mężczyzny. Do akcji najwyraźniej włączył się jeden z jego plastikowych ludzików.

– Zwolnij, chłopie – rzekł głos.

Potem inny głos, także męski, ale głębszy, bardziej ostry niż pierwszy:

– Chcesz zobaczyć, jak szybko to małeństwo potrafi płynąć?

– Chcę do domu – odezwał się trzeci głos. Wyższy, delikatniejszy. Głos Olliego. – Nie podoba mi się tutaj.

Brak odpowiedzi ze strony męskiego, głębokiego głosu.

– Co ty jesteś, ciota? – A potem upiornie znajomy śmiech.

– Boję się – powiedział ten cichszy głos. – Będę wymiotował.

Śmiech stał się głośniejszy, jakby ten ktoś był w wesołym miasteczku.

– Jesteś małym dzieckiem? – zapytał ten głęboki głos. – Myślałem, że jesteś dużym chłopcem.

Potem pojawił się jeszcze jeden dźwięk. Spółgłoski i samogłoski – wszystko wymieszane. Mydelniczka uderzyła o wannę. Odgłos metalu uderzającego o metal – może główka od prysznicza waląca w kran, potem pluski, a potem wysoki głos. Mój syn udawał dziewczynę.

– Ratunku, ratunku! Tonę!

Jeszcze więcej. Cichy płacz, a potem głośny, męski śpiew.

– Dziewięćdziesiąt dziewięć butelek piwa na ścianie.

– Kazałem ci odpoczywać.

– Chcę do mamy. Powinniśmy zadzwonić na policję.

– Przymknij się.

– Wszystko w porządku, Ollie? – zawołałam do niego przez drzwi łazienki.

– Tak – odparł swoim normalnym głosem. Znowu był moim synem. Moim małym, bladym, niespokojnym synem.

Kiedy go wytarłam, włączyłam film na DVD. Wybrałam taki, który dostaliśmy od Elliota, a który mój syn uwielbiał: Flip i Flap wpychali pianino na górę, a potem przez most. Widział ten film kilkanaście razy, ale zawsze śmiał się, kiedy Flap zwisa z mostu. Tym razem był dziwnie milczący.

Po filmie Ollie umył zęby i położyłam go do łóżka.

– Nie musisz mówić, co się wydarzyło na jeziorze, jeśli nie chcesz. Ale możliwe, że dzięki temu poczułbyś się lepiej.

– Jeśli ci powiem, będziesz zła.

– Nie będę zła. Obiecuję.

– Nie chcę, żeby Monkey Man miał kłopoty – oświadczył. – Kazał mi obiecać, że nikomu nie powiem.

– W porządku – rzekłam. – Mnie możesz powiedzieć. Dziecku zawsze wolno wszystko mówić swojej mamie.

I powiedział. Tym razem opowiedział całą historię, łącznie z tym, co pominął podczas jazdy z nad jeziora Tahoe. A w przeciwieństwie do swojej matki mój syn nigdy nie zmyśla. To, co mówi, jest zawsze czystą, choć bywa, że bezlitosną prawdą.

Do domu nad jeziorem zajechali tuż po dziesiątej. Ollie znał godzinę, ponieważ na ręce miał zegarek od Monkey Mana, którego w ogóle nie zdejmował – specjalny zegarek nurka, działający do stu metrów pod wodą.

Kiedy wjechali na podjazd, zorientowali się, że musi tu być Cooper. Bo przed domem stał żółty sportowy samochód.

– To maleństwo nazywa się viper – powiedział mu Monkey Man. – Musisz mi obiecać, chłopie, że nigdy cię nie zobaczę za kierownicą zwyczajnego auta.

Obiecał. Kiedy będzie duży, też będzie jeździł viperem, tak jak Cooper.

Myśleli, że jest w domu, ale go nie było. Choć zostały po nim ślady. („To trochę tak jak ze Złotowłosą i trzema niedźwiadkami – wyjaśnił Ollie. – Kiedy mówią: Ktoś siedział na moim krześle”).

Monkey Man zaproponował, że zrobi Olliemu śniadanie – nad Tahoe to on zawsze je robił – ale Ollie podziękował. („Nie, dzięki” – tak mu powiedział). W samochodzie zjedli po bananie, poza tym chciał jak najszybciej wsiąść na łódź. Tak długo czekał na ten dzień.

Ollie i Monkey Man zeszli więc do hangaru. Zniknął jeden skuter, stąd Monkey Man wiedział, że Cooper musi być gdzieś na wodzie. Donzi czekała.

– Wyglądała jak pocisk raketowy – powiedział mi Ollie. Nawet teraz, po tym wszystkim, co się stało, mówił o łodzi z podziwem. Podziwem i jednocześnie przerażeniem.

Monkey Man zdecydował, że najpierw zrobią sobie krótką wycieczkę, znajdą Coopera, a potem wrócą do domu i zjedzą pyszne śniadanie.

– Bekon i naleśniki – wyjaśnił Ollie. – A potem mieliśmy wrócić na łódź.

Ponieważ było już po sezonie, tamtego ranka po jeziorze pływało niewiele łodzi.

– To świetnie – rzekł Monkey Man do Olliego. – Będziemy naprawdę mogli dodać gazu i osiągnąć prędkość warpową.

– Chyba powinienem założyć kapok – powiedział mu Ollie. – Obiecałem mamie.

– Niech ci będzie, chłopie – odparł Monkey Man. – Ja tam nigdy nie robiłem tego, co mi kazała mama, ale jeśli ty tak, to w porządku.

Ollie miał ze sobą aparat. Monkey Man zabrał na łódź lodówkę turystyczną. Otworzył puszkę z piwem.

– Chcesz posmakować? – spytał.

– Jestem za mały na piwo – odparł Ollie.

Potem Monkey Man uruchomił donzi i zaczęli śmigać po wodzie – tak szybko, powiedział Ollie, że czuł, jakby policzki miały mu odpaść z twarzy, przycisnął więc do nich dłonie. Zwiało mu czapkę Gigantów, ale Monkey Man

rzekł, żeby się nie martwił i że kupi mu nową.

Przez kilka minut przecinali fale. Monkey Man śmiał się i wymachiwał ręką. Ollie też chciał coś zawołać, ale było mu trochę niedobrze. Bał się, że może zwymiotować.

– Nie chciałem, żeby Monkey Man pomyślał, że jestem małym dzieckiem – wyjaśnił. – On wydawał różne okrzyki, jakbyśmy byli kowbojami albo spadochroniarzami czy kimś w tym rodzaju, i ja też próbowałem krzyczeć, ale nie mogłem złapać tchu. Chciałem, żeby to się skończyło.

I wtedy zauważyli skuter. Nawet z daleka Monkey Man wiedział, że to jego syn, Cooper. Pewnie dlatego, że na widok donzi zaczął płynąć zygzakiem.

Skuter płynął za nimi. Z tyłu też ktoś siedział, ale Monkey Man nie widział kto. Ollie z kolei siedział ze spuszczoną głową i ze wszystkich sił starał się nie zwymiotować.

W momencie, kiedy skuter zbliżył się do donzi, Cooper zaczął robić, jak powiedział Ollie, taki szalony numer.

– Huśtał nim, żeby przejechać po wielkich falach robionych przez donzi. Kiedy najechał na taką falę, skuter na sekundę wyskakiwał z wody, jakby frunął. Potem opadał z powrotem do wody, plusk. Potem znowu zygzaki i powtórka, jeszcze raz to samo. Cooper kręcił głową i się śmiał, tak samo jak Monkey Man, albo jeszcze bardziej.

Puścił kierownicę skutera. Był teraz na tyle blisko, że Ollie widział, że za nim siedzi dziewczyna. Krzyczała do niego, żeby położył ręce z powrotem na kierownicy.

Monkey Man także zaczął płynąć zygzakiem. Wyglądało to tak, jakby oboje – łódź i skuter – tańczyli ze sobą albo bawili się w berka.

Potem skuter skręcił w ich stronę i Cooper dodał chyba wyjątkowo dużo gazu, ponieważ zbliżał się szybciej niż przedtem, płynął prosto na donzi. Za szybko i za blisko, żeby Monkey Man zdążył zjechać mu z drogi.

Wtedy rozległ się huk towarzyszący uderzeniu. Ollie przewrócił się na pokład łodzi. Skuter obrócił się do góry nogami, a jego silnik zakrztusił się i zgasł. Cooper wpadł do wody, ale chwilę później wypłynął. Nie wyglądał, żeby coś mu się stało, tarł jedynie rękę. Już się głośno nie śmiał, ale się uśmiechał.

Dziewczyna także wpadła do wody, ale ona nie wypłynęła. Raz coś krzyknęła, ale potem wpadła pod łódź i już jej nie widzieli.

– Chyba się uderzyła w głowę – powiedział Cooper. Śmiesznie mówił, jakby miał w buzi kulki.

– Nie miała kapoka – rzekł do mnie Ollie. – Czekałem, kiedy jej głowa się wynurzy, ale się nie wynurzyła.

To wtedy Monkey Man zgasił silnik łodzi. Wskoczył do wody. Było dużo chlapania, a kilka sekund później wypłynął razem z dziewczyną. Trzymał jej głowę

nad wodą, co nie było takie proste, bo straciła przytomność.

Cooper nadal znajdował się w wodzie i opierał się o bok skutera, jakby oglądał telewizję. Śpiewał tę piosenkę o butelkach piwa na półce. Cyfry miały być coraz to mniejsze, ale jemu się wszystko myliło.

– On niczego nie rozumiał, mamó. Nadal uważał to za śmieszne. Ja jestem tylko dzieckiem, a wiedziałem, że to nie jest zabawne.

Potem Monkey Man wciągnął dziewczynę na pokład. Cooper nadal nie robił nic poza przyglądaniem się.

Dziewczyna się nie ruszała. Leżała, jakby była nieżywa. Potem Monkey Man nachylił się nad nią i początkowo Ollie sądził, że może ją całuje, ale okazało się, że chciał tylko sprawdzić, czy oddycha.

– Za chwilę się pewnie ocknie – powiedział Monkey Man do Coopera.
– A tymczasem ty musisz wytrzeźwieć, chłopie. Wcześniej dzisiaj zacząłeś, co?

Wtedy Cooper powiedział swojemu tacie, że wypił cztery cholerne coś tam. To nie miało sensu, ale jemu się wydawało, że jest zabawne. Wszystko wydawało mu się śmieszne.

Przywiązali skuter do łodzi. To wtedy Monkey Man zaczął zmuszać Coopera do picia tej całej wody.

Długo siedzieli beczynnie. Ollie powiedział, że może powinni do kogoś zadzwonić. Może do jego mamy.

– Mój telefon nie ma tutaj zasięgu – odpowiedział mu Monkey Man.

Był już wtedy bardzo głodny. Wcześniej zbyt się ekscytował, żeby zjeść śniadanie. Nie wrócili przecież na te naleśniki, ale teraz minęła już pewnie pora lunchu. Dziewczyna nadal się nie obudziła. Nie wyglądała jednak jak normalny człowiek, który śpi. Oddychała, ale nieregularnie, i w ogóle się nie ruszała.

– To tak jak wtedy, kiedy na pierwszym roku dostałem w głowę kijem do lacrosse’a[14] – powiedział Cooper. – Na chwilę mnie zamroczyło. Mówią, że widzi się wtedy gwiazdy, i to prawda. Nic mi potem nie było.

Już się nie śmiał. Według Olliego wyglądał na trochę zmartwionego. Ale nadal dziwnie mówił, a Monkey Man ciągle mu kazał pić wodę. Miał na łodzi starą paczkę krakersów. Kazał Cooperowi je zjeść. Cooper odparł, że są ohydne i wilgotne.

– Mam w dupie, czy ci smakują, czy nie – powiedział synowi Monkey Man.
– Masz zjeść wszystkie.

Ollie był taki głodny, że chętnie zjadłby krakersa, ale Monkey Man go nie poczęstował. Na łodzi było naprawdę gorąco. Czapkę Olliego zdmuchnął wiatr, a ponieważ często mu przypominałam o jej noszeniu, martwił się, że spali go słońce i będę zła. Przykryli dziewczynę marynarką Monkey Mana. Olliemu chciało się pić, więc Monkey Man dał mu wodę.

– Nie wypij za dużo – przykazał mu. – Mój chłopak musi pić tyle, ile się da.

Jeśli chce ci się pić, mogę dać ci to. – Podał Olliemu puszkę piwa. Ollie wiedział, że dzieci nie powinny pić piwa, ale tak strasznie chciało mu się pić, że wziął jeden łyk.

Przez jakiś czas ich trójka dryfowała po wodzie. Właściwie to czwórka, jeśli liczyć dziewczynę. Ollie nie wiedział, jak długo to trwało, ale na tyle długo, że zachciało mu się siku. Tak bardzo, że myślał, iż zaraz pęknie mu pęcherz.

– Wysikaj się do wody – powiedział mu Monkey Man.

Ale na łodzi znajdowała się dziewczyna.

– Ona nic nie zauważy – odparł Monkey Man.

Po raz kolejny Ollie powiedział, że chce zadzwonić do mamy. I usłyszał:

– Pamiętasz, co ci mówiłem? Na jeziorze nie ma zasięgu. A zresztą po co miałbyś dzwonić do mamy? Nie jesteś małym dzieckiem, no nie?

Żeby czas jakoś płynął, Ollie wyobrażał sobie, że ogląda *Toy Story 2*. Zaczął od początku i starał się nie przechodzić od razu do ulubionych fragmentów. Tyle że średnio mu to wychodziło. Potem próbował sobie przypomnieć czytane przez nas wiersze Shela Silversteina.

Na drodze spotkały się dwa pudełka – recytował. Ale nie głośno, tylko w myślach. Zapomniał, co było dalej, więc zaczął inny wiersz. *Jeśli jesteś ptakiem, bądź ptaszkiem porannym.*

– Wszystko mi się mieszało – rzekł do mnie. – Niczego sobie nie mogłem przypomnieć.

W końcu zaczął recytować w myślach *Dobranoc księżycu*. Choć była to książeczka dla maluchów, nadal pamiętał tekst. *W pokoju z zieloną kotarą był sobie telefon i czerwony balon...* Powiedział, że trochę mu pomogło, kiedy myślał o tym, jak siedział mi kiedyś na kolanach i razem czytaliśmy tę książeczkę.

Robiło się późno. Wiedział, bo słońce na niebie znajdowało się dużo niżej niż wcześniej – pamiętał, jak mu mówiłam, że o tej porze robi się najlepsze zdjęcia. Poza tym nie było już tak gorąco. Na chwilę zasnął, ale potem się obudził. Monkey Man i Cooper nadal siedzieli na rufie i rozmawiali.

– Chyba możemy już do kogoś zadzwonić – powiedział Monkey Man. Dziwne, bo przez cały dzień mówił Olliemu, że na jeziorze nie ma zasięgu.

Przez większą część dnia – z wyjątkiem momentów, kiedy Ollie go o coś pytał – Monkey Man jakby zupełnie o nim zapomniał. Ale teraz sobie przypominał.

– Musimy o czymś porozmawiać, chłopie. Ty i ja. Jak mężczyzna z mężczyzną.

Niedługo mieli się zjawić jacyś ludzie, aby pomóc dziewczynie się obudzić. Prawdopodobnie trzeba ją zabrać do lekarza. W szpitalu dostanie lekarstwa i poczuje się lepiej.

– Możliwe, że potem zadadzą ci kilka pytań – rzekł do Olliego Monkey Man.

– Na przykład w jaki sposób uderzyła się w głowę i jak to się stało, że łódź

uderzyła w skuter.

Monkey Man powiedział na odwrót. To przecież skuter uderzył w donzi. Ollie próbował mu o tym przypomnieć.

– Część tego, co się dzisiaj wydarzyło... lepiej o tym nie wspominać – rzekł mu Monkey Man. – Gdyby policjanci sądzili, że Cooper płynął jak wariat, mogliby się na niego zezłościć.

Cooper nie mówił już w ten zabawny sposób. I też się nie uśmiechał. Właściwie wyglądał bardzo poważnie, jak ktoś, kto zgubił pieniądze albo komu zdechł pies.

– Nie będziemy mówić, że Cooper pływał śmiesznie skuterem – oświadczył Monkey Man. – Ludzie, którzy tu przyłyną, aby nam pomóc, mogą tego nie zrozumieć. Mogliby nie pozwolić Cooperowi pływać więcej na skuterze, a wtedy ty nie mógłbyś z nim płynąć następnym razem jako pasażer.

Ollie wcale nie chciał pływać na skuterze. W tej chwili pragnął jedynie znaleźć się z powrotem na suchym lądzie i nigdy więcej nie wracać nad jezioro Tahoe.

– Jeszcze jedna sprawa – kontynuował Monkey Man. – Prawdopodobnie nie powiemy nic o tym, że trochę sobie odpoczywaliśmy. Powiemy po prostu, że wybraliśmy się na małą przejażdżkę i mieliśmy wypadek, a teraz musimy zabrać naszą przyjaciółkę do szpitala.

Ollie nie rozumiał, jaka to różnica, czy odpoczywali, czy nie. Może jego mama byłaby zła, że Monkey Man pozwolił przebywać mu na łodzi tyle czasu bez czapki i spalić się na słońcu.

– O pewnych sprawach – rzekł Monkey Man – rozmawiamy tylko między sobą. Na przykład o tym piwie, które piłeś. Nie chciałbym, żebyś narobił sobie przez to kłopotów. Żebyś na przykład trafił do więzienia. Nie mógłbyś wtedy widywać swojej mamy.

Monkey Man wyjął potem telefon i dziwne, ale on działał. Kilka minut później podpłynęła do nich druga łódź. Coś w rodzaju wodnej policji. Siedzieli w niej dwaj panowie w mundurach i pani w fartuchu lekarza.

Najpierw zajęli się dziewczyną, która przez cały czas leżała w tej samej pozycji. Założyli jej taki mankiet na rękę i słuchali jej serca. Unieśli powieki i świecili latarką w oczy.

Szybko powiedzieli, że trzeba zawieźć dziewczynę do szpitala. Położyli ją na noszach, przenieśli na swoją łódź i odpłynęli.

Jeden z policjantów został na donzi razem z Monkey Manem, Cooperem i Olliem. Policjant popłynął z nimi do brzegu, holując skuter.

Ollie miał nadzieję, że kiedy w końcu znajdą się na lądzie, będzie mógł coś zjeść. Wiedział, że pewnie nie ma co liczyć na naleśniki. Wystarczyłyby chipsy albo kanapka z masłem orzechowym. Ale policjant powiedział, że oni także muszą

jechać do szpitala. Musieli ich zbadać, poza tym policjant chciał sobie zapisać, co się wydarzyło.

W tym momencie Monkey Man spojrzał na Olliego. Nic nie powiedział, ale Ollie zrozumiał. Chciał mu przypomnieć o ich tajemnicy. O tej części, której policja by nie rozumiała.

Ollie kiwnął głową. Nieważne, czego od niego chce Monkey Man, on się postara to zrobić.

Gdy lekarz zbadał Olliego, kazali mu usiąść na kanapie w poczekalni. Kiedy tam wszedł, Monkey Man i Cooper siedzieli już przy stole. To tam go znalazłam.

Monkey Man już z nim nie rozmawiał. Ani wtedy, ani nigdy więcej.

Leżeliśmy obok siebie na łóżku, kiedy mi to opowiadał. Gdy skończył, poczułam, że coś się dzieje z jego ciałem. Do tej pory sztywne i napięte, nagle się rozluźniło, jakby ktoś popuścił struny w gitarze. Przez cały czas miał spokojny głos – cichy, nieco bezbarwny, ale mówił zaskakująco jasno i zrozumiale. Mocno się do mnie przytulił, płacząc i drżąc.

– Miałem nic nie mówić – wyszło chał. – Monkey Man mi kazał.

– Nie zrobiłeś nic złego – zapewniałam. – To Monkey Man i Cooper bardzo źle się zachowali. Nie powinnam cię była z nim puścić. Tak bardzo cię przepraszam.

– Nie chcę już pływać na żadnych łodziach – oświadczył.

Tuliłam go mocno i nuciłam piosenkę *Jesteś moim słoneczkiem*, którą często mu śpiewałam, gdy był mały. Po kilku minutach łzy przestały mu płynąć, a oddech się wyrównał.

– Mamo – rzekł tuż przed zaśnięciem. – Jeszcze jedno. Nie powiedziałem Monkey Manowi, ale zrobiłem trochę zdjęć.

Kiedy Ollie zasnął, rozpięłam saszetkę, którą nosił przy pasie, i wyjęłam aparat.

Pierwsze zdjęcia przedstawiały to, co może fotografować ośmiolatek podczas długiej podróży samochodem. Zdjęcie Swifta z rękami na kierownicy i cygarem w ustach. Zrobione przez szybę zdjęcia znaków drogowych. McDonald's. Miniaturowe pole golfowe, przy którym – jak Ollie pewnie liczył – zatrzymają się w drodze powrotnej, z wielkim tyranozaurem z przodu i pomnikiem Paula Bunyana.

Było jedno zdjęcie nogi Swifta i zbliżenie jego ucha, i jedno selfie Olliego: tylko jedno oko i część nosa, i głupawy uśmiech.

Następnie zobaczyłam dom nad jeziorem Tahoe, który pamiętałam ze swojego wyjazdu przed kilkoma zaledwie tygodniami. Żółty viper z opuszczonym dachem. Ścieżka schodząca nad jezioro. Donzi w porcie. Czerwono-srebrna i opływowa jak pocisk łódź z chłopięcych fantazji. Albo i osoby dorosłej, jak się okazało.

Kilka kolejnych zdjęć zostało zrobionych, gdy łódź była w ruchu. Przekrzywione, zamazane. Głównie widać na nich wodę i trochę nieba, choć czasem w kadrze pojawiała się część twarzy Swifta, zawsze roześmianego. Sądząc po widocznym na zdjęciach słońcu, z całą pewnością Ollie zrobił je przed południem.

Potem zdjęcie kropki na horyzoncie, którą musiał być skuter. Mniej więcej wtedy Oliver odkrył, jak się włącza funkcję filmowania. Pojawił się krótki filmik – trwający nie dłużej niż siedem sekund – na którym skuter płynie zygzakiem w stronę łodzi, a w tle słychać głos Swifta, wołającego: Juuhuuu!

Nagle filmik stał się chaotyczny. Niebo, woda, podłoga łodzi, znowu niebo. Ktoś krzyczał: Cholera! Ktoś inny: Ratunku!

Później Ollie zrobił jeszcze kilkanaście zdjęć. Niemal identycznych – oglądałam dzieło chłopca uwięzionego na wiele godzin na łodzi: głodnego, spragnionego, zmęczonego, wystraszonego, który nie miał do roboty nic poza nakierowywaniem aparatu na każdy przedmiot w zasięgu wzroku. Podłoga łodzi. Silnik. Bak. Kapok, którego Swift nie założył. Swift, pochylony nad lodówką, biorący kolejną butelkę z – jak to powiedział Olliemu – bardzo ograniczonych zapasów.

Było też zdjęcie Coopera, rozwalonego na siedzeniu, patrzącego takim wzrokiem, jakby nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Za nim – widoczna, choć ignorowana – leżała córka Estelli, Carmen. Ktoś, zapewne Swift, podłożył jej pod głowę kapok i przykrył marynarką jak kocem, wyglądała, jakby spokojnie sobie spała. Ale nawet zamazane zdjęcie mojego syna mówiło jasno, że Carmen ot tak

sobie nie śpi. Coś było potwornie nie tak, jak powinno.

W aparacie Olliego znajdował się przycisk pozwalający zobaczyć, o której godzinie zrobiono każde zdjęcie. Wcisnęłam go i przewinęłam jeszcze raz wszystkie od początku.

Było tuż po dziesiątej, kiedy mój syn i Swift wypłynęli na jezioro. Na zdjęciu pokazującym zbliżający się skuter widniała godzina dziesiąta dwadzieścia siedem.

Zdjęcie Carmen – leżała nieruchomo, chociaż nie spała, mokre włosy sugerowały, że niedawno pływała – zrobiono o jedenastej piętnaście.

Wątpię, aby Swift w całym zamieszaniu zwrócił uwagę na to, że Ollie robi zdjęcia. Na łodzi praktycznie w ogóle nie interesował się moim synem. Ale wiedziałam, kto się zainteresuje. Funkcjonariusz Reynolds.

72

Cooper został ponownie przesłuchany. Zeznania mojego syna w połączeniu z oczywistymi dowodami na to, że Swift i Cooper wezwali pomoc dopiero po ponad sześciu godzinach od wypadku, bo czekali, aż zawartość alkoholu we krwi Coopera spadnie do poziomu dopuszczalnego przez prawo, wystarczyły, aby postawiono mu zarzut niedbalstwa podczas prowadzenia pojazdu mechanicznego (skutera wodnego) oraz zarzut prowadzenia pod wpływem alkoholu oraz niezgłoszenia wypadku. Najpoważniejszy z zarzutów, który postawiono także Swiftowi, wynikał z podjętej przez obu Havillandów decyzji, żeby opóźnić wezwanie pomocy. Mogło to wpłynąć na rozległość obrażeń mózgu poniesionych przez Carmen Hernandez.

Swift wynajął oczywiście bardzo drogich obrońców. Nie tylko Marty'ego Matthiasa, ale cały zespół. Cynicy – do których być może i ja zaczynam się zaliczać – stwierdziliby, że ostatecznie ważniejszy jest prawnik i ile jesteś w stanie wyłożyć na obronę niż to, czy rzeczywiście zrobiłeś coś, o co cię oskarżają. Swift został oczyszczony ze stawianych mu zarzutów. Cooperowi udowodniono jedynie niedbalstwo podczas prowadzenia pojazdu mechanicznego, karą za co okazało się zawieszenie na rok uprawnień do kierowania jednostkami pływającymi oraz obowiązek odbycia kursu bezpiecznego kierowania jednostkami pływającymi. Swift został ukarany grzywną za posiadanie niezarejestrowanego skutera.

Zważywszy na rozmiar obrażeń córki, Estella miałaby podstawy do wytoczenia sprawy z powództwa cywilnego, ale także nic z tego nie wyszło. Mogę się tylko domyślać dlaczego. Kilka miesięcy po wypadku, podczas jednej z bardzo rzadkich wizyt w tym absurdalnie drogim sklepie, gdzie Ava i Swift zaopatrywali się w artykuły spożywcze, na parkingu zauważyłam Estellę. Siedziała za kierownicą mercedesa, wersja SUV, który bez wątplenia należał do niej: na

zderzaku naklejono flagę Gwatemali, a na desce rozdzielczej stała mała figurka Matki Bożej z Gwadelupy.

Przez cały ten czas Havillandowie nie odezwali się do mnie ani słowem. Oczywiście kiedy zdecydowałam się podważyć zeznania Swifta, dotyczące wydarzeń tamtego feralnego dnia na jeziorze Tahoe – będąc w posiadaniu dowodów w postaci zdjęć i zeznań mojego syna – zaprzepaściłam szanse na pomoc w sądowym odzyskaniu praw do opieki nad Olliem. Okazało się jednak, że kosztowny prawnik Swifta wcale mi nie jest potrzebny.

Nigdy nie musiałam wykorzystywać tego, czego dowiedziałam się o moim mężu tamtego wieczoru od Marty'ego Matthiasa. Życie w Walnut Creek stało się dla Dwighta i Cheri tak trudne, że mój eksmąż sam zasugerował, że być może Oliverowi lepiej by było teraz u mnie.

– Jeśli chcesz – dodał.

Oczywiście, że chciałam. W mojej szufladzie nadal leżało zdjęcie, które zrobiłam tamtej nocy, kiedy się upiłam. Niczego nie mogłam być pewna, ale nie dopuszczę, by coś takiego się powtórzyło.

I się nie powtórzyło.

Wcale nie cieszył mnie fakt, że kilka miesięcy po tym, jak Ollie znowu zamieszkał ze mną, Dwight i Cheri stracili swój dom. Przeprowadzili się do Sacramento, do rodziców Dwighta, gdzie Ollie regularnie ich odwiedzał. Kiedy skończył szesnaście lat, jeździł tam sam swoją starą toyotą, którą kupił za oszczędności zgromadzone latami dzięki pracy w ogrodzie i wyprowadzaniu psów.

Pewnie częściej by jeździł do Sacramento, gdyby nie zajęcia pływackie. Weekendy spędza najczęściej albo na treningu, albo na zawodach. Jest w swojej drużynie najlepszy na dystansie pięciuset metrów stylem wolnym. Przynajmniej tyle zawdzięczamy Swiftowi Havillandowi.

To nie koniec dobrych wiadomości. Olliemu w końcu spodobało się bycie starszym bratem dla Jareda. Dziwne – a może i nie takie dziwne – ale trudności Dwighta sprawiły, że stał się sympatyczniejszy i bardziej ugodowy. Relacje między nim a Oliverem zdecydowanie się poprawiły. Może pewnego dnia zostaną nawet przyjaciółmi.

Przyjaciele. Takie ważne słowo. Wiem, że niektórzy ludzie, kiedy opowiadają o jakiejś konkretnej relacji, mogą powiedzieć: jesteśmy tylko przyjaciółmi, jakby to było coś gorszego niż kochankowie czy tak zwane bratnie dusze. Ale dla mnie nie ma niczego ważniejszego niż przyjaźń. Prawdziwa i trwała przyjaźń.

Z Alice taka mnie łączyła. „Jestem lojalna jak pies”, tak mówiła. Szkoda, że tego samego nie mogę powiedzieć o sobie.

Raz do niej zadzwoniłam. Od wypadku minął niecały rok, a w kinach pojawił się nowy film braci Coenów. Tak dawno nie wystukiwałam jej numeru, że

musiałam sprawdzić.

– Byłam idiotką – powiedziałam. – Gorzej nawet. Byłam złą przyjaciółką.

Cisza na drugim końcu linii. No bo jak można było z tym polemizować?

– Pomyślałam, że może byśmy się spotkały i pogadały. – Becca musiała już skończyć studia. – Nie uwierzyłabyś, jak wysoki jest teraz Ollie.

Znowu cisza. Nietypowa dla Alice, która zawsze miała coś do powiedzenia.

W końcu się odezwała:

– Chciałabym rzec, że da się wrócić do tego, co było, Helen.

Dodała, że najbliższy wieczór ma już zajęty. Ten i każdy kolejny.

Nie licząc tego jednego razu, gdy wypatrzyłam Estellę na parkingu pod Bianchini's, nie miałam z nią żadnego kontaktu i nie wiedziałam, jak czuje się Carmen. Nie znałam jej telefonu, a jedynymi znanymi mi ludźmi, którzy mogliby mi powiedzieć, co słyhać u Estelli i jej córki, byli ci, którzy nie przyjmowali do wiadomości mojego istnienia.

Tak więc pewnego dnia, kiedy od wypadku upłynął już ponad rok, zaparkowałam samochód dwa kwartały od ulicy, na której stał dom Swifta i Avy, pamiętając, że właśnie o tej porze Estella zazwyczaj wychodzi z psami na spacer. Nie myliłam się.

Wyskoczyłam z samochodu i pobiegłam w jej stronę. Z wyjątkiem tamtego jednego razu, kiedy opowiadała mi o studiach Carmen i jej marzeniach o medycynie, oraz dnia, kiedy przyłapała mnie na przymierzaniu ubrań Avy, Estella i ja prawie w ogóle ze sobą nie rozmawiałyśmy. Niemniej jednak zawsze czułam emanujące z niej ciepło i dobroć. Pocieszała mnie tamtego dnia, kiedy bałam się o życie Olliego, powiedziała, że będzie się modlić o mojego syna. Przytuliłam ją więc teraz. Jedyne, co musiałam zrobić, to wypowiedzieć imię jej córki.

Pokręciła głową. Nie trzeba znać hiszpańskiego, żeby rozumieć uniwersalny język rozpaczy.

Łamanym angielskim Estella przekazała mi wiadomości. Carmen przeniesiono do domu opieki. Pięknego miejsca. (Mogłam zgadnąć, kto za niego płaci). Poddawano ją fizjoterapii, ale na razie nikogo nie rozpoznaje.

– Jeżdżę tam co dzień i ją karmię. Nie je dużo. Jedzenie dla dzieci. Ogląda telewizję. Teledyski. Dobrze tańczy salsę, *mija*. Tańczyła.

Stałam na chodniku. Czasami nie wiadomo, co powiedzieć. Można jedynie słuchać.

– Siedzę koło jej łóżka – kontynuowała Estella. – Śpiewam jej. Modłę się. Tak jakby była anioł. Raz otwiera oczy. *Gracias a dios*, patrzy na mnie. Ale nie jest taka jak kiedyś, te bystre oczy. Lekarze nie potrafią nic zrobić. Tylko Bóg, kiedyś.

Zapytałam o Swifta i Avę. Pomagają jej, prawda?

Kiwnęła głową.

– Mam kuzynkę w Oakland. Po wypadku ona mówi, że mogę wziąć prawnika. Kazać im dużo zapłacić. – Pokręciła głową. – Mówię kuzynce nie. Sędzia mnie będzie słuchać? Sędzia mnie zobaczy i wyśle do Gwatemala City z powrotem. Gdzie wtedy moja córka? Pan Havilland opiekuje się nami. Mówi, że nie musimy się martwić. Pilnują, żeby Carmen było dobrze.

Psy ciągnęły za smycze, chciały już iść dalej. Tylko Lillian i Sammy.

– Nie przychodzisz już więcej – rzekła Estella. W jej głosie nie było słyhać

zdziwienia. Pewnie nie pierwszy raz Ava miała przyjaciółkę, która nagle zniknęła z Folger Lane. – Teraz nie czuje się tak dobrze. Pani Havilland.

– Ava jest chora? – zapytałam.

– Jak Rocco umarł. Nie dochodzi do siebie. Mówi: to moja wina.

Z powodu śmierci psa Avę dręczyły wyrzuty sumienia. Z powodu śmierci mózgu Carmen już nie. Nie musiałam mówić o ironii tej sytuacji. Estella wiedziała.

– Ten weekend wesele Coopera – rzekła do mnie. – Ja opiekuję się psami. Rodzina jest w Meksyku.

Cabo San Lucas. Zgodnie z planami jeszcze sprzed wypadku na jeziorze Tahoe. Bez względu na to, czego Virginia dowiedziała się o Cooperze – co robił tamtego dnia czy we wszystkie inne dni – nie pozwoliła, aby to przeszkodziło w ślubnych planach.

– Moja córka kochała tego chłopca – rzekła. – Raz dał jej pierścioneł. Z drużyny. Wygrali zawody.

Pierścień rugby. Słyszałam od Avy. Ona uważała, że Carmen go ukradła. Taka była jej wersja wydarzeń. Nie przyszło jej do głowy, że Cooper mógł go Carmen podarować, że może kiedyś rzeczywiście mu na niej zależało.

– Mam nadzieję, że dostaniesz znowu swojego chłopca – powiedziała Estella. – To tylko się liczy. Nasze dzieci.

– Już go dostałam – odparłam. – Oliver znowu ze mną mieszka.

Twarz Estelli rozpromieniła się.

– Rodzina – rzekła. – Tylko to.

Kiedyś wierzyłam, że jestem częścią rodziny Havillandów. Kiedyś nazywali Estellę jej częścią.

Odeszła już kawałek, kiedy ją zawołałam. Podbiegłam do niej. Musiałam zapytać o coś jeszcze.

– Wiem, że długo pracujesz dla Havillandów. Zaczęłaś, jeszcze zanim Swift poznał Avę, prawda?

– Znam Coopera, kiedy on mały chłopiec – odparła. – On i Carmen. Zaczęłam w tamtym domu, z mamą Coopera.

– Wypadek Avy. Co się stało?

Estella pokręciła głową. Przez chwilę myślałam, że nic nie powie.

– Zły czas – rzekła. – Bardzo zły czas. Nikt o tym nie mówi.

Sądziłam, że nie usłyszę nic więcej, ona jednak kontynuowała:

– Byli na wycieczce. Droga do Los Angeles? Nie ta duża autostrada. Chcą zobaczyć ocean.

– Pewnie jechali do Big Sur – powiedziałam. – Uwielbiają to miejsce.

– On ma nowy samochód. Bez dachu. Pan Havilland lubi szybko jechać.

– Wiem. – Co ja sobie myślałam, pozwalając Oliemu wsiąść do samochodu ze Swiftem? Tak bardzo chciałam odzyskać syna, że ryzykowałam jego

bezpieczeństwo?

Tak.

– Mówią samochód z przodu jedzie za wolno. Muszą jechać w hotel. Duży, ładny hotel. Rezerwacja kolacji. Superwiadomość. Świętują. On myśli, że minie samochód. Ten wolny. Jedzie ciężarówka. Nie ma miejsca do skręcenia.

Samochód dachował. Samochód Swifta, ten drogi. Swift wyszedł z wypadku bez szwanku, ale Ava została uwięziona w aucie.

– Kiedy karetka przyjechała, mówią ostrożnie ją ruszać. Jeden zły ruch i ją zabiją. To kręgosłup. *Espina*. Potem nie może ruszać nogami. Najpierw nie wierzą lekarzom. Pan Havilland wiezie ją do wielkiej kliniki. Dwie kliniki. Długo w szpitalu. Potem rehabilitacja. Tam jej dają ten wózek.

Lillian zaczęła warczeć. W oddali zobaczyła innego psa i chciała już iść. Estella także wyglądała tak, jakby miała dość.

– Co zrobić? – zapytała. – Niektórzy mają szczęście. Niektórzy nie bardzo. Ten pan Havilland, on zawsze ma szczęście. Wtedy też straciła dziecko. Pięć lat się starają, nie jest w ciąży, potem jest. Dlatego jadą na wycieczkę, są tacy szczęśliwi. Po tamten dzień wiesz, co mi mówi? „Może sobie robić, co chce. Nie śpię więcej w jednym łóżku z tym człowiekiem”.

– Jak to? – zapytałam. – Przecież na okrągło mówią o tym swoim niesamowitym życiu erotycznym.

Estella spojrzała na mnie. Choć byłyśmy równolatkami, w tamtej chwili ona miała sto lat, a ja urodziłam się wczoraj. Pokręciła głową.

– Ludzie opowiadają historie – rzekła. – Nie wiesz tego? Chcesz znać prawdę o tych ludziach, twoi przyjaciel, Ava i Swift? Ona go nienawidzi. Potrzebuje go, ale go nienawidzi.

Dziewięć lat minęło, odkąd po raz ostatni weszłam do domu na Folger Lane. I odkąd po raz ostatni z niego wyszłam. W końcu zrezygnowałam z robienia zdjęć w szkole i znalazłam lepszą pracę. Fotografka z Piedmont, która zobaczyła moje zdjęcia w małej galerii, zaproponowała, żebym weszła z nią w spółkę. Stwierdziła, że mam dobre oko do wychwytywania prawdziwej osobowości fotografowanych osób. Że zawsze potrafię pokazać, co się kryje pod powierzchnią.

Elsie i ja prowadzimy teraz studio specjalizujące się w fotografii portretowej – głównie zdjęcia rodzinne, ale zdarzają się także śluby. Jako że nasze usługi nie należą do tanich, klientami studia są głównie ludzie zamożni – może nie tak jak Havillandowie, ale po ubrankach dzieci i gładkich, wypielegnowanych kosmetykami i zajęciami pilatesu ciałach matek widać, że to nie ten typ ludzi, którzy jeżdżą dwudziestoletnim samochodem, jak moja honda civic, albo mają w salonie składaną sofę, która służy ich dziecku za łóżko. (To i tak lepiej niż dmuchany materac).

Rzadko, a właściwie prawie nigdy, do naszego studia trafiają samotni rodzice. To znaczy samotne matki. Na podstawie zdjęć, które robię naszym klientom, można pomyśleć, że nikt nigdy nie ma problemu większego niż kiepski dzień na korcie tenisowym. Ale ja oczywiście dobrze wiem – lepiej niż kiedyś – że nawet jeśli z wierzchu wszystko wydaje się piękne, wcale nie musi takie być.

Oliver za to jest dokładnie taką osobą, na jaką wygląda. Raczej spokojny, nie ma miliona przyjaciół. Tylko dwóch albo trzech, takich naprawdę dobrych. Jest lojalny wobec ojca i miły dla macochy, przepada za młodszym bratem i jest nieśmiały wobec dziewczyn. Choć teraz taka jedna, Edie, za nim szaleje, a Oliverowi jedna wystarcza.

Mniej więcej w połowie drugiej klasy zaczął otrzymywać listy rekrutacyjne z uczelni, które mają osiągnące sukcesy drużyny sportowe. Nigdy nie interesowały go sporty z udziałem piłki, jest za to wspaniałym, obdarzonym wrodzonym talentem pływakiem. Sporą część ściany w naszym salonie zajmują medale zdobyte podczas różnych zawodów. Ale jedno się nie zmieniło od tamtego dnia nad jeziorem: choć Ollie uwielbia wodę, nienawidzi łodzi. Nie chce nawet popłynąć promem do San Francisco.

W ciągu lat, które upłynęły od naszego pożegnania na podjeździe na Folger Lane, oczywiście często myślałam o Elliocie.

Pewnego wieczoru znowu weszłam na Match.com. Nie żeby zamieścić swój profil. Ciekawili mnie po prostu ludzie, którzy w przeciwieństwie do mnie w to wierzyli.

Zawęziłam kryteria swojego hipotetycznego wyszukiwania: mężczyzna, w wieku pomiędzy czterdzieści pięć a pięćdziesiąt pięć, mieszkający w promieniu pięćdziesięciu kilometrów, a jako słowa kluczowe wybrałam: filmy, fotografia, piesze wycieczki i poczucie humoru. Nie można było dopisać, że szuka się stałości, życzliwości i prawości. Wiedziałam, że nikt lepiej nie przekonuje o swojej uczciwości niż doskonały kłamca i oszust.

Przejrzałam tamtego wieczoru kilkanaście profili, niemal z ulgą przekonując się, że nie widzę nikogo, z kim potrafiłabym sobie wyobrazić wyjście na kolację. A potem natrafiłam na niego – nie uśmiechał się, ponieważ Elliot nigdy nie uśmiecha się do aparatu, ale na jego twarzy widocznej na moim laptopie malowało się zmieszanie. Ewentualnie zrezygnowane rozbawienie. *Co ja tutaj robię? Znowu?* Jego nick, tak jak wcześniej, brzmiał: FacetOdCyferek.

„Jeśli mam być szczery – napisał – a inaczej niestety nie potrafię, nie reprezentuję sobą jakiejś specjalnie dobrej partii. Typ ramola i tyle. Lubię stare filmy i nowe nici dentystyczne. Zajmuję się studiowaniem rocznych raportów spółek, czasami dlatego że z tego żyję, ale także, wiercie lub nie, dlatego że uważam to za dobrą zabawę. Coś na kształt misji detektywistycznej: cyferki mogą wyglądać drętwo, ale historie, jakie skrywają, bywają pełne dramatyzmu, intryg, a nawet potrafią zdemaskować oszustwo. Kiedy byłem młodszy, pracowałem dla fiskusa jako tak bardzo przez wszystkich nielubiany audytor. Później – uznawszy, że mam coraz mniejsze szanse na to, że zostanę powołany do drużyny Gigantów albo dostanę rolę w nowym bondzie – otworzyłem własne biuro księgowo, w którym jestem niezmiennie oddany prawdzie kryjącej się w cyferkach. Uczciwie ostrzegam, że nawet gdy się w tobie zakocham, to będzie po zabawie, jeśli w twoim Picie znajdę jakąś nieściskość”.

Nie dodał w tym miejscu zwrotu „LOL”. Jeśli komuś Elliot musiał tłumaczyć, że żartuje, to ten ktoś i tak nie był dla niego.

Nie każdy potrafi docenić Elliota. Ja tak. Ale nauczyłam się dopiero po jakimś czasie. Zbyt długim. Dobra wiadomość była taka, że nie ma dziewczyny. Wciąż istniała dla nas szansa.

„Mój wygląd może tego nie zdradzać – kontynuował – ale jestem beznadziejnym romantykiem. Mężczyzną jednej kobiety. Kiedyś sądziłem, że ją znalazłem, ale się pomyliłem. Zamierzam więc chronić swoje serce. Możliwe, że

łatwiej będzie ci się dostać do skarbcza w Forcie Knox. Ale jeśli ci się uda... cóż, nigdzie nie znajdziesz bardziej lojalnego i kochającego mężczyzny”.

Długo siedziałam i przyglądałam się widocznym na ekranie laptopa słowom Elliota. Podejrzewam, że nie muszę mówić, jak bardzo mnie poruszyły. Strata to jedno. Gorszy jest żal z powodu straty, do której wcale nie musiało dojść, gdyby się miało więcej rozumu.

„Spróbuj dać mi szansę – napisał. – Uznaj to za przysługę wobec innych obywateli – tych, którzy próbują okantować państwo. Im dłużej żyję tak jak teraz, spędzając każdy weekend w domu, badając cyferki, tym więcej kanciarzy (z których każdy jest pewnie fajniejszym kompanem niż ja) wpadnie w tarapaty. Tylko dlatego, że nie mam do roboty nic lepszego od ślęczenia nad sprawozdaniami rocznymi ich firm”.

Przez resztę wieczoru zastanawiałam się, czy nie wysłać wiadomości do FacetaOdCyferek. Następnego ranka znowu myślałam o skontaktowaniu się z Elliotem. Zrezygnowałam jednak.

Wieczorem – pod wpływem trzech kubków zielonej herbaty, obecnie mojego ulubionego napoju – weszłam na Match.com, zdecydowana napisać do Elliota. Ale jego profil zniknął.

Potraktowałam to jak znak. Kogoś poznał. Dobrze się wszystko układa. Pamiętałam, jak szybko – zaledwie po jednym spotkaniu ze mną – usunął swój profil.

– W gruncie rzeczy żaden ze mnie randkowiec – powiedział wtedy. – Kiedy znajdę dobrą kobietę, nie będę szukał nigdzie indziej.

Krótko przed rozpoczęciem przez Olivera ostatniej klasy liceum przeprowadziliśmy się z Redwood City do mieszkania z dwiema sypialniami w East Bay. Został mi jeden rok z moim synem. Nareszcie było mnie stać na coś większego i chciałam, aby Ollie miał w końcu własny pokój. Zanim ode mnie odejdzie.

W dniu, gdy wyprowadziłam się ze starego mieszkania, w mojej głowie pojawiła się dziwna myśl. Dawniej wyobrażałam sobie, że pewnego wieczoru, kiedy najmniej się będę tego spodziewać, rozlegnie się pukanie do drzwi i w progu stanie Elliot. By spróbować raz jeszcze.

Jeśli zrobi to teraz, mnie już tutaj nie będzie. Co nie znaczy, aby coś takiego było prawdopodobne. Co nie znaczy, by zrobił coś takiego. Marzyłam o tym, a to się już nigdy nie wydarzy.

Już sześć tygodni mieszkaliśmy w nowym miejscu, co oznaczało, że w ogóle nie bywałam w Portola Valley. Ollie zimą będzie obchodził osiemnaste urodziny. W czerwcu skończy szkołę średnią, czyli niedługo się wyprowadzi. Ale nie tak jak wtedy, kiedy miał pięć lat. Tym razem wybierał się tam, gdzie chciał – na studia – a ja, choć z pewnym smutkiem, będę się cieszyć razem z nim.

Niedługo skończę czterdzieści dziewięć lat. Kijem odpycham pięćdziesiątkę, jak by powiedział Swift.

Niedawno sprzątnęliśmy w kuchni po kolacji i siedziałam teraz z kubkiem herbaty. W drugim pokoju mój syn rozmawiał przez telefon ze swoją dziewczyną. Obok niego stała pewnie miska popcornu. Słyszałam hip-hop i wesoły śmiech.

– Nie, poważnie – mówił właśnie Ollie. – Musimy to zobaczyć. W sobotę rano mogę po ciebie przyjechać. Nie uwierzysz, ale przez cały weekend nie mam żadnych zawodów. Założę się, że gdybym poprosił, mama zrobiłaby nam pizzę.

Nie działo się nic niezwykłego, ale właśnie coś takiego kochałam. Normalne życie. Zwyczajne wieczory spędzane z kimś, kogo się kocha.

Nasza rodzina składała się z dwóch osób. To nam wystarczało.

Zdjęłam buty i położyłam stopy na podnóżku. Odwinęłam czekoladkę i oddałam się delectowaniu mojej jedynej wieczornej słabości. Wzięłam do ręki dzisiejszy numer „San Francisco Chronicle”, który rano odłożyłam na bok. Mój wzrok przyciągnął tytuł:

PREZES FUNDACJI NA RZECZ ZWIERZĄT OSKARŻONY O OSZUSTWO

Niżej zdjęcie Swifta Havillanda, prezesa zarządu HAU USA. Oczywiście szeroko uśmiechniętego.

W ogóle nie interesowałam się tego typu informacjami, a misternie utkana sieć oszustw, które tu opisano, nie do końca była dla mnie zrozumiała. W skrócie wyglądało to tak, że biznesmen z Portola Valley, który dorobił się majątku na internetowym start-upie, po dużych spadkach wartości aktywów z własnego portfela inwestycyjnego wyprowadził dziesiątki milionów dolarów z fundacji prowadzonej przez jego rodzinę (członkowie zarządu to on, jego żona i ich syn). W wyniku zakrojonego na szeroką skalę śledztwa Swifta oskarżono o oszustwa związane z obrotem papierami wartościowymi, oszustwa telekomunikacyjne, nieuczciwe spekulacje, pranie brudnych pieniędzy. Lista zarzutów była o wiele dłuższa.

Swifta Havillanda aresztowano w poniedziałek w kancelarii jego prawnika – przeczytałam. Ponieważ w jego przypadku istniało ryzyko ucieczki, wyznaczono kaucję w wysokości dziesięciu milionów dolarów. Nie będąc w stanie wpłacić takiej kwoty, pan Havilland przebywa obecnie w federalnym zakładzie karnym

w Mendota w Kalifornii. W dalszej kolejności w stan oskarżenia postawieni zostaną syn pana Havillanda, Cooper Havilland – trader w DCY Capital Partners w Greenwich w stanie Connecticut – a także jego żona, Ava Havilland.

Artykuł był bardzo długi. Sięgnęłam po herbatę.

Okazało się, że problemy finansowe Swifta zaczęły się jakiś czas temu. Choć dysponował wieloma aktywami, dużo wydawał. W celu sfinansowania wystawnego stylu życia wziął pierwszy, a potem drugi kredyt hipoteczny pod zastaw swoich domów. Udziął w Theraco, jego spółce w Dolinie Krzemowej, także stały się zabezpieczeniem dla kolejnych kredytów.

Poważne problemy pojawiły się po krachu na giełdzie w dwa tysiące ósmym roku. Właśnie wtedy Swift rzekomo zaczął okradać fundację HAU, którą kilka lat wcześniej założyli wraz z żoną.

Według autora artykułu robił to w bardzo sprytny sposób – przerzucał miliony dolarów z HAU do spółki zarejestrowanej za granicą, którą sekretnie kontrolował. Po skomplikowanej serii fuzji i zmian nazw Swift zlikwidował tę spółkę, a pieniądze rzekomo przywłaszczył.

Moją uwagę zwróciło znajome nazwisko: Evelyn Couture, znana filantropka z San Francisco. Pani Couture stała się ofiarą Swifta Havillanda i jego daru przekonywania, przeznaczając miliony na jego fundację. Ale na tym nie poprzestała.

Kiedy zmarła w dwa tysiące szóstym, fundacji HAU pozostawiła wart dwadzieścia milionów dolarów dom w Pacific Heights. Trzy lata później fundacja sprzedała dom spółce zarejestrowanej na Kajmanach za kwotę dwóch milionów dolarów w gotówce i osiemnastu milionów dolarów w papierach wartościowych. Właścicielem spółki na Kajmanach był tak naprawdę – choć poprzez sieć innych spółek – zarejestrowany w Liechtensteinie fundusz powierniczy kontrolowany przez – i oto kolejne znajome nazwisko – Coopera Havillanda.

Papiery wartościowe, które fundacja HAU otrzymała za dom Evelyn, okazały się praktycznie bezwartościowe. Z kolei fundusz sprzedał rezydencję Evelyn Couture firmie deweloperskiej, która zamierzała go przerobić na apartamenty, a następnie przelał pieniądze z powrotem na konta Havillandów, ojca i syna, którzy stali się bogatsi o ponad trzydzieści milionów dolarów.

Czy to mnie zaskoczyło albo zaszokowało? W sumie najbardziej fakt, że Swift został złapany. Sam zawsze dumnie przyznawał, że jest człowiekiem, który zna wszystkie sztuczki i wie, jak ograć system. Wciąż miałam w uszach głos Swifta – i jego tubalny śmiech – z lekceważeniem wyrażającego się o małych, pozbawionych wyobraźni liczykrupach tego świata. Nigdy by mu nie przyszło do głowy, że przekładający papierki biurokraci będą w stanie wydobyć na światło dzienne szczegóły wymyślnego planu, kryjącego się pod fasadą jego fundacji na rzecz zwierząt. A jednak...

Dopiero z krótszego artykułu, który zamieszczono w gazecie kilka dni później, dowiedziałam się, jak doszło do ujawnienia przestępstwa nazywanego teraz psim kantem. Nie podano żadnych nazwisk, a źródłem informacji był „wysoko postawiony pracownik biura okręgowego prokuratora federalnego”.

Za ujawnienie przestępstw popełnionych rzekomo przez Swifta Havillanda odpowiedzialny był ktoś niezwiązany z biurem prokuratora. Była to osoba fizyczna, która zrzekła się jakiegokolwiek wynagrodzenia za swoją pracę.

„W czasach, kiedy jak grzyby po deszczu pojawiają się ludzie szukający piętnastu minut sławy, nie wspominając o wszechmocnych dolarach – napisano w artykule wstępnym, który pojawił się w »Chronicle« tego samego dnia – ten anonimowy człowiek, zaniepokojony występowaniem nieprawidłowości, latami ślezczał nad dziesiątkami tysięcy stron niejasnych, dostępnych publicznie akt i dokumentów, łącząc ze sobą szczegóły domniemanego oszustwa. Człowiek ten przedstawił dowody w biurze okręgowego prokuratora federalnego. A kiedy je zignorowano, nie odpuszczał, aż w końcu ktoś się nimi zainteresował”.

Teraz, w wyniku ciężkiej pracy tego samotnego bohatera, domniemany sprawca wielomilionowego oszustwa został postawiony w stan oskarżenia.

Napisano w gazecie, że ta osoba postanowiła zachować anonimowość, ja oczywiście znałam jej nazwisko.

Siedziałam długo z gazetą w ręce. Przyglądałam się zdjęciu przedstawiającemu Swifta, ale tak naprawdę osobą, o której myślałam, był Elliot.

Wielokrotnie na przestrzeni minionych lat, zwłaszcza nocą – kiedy mój syn spał w sąsiednim pokoju i czasem tylko dochodziło skrzypnięcie karuzeli, w której biegał chomik – myślałam, żeby się z nim skontaktować. Gdybym nadał piła, to wtedy wyjmowałabym z szafki wino, a po kieliszku lub dwóch napisanie do Elliota mogłoby się wydać całkiem dobrym pomysłem.

Ale ja nie piłam. Nie zmyślałam także żadnych historii. Ani nie fantazjowałam o tym, co nie istnieje. Swego czasu byłam kobietą, która bardziej niż czegokolwiek innego pragnęła stać się częścią rodziny i przez jedenaście miesięcy wierzyła, że Havillandowie uczynili ją częścią swojej. Zdradziłam miłość dobrego człowieka, który zawsze stałby przy moim boku, na rzecz osób, dla których nie znaczyłam więcej niż rzeźba z lodu. Dzisiaj jest. Jutro nie ma.

Jak mogłam prosić teraz Elliota, żeby na nowo mi zaufał i uwierzył w moje słowa?

Wtedy w szpitalu, kiedy siedziałam w poczekalni i przytulałam owiniętego kocem syna, wierzyłam jeszcze, że uda nam się odbudować nasz związek. Przez kilka godzin tamtej nocy wiedziałam, jakim był dobrym człowiekiem przez cały ten czas, i wciąż liczyłam na życie u jego boku.

Choć minęło tyle lat, nie zapomniałam ani jednej chwili z tamtej nocy – najdłuższej nocy w moim życiu.

To się stało po tym, jak skończono przesłuchiwać mojego syna. Po Swifcie i Avie nie było już dawno śladu – z pewnością udali się do swojego pięknego domu nad brzegiem pięknego jeziora i podwieźli syna Swifta do złotego sportowego auta, które zawiezie go do jego pięknej narzeczonej. Carmen także zniknęła, ale ona znajdowała się gdzieś indziej, w miejscu, z którego już nie wróci – mając przy boku zrozpaczoną matkę.

Wtedy zadzwoniłam do Elliota, aby zapytać, czy może po nas przyjechać. Odebrał po pierwszym sygnale. Powiedział mi, że przyjedzie tak szybko, jak się da. Bez przekraczania dopuszczalnej prędkości.

W pewnym momencie, podczas tych czterech godzin, których potrzebował Elliot, aby dojechać do szpitala, wyjęłam portfel. Miałam w nim tę karteczkę, na której Ava zapisała swoje imię i numer telefonu.

Przekreśliłam wtedy imię Avy i wpisałam dane Elliota.

Nadal mam tę karteczkę z numerem.

Odłożyłam gazetę. Wzięłam do ręki telefon.

Podziękowania

Do pisania tej książki – choć wtedy nie wiedziałam jeszcze, o czym będzie – zabrałam się wiosną dwa tysiące czternastego roku. Przeprowadziłam się wtedy do domu mężczyzny, który niedawno został moim mężem, Jima Barringera – ale pojawił się problem. (Albo to, co wtedy uważałam za problem). Nie miałam miejsca do pracy.

Moja przyjaciółka Karen Mulvaney i jej mąż, Tom, wykazali się wtedy niezwykłą szczodrością: pozwolili mi korzystać z należącego do nich cudownego małego domku, który o tej porze roku stał pusty, tak długo, jak tylko będę potrzebowała. Nazywają go domkiem Buda, ja też.

Podczas dziesiątek lat gnieźdzenia się w różnych chatkach, w motelowych pokojach, na poddaszach, a raz w garażu na parkingu podziemnym, przekonałam się, że aby pisać, pomieszczenie nie musi być duże ani fantastyczne (i pewnie nie powinno). Ale musi cechować je atmosfera, pozwalająca wyobraźni na swobodny lot. Domek Buda – z dużym słonecznym oknem nad biurkiem, czerwoną lodówką, werandą, na której siadywałam z kawą i czytałam to, co napisałam dzień wcześniej, a pod drzewami owocowymi pasła się cała rodzina jeleni, i niedużą szopą z traktorem, którym kiedyś jeździł Bud – ma jej mnóstwo.

Przez całą wiosnę i część lata każdego ranka tuż po świcie ruszałam na drugą stronę wzgórza do miasteczka Lafayette w stanie Kalifornia, aby zasiąść za biurkiem w małym czerwonym domku i pisać tę historię. Tam właśnie powstała pierwsza wersja.

Powinnam dodać, że kiedy przekręciłam klucz w zamku domku Buda i zaparzyłam pierwszy dzbanek kawy, nie miałam pojęcia, o czym będę pisać. Pomysł na tę opowieść zrodził się bezpośrednio z moich rozmyślań na temat tego, jak wspinałym darem jest przyjaźń, której doświadczałam ze strony Karen, i wspomnień dotyczących okresu w moim życiu, kiedy obdarzyłam zaufaniem i przyjaźnią kogoś, kto mnie zawiódł – tak samo jak ja z pewnością zawiódłam innych jako przyjaciółka. Wiele lat po tej stracie nadal się wzdrygam, gdy o niej myślę. Niewiele przeżyłam bardziej dojmujących przykrości.

Do napisania tej historii zainspirowały mnie także dwie bardzo różne młode kobiety. Melissa Vincel jest obecna w moim życiu, odkąd jako siedemnastolatka znalazła się na scenie Centrum Kennedy'ego, aby odebrać z moich rąk jedną z zaledwie dwudziestu nagród dla młodych autorów. Wiele lat później ponownie się spotkałyśmy, tym razem w Gwatemali podczas prowadzonych przeze mnie warsztatów pisarskich, i od ponad dziesięciu lat Melissa pomaga mi w prowadzeniu tych warsztatów i nie tylko – dzięki swojemu talentowi pisarskiemu, wyjątkowej intuicji, niesamowitym zdolnościom organizacyjnym i niezrównanemu zdrowemu rozsądkowi, ale także nieznaną granic radości życia.

W sposób nieco podobny do mojej narratorki, Helen (bez nadużywania alkoholu i kwestii prawa do opieki nad dzieckiem), pracuje dla mnie Jenny Rein – czasem za pieniądze, a czasem nie – troszcząc się o te najmniej prestiżowe aspekty życia pisarza. Kiedy nikt się nie zajmuje tymi detalami, możliwe, że pisarz w ogóle nie napisze książki. Wysyłanie umów i płacenie rachunków to część tego, co robiła Jenny, poza tym eksmitowała z mojego domu rodzinę szopów praczy, pomagała w zorganizowaniu transportu taboru cygańskiego, dowiozła mi na parking buty trekkingowe, a raz – kiedy widziała, że muszę się trochę wyżyć – zabrała mnie nawet do swojej ulubionej klatki dla graczy w baseball i pożyczyła kask, tak żebym mogła odbić kilkadziesiąt piłek. Jenny stworzyła własną przenośną szafkę z moim życiem, którego szczegóły zna czasem lepiej niż ja sama. To do niej dzwonię w sytuacjach awaryjnych. Zawsze odbiera.

Moja siostra, Rona Maynard, była – tak jak przez całe moje życie – wnikliwą czytelniką tej historii. Także mój młodszy syn, Wilson Bethel. To wspaniały dzień w życiu rodzica (a obecnie jest wiele takich dni), kiedy jedno z dzieci uczy go czegoś albo pokazuje coś, czego rodzic sam nie zauważył. Wilsonowi udało się to wiele razy.

Kiedy musiałam powołać do życia postać naprawdę kochanego, nieco staromodnego chłopaka mojej narratorki, Elliota – człowieka prawego, którego misją stało się zdemaskowanie finansowego oszusta okradającego uczciwych obywateli z ich ciężko zarobionych pieniędzy – za wzór posłużył (po zmianie niektórych detali) mój długoletni przyjaciel David Schiff, osoba, której bez chwili wahania powierzyłabym swoje pieniądze, i dla której lojalność to rzecz święta. To David opracował szczegóły przekrętu Swifta Havillanda, jako że sam zajmuje się ich demaskowaniem z taką radością, z jaką inni je robią.

To niespełna pięcioletni Landon Vincel zdecydował, że pojawiające się w tej powieści dziecko, Ollie, tak bardzo lubi wiersze Shela Silversteina. Rebecca Tuttle Schultze i cała ekipa znad jeziora Mousam w stanie Maine – gdzie po raz pierwszy ujrzałam i miałam okazję płynąć donzi – wyjaśniła mi meandry sztuki skakania skuterem po falach. Od Margaret Tumas otrzymałam porady weterynaryjne, istotne dla mojej historii, dotyczące tego, czym w żadnym razie nie powinno się karmić psów. Panie z biblioteki w Lafayette wzięły mnie pod swoje skrzydła, tak samo Joe Loya, emerytowany bandyta napadający na banki, pisarz i mój współgospodarz Pisarskich Spotkań w bibliotece w Lafayette. Żarliwy i lojalny obrońca.

Chcąc mieć pewność, że podaję rzetelne informacje, kiedy opisuję życie niezależnej kobiety z uszkodzonym rdzeniem kręgowym, zasięgałam bezcennych porad u Molly Hale, adeptki wschodnich sztuk walki z porażeniem czterokończynowym oraz współzałożycielki i jednej z dwóch prezesów Ability Production, organizacji zaangażowanej w niesienie pomocy osobom jeżdżącym na wózkach inwalidzkich. O podopiecznych Molly nigdy bym nie powiedziała, że są

„przykuci do wózka”, ponieważ Molly nie widzi żadnych ograniczeń, a jedynie możliwości.

Jak zawsze wdzięczna jestem Davidowi Kuhnowi z Kuhn Projects i jego odpowiednicze na Zachodnim Wybrzeżu, mojej zaufanej doradczynie, Judi Farkas, a także zespołowi w wydawnictwie William Morrow: Kelly Rudolph, Kelly O'Connor, Tavii Kowalchuk i Liate Stehlik. Mimo dzielącego nas oceanu czuję entuzjazm i wsparcie ze strony wyjątkowego zespołu w moim francuskim wydawnictwie, Philippe Rey. Chciałabym także wyróżnić – spośród wielu zagranicznych wydawców, którzy wspierają moją pracę – mojego uroczego wydawcę z Węgier, Eszter Gyuricza. Ogromne podziękowania składam mojej agentce Nicole Tourtelet z DeFiore Agency, która kilkakrotnie przeczytała pierwszą wersję tej powieści, udzielając bezcennych porad redakcyjnych, dzięki czemu ostateczna wersja jest bardziej dogłębna i wnikliwa niż ta, którą jej zaprezentowałam. A kiedy zakończyłyśmy pracę, wyciągnęłyśmy ukulele i śpiewałyśmy.

Jak zawsze na koniec zostawiam sobie moją niezastąpioną redaktorę, a teraz także drogą przyjaciółkę, Jennifer Brehl, która w dwa tysiące ósmym oświadczyła, że wierzy we mnie jako autorkę beletrystyki, i z każdą kolejną książką pomaga mi się coraz bardziej rozwijać (przy tej przypominała mi – wraz z upływem kolejnych miesięcy – że żaden termin oddania książki nie jest ważniejszy od zdrowia ukochanej osoby).

To już czwarta książka, nad którą razem pracowałyśmy. Jennifer to ten rzadko spotykany typ redaktora, który autentycznie redaguje każdą stronę – wers po wersie, słowo po słowie, dbając o umiejscowienie każdego przecinka. Pisanie to samotnicza praca, ale dzięki Jennifer przez cały czas odczuwam obecność niezwykle wnikliwej współpracownicy.

Na koniec dziękuję mojemu mężowi, Jamesowi Barringerowi, który od dziesięciu miesięcy musi się mierzyć z najtrudniejszym przeciwnikiem – rakiem trzustki – i który nigdy nie przestał namawiać mnie do powrotu do pracy w moim własnym pokoju, który w końcu mi zorganizował. W ciągu czterech wspólnie spędzonych lat Jim nauczył mnie, czym jest prawdziwe partnerstwo.

Twoja książka ciągle się pisze w mojej głowie, Jim. Twoje imię jest w moim sercu.

[1] Sieć sklepów z rzeczami używanymi, przeznaczająca dochody na cele dobroczynne (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Zestaw ćwiczeń zdrowotnych pochodzący ze starożytnych Chin.

[3] Amerykańska sieć restauracji.

[4] Meksykański sos z czekoladą i chili.

[5] Lody z flambirowanymi bananami.

[6] Unikalne, wyodrębnione z bryły stadionu miejsce, dwupoziomowa sala z przeszklonym, panoramicznym oknem dostarczająca wyjątkowych, niezapomnianych wrażeń.

[7] Donzi – szybka łódź motorowa.

[8] Według legendy w 1284 roku miasto Hameln w Niemczech nawiedziła plaga szczurów. Wynajęty przez mieszkańców szczurołap za pomocą muzyki płynącej z cudownego fletu wywabił szczury, które następnie utopiły się w Wezerze. Gdy po wykonanej pracy odmówiono szczurołapowi obiecanej zapłaty za pozbycie się gryzoni, ten w podobny sposób wyprowadził w nieznane wszystkie dzieci z Hameln.

[9] Amerykański deser z pianek marshmallow, krakersów i czekolady.

[10] Dziecięcy sport drużynowy, łączący uproszczone zasady baseballu i softballu.

[11] Szybkość, z jaką porusza się statek kosmiczny używający fikcyjnego napędu warp, wymyślonego na potrzeby serialu *Star Trek*.

[12] Apteka internetowa

[13] Stadion w San Francisco.

[14] Zespołowa gra sportowa rozgrywana na trawiastym boisku, polega na umieszczeniu za pomocą specjalnej trójkątnej rakiety piłki w bramce przeciwnika.

